

WŁODZIMIERZ KŁACZYŃSKI

MIEJSCE

TOM 4

GON



Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

R-5627/t.4



020-0006278-00

MIEJSCE

WŁODZIMIERZ KŁACZYŃSKI

MIEJSCE

TOM IV

GON

MIELEC 2005

Projekt okładki: **Przemysław Zamojski**

Redakcja techniczna: **Jerzy Koziol**

Korekta: **Alina Skalska**

Copyright by: **Włodzimierz Klaczyński**

Wszelkie prawa, łącznie z prawem do reprodukcji tekstów w całości lub części, w jakiegokolwiek formie, zastrzeżone.

Informacji udziela: **Samorządowe Centrum Kultury w Mielcu,
oraz autor.**

Wydawca: **Samorządowe Centrum Kultury w Mielcu,
Firma PROFI-MED s.c., Goleszów 140,
przy współudziale K. I. Lek-Wet. Warszawa.**

Zbieżność nazw geograficznych, nazwisk, pseudonimów i wydarzeń występujących w tekście niniejszej książki z występującymi w świecie rzeczywistym, jest zupełnie przypadkowa.

ISBN: 83-88308-09-2



6278

R-5627/1.4

Druk i oprawa:
Zakład Poligraficzny Z. Gajek
39-300 Mielec, ul. Korczaka 23
tel. (017) 581 03 11
www.drukarnia.mielec.pl

Chajka i Jasza, prowadzeni przez granatowego, doszli do bezładnego tłumu tłoczącego się w rogu rynku naprzeciw ulicy Pułaskiego. Byli w tym tłumie tak ludzie w sile wieku, jak dzieci i starcy. Cała ta milcząca gromada, wśród której zdarzały się i trupy zastrzelonych w porannej akcji, niesione przez młodych mężczyzn, podniesiona krzykiem, otoczona mordercami Cardeny i sonderdienstowcami wściekłymi z przepracowania, ochrypłymi od krzyku, podnieconymi wódką i piwem, posuwała się pospiesznie w stronę stacji.

Na starej wyładowni, służącej przed wojną handlującym trzodą chlewną, stało osiem wagonów bydlęcych bez lokomotywy. Drzwi wagonów były rozsunięte, czeluście wewnątrz słabo oświetlone odbitym światłem reflektora lotniczego, który świecił wzdłuż wagonów.

Kiedy cały ten tłum ludzi został wtłoczony na teren wyładowni, żołdaków Cardeny, kolonistów z Sonderdienstu i hilfspolicjantów ogarnął szal. Ryki komend zabrzmiały ze zdwojoną siłą. Wybrani spośród Żydów mężczyźni podtoczyli wagon do rampy służącej do załadunku zwierząt i ustawili naprzeciw pochylni ograniczonej z boków stalowymi rurowymi ogrodzeniami. Tłum, bity z boków, oślepiiony światłem reflektora, wciśnięty pomiędzy okratowania rampy, wpadał w szeroko otwarte drzwi wagonu z wyciem tratowanych i duszonych, łamiących kończyny i krwawiących z rozbitych głów. Dwóch esesmanów kolbami ubijało ludzką mierzwę dotąd, aż wagon zaczął wyrzucać z powrotem wpychanych na siłę ludzi. Wtedy kazano tym, którzy byli w wagonie - siadać, a tym, którzy dotarli do drzwi, a nie mieli już miejsca, pchać się na głowy siedzących. Głos protestu zagłuszał strzał.

Kiedy uznano, że przestrzeń wagonu jest wystarczająco zapelniona, szybko zasunięto drzwi nie zważając, że przycinają one nogi i ręce. Przepelniony, pełen wycia i jęków wagon przesunięto dalej, a przed rampę przytoczono następną.

Chajka, uderzona w skroń szpicrutą, zachwiała się, puściła rękę Jaszy, upadła – wyjący tłum porwał chłopca; deptana przez biegnących dziewczyna wpełzła pod

rurę rampy, instynktownie przetoczyła się na bok, spadła w zeszlóroczne osty obrastające podstawę nieużywanej od dawna pochylni. Nad nią dudniły kroki biegnących esesmanów i kolonistów, kłóty świst szpicrut, bykowców, krzyki...

Zgrzyt i hurgot zasuwanych drzwi, nieludzki ryk bólu, potem drugi. – Jasza – pomyślała Chajka. – Co robi Jasza z tą swoją kulawą nogą? Suche osty kłują ją przez ubranie; wtula ciało w cegły podstawy rampy, przypłaszcza...

Na chwilę ucichło; Cardena kazał pozbierać trupy i rannych, jacyś mężczyźni biegiem wnosili je do następnego wagonu i znowu rozległ się wrzask kómend, wzniosły się do góry i spadły szpicruty, bykowce i kije...

Jasza, wepchnięty do wagonu, deptany po bolącej nodze, obracany dookoła, poddał się bezwolnie parciu tłumy. Zepchnięto go w kąt, miażdżono, obok dwie kobiety wyły: – Litości! Tu jest dziecko! Litości! Zabierzcie to dziecko! – Ludzie pchani przez bitych z tyłu, wdrapywali się po plecach tych, którzy nie mieścili się już w wagonie; tworzyła się warstwa leżących na głowach i ramionach, słabsi padali, silniejsi stawali na nich, ciągle słysząc było rozpaczliwy krzyk kobiety ratującej dziecko przyciśnięte do ściany wagonu, aż umilkł nagle, zduszony...

Zgrzytnęły drzwi, rozległ się hurgot i krzyk łamanego człowieka. Ruszyli, potem brzęknęły zderzaki, bezwładny ciężar ludzkiej zawartości przycisnął Jaszę do ściany; czuł chropawą, pełną drzazg deskę wysłużonego bydłowego wagonu. – Powietrza...! Otwórzcie okno – stękał ktoś. Jasza, ściśnięty, podniósł wzrok; w jasnym świetle reflektora ujrzał siatkę kolczastego drutu rozpiętą w małym okienku. Spadał stamtąd chłodny podmuch. – Umieram... – zachrypiała kobieta obok, która prosiła przed chwilą o litość dla dziecka, pewno już teraz nieżyjącego.

Pomału na głowach i ramionach siedzących, ludzie zaczęli sobie szukać miejsca; wszyscy dyszeli, łapiąc powietrze, pocili się. Z góry padał zimny podmuch. I znowu rozległy się ryki komend, przekleństwa, wycie bitych nie mające w sobie nic ludzkiego; krzyk tratowanej kobiety. – Adonaj! Adonaj! – W wagonie Jaszy ktoś widocznie zwariował, nie wiadomo było, czy to mężczyzna, czy kobieta, bo ten ktoś wydawał z siebie wwiercający się w uszy pisk, monotonna, strasznie, nabierał powietrza i piszczał, nabierał powietrza i piszczał...

Znowu dźwięk metaliczny zderzaków i wstrząs – to załadowany wagon dotoczył do wagonu Jaszy. I znowu wrzask pijanej tłuszczy zagarniającej ludzką mierzwę i tłoczącej do wagonów.

Jasza stracił rachubę czasu; opętające wrzaski komend, wstrząsy dostawianych wagonów, jęki umierających deptanych ludzi. Pisk wariata czy wariatki już dawno ustał, hałas na zewnątrz osłabł, aż całkiem zamilkł... Słysząc było teraz obok wagonów głosy. Rozmawiano po niemiecku, ktoś mówił: – Jawohl! Jawohl! – Ktoś się śmiał... Na rampie pito piwo, płukano gardła po wysiłku. Potem zupełnie ucichło na jakieś pół godziny. Kobiety ratujące dziecko przestały już nawet charczeć; Jasza

coraz bardziej tracił siły, do tego dołączył się ból chromej stopy zdeptanej setkami butów i drewniaków, która teraz rwała nieznośnie.

Na dachu wagonu dudniły kroki chyba dwóch ludzi, rozległy się głosy, ktoś szwargał basem, odpowiadał mu piskliwie drugi, teraz krzyk z sąsiednich wagonów, narastające wycie. Brzęknęła łopata, znowu zadudniły kroki po dachu, coś wsypywano na dach, brzęczały wiadra.

I nagle przez górne wentylatory zaczęło się coś sypać, wagon wypełnił się piekącym, krztuszącym pyłem. W bezpośrednim sąsiedztwie wentylatora ktoś krzyczał: – Moje oczy! Moje oczy! Adonaj! Litości! Wytrzyjcie moje oczy! – Nic nie widzę! – krzyczała jakaś kobieta. Ryk bólu wzrastał się i przeszedł w chrypliwe wycie, kiedy przez wentylator zaczęto lać wodę. W okienko nad Jaszą ktoś zaczął walić łopatę za łopatą drobnego, grudkowanego wapna. Jasza poczuł na wargach piekący smak; usiłował wyrwać ręce, udało mu się to z jedną, lewą, dotknął warg i piekącego oka; ból stał się tak dojmujący, że co prędzej zaniechał tego. I na jego piekącą twarz zsypaną wapnem chluśnięto przez to okienko wiadro cuchnącej wody. I jeszcze! I jeszcze! – Jasza poczuł chwilową ulgę, ale za chwilę nie widział nic, jego oczy wyżerało powoli syczące wapno. Krzyczał z wszystkimi dopóki miał siły, potem zaczął zapadać w pełen tępego cierpienia półsen. – Umieram – pomyślał...

Anioł śmierci pławiąc się w ludzkim jęku, jak polujący drapieżny ptak zawisł nad pociągami i dgrał, bezgłośnie poruszając skrzydłami.

Na stacji stary nastawniczy Gruszczyński zamknął okna i drzwi, usiadł przy biurku i wzięwszy głowę w dłonie, zatkał uszy.

Wypełniała się „nadludzka nieludzkość”.

Chajka ocknęła się z bolesnego półsnu, półkatalepsji. Krzyk biegnących, poganianych brutalnie ludzi na chwilę ustał. Oprawcy schodzili z rampy, brzmiały głosy komendy, szczekało żelazo; do nozdrzy dziewczynki dochodził zapach dymu palonych papierosów, śmiechy, śpiewne rozmowy hilfspolicjantów i gardłowe, twarde – Niemców. Z wagonów niosły się przytłumione krzyki kobiet duszonych i tratowanych, wysoki pisk obłąkanego, ale była to łagodna cisza w porównaniu z poprzednim – rozdzierającym, wyłączającym świadomość – hałasem.

Względna cisza trwała niedługo. Na dachach wagonów zadudniły kroki biegających esesmanów. Rozmawiano, szurano łopatami. Zaraz potem w wagonach podniosły się najpierw pojedyncze krzyki, a potem potępieńczy wrzask potęgujący się w miarę upływu czasu. Chorał nie mający nic ludzkiego trwał, wduszała Chajkę w osty; dziewczynce zdawało się, że słyszy głos Jaszy wołającego – Mamo! Mamo! – Chciała zawołać, ale zamiast tego jeszcze bardziej wbiła głowę w kłujące zielsko i zatkała uszy.

Wycie w wagonach doszło do zenitu, nie można już było rozróżnić pojedyn-

czych głosów. Szloch bolesny rozrywał gardło Chajki. Pomyślała, że dobrze byłoby, tak jak przed chwilą, stracić przytomność, ale nie mogła się już wprowadzić w taki stan, jak przed godziną. Pomyślała, że wyjdzie i odda się w ręce tych ludzi, aby nie słyszeć tego bolesnego jęku, ale wiedziała, że przecież wrzucą ją do któregoś z tych wagonów i będzie tam wyła razem z tymi nieszczęsnymi.

Krzyk nie ustawał, ale zmieszał się z nim warkot silników samochodowych, uderzenia podkutych butów o deski, zatraskiwanie skrzyń ciężarówek i drzwi szoferek, klaksony. Zapadła nagle ciemność, to zgąśł lotniczy reflektor; Chajka zaczęła mieć nadzieję, że może Jehowa pozwoli jej uratować życie, chociaż dalszy pobyt w tym strasliwym świecie, wobec którego getto wydawało się bezpieczną przystanią, przekraczał jej wyobrażenia. Instynkt życia kazał jej leżeć cicho; samotność i tęsknota za utraconą rodziną, straszny los Jaszy umierającego w cierpieniach prawie tuż obok, podsuwały samobójcze myśli. Tylko lęk przed tym umieraniem w mękach wstrzymywał ją przed wyjściem z ostów i oddaniem się w ręce oprawców.

Cień jakiś padł na osty. To wartownik, którego rozparł nadmiar wypitego alkoholu, rozpiął rozporek i lał grubym strumieniem pod ścianą pochylni. Odszedł, a Chajka pomyślała, że trzeba teraz wstać, wydostać się z tych ostów i wymknąć z tego strasznego miejsca, gdzie umiera jej brat razem z innymi konającymi. O tym, co będzie dalej, nie myślała, bo zabrakło jej wyobraźni.

Usiłowała wstać, zdrętwiała zupełnie przyklekła. Podparła się rękami, czując setki igiełek wbitych we wszystkie możliwe części ciała podczas leżenia w suchych ostach. Wstała w końcu i macając obolałymi dłońmi rury ograniczające pochylnię, podsunęła się do wyjścia na rampę. W ciemności blado mżyło światło w centrum miasteczka, w niesłabnącym krzyku w wagonach nie słychać było warkotu lecącego samolotu, tylko czerwone i niebieskie światła pozycyjne jednomotorowego jun-kersa przesuwwały się bezgłośnie po chmurnym niebie.

Obojętnie gwizdnęła lokomotywa na niedalekiej stacji, zagrzecotały szybujące wagony przy górcie rozrządowej; Chajka ruszyła w stronę płotu odgradzającego wyładownię od ulicy. Na chwilę zatrzymał ją przejazd ciężarówki. Przykuliła się, ale wóz przejechał i zatrzymał z piskiem dopiero za budynkiem dworca. Zrobiła krok do przodu, potem drugi; od płotu oderwał się cień.

– Stój, skatina! Ty kto? Żidowka? – Światło latarki skupiło się na twarzy dziewczynki.

Nie musiała odpowiadać. Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła dwie monety dane jej przez matkę.

– Panie! Zlituj się! – złoto błysnęło.

Wartownik wyjął jej monety z dłoni, wahał się. Może ten dzień nasycił i stępił jego okrucieństwo? Może miał dosyć strzelania w bezbronne plecy i karki? Może w ogóle nie był okrutny, tylko musiał okrutnymi czynami utrzymywać się na po-

wierzchni wojennego życia? Może był zmęczony ruchliwym dniem? A może ten krzyk w zasypanych syczącym wapnem wagonach stępił nawyki nabyte w dwumiesięcznej szkole, gdzie „śmert Żidam, Lacham, komunistam”, była naczelną doktryną. Tyle w czasie tej wojny było dowodów na to, że bydlę ludzkie na chwilę, pod wpływem silnego bodźca, stawało się człowiekiem...

– Paszła! – tchnął na nią zapachem przetrawionej wódki. – Bacz na żołdaciw! – doradził jeszcze.

Chajka pobiegła i w miarę zamierania w oddali straszego pisku w wagonach coraz bardziej zaczęła odczuwać pieczenie i świąd w miejscach, gdzie miała nawbijane ostowe igiełki.

Pola dzielące miasto od „streki” były puste o tej porze. Do truchtającej Chajki docierał zapach obornika, który mieszczanie wywieźli na swoje zagony przed wiosenną orką.

W domku obok cmentarza naszczekiwał pies. Z drugiego, ukrytego w bezlistnych krzewach, dolatywały skoczne tony ustnej harmonijki. Chajka przystanęła pod cmentarnym murem. Myślała. Nie mogła tutaj czekać do rana. Instynkt ciągnął ją tam, skąd wyszła i gdzie żyła. Chajka przebiegła na drugą stronę ulicy Piłsudskiego i zapuściła się w uliczkę prowadzącą do łąk i pól leżących w środku miasta, w kierunku których uciekał kiedyś tak nieszczęśliwie Wiącek przed policjantem Gaworem. Pusto tu było i cicho, tutaj nie dochodził głos konających Żydów. Po trzystu metrach rozpoczynała się znów zabudowa, stały tutaj głównie małe domki rzemieślników i drobnych handlarzy. O tej porze nie świeciło się ani jedno światło; Chajka szła pewnie, zważając tylko, żeby nie skrócić w kierunku niezbyt odległego gestapo... Znowu podeszła do torów i szła wzdłuż nich, aż wyszła na pola poza miastem. Przeraził ją widok światła zbliżającego się wzdłuż toru i migającego w takt kroków mężczyzny. Szło ich dwóch, byli to banszuce pełniący wartę wzdłuż torów. Położyła się, ale oni przeszli spokojnie, cicho pogadując ze sobą. Teraz skrzyła znowu od torów, pod jej nogami zachlupotała woda, ale zaraz wyszła na znajomą grobelkę pomiędzy cegielnianymi dołkami i mając z lewej strony ciemny maszyn zabudowań cegielnianych, zbliżyła się do swego dawnego domu. Tutaj przysiadła i odetchnęła, ale rozgrzana szybkim marszem zaczęła znowu marznąć, więc wstała i ostrożnie podchodziła do ceglaków. O zapukaniu do Blessemów nawet nie pomyślała; obojętna twarz Karwaczewskiego i wredna zupełnie Zwozidły odstraszały. Z wahaniem zbliżyła się do okienka Komarnickich i leciutko zapukała.

Komarnicka właśnie niedawno wypuściła granatowego, którego przyprowadziła z restauracji Janoskiej. Chłop, gdzieś z Karpat, siedział jak dziecko, pijany zupełnie i tyle że musiała go ciągnąć za rękę. Miała z nim sto pociech zanim skończył i usnął, ale też obszukała mu dokładnie kieszenie i wyprawiła, kiedy trochę przyszedł do siebie, bo jej też się coś snu należało. Zabrał się w końcu z tym swoim karabi-

nem, który na czas miłosnych igraszek odstawiła do kąta.

Dwóch klientów jednego dnia nie zawsze się zdarzało od czasu, kiedy Lilkę zabrali do Niemiec, więc Komarnicka zerwała się z łóżka i potrącając ławkę, która z hukiem walnęła o podłogę, pobiegła do okna.

Zdziwiło ją ciche pukanie, bo zazwyczaj napaleni chłopcy dobijali się energicznie, ale byli rzadziej i tacy, którym nie zależało specjalnie na rozgłosie. Zobaczywszy w okienku drobną głowę dziewczyny pomyślała, że to może Fela czegoś potrzebuje. Otworzyła i powiedziała półgłosem:

– Fela? Co cię po nocy...

– To nie Fela – szepnęła Chajka cicho. – Niech mnie pani ukryje, to ja, Chajka Kilafuntówna.

– Co tobie, na głowę uderzyło?! – zaparła się Komarnicka w drzwiach. – Chcesz, żeby mnie Niemcy zastrzelili? Blessem u was mieszka, a on na Żydów zapieczony, że strach. Sam mi mówił, że za ukrywanie was śmierć...

Chajka straciła nagle siły. Przeżycia całego dnia, głodowe dni w getcie, egzekucja Eslebena, który był dla całej rodziny oparciem, śmierć ciotki, sponiewieranie przez Abelkranza matki, niepewność co do jej losu i losu Moszego, straszna śmierć Jaszy, podcięty jej siły zupełnie. Powoli osuwała się po ścianie, aż zwiotczała całkiem i uderzyła czołem o wilgotny próg w drzwiach nory Komarnickiej. Ta powstała chwilę nad nią i nagle przypomniała się jej córka, ale nie Lilka z czarną książeczką, wrzaskliwa, beczelna i twarda, ale Lilka dziewczynka jeszcze, przed wyjazdem męża do Francji, w białej sukience z rozpuszczonymi włosami... Załamała ręce i stała chwilę nad leżącą bezwładnie Chajką, a potem zdecydowała się i łapiąc dziewczynę za przeguby rąk, wciągnęła ją do środka. – Matko Boska, co ja z nią zrobię?! Jeszcze mi trzeba, żeby kto przyszedł! Chyba ją wtedy pod łóżko wsadzę – medytowała, stojąc nad Chajką.

– Chcesz jeść? – spytała nagle, a nie uzyskawszy odpowiedzi przyklękła przy dziewczynie i plasnęła ją w policzek z jednej i drugiej strony.

– Ocudź się! A to dopiero! Przyszła do mnie zdychać!

Chajka usiadła, podpierając się ręką.

– Chcesz jeść?! – powtórzyła Komarnicka.

– Cały dzień nie jadłam. Chcę...

– Dam ci zupy od żołnierzy. Mam cały garnek. Już zimna, ale palić teraz nie będę..., zjesz... I chleb jest.

Dziewczynie nagle napłynęła ślina do ust. Poprzedniego dnia nie jadła prawie nic, bo Sara, wytracona z równowagi zabraniami i śmiercią Eslebena, nie zadbała o posiłki. Zjedli ościstego chleba, a dzisiejszy dzień nie pozwolił nawet zaspokoić pragnienia. Toteż gdy Komarnicka postawiła jej na kolanach ronderek, który napełniła wermachtowską kartoflanką z kawałkami konserwowego mięsa i skwarkami,

a w rękę wcisnęła jej łyżkę i kawałek chleba, Chajka rzuciła się na to jedzenie jak zgłodniałe szczenię. Brzękała łyżką i brzękała, a kiedy skończyła, to się jej odbiło i teraz dopiero pomyślała, że to, co zjadła, to niekoszerne. Ale miłe ciepło płynące z napełnionego żołądka pokonało wszelkie opory. W dziewczynie nagle odżył instynkt życia.

– Gdzie twoja matka? A Mosiek?

– Nie wiem... Moszego żołnierz kopnął i nie mógł chodzić, mama go niosła, a ciotkę Miriam zabili, Jasza w tym pociągu, pewno już nie żyje...

– To matka i Mosze nie żyją – powiedziała brutalnie Komarnicka. – Na Berdeczowie ich postrzelali. Gadał jeden forarbajter od junaków. Dwa duże doły tam wykopali przedwczoraj. Na was..., i granatowi też mówili. Jeden taki, rozjedzony, kulę pokazywał, co nią Żyda zabił. Za matkę.

Chajka niewiele rozumiała z gadaniny kobiety; po jedzeniu oczy się jej kleiły i miała ochotę zwinąć się w kłębek, przytulić do ziemi, ale tamta nie popuszczała jej.

– A ty skąd się urwałaś?

– Gnali nas do wagonów, tam na bocznicy, co świny ładują. Bili strasznie i strzelali. Jasza pobiegł, nie utrzymałam go za rękę, upadłam i pod ogrodzeniem stoczyłam się pod osty, co tam były. Potem mnie Ukrainiec puścił. A potem im tam coś wyspali do wagonów i oni strasznie krzyczeli, o, jak strasznie krzyczeli! – Chajka opowiadała chaotycznie i rozplakała się.

Komarnicka zabrzęczała naczyniem.

– Ja cię tu trzymać nie mogę – powiedziała. – Blessemy w podwórzu, te chłopaki, Franek i Marian, to wszędzie nos wsadzą, teraz w tych niemieckich hitlerkach są, z nożami przy pasie chodzą..., powiedzą bratu i nieszczęście gotowe. Przez jutro cię przetrzymam, jakby kto przyszedł, to włącz pod łóżko. Zmieścisz się, do ściany się przytul... I cicho, bo ciebie zabiją, a mnie do Pustkowa albo też zabiją... A jutro wieczorem może pogadam z taką jedną z dworu od hrabiego. To porządna kobieta, miała dziecko, ale jej umarło, może gdzieś cię ukryje, a może inne dobre ludzie się znajdą... Pewnie zawszona jesteś?

– W domu tośmy się pilnowali i szczepione jesteśmy od tyfusu, ale tam w rynku..., w tym tłoku...

– Jeszcze mi tu wszy potrzeba – jęknęła Komarnicka. – Jutro cię wyprowadzę. Wieczorem. Nad rzekę. Kładź się. Tu są jakieś worki i kożuch ci dam – wzięła dziewczynkę za rękę i prowadziła do kąta. – Jakby kto przyszedł do mnie, to włącz pod łóżko.

Treuhander Wolff wpadł dzisiaj do obory przy wieczornym udoju i chodził za plecami dojarek jak rozjuszony buhaj, tam i z powrotem. Gdyby miał ogon, to biłby się nim po bokach, i mało brakowało, że nie grzebał nogą i wyrzucał śmiecie na

grzbiet.

Strzelić po pysku u Oskara Wolffa, to było jak kromkę chleba zjeść, a bezwzględne obejście się Niemca z hrabią Stajeńskim przy sporze o obrazy mówiło wszystkim, że we dworze on jest najważniejszą osobą, a hrabiostwo plasują się na dworskim podwórzu daleko, nawet za Kalickim, który tylko z grzeczności i dawnego przyzwyczajenia czapkę przed nimi zdejmował. Wolff znał zasadę *divide et impera*.

Nawet Maryśka Mosiądzówna, siostra Staszka, która u treuhandera jakieś tam względy miała i wszyscy wiedzieli dlaczego, siedziała teraz pod krową, trzymała skopek pomiędzy rozłożonymi udami i pilnie strzykała mlekiem, czując, że to się na byle czym nie skończy.

Wiadomo było, że ubyło prawie litr śmietany z wieczornego udoju. Śmietana prosto z wirówek szła rurą do blaszanej kadzi, która w ścianie miała przemysłne urządzenie składające się ze szklanej szybki podzielonej na kreski, po których skakała czerwona miarka. W ten sposób Niemiec po każdym udoju wiedział, ile miał tego cennego płynu i skrzętnie to zapisywał. Kadka ze śmietaną stała w osobnym pomieszczeniu z betonową podłogą razem z wirówkami i zamknięta była od góry pokrywą, a od dołu miała kurek. Obora była na noc teraz zamykana, bo jeszcze były chłody, a ponadto cały czas po podwórzu chodził stróż Pryta. A śmietany ciągle brakowało, raz mniej, raz więcej. Po dzisiejszej stracie treuhander wyprał Prytę po pysku i przygotował się do dalszych działań. Ledwo dojarki skończyły, zamknął drzwi do wirówek i ustawił baby rządkiem. Chodził przed nimi, a one dygotały, aż zatrzymał się przed Miazgową, matką Sylwka, który znany był z tego, że co cudze, to jego. Miazgowa czerwieńsza była na gębie od innych dojarek i pewno to go zważyło do niej, chociaż wszystkie, na mleku chowane, lepiej wyglądały od innych kobiet formalskich.

Przypatrzył się dobrze Miazgowej i złapawszy za ramię, wyciągnął ją na środek.

– Ty kradła?! Ty gruba! Ty rote na pysk!

Miazgowa zawyla i łzy się jej ciurkiem puściły, a ten sięgnął do kieszeni marynarki, wyciągnął mały pistolet, szóstkę, przystawił jej do czoła i wrzeszczał, pchając ją tym pistoletem w stronę wrót. – Do pola! Do pola! Ja ciebie strzelić w głowa na pole!

I nie wiadomo, czy nie wykonałby tego, co zapowiadał, gdyby z otworu, który był w suficie mleczarni i zastawiony był grubymi dechami, nie posypał się najpierw kurz, a potem nie wyskoczył Sylwek. Zeskoczył i dopadł matki, objął ją.

– To ja! To ja, panie! Puść mamę!

Łotr dostawał się na strych otworem w szczytowej ścianie, odsuwał deski w otworze nad mleczarnią, zjeżdżał na grubym sznurze, wypijał śmietanę i tą samą drogą wracał na strych. Zasuwał deski i wydostawał się na podwórze.

Niemiec puścił bładą jak ściana Miazgową, której śmierć zaglądnęła w oczy, i capnął za kark chłopaka. Ten nie szarpał się. Treuhander już nie wrze-

szczał, a syczał:

– Ty huncfot! Ty verfluchte Kerl! Ty jechać Pustków oder Auschwitz! – namyślił się i schował pistolecik do kieszeni. – Ty dostać tu dwadzieścia pięć na dupa kij. Ty nie siedzi na dupa cen doba. Kalicki! – wrzasnął.

Chłopaka zamknięto w starej, kamiennej piwnicy za studniami. Klucz od kłódki treuhander schował do kieszeni. Wieczorem na egzekucję spędzono wszystkich pracujących we dworze; treuhander chciał, żeby w spektaklu uczestniczyli też Stajeńscy i Ludwik. Stajeńska jednak, ujrawszy go w drzwiach mieszkania, stanowczo odmówiła. – Nie wiem, u kogo pan dotychczas służył (specjalnie nie powiedziała pracował) – cedziła w wykwintnej wiedeńskiej niemczyźnie, ledwo poruszając ustami – i być może tam były obyczaje chłosty z asystą państwa. U nas załatwiał to karbowy albo lokaj. – Bogiem a prawdą mówiła o czasach przed rabacją, bo u Stajeńskich, oprócz incydentalnego strzelenia kogoś w głowę przez wnerwionego Jąkatego, ludzi nie bito. – A lokaj Ludwik źle się czuje. – Hrabina zamknęła drzwi przed nosem treuhandera, a mąż pocałował ją w rękę.

Za chwilę z podwórza doleciał wrzask bitego Sylwka i rżący śmiech zadowolonego z siebie Wolffa, który nie szczędził ni sił, ni ręki. Sylwka treuhander posadził z powrotem w piwnicy. Chlipiąca Miazgowa mówiła, wracając do czworaka:

– Co ja się nie nagadałam, co ja się nie nabiłam! I Izydor tłukł, póki żył. A teraz go obcy ludzie tłuką...

– Idź do trojhandera, żeby mu ten Pustków darował. Uproś albo Maryśka niech uprosi...

– Matko Boska! Pustków!

– A co myślisz? Zarzykoł się...

Przed czworakiem stała Komarnicka, z którą matka Otylki i Otylka znały się jeszcze sprzed wojny. Matka Otylki, kiedy Komarnicka z córką poszły na łatwy chleb, to i owo zawsze powiedziała na temat schodzenia się Otylki z nimi i rzadko się widywały, najczęściej podczas odpustu. Matka Otylki przeszła też, jakby Komarnickiej nie widziała, ale Otylka, widząc, że kobieta na nią kiwa i wzrokiem daje znak, zatrzymała się.

– Co się stało? – spytała, bo tylko takie pytanie przyszło jej na myśl.

– Chodź, to ci powiem – Komarnicka skierowała się na błotnistą ścieżkę do bramy.

Otylka niechętnie poszła za nią, zmrok już zapadał; samoloty cały dzień dzisiaj ciągały za sobą duże, pękate szybowce, które lądowały na lotnisku, wlokąc za ogonem spadochrony, a teraz już szybowców widać nie było, tylko czerwone i niebieskie światła na skrzydłach i ogonach samolotów. Zapatrzyła się Komarnicka w niebo.

– Ale mam kłopot – powiedziała cicho. W jej głosie była niepewność i waha-

nie. – Nie mam z tym do kogo pójść. Może ty pomożesz. Szkoda dziewczki... – kołowała tak, że Otylka nic nie mogła zrozumieć, ale też nie ułatwiała Komarnickiej, tylko rzuciła opryskliwie:

– Muszę zaraz do obory, bo Niemiec lata jak wściekły.

– Mam Żydówkę u siebie – zaszepiała kobieta. – Od Kilafuntów córka, bogate Żydy, Chajka...

– Po co mi to mówisz?

– Weź ją ukryj gdzie, bo ją Niemcy zatłuką.

– A co mnie to obchodzi?

– Bidne to... Jej ojciec nieraz poczekał z komornym, a czasem to i machnął ręką...

– Mnie też dziecko... – Otylka chciała powiedzieć: zabili, ale ugryzła się w język i dokończyła: – umarło... Rób co chcesz.

– Co mam zrobić? Na podwórzu folksdojczery, jeszcze się do mnie jakieś nie-szczęście przyczepi... Niemcy się trafiają, że przyjdą... Nie chcę! – zbuntowała się. – Dam znać na policję, że się przywlekła, i niech ją biorą. Wyprowadzą na piaski i zastrzelą – Komarnicka już więcej nic nie powiedziała, odwróciła się na pięcie i poszła do bramy.

– Czekaj... – usłyszała za sobą i zatrzymała się. – Chodź tu...

Komarnicka podeszła i gdyby nie ciemność, zobaczyłaby na twarzy kobiety walkę ze sobą i pasowanie. – Za parkiem w krzakach na górze jest stara kaplica, jeszcze ławki z niej po piwnicach leżą... – Matko Boska! Co ja robię! Jezu! – kołotało w Otylce i pchało się do gardła, ale mówiła dalej: – Diabeł tam nawet nie zagląda, bo to rozwalone i tarki rosną... Przyprowadź ją...

– Jeszcze dziś – Komarnicka odczuła ulgę, jak nieraz, gdy pijany klient, który godzinę dołał się z nią i ze swoją żądzą, obalił się w końcu na bok i usnął. O mało nie podskoczyła. – Koło kępy przejdziemy. Tam nikt nie chodzi.

– Ma co zawdziąć? Bo tam zimno będzie.

– Ledwie co ubrana, bo przecież ich świtkiem wygonili na Rynek.

– To umarznie. W nocy jeszcze przymrozki chwytają.

– Mom worki, to se naściele. Dam jej łąchów po Lilce, majtki ciepłe i stary cweter... A potem puść ją po żydowskich domach, to se naznosi różności. Będzie jej ciepło.

– Głupota się mnie trzyma... Do śmierci będę głupia – powiedziała Otylka i pomyślała, że całe jej życie takie głupie od czasu, kiedy Kunę przykryła kożuchem na swoim wozie. – Głupie, a przedtem to jakby go nie było – dodała sobie w myślach i odwróciła się do Komarnickiej:

– Będę przed północkiem czekała za parkiem, na narożu od kępy Pospieszcie się, bo całą noc tam nie przestoję.

Kuba Bure Woły zajmował górną pryczę przy ścianie baraku, co o tyle było dobre, że nie zawsze od razu dostawał się pod kij kapo czy sztubowego.

Kiedy trzeba było wychodzić, nauczony doświadczeniem rzucał się na dół, tak mierząc, żeby nie być spóźnionym i żeby nie być pierwszym, bo kapo Curzycki, były plutonowy z wojska, który dostał się do Pustkowa za nielegalny ubój, walił bez litości, a jeszcze gorszy był sztubowy Malak, który będąc niskiego wzrostu, chudy, o zapadniętej klatce piersiowej gruzlika, nie znosił wysokich chłopów z szerokimi plecami i potrafił takiego, kiedy się uwziął, do półśmierci doprowadzić. A co z takiego w obozie? Na trzeci lub najdalej czwarty dzień post go strzelał przy pracy.

– Musiał mu, sukinsynowi, jakiś fest chłop babę rznąć – szeptał mały Czarnota, kiedy Malak tłukł kijem świeżo dostawionego do obozu tragarza ze stacji w Tarnowie, Skoropackiego, któremu przy tym codziennym biciu jeszcze wylewał na ziemię obiad. Tragarz przeżył, pomimo tego, że mu od uderzeń kija ciało gniło i za tydzień wyglądał jak szkielet.

Kuba od pierwszego dnia zginał plecy, przybierał pokorny i przymilny wyraz twarzy, śmiał się nie za bardzo głośno, ale jak należy demonstrował uznanie, kiedy Malak powiedział jakiś dowcip, czołgał się prawie przed sztubowym i chociaż za sam wygląd mógł się Malakowi narazić, jakoś z początku nie podpadł, a po miesiącu, udręczony pracą i głodem, mało co inaczej wyglądał od innych, chociaż już z przyzwyczajenia doprawiał sobie wygląd małego i żałosnego.

Podczas pracy, która polegała na noszeniu na barkach i plecach na przestrzeni dwóch kilometrów, od stacji kolejowej do suszarni obozowej, mokrych desek, przy czym kapo pilnował czasu przejścia i nie popuścił, dopóki od godziny piątej rano do obiadu, czyli do pierwszej po południu, nie zrobiono dwóch kursów, a od godziny drugiej po południu do wieczora znowu dwóch kursów. W ten sposób każdy tragarz miał w nogach codziennie, oprócz niedziel, około dwudziestu kilometrów, z tego połowę z trzydziestokilogramowym ciężarem. Wracających „pusto” do stacji zmuszano jeszcze do biegu, żeby zdążyć na czas.

Marzeniem każdego było dostać się do obróbki wychodzących z suszarni desek. Ale tam musiało się umieć przy drzewie robić, bo braki traktowano jako sabotaż i do nieudacznika po prostu strzelano.

Z desek już suchych robiono łódki transportowe długości dwóch metrów, płytkie, za pomocą których na bezdrożach Rosji, śniegach i mokradłach, ściągano na tyły nie nadające się już do boju mięso armatnie. Łódki te malowano dobrą olejną farbą na białą, co świadczyło o tym, że używano je głównie w okresie zimowym. Budowano je „na zakładkę”, wyginając i klejąc mocnym klejem grube deski i wzmacniając konstrukcje śrubami. Co pewien czas transport tych ciężkich łódek ładowano na barki komanda i załadowywano na stacji do stojących na bocznicach wagonów. W takie dni dochodził jeszcze dodatkowy wysiłek niesienia ciężaru w drugą stronę. Stan komand tragarzy wykruszał się w straszliwym tempie, ale uzupełniano go natychmiast Polakami i Żydami, bo już ruszyła akcja Reinhardt w innych miastach i gromady obdartych, wygłodzonych Żydów nadchodziły ze Szczucina, Dąbrowki, Zabnic i innych okolicznych miast, piechotą i transportami kolejowymi.

A obóz chłonał je, porządkował, dyscyplinował i wypływał w postaci użytecznego popiołu na ugory. Co nie pochłonęło krematorium, to grzebano lub palono na stosach, nie żałując okolicznego lasu i nafty.

Dzisiaj kapo Curzycki, zaskoczony nowym rozkazem przerywającym dotychczasowe noszenie desek do suszarni i łódek do stacji i zabierającym jego i jego komando do zupełnie innej pracy, rzucił się jak wściekły, tłukł kijem, ustawiając szeregi, podbijał oczy i rozkwaszał nosy.

Ustawił w końcu kompanie i przeliczył, a potem w towarzystwie dwóch strażników obozowych, Polaka Potocznego z okolic Brzozowa i Ukraińca Dnipra od Leska, skierował się do bramy obozowej, tej od lasów. Obaj strażnicy nieśli karabiny w pozycji na gotuj broń z nabojem w lufie – Żeby wam się nie chciało figlować – mówił Potoczny. To było jeszcze byle co, ale przy bramie dołączył do nich młody szarfirer SS z pistoletem w kaburze na brzuchu. Mającym pobrane na bramie piły kazano ścinać wyznaczone przez esesmana drzewa. Kapo nie żałował kija i praca potoczyła się szybko. Na taczkach obok szarfirera leżały dwie siekiery; kapo wyznaczył Kubę i młodego chłopaka z Cmolasu do tych siekier. Obok stanął strażnik Dnipr z karabinem w opuszczonych rękach z palcem na cynglu. Kuba i ten z Cmolasu szybko ogołacali ścięte drzewa z gałęzi. Dzielono je na czterometrowe drągi. Po dwa takie drągi zakładano na ramiona dwóch ludzi i biegiem ruszano w stronę piaszczystego wzgórza otoczonego łąkami, znajdującego się już poza obozem. Belki składano na ziemi i wyznaczeni ludzie łopatami kopali w piaszczystej ziemi doły półtorametrowej głębokości. Komu ściany się obwalały, dostawał trzy kije od kapo. Do dołów wsadzano te belki i ubijano dobrze ziemię dookoła.

Praca była tak pilna, że ludziom nie dano nawet obiadu. – Zjecie wieczorem – powiedział kapo, a esesman tylko powtarzał: – Schnell! Schnell!

Od obozu nadjechał traktor Lanz-Buldog z przyczepą; przyczepa cała wypełniona była kłębami szarego kolczastego drutu. Oprócz drutu leżała na przyczepie skrzynia z gwoździami. Poganiani wrzaskami ludzie znosili ten drut z przyczepy, zakładali przez otwór w kłębie kije i biegiem rozwijali drut pomiędzy wykopanymi słupami. Po południu dwóch starszych więźniów zasłabło i wywróciło się podczas tej roboty. Curzycki razami kija podnosił ich i jeden wstał i poszedł chwiejnie do nieuzbrojonego jeszcze drutem pała, chwycił się go i stał. Drugi, pomimo usiłowań Curzyckiego i swoich, ciągle upadał głową w piach. Zdenerwowany esesman odpiął wieko kabury, Curzycki spieniony wrzeszczał: – Wstawaj, bo po tobie! – ale tamten podciągnął tylko nogi, a na rękach nie dał rady tułowia dźwignąć. Strzał, esesman chował lugera – Schnell! Schnell! – Dwóch ludzi wrzuciło trupa na przyczepę, która przywiozła zwoje drutów.

Wieczorem dostali zupę z wody, posiekanych buraków pastewnych i brukwi, i po kawałku chleba gliniastego, jakby ukopano go w cegielnianych dołkach, a nie wypieczono w piekarni.

Ten starszy chłop, który cudem uniknął losu swojego kolegi i do końca dnia, jak stanął przy tym słupie, tak dostał od Curzyckiego młotek i przybijał nim drut do zakopanych w ziemię pali, nachleptawszy się zupy, podszedł do Kuby. Chciał, żeby mu Kuba dał papierosa za pół kromki.

– Zupełnieś, stary, zgłupiał – powiedział mu Kosmyk. – Mało cię nie zwieźli na relwadze, siły ci trzeba, a ty chleb chcesz mieniać na cygary.

– Zapaliłoby się – marzył chłop. Wargi mu wisały i na nogach jeszcze słabo chodził.

– Pocałuj ty mnie w dupę...

– Pancerz, Kosmyk, Nietupała i Malec, będziecie robić od rana bramę – powiedział Curzycki i od razu się zezłościł. – Kończyć to żarcie! Co myślicie, żeście są w „reustaracji”? A jutro przy tej bramie to se wybijcie z głowy głupoty jakieś. Potoczny za wami będzie chodził, a sam widziałem, on na sto metrów flaszkę tłucze półlitrową.

Kubę obudził dziwny odgłos. Bure Woły poruszył obolałym ciałem, w którym wystające gnaty za nic nie chciały dopasować się do nierównych desek pryczy, i na-stawił uszu. Poprzedniego dnia komando noszące deski dostało solidnie w skórę, bo przez dwa dni pracy przy ogrodzeniu nowego obozu nabierało się zaległości w suszarni i stolarni. Tam już było desek tyle co na styk, a sterty gotowych łódek zalegały aż do placu apelowego. Tyle mieli wytchnienia we czterech, co przy robocie bramy, ale to trwało tylko do południa. Po obiedzie, czyli wychlipaniu zupy

i zjedzeniu chleba, włączono ich z powrotem do komanda i z łódkami na grzbiecie pognano na stację. Tu kapo osobiście pakował każdemu dodatkową deskę na barki i wśród wrzasków strażników, walenia po nogach i tyłkach kijami, lecieli jak opętani te dwa kilometry do suszarni. Ledwo zwalili deski przed suszarnią, już znowu brali łódki. Po tym kursie część desek dojechała na rolwadze razem z trzema trupami tragarzy, którzy ich nie dali rady donieść.

Bure Woły przewrócił się ostrożnie na bok i znowu nastawił uszu. Obok chrapań, jęków i westchnień umęczonych ludzi, ułowił odgłos spoza baraku. Było to szuranie wielu stóp, setki, a może tysiące ludzi szło szeroką ulicą obozową pomiędzy barakami. – Za chwilę świt – pomyślał Kuba i zdrewniało go, aż mu zęby zaszczękały, bo opodał buchnął strzał. – Kogoś z tych, co idą, dostrzelili – znowu pomyślał Kuba. – Może Żydów przywieźli. Może zrobią nowe komando i nam trochę ulżą...

Kosmyk, który spał poniżej, poruszył się. Kuba wystawił głowę poza prycę i spojrzał na niego. Głęboko zapadnięte w oczodoły gałki oczne Kosmyka, ledwo widoczne w szarym świetle żarówki wiszącej nad sztubą, błysnęły. – Od północy tak idą – szepnął. – To do tego obozu, cośmy go budowali.

Daleki, przytłumiony odgłos gongu obwieszczający koniec nocy i pobudkę i zaraz wrzask kapo i sztubowego.

– Pobudka – wrzeszczał Curzycki.

– Wstawać, gnoje! – wtórował mu Malak.

Zrywali się, złapani na ziewnięciu dostawał kijem. Biegli do drzwi, stukając drewniakami. Na zewnątrz baraku mżył poranny ni to deszcz, ni to opadająca mgła. Wzdłuż połowy drogi stał rzadki szpaler esesmanów i strażników, a nawet funkcyjnych, różnych pisarzy, fryzjerów, łazienbnych. Za szpalerem przesuwiał się szary tłum odziany w szynele, bluzy bez pasów, cywilne nieprawdopodobne łachy, koszule tylko i narzucone kobiece chusty, kawały płacht namiotowych z otworami na głowę i ręce... Szurały ciężkie, namoknięte drewniaki i słomiane postole.

– Ruscy – szepnął Kosmyk przyspieszając kroku. – Ale ich jest! Nabrali jak bydła!

– Może ich dadzą do desek, a nasze komando do lżejszej roboty.

– Będziesz miał lżejszą robotę, aż się uśmiejesz – skrzywił zarośniętą głowę Kosmyk. Chudy był, niepozorny, ale najgorsze trudy znosił bez specjalnych oznak zmęczenia. Przemykał między ludźmi nie dotykając ich, zawsze znalazł coś do jedzenia, przy czym w dziwny sposób nie zaznawał kija kapo i innych funkcyjnych.

Ruscy przeszli, zajęli wzgórze i niżej położony teren za ogrodzeniem. Bramę zamknięto i zadrutowano w dwóch miejscach. Wokół stanęły posterunki.

Z rana sztubowy przyleciał z krzykiem, że trzeba wyznaczyć z komanda stolarzy kilku ludzi, żeby szli robić wieżyczki strażnicze z daszkami dla straży. Co sto metrów mają być, wokół całego obozu.

Kapo zaraz wyznaczył ludzi, którzy robili bramę, i dodał im do pomocy jeszcze czternastu więźniów do wycinki drzew i kopania dołów. Wyruszyli zaraz po porannym apelu z dwoma naraz strażnikami – Potocznym i Dniprem. Reszta z łódkami na barkach i plecach potruczała do stacji.

Od czasu wrzucenia granatu do chronionego posterunku wartowniczego i zabicia dwóch wartowników z ochrony poligonu, nastały ciężkie czasy dla Kuny i ludzi mieszkających w rozrzuconych przysiółkach w pobliżu lasów.

Skolasko nie wyszukiwał już krewnych i rodzin ani ludzi o nazwisku Kuna, po prostu on i Riegel postarali się o to, aby w promieniu pięciu kilometrów od granicy poligonów wysiedlono wszystkie wsie, przysiółki i samotne chałupy. Domy i zabudowania gospodarskie rozebrali koloniści z Josephstadtu i Kurzyny, ludzie rozpiechali się po krewnych, znajomych, a część powędrowała do Miasta i zajęła puste domy po wyniszczonych Żydach. Tu wegetowali na granicy nędzy, pracując dorywczo i będąc rezerwuarem siły roboczej podczas każdej wywózki do Niemiec, a ich dzieci szybko przyjęły po miastowych nazywanie heciokami mieszkańców okolicznych wsi.

Trzykilometrowy pas wokół poligonów stanowił strefę ścisłej kontroli, którą później nawet zaminowano, a na razie przemierzana była przez uzbrojone w broń maszynową i granaty patrole, strzelające bez ostrzeżenia do każdego, kto się tam znalazł. Za tą strefą dopiero był dotychczasowy pas posterunków.

Kuna, naciśnięty kilkakrotnie w tej strefie i zmuszony do ucieczki, a nawet odstrzeliwania się, miał kontakt tylko z doktorem Cudzowolskim, i to bardzo rzadko, a gdy dzień stawał się dłuższy, z konieczności porzucił rodzinne okolice i przeniósł się do lasów panów weryńskich poza poligonem. Sypiał albo w lesie w wygrzebanej i ogaconej sosnowymi drągami, przykrytej dachem ziemiance, albo w większą pluchę i dojmujące mrozy u pasiecznika Smoły w Łaziskach.

Tam też doszło do ważącego na dalszym życiu Władka Kuny i jego losie wydarzenia, które zdeterminowało i związało z nim kilku ludzi. Niektórych do śmierci, niektórych tylko na część życia.

Obsiadła, kryta starym gontem robionym od siekiery chałupa pasiecznika stała na skraju rozległej polany wśród sosnowego boru ciągnącego się aż po Kamionkę i dalej, po Sądziszów i Orlik. Prawie sto uli przynosiło w dobrym roku niezły dochód i władający tym obszarem lasów leśniczy Koszczyn zostawiał Smole wolną rękę na jego gospodarstwie.

Koszczyn był Niemcem, który w te lasy przyszedł jeszcze w latach trzydziestych zaraz po ukończeniu studiów w Poznaniu, a pochodził z kolonistów bawarskich i hitlerowskie idee obchodziły go tyle, że po zatwierdzeniu go przez kreischauptmannna otrzymał nowy mundur z nowymi oznakami.



Jego stosunek do herrenvolku określał fakt, że właśnie w czasie okupacji w roku czterdziestym ożenił się z Polką wysiedloną na jego teren gdzieś z Tarnogrodu. – Raz spojrział i zakochał się – mówiły kobiety i mrugały. W sumie Koszczyń uznawany był przez znających go Polaków za porządnego Niemca, na wiele rzeczy mogącego przemykać oczy.

Benedykt Smoła, pasiecznik, był nieżonatym, samotnym milczkiem, który pewnej chłodnej styczniowej nocy wpuszczał bez słowa Kunę do chałupy, postawił przed nim gorące kozie mleko, miód i kozie ser, a w czarny, olbrzymi bochen chleba wbił nóż z łatwością znamionującą poczucie swojej wartości i siłę. Smoła parę razy w życiu wzywany był do sądu na świadka i nigdy sędziego nie żądał od niego przysięgi. W owych czasach zakładało się, że człowiek obcujący z pszczołami na co dzień nie może kłamać.

Smoła przerwał milczenie dopiero po kilku tygodniach, kiedy Kuna zaszedł do niego w chlapającą deszczem noc. Władek okryty był wtedy celtowym podgumowanym płaszczem z kapturem, zdjętym z zabitego wartownika jeszcze na początku swojej wędrówki, i stary pasiecznik, rzuciwszy okiem na ten ubiór, po chwili powiedział, pokazując zaszytą na piersi Kuny dziurę:

– Ty nie tylko do jeleni strzelasz...

– Jak się da... – mruknął Kuna.

– No, uważaj, bo obóz blisko... Ludzie tam giną za byle co. A jak roboty nie ma, to żeby się nie zasiedzieli, kopią doły i zawalają, i znowu kopią.

– Trza mnie najpierw złapać...

– No, uważaj...

Kuna nic nie powiedział; suszył onuce na piecu, a stary rzekł:

– Ruskich tera tam przywieźli, jedni mówią, że pięć tysięcy, drudzy, że dieście. Ogrodzili i jeść im nie dają. Trawę spod siebie wyjedli, z głodu tak krzyczą, że ludzie we wsi spać nie mogą. Kul żałują, tylko patrzą, jak zdychają. Nawet im ziemianek nie pokopali. Trup na trupie leży. – Smoła, chociaż dużo w życiu widział i światową w okopach przeszedł, był widać wstrząśnięty tym, co mu opowiadano.

– Na nic mi o tym wiedzieć – mówił Kuna, patrząc w ogień. – Za małym na taką siłę. – I pomyślał nagle, że przecież Wójcicka, klucznica, tam siedzi, jeżeli jeszcze żyje, i ten chłopak z młyna, jakże mu tam było... tyle czasu upłynęło, a przecież w jego życiu terazniejszym to czas cwałem ruszył i zaciera to, co przeżył nawet przed rokiem. Aż przymknął Kuna oczy na wspomnienie Wójcickiej i Agnieszki, i pana Hincza..., i widzi dziedzica obejmowanego przez Agnieszkę, która klęczy przy nim... Zaciął Władek zęby, bo go w nocy to budzi i nie może sobie darować, że strzelał najpierw do granatowego, i tkwi mu w głowie jakby fotografia tego Niemca w czarnym mundurze podrzucającego karabin do oka na

sekundę przed tym, kiedy kula manlichera przebiła mu czaszkę... – Żebym wtedy zostawił tego granatowego, żebym... – zgryzota ogarnia Kunę, bo mógł przecież panu Hinczowi życie uratować...

Smoła nie przerywa już milczenia; patrzy stary na pasowanie się Kuny ze sobą, Władka twarz ścina chłód ponad zwykłą miarę.

– Coś sobie przypomniałeś – mówi w końcu, patrząc spod postrzępionych, przetykanych siwizną brwi, bo wie to tak, jak Kuna wie, kiedy idzie przez las ciemną nocą i skręca nieomylnie, obchodząc drzewo stojące mu na drodze, a nie waląc o niego łbem.

Kuna unosi głowę, patrzy chwilę w rozumiejące oczy pasiecznika, opuszcza ją bez słowa.

Coraz głębiej zapuszczało się w las komando budujące wieżyczki strażnicze wokół obozu nieszczęsnych Ruskich i coraz słabiej było słyszeć krzyczących w bólach głodowych. I dlatego, że posłabli, i dlatego, że oddalenie i ściana lasu tłumiły z głębi trzewi płynący jęk. Czasami tylko strzał z esesmańskiego pistoletu lub karabinu odbijał się po lesie i powtarzały go drzewa, odbijając jak piłkę, dalej i dalej, do zamilknięcia.

Wiadomo było w komandzie, że stało się coś, co nawróciło człowieka do epoki sprzed tysięcy lat, kiedy był takim samym drapieżnikiem, jak otaczające go stada wilków, i stanowił takie samo pożywienie dla pobratymców, jak dzik czy sarna.

Ludożerstwo karane było przez Niemców śmiercią i dlatego okaleczone przez współwięźniów zwłoki widoczne były najczęściej po nocy, ale zdarzały się też w czasie dnia wypadki sięgania po wątrobę zmarłych. Wtedy sprawiedliwość wymierzał strażnik.

Komando Kuby Bure Woły nie było zwykłą grupą roboczą. Potoczny i Dnipr zadbali o to, żeby sobie ułatwić pracę i uniemożliwić więźniom ucieczkę. Oprócz tych, którzy budowali wieżyczki i musieli się wspinać, resztę więźniów pracujących w lesie zakuwano w ciężkie, zrobione prymitywnie w kuźni obozowej kajdany, które umieszczano na kostkach nóg i spinano łańcuchem umożliwiającym wy krok. Chodzić mogli, a o ucieczce ani pomyśleć.

Kosmyk jak zawsze jakimś sposobem wywinął się od tych kajdan; drapał się najszybciej na wyżkę wieżyczek, przybijał podłogę z okrągłaków gorliwie, zmienił nawet konstrukcję wieżyczki, zaopatrując ją w dwie drabiny zamiast jednej, za co szarführer poklepał go po plecach: – Gut! Gut! – Kuba też nie był zakuty, a Kosmyk, tłumacząc to przyspieszeniem roboty, od zakucia wyprosił też Panczerza i Malca, z którymi razem budowali bramę.

Brakło akurat okrągłaków, którymi wybijali podłogi wieżyczek, i Pancierz z Malcem pognali na skraj lasu, gdzie leżał ich cały stos. Strażnik Dnipr zdjął karabin

z ramienia i leniwie przewalając się z nogi na nogę, poszedł za nimi. Kosmyk skosem zbliżył się do Kuby.

– Mamy jeszcze dwie wieże i możemy się żegnać z życiem. Tego, na cośmy się napatrzili, to oni nam nie darują.

Kuba przeraził się nie na żarty.

– Za mniej oni zabijają – szeptał Kosmyk. – Postawią nas pod mur, albo wegnają nas tam i zdychaj człowieku.

Właśnie może pięć metrów od ogrodzenia pełzał jakiś Ruski; kościste piszczele wystawały mu z podartych na kolanach mundurowych spodni. Chodzić już dawno nie mógł. Otwierał usta i szeptał. Może prosił o jedzenie, a może tylko ludzi szukał, żeby popatrzeli na jego nieszczęście, ale z sąsiedniej wieży strażniczej tyrknął kaem, a oni szybko złapali za młotki i zaczęli walić w tę tylną drabinę, chociaż już dawno była przybita. Nie patrzyli na jeńca, który uderzył czołem w piach i tak został.

– Musimy uciekać – szepnął Kosmyk.

Dnpr prowadził już tamtych dwóch. Pancierz i Malec, stękali pod nawalonymi na nich okrągłakami ściągniętymi drutem. Na skraju lasu zaroiło się; komando, brzęcząc łańcuchami, wlokło ciężki materiał na ostanie dwie wieże.

– Nie ma co czekać – jak brzuchomówca mówił Kosmyk, nie otwierając ust.

– Nie dolecimy do lasu – odszepnął Kuba. – Z wieży nas ubiją.

– Z wieży patrz na Ruskich. Żeby tylko strażniki się zeszli. Ty wał jednego, ja drugiego.

– Słabym... – szeptał Kuba.

– To gnij tu, capie! Idziesz czy nie?! I tak nam śmierć! Chcesz za tymi drutami człeczynę jeść?!

– Nie... – Kuba uderzał młotkiem, tamci skuci zbliżali się z dużymi okrągłakami, dysząc i brzęcząc łańcuchami. – Mówimy Pancierzowi i Malcowi?

– Nie! Jak chcą, to niech lecą za nami.

Dnpr i Potoczny szli już na luzie, karabiny zawiesili na pasach. Dnpr cygara wyciągnął z kieszeni, zapalał...

Kosmyk spod oka spoglądał na wieżyczkę, z której przed chwilą strzelano. I z tej bliższej i z oddalonej wieży strażnicy patrzyli w ledwo ruszające się mrowie gmerających się w wiosennym słońcu i leżących zwiniętych w kłębek w kurczach głodowych.

– Teraz! – burknął Kosmyk, nie otwierając ust. – Złapał w zęby dwa długie gwoździe, jakby miał się brać do przybijania, młotek zasłonił bokiem. Kuba, trzęsący się, cofał się tyłem ku Potocznemu. Usłyszał uderzenie w furazerkę strażnika. Ciało osunęło się, ktoś krzyknął, zaskoczony; Potoczny odwracał się powoli, wypuszczając dym przez nozdrza, Kuba zrobił obrót i widząc tylko migające bosa pięty Kosmyka, machnął młotkiem, ile miał siły w ramieniu, na całą długość styliska. Trafił

w policzek i czuł, jak żelazo zagłębiło się w kość pod okiem. Potoczny zawył i osunął się na kolana, chwytając rękami za twarz. Kuba wyskoczył z drewniaków i popędził za Kosmykiem, który już był w połowie odległości od lasu. Skuci więźniowie zakrzyczeli jednym głosem, bo wiedzieli, co strażnicy robią z komandem, z którego nie doliczono się ludzi na wieczornym apelu i nie znaleziono ich wśród trupów.

Na wrzask Potocznego ten bliższy strażnik na wyżce krzyknął coś i uderzył żelazem w kawałek szyny. Kuba czuł muszkę kaemu na swoich plecach, stopy zapadały mu się w piasek, Kosmyk był już prawie przy lesie, pierwsza seria podniosła mu włosy na głowie, tak blisko przeleciały pociski z broni położonej na balustradzie wieżyczki. Czuł w sobie drugą serię i gwałtownie skręcił, a w tej chwili usłyszał huknięcie karabina przed sobą w grupie młodych, ledwo zieleniejących brzózek, i zaraz potem następny strzał, więc znowu rzucił się w bok i wpadł w gęsty już las, dziwiąc się, że ten Niemiec, który zaszedł go z przodu, nie trafił i nie goni. I zapadła teraz cisza, przerywana tylko głodnym wyciem Rusków, ale na chwilę, bo esesmani dopadli już grupy skutych więźniów i widząc leżącego bez życia Dnipra i wyjącego na klęczkach Potocznego, a na wieży przerzuconego przez poręcz esesmana, podrzucili lufy i wygarnęli do skutych więźniów. Nie było wśród nich Malca i Pancerza, którzy też zdążyli zrzucić drewniaki.

Kuna biegł lekkim truchtem, trzymając w prawej ręce karabin za łożę. Spodziewał się pogoni z psami i dlatego dwukrotnie wlaził do napotkanych rowów i brnął nimi kilkadziesiąt metrów zanim wyszedł na brzeg i znowu puścił się truchtem.

Gwar i przeraźliwy brzęk uderzanych żelazem szyn przycichł już dawno; Władek słyszał już tylko swój oddech i tupot kroków na leśnej, półzarośniętej krzakami ścieżce, bo Niemcy w promieniu dziesięciu kilometrów od obozu nie pozwalali zbierać grzybów i jagód.

Kuna nie zamierzał wracać do pasieki. Nad losem uciekających więźniów nie zastanawiał się; przede wszystkim chciał ratować siebie. Podszedł pod obóz z ciekawości, po tym jak Smoła mu opowiadał o losie jeńców i ich głodnym krzyku. W lesie napotkał skutych więźniów ścinających drzewa i ogoławających je z gałęzi. Za niosącymi materiały i wlokącymi się za nimi strażnikami podszedł na skraj lasu i przypatrywał się obozowi Rusków. Dalsze wypadki potoczyły się niezależnie od niego. Uderzenia, jakim Kosmyk obdzielił Dnipra, nawet nie zauważył; po prostu z grupy skutych więźniów składających belki nad wykopany dołem, wyprysnął bosy, chudy jak chart chłop i gnał w stronę lasu, a zawodzenie umierających Rusków nakryte zostało wyciem klęczącego i trzymającego się za twarz strażnika. I zaraz drugi jakiś kościsty łamaga lecący niezdarnie na bosaka po ugorze, a za nim jeszcze dwóch. I razem z wrzaskiem, jaki buchnął z gromady skutych, dźwięk szyny i seria bergmana z wyżki wieży stojącej na prawo. Kuna nie był pewien nawet, czy

to nie do niego, bo pociski zaszumiały w brzoźkach niebezpiecznie blisko. Odruchowo podrzucił karabin do ramienia. Słońce z boku, muszka w jasnej plamie twarzy pod ciemnym hełmem, oddech, pociśnięcie spustu, twarz pod hełmem zapada, bergman zwisa z ręki przewieszonego przez poręcz strzelca, spada do stóp wieżyczki; Władek odwraca się do drugiej dalekiej wieżyczki, gdzie esesman wciśnięty w kąt bliższy wydarzeniom, szuka celu; Kuna strzela w hełm – widzi iskrę odskakującego pocisku, ale to wystarczy. Strzelcem rzuca na podłogę wyżki, w las wpadają ci dwaj bosonodzy, którzy wylecieli ostatni z gromady skutych więźniów. Kuna biegnie. Przed nim mignął jeden z tych uciekających, znikł, a za nim najpierw wrzask charkotliwy zmieszanych głosów, a potem rwana kanonada długich serii broni maszynowej.

Kulbaka w ciemnej marynarce na flanelowej koszuli, w rajtkach i oficerkach, stał na rogu rynku naprzeciw sklepu Słonińczyka i rozmawiał z wysokim młodym chłopakiem z czarną grzywką równo przyciętych włosów spadających na czoło. Rozmowa była niby beztraska, ale Kulbaka co chwila rzucał spojrzenia na drzwi posterunku policji miejskiej, oddalone o pół setki metrów od stojących na rogu. Za tymi drzwiami siedział starszy Gustny, na którym wykonanie przez Rysia wyroku na jego młodszym bracie nie zrobiło żadnego wrażenia. Stary polikier tak jak przedtem łąził po nocy po mieście, wszędzie go było pełno; jemu zawdzięczać należy wymordowanie rodziny kupca Waliszewskiego, który ukrywał trzy młode Żydówki. Riegel na miejscu zastrzelił Żydówki i dziecko, chłopca siedmioletniego, a Waliszewskich dopiero po przesłuchaniu w obozie na terenie Göringwerke.

Wprawdzie Gustnego można było zastrzelić podczas jego nocnych wędrówek, chociażby pod domem Kronenbergera, gdzie często wystawał, pilnie tropiąc starego szewca, ledwo już żyjącego, ale „Delikatny” twardo stał na stanowisku, że musi się to odbyć w biały dzień i musi to być lekcją wychowania obywatelskiego, z przypięciem do ubrania kartki wyroku i wszelkimi szykanami.

Gustnego miał na początku strzelać „Kazio” albo „Silny”, ale Kulbaka chciał wprowadzić do akcji swoich ludzi, ludowców z organizacji „Maciejowie”, która niedawno weszła w skład Armii Krajowej. Stało na tym, że strzelać będzie chłopak z oddalonej o piętnaście kilometrów wsi Kamienica, kapral wojskowy, który w październiku trzydziestego dziewiątego roku uciekł z niewoli sowieckiej i ukrywał się w rodzinnym domu.

Kapral Emil Frons nosił pseudo Miłek, a jego rodzina, dziesiąta woda po kisielu, pochodziła z kolonistów, o czym chociażby świadczyło nazwisko.

Miłek przyjechał rowerem, rower postawił u Muranki. Murankowa schowała pojazd w drewutni, a stamtąd zabrał „Miłka” Kulbaka, żeby mu pokazać Gustnego. Kulbaka miał w razie czego osłaniać „Miłka” i na miejsce wykonania wyroku miał podejść kępą nadrzeczną, tak aby z waju obserwować przebieg wypadków i w razie

czego w trudnej chwili wspomóc wykonującego wyrok.

Rozmawiali o byle czym; ludzie krążyli po rynku i przechodzili obok nich. „Miłek” macał w tylnej kieszeni spodni napisany na maszynie papier i czuł ciężar visa w bocznej kieszeni na piersi i jakko niemieckiego granatu zaczepnego w bocznej kieszeni marynarki. Był spokojny. Cała sprawa wydawała mu się prosta. Ot, pójdzie za policjantem, na granicy miasta zatrzyma go, powie sakramentalne: „W imieniu Polski Podziemnej...” i strzeli ze dwa razy. Potem przypnie kartkę z wyrokiem. Gdyby ktoś go naciskał, to w odwodzie jest niedaleko Kulbaka. Obaj wrócą kępą do mostu, a stamtąd do Nowego. Żona Nowego wyda mu rower, „Miłek” wróci do domu i po sprawie. Kulbaka też nie miał wątpliwości.

Rys wprawdzie proponował inne rozwiązanie. Włóczy się Gustny po mieście? Włóczy! Podejdę do niego, strzelę mu w łeb i przypnę wyrok. Będzie po wszystkim.

„Delikatny” miał uprzedzenie do Rysia od czasu wykonanego ad hoc wyroku na młodszym Gustnym. Jako zawodowy oficer lubił ściśle wykonywanie precyzyjnie zaplanowanych rozkazów i na Rysiu w tej mierze nie mógł polegać.

– Ale w ten sposób, jak ty chcesz – mówił do „Delikatnego” Muranko – jednak wystawiamy naszego człowieka na niebezpieczeństwo.

– Od tego jesteśmy, żeby się na niebezpieczeństwo wystawiać – sucho rzekł „Delikatny”.

– Ale...

– Tu nie ma żadnego ale! Jest rozkaz do wykonania.

Muranko, awansowany przez Londyn na stanowisko podporucznika czasu wojny, zaczął rozumieć co to rozkaz. Przed „Wigrą”, inspektorem, nawet trząsał obcasami.

I stał sobie teraz „Miłek”, żeby zaspokoić ambicje Kulbaki co do przydatności w walce zbrojnej jego chłopców i poczucie porządku, ścisłego planowania i wychowania obywatelskiego modo „Delikatny”.

Stał, chociaż z terenem miasta był obeznany bardzo pobieżnie, i raz macał wyrok w tylnej kieszeni spodni, a raz poruszał barkiem, żeby poczuć ciężar visa za pazuchą.

Trzasnęły drzwi, Gustny wyszedł z posterunku i niosąc brązową teczkę, z którą się nie rozstawał, poszedł szybkim krokiem, bo w żołądku czuł czczość, a nic tak nie smakuje, jak obiad po dobrze spełnionym obowiązku. Gustny był zadowolony. W domu w Kormanowicach czeka żona z obiadem, Niemcy znowu ostro atakują Sowieców, a w Afryce pchają się i dają w dupę Anglikom, Żydów... no, powiedzmy, wysiedlili, coś tam kapnęło z żydowskiego dobra. Jest nawet nadzieja, że te dwa morgi ziemi żydowskiej w Kormanowicach przypadną Gustnym, słońce grzeje ładnie, za sobą ma Gustny potęgę, która trzęsie światem, a pod parasolem Skołaski i Riegla nie boi się nikogo.

Brat zginał wprawdzie, niby wyrok... ale przecież już wymiotło tych wszystkich

Kronenbergerów, tę całą inteligencką hołotę z gimnazjum; słyhać wprawdzie o rabunkach za Rzeką, gdzieś koło Mokrego Gruntu włóczy się tam jakaś banda, ale to nie polityczni, został tylko ten Kuna w lasach... Nawet Riegla postrzelili... Tak! – przypomniał sobie Gustny, przecież ktoś mu mówił, że u Stajeńskich, tam teraz treuhander, jakaś baba z tym Kuną psy pasają... Dziecko tam było... Właśnie! Trzeba to rozeznąć i z gotowym raportem iść do Skolaski..., a może do Riegla? Tamten ma wyższą szarżę, ale Riegel, mówią, daleko zajdzie...

Tak dumając i debatując z sobą szedł Gustny szybkim krokiem, a „Miłek” za nim, najpierw w odległości pięćdziesięciu metrów, a w miarę zbliżania się do cegielni starał się skracać odległość. Równoległe do niego ścieżką przy kępie pospieszał Kulbaka, aż w końcu skrzył z waju i przytulił się u jego podnóża. Widział stąd granatowy mundur Gustnego i doganiającego policjanta „Miłka”.

Ten był spokojny jak przed zabawą albo jakim weselem, kiedy nie raz, nie dwa wiedział, że po wyjściu będzie musiał stawiać czoła jednemu czy dwóm kawalerom, którym w czasie tańców się naraził. Wydłużył krok i szybko zbliżał się do policjanta, a ten, słysząc za sobą stapanie, wykręcił głowę i jego twarz z ostrym orlim nosem wydała się nagle „Miłkowi” strasznie podobna do łba jastrzębia, którego z początkiem wiosny przy padle kury złapał na grubo plectioną włosianą pętlę. Ptak też tak kręcił głową, jakby ją miał na obrotowej śrubie, i zanim zdechł trzeba mu było z trzydzieści razy obracać łbem dookoła sprzęzistej szyi.

Byli już za miastem. Idący za nim samotny mężczyzna wydał się nagle Gustnemu podejrzany. Przyspieszył kroku, bo wiedział to, czego nie wiedział „Miłek”, a czego nie wzięli pod uwagę Kulbaka ze swoimi ambicjami i „Delikatny” ze swoimi precyzyjnymi planami. W odległości dwustu metrów od miejsca, w którym się znajdował Miłek, w starej, nieczynnej kaflarni były koszary Baudienstu i Niemiec inspektor, i drugi vorwerker, obaj w żółtych mundurach z opaskami z hakenkrojcem. Mieli broń i terkocący motorower. Ruszył Gustny ostro biegiem, bo chociaż „Miłek” po drzewach patrzył, a nie na niego, to instynkt ostrzegł starego polikiera przed niebezpieczeństwem. I „Miłek” nie miał już innego wyjścia, tylko biec za dyszącym i podrzucającym sztywnym zadem konfidentem. Po kilkunastu susach dognał go, wyszarpnął z kieszeni visa i zaświecił w oczy skazanemu.

– W imieniu Polski Podziemnej – recytował to, co Kulbaka przekazał w rozkazie od „Delikatnego”.

Ale Gustny nie czekał na całość sentencji. Rycząc jak buhaj rzucił się na „Miłka” i ogarnął mu ręce ramionami. Tu jednak trafił na silniejszego. Chłopak rozerwał pierścień jego rąk, odepchnął starego policjanta, a ten widząc, że nie podoła, ciągle wrzeszcząc, leciał środkiem ulicy. „Miłek” biegł za nim, ale już nie recytował, tylko strzelał w szerokie plecy Gustnego.

Po czwartym strzale policjant przejechał brzuchem po kamienistej drodze i za-

stygł.

Na odgłos strzałów z bramy Baudienstu wybiegł stojący na warcie junak ze służbową pałką w ręce i podniósł wrzask. Na jego alarm z bramy wysypało się kilkunastu młodych durniów, którzy biegiem ruszyli w kierunku „Miłka” przypinającego do pleców policjanta kartkę z wyrokiem. Trzymając jeszcze pistolet w ręce „Miłek” ruszył teraz w kierunku kępy, gdzie miał go wspomagać Kulbaka, ale ten, zobaczywszy łańcuch umundurowanych gówniarzy, zbiegł z wału i pędem wpadł w krzaki.

„Miłek” zawahał się. Do wyboru miał: zastrzelić któregoś z młodych gorliwych kretynów, albo biec nie do kępy, a w drugą stronę. Odbił od łańcucha szczyłów i schowawszy pistolet przeskoczył płot i wpadł do ogrodu Sasowej, wdowy po stolarzu. Traf chciał, że z drzwi wybiegła córka Sasowej i pomimo tego, że „Miłek” powiedział: – Jestem partyzantem, wykonałem wyrok na konfidentie – zaczęła wrzeszczeć tak, jakby co najmniej złapała intruza na jabłkach. Junacy zgromadzili się przy płocie, nadbiegł forajbarter Sieprawski, a za nim vorwerker w żółtym mundurze.

– Tam! Tam! – darła się Sasówna. – Tam uciek!

Na jej wrzask do „Miłka”, który już przeskoczył dwa płoty, podbiegł Pierzchała, gość, który do wszystkiego musiał się wtrącać. Chłop był mocny, złapali się z „Miłkiem” w pół i zaczęli tarzać po drodze. Obca twarz wywołuje od razu agresję i Pierzchała nie puszczał dotąd, aż dostał kolbą visa i zaniechał walki. Ale to wystarczyło, by w wylocie uliczki przy cegielni, na którą wyskoczył teraz „Miłek”, znowu ukazali się uprzykrzeni gówniarze, a z tyłu przezorny, ale nieustępliwy vorwerker.

To nieprawda, że całe polskie społeczeństwo walczyło z okupantem. Walczył tylko „Miłek”, a wszyscy, którzy biegli za nim, i junacy, i Sasówna, i Pierzchała, i vorwerker na motorku, wszyscy nagle byli przeciwko niemu. Był to dopiero początek bardziej spektakularnych działań państwa podziemnego i ludzie, zanim się nauczyli nie kłaść palca pomiędzy drzwi, czasami nie wiedząc, po czyjej są stronie, czynnie uczestniczyli w awanturach.

– Chłopcy! Jesteście przecież Polakami. Panie forarabajter! Niech pan ich zatrzyma! Ja zabiłem konfidenta! Mam broń i mógłbym wam zrobić krzywdę. Mam granat! – wołał „Miłek” do junaków, biegnąc w stronę lasu, który wydawał mu się zbawczym, ale który był miejskim laskiem, za którym było osiedle bloków.

Nie rzucił „Miłek” granatu, nie strzelił do żadnego z doganiających go w ponurym bezmyślnym milczeniu gówniarzy. A byłoby to wystarczyło. W końcu po przebiegnięciu lasku zgubił ich i już pewny zbawienia wpadł pomiędzy bloki, ale tam znalazł się nowy Judasz. – Tutaj! Tutaj! Herr Offizier! – wrzeszczał zegarmistrz Okinowski i za chwilę chwalił się: – To ja go pokazałem! Zabili?! Bandytów trzeba zabijać!

Nie zabili. Przyciśnięty w kręgu wrogów i obojętnych, ciekawie się przypatrują-

cych gapiów, „Milek” wyjął zawleczkę zapalnika granatu i przyłożył gładkie jajko do głowy.

Po czterdziestu latach w gronie malutkich ludzików, rządciele w mieście, były dyskusje, czy zasłużył na ulicę. Nie zasłużył. Samobójca umarł bez sakramentów, a nie było księdza Wolnego, który by mu udzielił absencji in articulo mortis.

Siedzieli znowu u Matrasa pod lasem i z braku innego zajęcia popijali samogon z cukrowych buraków, który od niedawna zaczęto nazywać bimbrem i nawet piosenka taka powstała: *My młodzi! My młodzi! Nam bimber nie zaszkodzi. Wy starzy! Wy starzy! Wam bimber nie do twarzy...* – gdy Bożena, która wyszła za swoją potrzebą do krzaków opodał domu, wleciała z podkasaną kiecką i wrzasnęła:

– Ktosi tu idzie!

Rzucili się do karabinów, tylko Osiniak, który nawet spał z ręką na broni, trzasnął bezpiecznikiem i podszedł do drzwi.

– Ty to jesteś ślepa Kunda! – sarknął. – Ktosi! Przecież to Stach!

Stach był przyrodnim bratem Matrasa i mieszkał w oddalonym o milę Sławęcynie. O pobycie Osiniaka z kompanią u brata wiedział i czasami na tym skorzystał. Brał rzeczy różne, które znosili, i na targu w Daromyślu albo w Szczucinie sprzedawał, patrząc tylko, żeby nie były znaczne i łatwe do rozpoznania przez właściciela. Przynosił za to pieniądze albo jedzenie; w chacie Matrasa przez to zawsze było co jeść i dzieci się zaokrągliły, a Zuzce nawet pryszczki poznikały i mniej teraz zezowała.

Stach wszedł, Pana Boga pochwalił i rzucił okiem na Osiniaka, który dalej cyngiel głąskał palcem. Pokręcił głową:

– Co to ja jakiś Niemiec jestem, że mnie karabinem witasz? Żebyś choć raz se siad jak człowiek i tą gwintówkę odstawił...

– Nie pierdul! – mruknął Osiniak. Ziewnął, popukał się po ustach. – Co tam nowego?

– W Mieście partyzant zabił jakiegosi Niemca czy nie Niemca, ale go gonili i dognali, i ubili. Kazek Surowiec był w Mieście, bo chodzi koło takiego żydowskiego domu dla córki... tej wydanej... wicie...

– No, wiemy, byliśmy przecież na weselu... – lżyk splunął. – Lepsza była wódka od tej, co tu mamy. Mówisz, ubili go?!

– Mówił Kazek, że go cisnęli na rynku przy tej drodze, co bez środek idzie i napisali, że kto go pozna, to dostanie dwa tysiące złotych.

– Brałbyś! – zaśmiał się Osiniak.

– A brałbym! To styry krowy. Ino mówił Surowiec, że łeb ma cały potrząskany, że nie wiada, gdzie nos, a gdzie ucho. A ludzie dookoła stoją i patrzą. Kwiatów naznosili i jedną taką, co przyniosła kwiaty, harestawali. Roboki się

w nim załęgły i chodzą po nim.

– Nikt by go nie poznał, żeby nawet łeb miał cały – rzekł Osiniak.

– Czego?

– Bo to Angliki zrzucają takich z samolotów.

– Ale...

– A co po nocy tak buczy?

– To niemieckie...

– To czego do nich Niemcy strzelają?!

Iżyk przerwał spór.

– Masz co? – patrzył na worek Stacha, który to worek za pomocą małych ziemniaków w dolnych rogach i zawiązanych nad nimi sznurków, przerobiony był na poręczny plecak.

– Mom słoninę i trochę mięsa. Łachy tera tanie, bo na jarmarku pełno żydowskiej przyodziewy – Stach rozwiązał sznury zamykające worek, wyciągnął słoninę okutaną w gazetę i szerniałe mięso w szmacie. Bożena wzięła to i oglądała krytycznie.

– Cuchnie, cholera, jak zdechlina! Szkoda, że robaków nie ma, jak ten trup w mieście.

– Wymocz w occie i zagotuj. Będzie, nie bój się. A parę ma, bo już ciepło...

– Uczył Morcin Morcina, a sam głupi jak świnia...

– Napij się, Stach – Iżyk nalał bimbru do garnuszka.

Na odgłos cieknącej wódki Matras wylał z izby, gdzie przysypiał po południu.

– O, jesteś! Napij się i ty – Iżyk odebrał pusty garnuszek od Stacha.

Ten podszedł do zabrudzonego jak święta ziemia stołu i wziął z blaszanego talerza kawałek gotowanej słoniny. Rozglądnął się za chlebem, ale nic takiego nie było w pobliżu. Powąchał ten kawałek, posolił i gryzł zdrowymi zębami. Patrzył na Osiniaka, myślał coś. Garnuszek obszedł już wszystkich, tylko Papiak otrząsnął się i nie pił.

– Mom coś do ciebie – bąknął Stach, patrząc na Osiniaka.

– To gadaj!

– Kiedy ty się strasznie rzucosz, jak ci się co powie.

– To mów mądrze...

– Jak bym nie mówił, to mądrze nie powiem, kiedy się twoja..., tego..., no..., zepsiała z tym policjantem, co w Mokrym..., no, coście mu śpiewali.

Błada i tak twarz Osiniaka stała się biała zupełnie. Wyszczrzył zęby i odetchnął.

– Napij się – Iżyk podawał mu garnuszek.

Osiniak kiwał tym garnuszkiem na boki, a potem odstawił go na stół. Odstawił jak ślepy, garnuszek stanął nierówno; Papiak szarpnął się, chciał złapać, struga bimbru pociekła ze stołu na klepisko.

– No, to czas na mnie – rzekł Stach, który poczuł się jakoś nieswojo.

– Siedź! – opanował się Osiniak. – Rozliczymy się.
– Czego nie... – Stach usiadł na ślubanku. – Wzionem od was przyodziewy... no, co tam było? Dwie bluzki na chłopca do rajtek, jedne rajtki, koszul franelowych pięć, dwa cwetry babskie, skórę na podeszwy i gumę na podeszwy po dwie pary...
– Salopę ciepłą – poddała mu Bożena.
– Kto ci to kupi, tera ciepło jest, leży w domu do zimy. I lepiej, bo boję się to wynieść, bo znaczne. Jeszcze kto pozna – mówił wykrętnie Stach.
– No, dawaj pieniądze – Iżyk bawił się otłuszczonym nożem.
– Ano są – Stach sięgnął do kieszeni, z obawą spoglądając to na Iżyka, to na Osiniaka, który patrzył w okno, słuchał kukania kukułki. Kukułka pokukała, pokukała i zaskrzeczała po swojemu. Za chwilę słysząc ją było w olszynie.
– Dobrze mieć pieniądze przy sobie, kiedy kukułka kuka – zaśmiał się Papiak. Klepnął Bożenę i oczami pokazał mięso.
– Dumota. To tylko za pierwszym razem z wiesny, jak się słyszy kukułkę. Teraz to już nieważne – wolno mamrotał Osiniak, patrząc w okno.

Ściągnął Papiak z nogi Bożeny przez sen okrycie i chłód ciągnący nad ranem od okna obudził ją. Szarzało. Złapała Bożena kożuch, którym byli okryci, i zaciągnęła na zmarzniętą nogę. Leżała chwilę, myśląc, że zaśnie, ale dołem brzucha przeć ją zaczęło po tej wczorajszej buraczance; broniła się Bożena chwilę, aż w końcu wstała, poszła się wysikać. Szła na palcach, żeby nie zbudzić którego z chrapiących chłopów, a szczególnie Osiniaka, bo w takich razach potrafił za nią wyjść, no i wtedy ani krzyczeć, bo Papiak zazdrosny, ani drapać, bo czas leci i Papiak se co może pomyśleć... Ani w jedną, ani w drugą, nieraz się Bożenie z tego wszystkiego płakać chciało. Porządniejszy z nich to jest Iżyk, nie szczypie, nie klepie czy też za spód łapie, chociaż chłopisko z niego, że daj Boże każdemu..., ale znowu... jakiś taki obmierzły przez to jest..., jak jaki ślimok..., uuch! Może to i prawda, że on do tych Żydów, co w dulczańskim lesie siedzą, chodzi i z jedną Żydówką żyje jak mąż z żoną... – Jak mu lepsza Żydówka, to niech tam lata – myślała Bożena. Pomyślała też, że nigdy by się z nim nie pocałowała i rzuciła okiem na posłanie Osiniaka, puste jej się zdało w tej szarości, przypatrzyła się dobrze..., no, puste! Wyszedł pewnie za swoją potrzebą, tak jak ona idzie, i będzie się jej znowu w olszynie czepiał..., zmartwiła się kobieta, iść, nie iść, pytała sama siebie, ale przy tym staniu to ją dołem pocisnęło. – Pójdę – zdecydowała – przecież nie musi się zaraz do mnie brać.

Wracala Bożena zdziwiona, nawet ją trochę ukłuł babski zawód. – Co mu się stało? – myślała i nawet postąpiła przez chwilę, gotowa wrócić do tej olszyny, gdyby Osiniak całkiem ją zmusił, bo Papiak dobrze spał, ale w końcu uznała, że stoi tu w koszuli świtkiem i nic nie wystoi, tylko gęsią skórę na nogach.

Weszła. Iżyk błysnął ku niej okiem ze swego kąta.

– Gdzie Osiniak?

– A co, to ja mam wiedzieć, gdzie Osiniak?!

– No, myślałem, że za tobą poszedł.

– A bo to on za mną chodzi? Za mną ma kto chodzić.

– Oj, nie pierdol, babo! – wnerwiło Iżyka.

– Nie ma go i tylo...

– Wróci. Do domu przecież nie poszedł. Może do jakiej dziewczki. Albo – zastanowił się Iżyk – Może on jednak do domu poszedł. Niepotrzebnie mu Stach to powiedział.

– To miastowa prostatutka. Cała okolica się śmiała, jak się z nią żenił.

– Tyś ino była porządna.

– A żebyś wiedział!

Rzuciła zadkiem Bożena, mokrą plamę na koszuli odstającej na tyłku pokazała Iżykowi, ten ręce pod głowę założył, patrzył w ciemny sufit i myślał.

Nie było Osiniaka cały dzień i całą noc. Wrócił rano oroszony cały, bruzdę miał na czole, mgłę w oczach. Karabin w kącie przy głowach postawił, zwałił się na postanie. Spał do południa. Obudził się, Bożena blaszany talerz z mięsem postawiła. Wymoczone, wytarte w occie, nawet pasowało. Posypywali solą, jedli, zagryzali chlebem. Dzieci Matrasa też się pożywiły, Matras przy ulach robił.

– Napijesz się? – spytała Bożena, bo jej się żal chłopca zrobiło. Nic nie wartuje ta jego baba.

– Potem – mruknął Osiniak. Ciamkał. Popatrzył po Iżyku. – Całkiem my się tu zasiedzieli. Dowiedziałem się o takim jednym wójcie z Rożnowa. Mieszka tylko z babą, cztery konie, cztery krowy, świń jak we dworze. Rowery nowe trzy, młocarnia i motor. Posterunek tam jest, ale policjanci bojący. Wystarczy jeden, żeby ich pilnował i będą na posterunku siedzieli. Tylko druty trza od telefonu zerwać ze słupa.

– To strasznie daleko – opierał się Iżyk. – Nie lepiej tego dentystę w Daromyślu obrobić?

– Na dentystę też przyjdzie kolej. Niech się dorabia.

– Daleko... – westchnął Papiak. – I góry. Nie tak, jak u nas, idziesz jak po stole. I na drodze nas będą czepiać. Nieprzeznacznie.

– Obmyśliłem... Nocą będziemy szli, a dzień w lesie przesiedzimy. Mamy czas, byle za Zakliczyn dojsć. A tam już las i las...

– A z powrotem to do Zakliczyna końmi. A jak by się dało, to nawet do Wojnicz... – ożywił się Iżyk.

Poszli na noc. Nie było ich dwa tygodnie. Ciepło już się na dobre zrobiło. Matras ziemniaki amerykańskie podgarniał z córką, kiedy znowu przyszedł Stach, jego przyrodni.

Siadł na miedzy, kozik wyciągnął i kawałek chleba. Krajał, żuł. Patrzył na Matrasową robotę.

– Poczekaj – powiedział Matras. – Zuzka mleka ci da. Tylko to uwrocie skończymy.

– Dostałeś ty się, że nie daj Boże! – Stach jakby nie słyszał o tym mleku.

– Czegom się dostał? – oparł się Matras na motyce, patrzył na brata.

– Jakem wtyndyk mu powiedział o ty jego babie, to un sfiksował. Przyszedł w nocy, wyciągnął ją na Breń i tam ją zostawił.

– Osiniak! – zatkało Matrasa. – Ubił ją?

– Żeby to ubił! Na paski ją pocion, flaki wypuścił. Do rana doszła. Ludzie płakali, jak ją znaleźli. Nie przeciwiaj mu się, bo to waryjot.

– A co mu się mam sprzeciwiać – mruknął Matras. Uderzył motyką, zrobił ładny kopczyk wokół już kwitnącego krzaka.

IV

Zebrali się dzisiaj w pokoju „Drwała” – Staszka Rybkowskiego, na parterze, zaraz po zapadnięciu zmroku. Podchodzili pojedynczo od kępy nadrzecznej, a kiedy już wszyscy znaleźli się na miejscu, Bronek zamknął drzwi na klucz i podparł je deską.

– Kto jest? – spytała Nowotańska.

– Tak jak zawsze, tylko jeden nowy. Nie znam go. A ty byś, mamó, dała sobie spokój z tymi papierosami. Jak Boga kocham, ja tego dłużej nie wytrzymam. Dzień rozpoczynasz papierosem i kończysz papierosem. W domu cuchnie...

– Od kiedy, smarku, pouczasz matkę?! – zirytowała się Nowotańska. – Jakbym nie paliła, tobym zwariowała. W domu tylko ziemniak i woda. Dobrze, że jeszcze kapusta kiszona jest. Za plecami radio, naprzeciw kamienica pełna Niemców, w willi Iwonickich podpułkownik teraz mieszka, wacha chodzi po ulicy.

– Całe szczęście, że tak jest. Numer na domu taki sam, uwagi na nas nie zwracają.

Ojciec siedział w przedpokoju przy małej lampce. Przed nim leżała oselka i wyostrzony jak brzytwa scyzoryk. Rozścielał na stole brązowy liść bkonu, z którego ostrzem scyzoryka wykrawał rusztowanie żyłek. Potem składał pracowicie pozbawiony niepalnych części liść w grube cygaro i krajał na cienkie pasemka. Na posłaniu Nowotańskiej zaścielonym starą kapą, leżała gazeta, „Goniec Krakowski”, prawie cała zakryta rozścielonym tytoniem, który przesychał, aby po zabiegu uzdatniającym, polegającym na sparzaniu gorącą wodą, stać się produktem możliwym do zaspokajania nałogu. Spod tytoniu widać było tylko góralski kapelusik i naiwne twarzyczki bohaterów, których przygody stanowiły koronną pozycję kącika humoru gadzinówki. Bohaterowie prymitywnych historyjek nosili miana Knotek i Motek. Numer gazety pochodził z poprzedniego roku, bodaj czy nie z szóstego grudnia i Knotek z Motkiem gościli u siebie świętego Mikołaja.

Bronek, przekrzywiając głowę, bo gazeta leżała ukośnie, czytał przeoczoną kiedyś historyjkę: *Knotek z Motkiem dziś z radością Mikołaja nam witają i częstują wódecznością, wciąż z butelki dolewają.*

Sławek podszedł, przypatrzył się wierszykom.

– A ja to znam na pamięć – i zaczął wykrzykiwać: *Więc na obiad zaproszeni, kroczą w niebo ululani, tłum aniołków zaś zgorszony, Mikołaja postęp gani. Grom i jasność ich obleka, to archanioł z groźną strzałą...*

W jego krzyki włączyła się Nowotańska.

– Przeczolne dziecko – powiedziała. – Wystarczy, że raz przeczyta...

– To przeczolne dziecko – Nowotański ponuro patrzył znad scyzoryka – to nam kłopotu kiedyś narobi. To nie jest trzyletni chłopiec z ochronki, który nie wie, co mówi. Jeszcze raz cię, zdolniaku, złapię, że śpiewasz jakie piosenki na Niemców, to ci tak tylek zerżnę, że na nim nie usiądziesz. Dziewięć lat prawie będziesz miał, folksdojczów pełno, a on na łące śpiewa *Siekiera, motyka...*

– A ja znam nową piosenkę, wujek Antek ją śpiewał, ciocia Milka się śmiała...

Nowotański, który był u krańca wytrzymałości nerwowej, sięgnął po pas i zerwał się z krzesła. Tytoń posypał się ze stołu. Sławek uciekł za matkę.

– Zostaw go! Mój bohater!

Nowotański rzucił pas i wyszedł. Zbiegł po schodach, podniósł deskę blokującą drzwi, otworzył. Usiadł na schodach, wziął głowę w ręce, oddychał.

– Dom wariatów – powiedział na gorze Bronek.

– Robi mi się słabo – szepnęła Nowotańska.

– Stasiu, octu! – wołał Sławek.

Bronek przecisnął się obok Staszki do kuchni, usiadł na taborecie, Nowotańska straciła widzów i też usiadła, odsunęła ręką ocet. Sławek przyszedł do Bronka, trącił go.

– Bronek, ja ci zaśpiewam tę piosenkę, co się ciotka śmiała. Powiedz mi, czy ja wolno śpiewać, czy nie.

– Zaśpiewaj – powiedziała Staszka. – Nie wydomy cię.

Chwołę sobie wojnę, chwołę – śpiewał cienko Sławek. –

Bo w lakierkach chodzę w pole,

W rękawiczkach gnój wynose,

A na błoto mam kalose.

– Wolno to śpiewać, czy nie? – upewniał się Sławek.

– To pewno wolno – wahał się Bronek.

– Pewno, że wolno – upewniła Sławka Staszka.

– No to słuchajcie:

Żydy wszystko wykupili,

Złotem, srybłem zapłacili,

A miescony bez piniędzy,

U nich tera kupa nędzy. – No! Wolno?!

– Wolno. To o chłopach, nie o Niemcach.

– To słuchaj:

*Magda podaj okulary,
Tam z tej półki gdzie dulary.
Trzeba se przeczytać „Gońca”,
Czy nie widać wojny końca...*

– Wolno?!

– Pewno, że wolno!

*Ty byś Magda pewnie chciała,
By ta wojna wiecznie trwała.
Ale teraz idzie bida,
Bo już wszędzie nie ma Żyda.*

– Cicho! – Bronek nastawił uszu. Jakiś harmider i hałas słyszeć było od domu Keniga i Iwonickich. Zerwał się, otworzył drzwi na stryszek i nasłuchiwał. Przez cienką warstwę dachówek słyszeć było wyraźnie. Najpierw rozszczebały się psy landrata, a potem znowu rozległ się wrzask.

– O Herr Je! O Herr Je! – krzyczała jakaś Niemka.

Bronek wbiegł do pokoju, zgasił światło i podszedł do okna. Uchylił je. Krzyk kobiety dolatywał najpierw z przechodniej sieni kamienicy, potem nieco przygłuszony od frontu, chyba na ulicy, aby znowu zbliżyć się do podwórza. W świetle latarek błyskały białe koszule mężczyzn; Kenig tam był i wysoki kreislendwirth, który chował dużego boksera chodzącego podczas zimy w specjalnych sznurowanych butach, a w kręgu mężczyzn i kobiet miotła się jasna głowa landratowej. – O Herr Je! O Herr Je! – Gwar niemieckich głosów mieszał się z naszczekiwaniami psów, a nad wszystkim górowało kobiece wycie.

– Zamykaj! – szepnęła matka Bronka. – Lepiej nic nie wiedzieć. Jutro spytamy stróża. Będzie wiedział, to nam powie.

Harmider powoli oddalał się i cichł.

– Gdzie ojciec?

– Na dworze. Siedzi na schodach.

– Kazik! Kazik! – nawoływała półgłosem Nowotańska. – Chodź już na górę.

Na dole u Rybkowskich usiedli na krzesłach i na kanapie, a zanim zajęli miejsca, gospodarz, czterdziestoletni wysoki mężczyzna, sprawdził dokładnie, czy rolety zaciemnienia przylegają do wnęk okiennych. Potem usiadł i popatrzył na „Delikatnego”-Turniewskiego. Ten chwilę milczał, a potem powiedział:

– Coraz trudniej nam się będzie spotykać, bo u mnie w klatce już prawie Polaków nie ma, u Antka też za bardzo spotykać się nie możemy, bo okolica ruchliwa, u „Marty” znowu mieszka ta siostra tego oprawcy Riegla, chociaż pocieszające jest to, że wychodzi za mąż i wraca do rodziców. Czasu mamy niewiele, bo noc krótka i przed świtem trzeba się rozejść.

– Możemy się spotkać na Podwierzbiu u „Owcoroźca”... – rzekł Kulbaka.

– To jest dobra myśl – rzekł „Czeresznia”. – Lato, dużo ludzi idzie na plażę...

– Dom jest przy samym wale – znowu wtrącił Kulbaka.

– Przemyślę to... – „Delikatny” spojrzał na kapitana „Czeresznię”, a ten skinął głową. Pokręcił się chwilę, jakby mu było niezbyt wygodnie powiedzieć, to co miał powiedzieć, i rzekł. – Musimy dzisiaj omówić sprawę „Miłka”. Nikt go nie rozpoznał, rodzina jest bezpieczna, to najważniejsze.

– Tej śmierci można było uniknąć, gdyby Gustnego strzeliło się tak, jak jego brata, a nie ze zbytnimi ceremoniami – wyrwało się Murance.

– Plan był opracowany do najdrobniejszych szczegółów – „Delikatny” spojrzał na Kulbakę. – Tylko „Miłkowi” nie została udzielona pomoc, tak jak to było przewidziane. Po prostu, mówiąc szczerze i dokładnie, Kulbaka, zamiast zwrócić na siebie uwagę i strzelić chociaż kilka razy od rzeki, co bez wątpienia zatrzymałoby junaków, to zrejterował w krzaki.

– Pistolet mi się zaciął – rzekł ponuro Kulbaka. – Zanim go doprowadziłem do porządku, to już ich widać nie było... Nabój stanął w poprzek... A „Miłek” pobiegł nie w tym kierunku, co powinien...

– Gdyby pan strzelał, to zmieniłby kierunek na pewno...

– Gdybym strzelał... Mówiłem panu, że mi się pistolet zaciął. Trzeba było wcześniej pomyśleć, że jest tam Baudienst, i zaopatrzyć mnie w pistolet maszynowy, a nie w tę pukawkę visa.

– No, trudno, jesteśmy od tego, żeby ginąć, kiedy trzeba – „Delikatny” spojrzał na „Czeresznię”, a ten skinął głową.

– Sprawa „Miłka” pociągnęła za sobą kilka nowych spraw – rzekł Muranko – i dopóki ich nie załatwimy, dotąd będzie to w nas siedzieć, jak zadra. Przeprowadziłem dokładne śledztwo. Moja siostra i jej mąż zbierali dokładne wiadomości o tym incydencie. Tym łatwiejsze to było, że biorą mleko z gospodarstwa naprzeciw Baudienstu u niejakiego Ziółki. Tam ludzie wiedzą dokładnie, jak sprawa wygląda, i cały czas się o tym mówi, nawet nie trzeba ciągnąć za język. Pierwszą osobą, która pokazała, gdzie biegnie „Miłek”, jest niejaka Sasówna – popatrzył do małej karteczki. – Kormanowice sześć, mały domek z ogrodem. Na jej sygnał, zanim dobiegli ci gówniarze z Baudienstu, wyleciał ze swego domu niejaki Pierzchała. Gość jak wścibski, tak głupi i silny. Ojciec dwojga dzieci. Ma łeb rozbity, bo go „Miłek” wałnął kolbą visa. Ale on narobił wrzasku i ruchu największego. Następny to forarbijter Sieprawski i kilku junaków, którzy uporcezywie dochodzili „Miłka”. Do tego ich wodza, Niemca, to nie można mieć pretensji, bo Niemiec. Miał broń, ale nie strzelał. Trzymał się z tyłu. Bezpośrednio zaś winien śmierci „Miłka” jest zegarmistrz Okinowski. Ten się nawet chwalił, że pokazał, gdzie się „Miłek” ukrył. Tę wiadomość mam od właścicielki restauracji na Gągołowskiej. Jej

dwóch chłopaków jest u nas, a męża wykończyli w Oświęcimiu. Wszystko to jest pewne i sprawdzone.

– Czyli! – podsumował „Delikatny” – mamy do wykonania wyroku tego, jak mu tam...

– Pierzchałę – poddał Nowy.

– Pierzchałę! Szybka reakcja poruszy społeczeństwo i oduczy wtrącania się w nie-swoje rzeczy, dalej tego zegarmistrza, policjanta Gawora, no i tę dziewczynę.

– Dziewczynie wystarczy wlać dobrze – rzekł „Czeresznia”.

– Słusznie – rzekł Muranko. – Młoda, głupia. Ale Sieprawskiego, tego forajbar-tera, trzeba wykończyć!

– Inspektorat zatwierdzi – „Czeresznia” wstawał. – Niestety, jest to konieczne. Nasz człowiek na pocztę już od momentu zastrzelenia młodszego z braci stwierdza o połowę zmniejszenie się ilości listów adresowanych do gestapo i innych niemieckich instytucji.

– Najpierw wysyłamy pocztą wyroki – „Delikatny” znowu wracał do swego.

– Dajmy sobie spokój z wyrokami. Opisać przewinienia i świadków. Po wojnie mogą nas o to pytać, możemy się z tego tłumaczyć.

– Kto strzela Pierzchałę?

– Ja – powiedział „Kazik”.

– Zgoda.

– Kto Okinowskiego?

– Ryś pójdzie. Tam go nie znają – rzekł Muranko.

– Nie trzeba. Ja go strzelę – rzekł milczący dotąd człowiek, którego „Delikatny” przedstawił jako „Parczewa”.

– Zatwierdzamy. „Parczew”. Zgoda?

– Tak jest.

– Spodziewałem się tego i zostawiłem u niego zegarek do regulacji – powiedział flegmatycznie młody mężczyzna zwany Parczewem. Spodziewałem się, że będzie wyrok. Całe osiedle szepce i czeka.

– Prosiłbym o powstanie! – rzekł „Czeresznia”. – Bacność! Rozkazem kome-dy podokręgu Armii Krajowej, kapral Emil Frons zostaje awansowany pośmiertnie do stopnia plutonowego oraz odznaczony Krzyżem Walecznych. Spocznij.

– Została jeszcze ta Sasówna. – „Delikatny” spojrzał na wnętrze swojej dłoni.

– Moi chłopcy jej wlepią! – Kulbaka spojrzał na „Czeresnię”.

– Żeby z tego znowu nie wyszła rzecz przeciwna do planowanej.

– Chciałbym wiedzieć, do czego odnosi się słowo z n o w u – zerwał się Kulbaka.

– Żeby się z n o w u coś nie zacięło... – powiedział w przestrzeń „Delikatny”.

Kulbaka już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale „Drwał” nagle syknął pst i położył palec na wargach. Za ścianą narastał jakiś ruch, ktoś krzyczał, „Drwał”

zerwał się i wybiegł na korytarz i stamtąd przeszedł do ganeczku w środku domu. Wszyscy, z wyjątkiem Muranki i „Czereszni”, sięgnęli w zanadrza i do kieszeni. Stali niepewni. Za ścianą rozszczękały się Moryc i Max, psy landrata.

– Jakaś babska awantura – uspokajał Muranko.

Wrócił Rybkowski – „Drwał”. Machał uspokajająco ręką.

– Landratowa urzędują jakieś jasełka. Jej mąż pół roku temu został kimś ważnym w Rosji czy na Ukrainie, w każdym razie na wschodzie, a ona, co tu dużo mówić, kobieta młoda i przystojna, bawi się. Bywa, że po trzy dni jej nie ma. Z dzieckiem zostaje służąca, a ona wyśpi się, wymyje, doprowadzi do porządku i znowu leci z jakimś lotnikiem do soldatenhajmu. Nie wiem tylko, dlaczego wpadła w taką histerię. Dotychczas zachowywała się spokojnie. Kenig ją podnosił...

– Mniejsza o nią – „Delikatny”, wracał do rzeczy. – „Nowy” zapozna nas teraz z sytuacją w obwodzie „Ser”.

– Nasze próby – powiedział Muranko – dotarcia do tej ruchliwej grupy bandyckiej w okolicy Mokrego Gruntu i Daromyśla i ujęcia jej w karby dyscypliny, niestety, spełzły na niczym. Nie pozostaje nam nic innego, jak likwidacja. Niedawny wyczyn ich, polegający na obrabowaniu dworu i zgwałceniu dziedziczki, wskazuje, że nie ma innego wyjścia. Oni psują wizerunek walki podziemnej. Ludzie nie odróżniają...

– Tylko, że my nie mamy ludzi na to, żeby wystrzeliwać się z bandytami – rzekł szorstko „Delikatny”. Nie będziemy latać po krzakach za jakimiś szaleńcami i psychopatami. Poza tym oni działają więcej na terenie sąsiedniego obwodu w dystrykcie tarnowskim...

– Spróbujmy się jednak temu przypatrzeć – rzekł „Czeresznia”. – Może zainteresujemy tym oddział Ruszczyca zza Wisły. Wiem, że oni przeprowadzają takie spektakularne akcje. Rozstrzelują dowódców, a członkowie band chodzą po wsiach i odnoszą zrabowane rzeczy...

– Ruszczyca to dzika grupa – upierał się „Delikatny”.

– Obwód w Sandomierzu wydał na niego wyrok, ale podobno się z tego wycofali – mówił Muranko. – Ale jest jeszcze inna, ważna jeżeli nie grupa, to postać. Ten był gajowy Hinczów, który poranił Riegla. Po spaleniu mu domu i wybiciu rodziny przez gestapo i kolonistów z nikim nie utrzymuje kontaktów, ale w regularnych odstępach czasu wystrzeliwuje Niemców.

– Przecież musi gdzieś jeść i spać? – powątpiewał „Delikatny”.

– Czas ucieka – przypomniawszy „Czereszni”.

– Kulbaka ma z nim szukać kontaktu. W każdym razie on chyba działa sam, albo w niewielkiej grupie.

– Kończymy – przypomniawszy „Czereszni”.

Wychodzili pojedynczo, przemysłali się do nadrzecznych krzaków. Henryka, siostra Stasia – „Drwała”, weszła do pokoju.

- Matko Boska! Ale napalili! Och, wy, mężczyźni!
- Jak myślisz, dlaczego landratowa urządziła taką scenę?
- Może coś z dzieckiem? Jutro się dowiemy.
- To raczej o męża chodzi. Coraz więcej trupów na wschodzie, a on tam teraz siedzi.
- Myślisz? Ale przecież ona od czasu, jak wyjechał, to cały czas się puszcza z lotnikami.
- Niezbadane jest serce kobiece – powiedział „Drwal”, który był starym kawalerem i coś na ten temat wiedział.

Chajka leżała zwinięta w kłębek w ciasnej ceglanej wnęce powstałej po zawaleniu się tyłu ołtarza kaplicznego. Mały budynek stojący na niezależnym wzgórku za ogrodzeniem parku dworskiego, obrośnięty tarniną i bzem, z zerwanym częściowo dachem, nie był odwiedzany od lat i Otylka liczyła na to, że Żydówka przez kilka dni, zanim nie wymyśli dla niej jakiegoś pomieszczenia, jakoś tu wytrzyma.

Najgorsza była pierwsza noc. Chajka, chociaż przyzwyczajona znosić chłody, bo w getcie prawie nie było ogrzewania mieszkań, i zaopatrzona przez Komarnicką w worki, a przez Otylkę w derkę na konia, odziana w nieprawdopodobne łąchy po Lilce Komarnickiej, zmarzła tak, że nad ranem przykłękała i kiwała się przez kilka ostatnich godzin, usiłując się rozgrzać.

Był lekki, wiosenny przymrozek i gdy tylko trochę się rozwidniło i przez zawałony z przodu dach wpadły promienie słońca, Chajka pozbierała te worki i łąchy, które w nocy wymknęły się, zaścieliła z powrotem wnękę i zwinięta w kłębek dotrwała do południa. Przed nią była jeszcze połowa dnia o głodzie i na chłódzie, wieczorem Otylka miała przynieść jedzenie i obydwie miały się wybrać do pożydowskich domów po jakiś siennik i okrycie. Dużo ciepłego okrycia, betów chociażby, marzyła Chajka. Odcinała się od strasznej rzeczywistości, myśląc o mieszkaniu na Panińskiej Górze. Oto ojciec jest w domu i matka, Mosze co chwila mówi coś z Pisma, a ona siedzi z Jaszą na schodach domu i grzeje ją słońce. Dzieci od Karwaczewskich brodzą w kanale płynącym od dołków... Trzęsie się Chajka, gorące łzy płyną jej po policzkach, nie wyciera ich nawet, bo dłonie ma schowane pod brzuchem, szkoda ciepła.

Otylka przyszła późnym wieczorem. W milczeniu wcisnęła w dłoń Chajki piątkę suchego chleba, zawiniętą w szmatkę łyżkę brązowego, polepionego melasą cukru i ćwiartkową butelkę po wódce napełnioną ciepłym mlekiem. Nie pytała nawet, jak Chajka przeżyła wczorajszą noc i dzień. Dziewczynka rzuciła się łapczywie na jedzenie, chwilę ćpała zawzięcie suchy chleb, lizała cukier, potem duszkiem wypila mleko. Otylka dała jej jeszcze wyjęte z kieszeni trzy ziemniaki ugotowane z łupami, podebrane świniom, i kiedy Chajka zjadła je, powiedziała:

– Pójdziemy po jakie poduszki albo pierzyny. Tu blisko mieszkały Knafy i Gutmany. Może jeszcze co zostało. Jaki siennik albo co. Pełno pierza się po ulicy wala, jak jeden z drugim nie weźmie, to rozpruje. Uważaj, bo tu tarnina, nie podrzyj się.

W drewnianym domu Knafów były już wybite wszystkie szyby w oknach; brodziły w pierzu z rozdartych wyspów zaścielającym podłogę, ale w otwartej komórcie na drzewo znalazły zwinięty kilim, który widocznie ktoś przygotował do wyniesienia i potem zapomniał albo bał się wracać.

– Bierz go – powiedziała Otylka. – Zegnijmy go na pół i będzie na podkładkę.

Chajka chwilę mocowała się z ciężką tkaniną, a potem zrezygnowała, zdyszana.

– Nie dam temu rady.

– To zostaw. Pójdziemy do Gutmanów. Z powrotem to zabiorę. Ciiicho!

Stanęły zdrętwiąle; ktoś szedł śmiało obok bocznej ściany domu.

– Chłop jakiś – szepnęła Otylka. Wcisnęła Chajkę w kąt komórki, przyknęła cicho drzwi.

Ten ktoś podszedł do przykrytej pokrywą studni i rzucił na nią z rozmachem jakiś miękki ciężar. Coś jakby powiedział do siebie i ruszył z powrotem. Jego kroki oddalały się, stukały po chodniku przed domem; wracał chyba na podwórze Gutmana, skrzypnęły drzwi, ucichło.

– Patrz, czy nie idzie! Zaraz będzie księżyc, musimy się spieszyć! – szeptała Otylka.

Podeszła do studni, macała coś, grzebała, przewracała.

– Uciekamy – syknęła. Złapała zawiązany w jakąś płachtę tobół, zarzuciła na plecy i szybko ruszyła przez ogród. Przerzuciła tobół przez płot, macała, przelazła przez dziurę, Chajka za nią. Odeszły szybko w stronę rzeki. – Chiii! – śmiała się Otylka z głębi gardła. – Ile nazbierał! Będzie musiał dalej zbierać. Ale będzie mścił! Same łachy, ale dobre i to. Jutro pójde po ten dywan, jak jeszcze będzie. Albo nie...

– namysliła się. – Pojutrze pójde, bo on może tam czekać.

Dochodziły do kaplicy.

– Cholera! – klęła Otylka. – Nie przepchniemy tego przez te krzoki. Musimy pojedynczo nosić. – Rozwijają po omacku tobół. – Włóż od razu te chłopskie portki – podawała Chajce. – Zaraz będzie ci cieplej. Płaszcz chłopski, gruby, i kurtka z barankiem. To chyba chustka włóczkowa. Ale to pewno na lato, bo rzadka, oka duże. Ale głowę se możesz owinać do spania. Bluzka chłopska z jakimiś klapami. I jeszcze portki. Na noc je zara włóż. Odejszycy się i ubieraj.

Przemarzniętej Chajce ciągle chciało się sikać. Kucnęła przy ścieżce.

– Wkładaj na tamte portki jeszcze te. I bluzkę! Zawin rękawy! Trzymaj rękawy – komenderowała Otylka. Teraz na to płaszcz! Kurtkę pod spód, poduszkę połóż, a chustką se nogi owiń. Już ci zimno nic nie robi. Jak by co ci się chciało na grubo, to rozbierz się z tego i zrób gdzie na łące. Ino dalej...

Chajce, zakutanej w męskie ubrania i płaszcz, gorąco się zrobiło. Zwinęła się w kłębek z poduszką pod głową, chustką owinęła nogi, głowę włożyła w kurtkę. Cały dzień przespała i przeleżała w kaplicy. Wieczorem przyszła Otylka, przyniosła chleb i mleko i parę gotowanych kartofli zawiązanych w chustce. Chajka odszukała jej rękę w ciemności i przycisnęła do ust.

– Ale ci się na całowanie zebrało – strofowała ją zduszonym głosem Otylka, bo ją coś za gardło chwyciło.

Pierzchała miał zginąć pierwszy, po nim dopiero Okinowski, ale „Parczew” pospieszył się i już na drugi dzień po otrzymaniu rozkazu przyszedł do warsztatu zegarmistrza. „Parczew” był znany z widzenia Okinowskiemu, a tym bardziej nie budził podejrzeń, że zostawił do regulacji zegarek, całkowicie zaś nie zwrócił na siebie uwagi przez to, że przyszedł z kobietą, którą puścił przodem, i bardzo jej nadskakiwał. Była to żona kupca Czerepa, u którego zamieszkiwał.

Zakład był pusty. Czerepowa od drzwi już patrzyła na zegarek na przegubie i potrząsała nim przed przyłożeniem do ucha, a kiedy „Parczew” odebrał już swój czasomierz i zapłacił, spytała:

– Która jest godzina, panie Okinowski?

– Pół do piątej, szanowna pani...

– To ostatnia w pańskim życiu, a chyba pan wie, za co?

I wtedy „Parczew” strzelił z tego pistoletu, który kiedyś „Kazik” i „Silny” odebrali romansowemu feldfeblowi, i oddał drugi strzał. Okinowski bez słowa zwałił się za kontuar, a oni rzucili na niego kartkę z wyrokiem i wyszli. Dopiero po pół godzinie czekający bezowocnie na zegarmistrza klient zaglądnął za ladę i narobił krzyku.

Równie dobrze poszło ludziom z „Maciejowic”, którym powierzył to zadanie Kulbaka. Zaczajeni po zmroku w ogródku, wśród rzędów białych i niebieskich irysów, pod krzakiem bzu, dwaj chłopcy doczekali wracającej z randki Sasówny. Wepchnęli ją do domu i kiedy jeden zatykał jej usta dłonią, drugi urzysem polskiego mauzera dotknął brody jej matki.

Wdowa Sasowa nie była w ciemną bitą. Wszystko odbyło się cicho i spokojnie.

– Wie pani, co to jest? – spytał chłopak z czapą kręconych włosów na głowie, który nosił pseudo Kudłaty.

Oczy Sasowej zbiegły się przy czubku nosa i dokładnie, o ile to było możliwe, oglądnęły uwierający ją przedmiot.

– Wiem – wyszeptała.

– To będzie pani spokojna. Bo my nic do pani nie mamy, tylko chcieliśmy porozmawiać z córeczką.

Rolety zaciemnienia były opuszczone, wobec czego „Kudłaty” sprawdził tylko czy nie ma szpar, i zwrócił się do matki:

– Pani wie, co zrobiła pani córeczka, ta pani podpora na starość?

Przeczący ruch głową.

– Przez nią zginął chłopak, który zastrzelił Gustnego. Darła się i pokazywała, którądy uciekał.

– To nie ona – wyszeptała stara. – Pierzchała się z nim bił.

– Pierzchała już nie żyje. Ona pierwsza pokazała, a on się wtrącił. Ledwo uprosiliśmy, żeby nie dostała tego – pocisnął „Kudłaty” urzyn – i dostanie tylko dwadzieścia pięć na dupę. Zdejmuj majtki! – zasyczał patrząc na Sasównę, którą jego kompan dalej tłamsił, trzymając dłoń na jej ustach.

– Jezu!

– Cicho! Tylko dwadzieścia pięć!

Zatykający usta Sasówny przygniół ją do wysoko zaścielonego łóżka.

– Jak będziecie się darły, to każda dostanie po kuli i pójdziemy – Kudłaty zdierał fildekosowe majtki, zadarł spódnice. Wyciągnął zza cholewy wierzbowy pręt wycięty w kępie.

Dziewczyna nie była wytrzymała. Po piętnastym uderzeniu zsiąkała się, po dwudziestym podniósł się fetor. Przerwali egzekucję.

– No, resztę ci darujemy. Wystarczy. Myjcie się teraz i do rana niech was ręka Boska broni, żebyście wyszły.

Sasowa była tak przerażona, że po ocuceniu córki, doprowadzeniu jej do porządku i ogarnięciu mieszkania, siedziała do rana przy leżącej na brzuchu i chlapiącej. Rano wyszła i pierwszym człowiekiem, na którego się natknęła, był Pierzchała. Załamała ręce.

– Panie Pierzchała! To pan żyjesz?! A mnie mówiły, że pan już nie żyje.

Pierzchała, który z natury był zadziorny i dlatego do wszystkiego się wtrącał, dowiedziawszy się o śmierci Okinowskiego stracił całą zadziorność. Od dwóch dni po zastrzeleniu zegarmistrza przeżywał istne paroksyzmy trwogi i od każdego mijającego go nieznanego spodziewał się kuli. Na ciebie kolej, mówiły spojrzenia przechodniów. Na ciebie kolej, mówił wyraz twarzy listonosza przechodzącego i zaglądnącego do ogródka. Na ciebie kolej, krakały kawki mające gniazdo w kominie. Na ciebie kolej, mówiła milcząca i zatroskana twarz żony.

Usłyszawszy takie poranne przywitanie Sasowej, aż przysiadł.

– Kto pani to mówił? – jęknął.

– Całe miasto mówi – powiedziała wykrętnie Sasowa, która przecież nie mogła mu podać, przy jakiej okazji usłyszała nowinę.

– Nie wytrzymam tego! – poderwał się. – Ja jestem winien?! Ja?! Pani córka się darła, że Żyd morduje Polaka i pokazywała temu z Baudienstu, gdzie uciekł.

– Moją córkę nikt o nic nie posadza i po mieście może chodzić spokojnie – powiedziała z godnością i miała rację. – A na pana to za każdym rogiem może ktoś czekać.

– Niech czeka – powiedział z determinacją Pierzchała, odwrócił się i poszedł w kierunku miasta. Minął cegielnię i spotkał Wróblikowskiego robiącego przy ulach. Zatrzymał się, pozdrowił starego. Stał chwilę, kiwając się na boki, aż powiedział: – W mieście mówią, że partyzantka ma mnie zabić za to, że zatrzymał tego partyzanta. Ale ja przecież myślałem, że to Żyd morduje Polaka. Czarny był, a Sasówna darła się, że Żyd...

– Przecież Żydów już dawno nie ma – powiedział zza siatki pszczelarskiej Wróblikowski. – Zresztą, panie, co mnie to obchodzi? – poszedł długim krokiem w głąb ogrodu.

Pierzchała ruszył dalej. Ledwo uszedł kilkanaście metrów, napotkał Topór-Kamińską, wdowę po białostockim szlachcicu. Pozdrowił ją, odpowiedziała półgębkiem, bo była całkowicie bezzębna.

– Słyszała pani?

– Nie słyszałam.

– Mówią, że mnie zabili. A ja przecież myślałem, że to Żyd...

– Pewno Kilafunt... – powiedziała ni w pięć, ni w dziewięć Topór-Kamińska i dodała: – Zapomniałam koszyka. A toż, że mnie... – wróciła do domu.

Pierzchała szedł dalej i przeszedł na drugą stronę ulicy, bo tu już się na dobre ulica Pułaskiego rozpoczynała, a po drugiej stronie zobaczył Gienka Iwonickiego, właściciela stolarni i lasów. Staszek Krótki obrządział u niego ostatniego konia, który mu pozostał z czterech. Szedł obok niego, patrzył w górę, coś mówił. Pierzchała stanął przed nimi. Nie musiał nic mówić, bo Iwonicki zdziwił się:

– To pan, panie Pierzchała, żyjesz? Tego zegarmistrza już dawno zabili, a pan chodzi...

– Panie Iwonicki – jęknął Pierzchała. – Ja myślałem, że to Żyd zabija Polaka!

– Który Żyd? – spytał Iwonicki.

– No, czarny był, myślałem, że to Żyd...

– Trzeba było mu się dobrze przyglądać.

– Leworwer, kula, bracze. Kula, głowa, bracze – wywiódł precyzyjnie Krótki.

– Gdzie dziegieć? – spytał Iwonicki. – Trzeba kobyłce kopyto posmarować, bo pęka.

– Sztajnia, okno, bracze. Okno, dżegecz, bracze – Krótki z Iwonickim skęcili na podwórze willi.

Pierzchała powstał chwilę, żując wargami, i przeszedł na ukos przez jezdnię do sklepu Bonczakowskiego. Sporo ludzi tam było; stała i Nowotańska, po „kogutka”, bo miała migrenę. Był z nią Sławek, bo znowu jakiś batalion idący na front czy wracający z frontu, diabli to już wiedzieli, zajął szkołę na kwatery.

– Ludzie!!! – zaczął Pierzchała. – Kto mnie spotka, to pyta, czy żyję. A ja chodzę i czekam kuli! Za co?! – rozdarł się nagle. – Myślałem, że to Żyd zabija Polaka, a to partyzant Gustnego zabija!

W drzwiach natychmiast się zagęściło, tylko Sławek powiedział:

– Przecież Żydów nie ma, Riegel ich wystrzelał na kierkucie i na Berdeczowie. Jedną ręką strzelał, a drugą jadł kielbasę.

– Niech pani lepiej z tym dzieckiem do sklepów nie chodzi! – Bonczakowski, pobladły, okrągłymi oczami patrzył na chłopca.

– Czarny był – szczękał zębami Pierzchała. – Myślałem, że to Żyd. Gdzie mnie ginać, ludzie! Mam dwoje dzieci niedorośliwych – jęczał i darł koszulę na piersiach. Padł na posadzkę, zapienił się. Nowotańska przypatrywała mu się ze współczuciem.

– Sfiksował ze strachu – skonstatował Bonczakowski. – Wziął syfon i prysnął Pierzchale dwa razy pod nos. Ten usiadł.

– Myślałem, że to Żyd – mamrotał.

– Będiesz ty miał od ojca – syknęła Nowotańska – dziewięcioletni chłopak nie może być taki głupi. Jeszcze taki, który już przeczytał trylogię. Dzisiaj smaruj tyłek na dobre bicie.

– To ja lecę do kępy i będę nocował w kępie.

Nowotańska wybrała się do brata pod wieczór. Upał czerwcowy zelzał, zanosilo się na burzę. Zachodni wiatr, wiejący spod ciemnych chmur stojących nad lasem za Rzeką, przeganiał papiery i pierze w uliczkach w dawnym getcie i trząsał ramami wybitych okien. Tu i ówdzie domy już były zajęte; nowi lokatorzy reperowali okna i drzwi, wymiatali śmiecie, stały przed domami jakieś wózki z gratami, gdzieś zdarzał się wóz z lotrami zaprzęgnięty w chudą szkapę. Biegały dzieci, chłopcy w trzyćwierciowych, do pół łydki, spodenkach, dziewczynki w długich spódnicach, bose, rozwrzeszczane.

Chwołę jo se wojnę, chwołę – westchnęła sarkastycznie na ten widok Nowotańska.

Muranko był u siebie w domu; siedzieli objęci z Milką przy nisko posadowionym oknie od podwórza; na parapecie stała różowa sacharynowa lemoniada.

– Napijesz się? To od Rusakowej, mówi, że na cukrze, ale ja nie wierzę – rzekła Milka.

– Napiję się. Dziękuję. Przyniosłam nasłuchy – Nowotańska grzebała za staniem. Dzisiaj odręcznie pisałam, bo nie chcę stukać maszyną. Mógłby w kamienicy ktoś usłyszeć, byłoby podejrzane. Już to radio, Antku, to można by od nas wziąć. O Sławka się boję, bo to głupek... Staszka...

– Weźmiemy. Jeszcze trochę. Mam na oku jednego z naszych ludzi, już rozmawiamy. Pamiętasz tę moją narzeczoną przed Milką? Jej brat...

– Antosiu! Przestań pleść bzdury! Jeszcze raz wspomnisz o jakiejś narzeczonej, to się długo do ciebie nie odezwę! – oburzyła się Milka.

– Co nowego? – zmienił Muranko temat.

– Landrat zginął. Gdzieś w Rosji. To dlatego się tak darła ta Niemka. Wróciła z zabawy z jakimś lotnikiem, a tu zawiadomienie... Ale ja mam inną sprawę. Tego Pierzchały, co miał wyrok za Fronsę. Żal mi go. Łazi jak ścięty, fioła dostaje. Łapie ludzi za guziki i opowiada, że on nie chciał, że on myślał, że to Żyd zabija Polaka.

– Zwariował?! Jaki Żyd? A to antysemita!

– Baba, dwoje dzieci, głupek... To był jakiś spontaniczny odruch, a nie chęć zaszkodzenia organizacji... Pomyślcie, może się to da odkręcić...

– Trzeba zatrzymać „Kazia” – rzekła Milka. – Pójdę do niego i powiem...

– No i dwie baby się zebrały i już jest nowa koncepcja... – Muranko myślał chwilę, potem powiedział: – Muszę o tych nowych okolicznościach pomówić z „Wigłą” i z „Delikatnym”. Tak nie można... A swoją drogą, wychowanie obywatelskie działa.

I tak upiekło się Pierzchałe. Po kilku dniach, kiedy już całkowicie szerniał i osłabł, bo co zjadł, to z niego wyrzucało; kiedy już zażądał księdza z Panem Bogiem, przechodzący obok jego ogródka listonosz nie popatrzył tylko ze złowróżbną ciekawością, a przystawał.

– Pani Pierzchałowa! List jakiś do męża.

Pierzchała, leżący na łóżku z czarnymi kręgami wokół oczu, nieogolony i zmar-twiały, wziął podejrzliwie do rąk niebieską kopertę. Führer patrzył na niego ze znaczką, zaczesany, jak to on. Pierzchała otworzył list.

Pan Jan Pierzchała

Kormanowice 11

W związku z pojawiającymi się dodatkowymi okolicznościami, rzucającymi światło na zachowanie się Pana podczas wykonywania wyroku na konfidentie gestapo Stanisławie Gustnym, Komenda Armii Krajowej zawiesza wykonanie wyroku kary śmierci, orzeczonego przez sąd Polski Podziemnej, do czasu uzyskania wolności. Wyrok zostanie przekazany jurysdykcji sądów powszechnych.

Wszelkie przypadki z Pańskiej strony działań mających na celu wspomaganie władz okupacyjnych spowodują natychmiastowe anulowanie zawieszenia wyroku.

Za Komendę Obwodu AK

List był dyktowany Nowotańskiej po tygodniu prawie, podczas bytności Muranki u siostry. Nowotańska miała ładne, kaligraficzne pismo. Zakrętas wykonany parkerem Muranki uwierzytelniał treść zawieszenia wyroku. Nowotańska, pisząc to, nie spodziewała się, że ta kartka, której napisanie przyniosło jej spokój ducha, wróci do niej po latach kłopotliwym ciężarem.

VI

Kuna stał na skraju młodnika i patrzył w kierunku swojej ziemianki, którą opuścił przed trzema tygodniami, przenosząc się na okres deszczów do pasieki Smoły. Teraz z przyzwyczajenia lustrował dokładnie otoczenie, oglądając ścieżkę już trochę zarośniętą wiosenną runią, wejście ukryte w krzaku leszczyny i kominek utworzony z prętów zalepionych gliną z jednej i z drugiej strony, wystający pomiędzy dwoma sosnami. Ruszył się Kuna w końcu, zapuścił w las i zaszedł ziemiankę od tyłu. Znowu lustrował ją uważnie, aż uspokojony całkowicie postawił krok na jej progu.

Przez blisko miesiąc osypały się trochę ściany wyłożone brzoźowymi i sosnowymi drążkami, osiadł niżej piec zbudowany z wydobytych tamtego lata ze strumienia otoczków polepionych gliną, stanęła skosem blacha przyniesiona z pogorzeliska w Kątach i przysiadło wejście opatrzone wrótnią z lada jakich desek. Władek zaraz zabrał się do naprawiania szkód, a kiedy był już zadowolony ze swojej roboty, to poczuł głód. Zapalił w piecu, sięgnął do torby, ukrajał glon chleba od Smoły i kawał koziego sera, posolił go obficie i usiadł na korzeniu sosny wystającym z ziemi. Powoli zapadał chłodny, późnokwietniowy wieczór; Kuna zjadł i poszedł do potoku płynącego poniżej. Napełnił manierkę wodą, wspiał się na górę i znowu usiadł, powoli popijając leśną wodę o zapachu igliwia i mchu.

Las odzywał się do niego znajomymi głosami. Władek powoli przysypiał, aż za którymś tam razem kiwnęło go dobrze, więc wstał, położył na posłaniu z mchu i sitowia brezentową płachtę złożoną we dwoje, zdjął saperki, zawiązał na stopy świeże onuce, popuścił pas i nie rozbierając się przykrył się dwoma płaszczami.

Przyśnił mu się w nocy syn. W rzadkich chwilach zabawy z ojcem Wojtek lubił siadać Kunie na brzuchu i jechać, jak on wtedy mówił, „na toniu”. Podskakiwał wtedy, cwałował i wołał: wio! tll! heta! wišta!, a Władek znosił to z coraz większą ochotą i przyjemnością, w miarę przywiązywania się do sporego już, chowanego w większości przez matkę, chłopca.

Wojtek, który przyszedł do niego dzisiaj w nocy, był ciężki jakiś; Kuna nie mógł

złapać oddechu, syn wołał „tll”! i śmiał się, szeroko ukazując zęby, i w tym śmiechu robił się podobny do kapitana Grabowskiego, aż zupełnie stał się kapitanem w wyszarganym od czołgania oficerskim mundurze, takim, w jakim go pamiętał Kuna z ostatnich dni podczas przedzierania się po tej stronie Wisły.

Nie mógł sobie Kuna wytłumaczyć, dlaczego kapitan żyje, chociaż wie przecież, że spłonął w tej strasznej szkole, a wcześniej tryskała z niego krew, którą Władek miał na czole i którą splukała dopiero woda Przykopy.

Szarpnął się Władek raz i drugi, krzyknął i już odlatują senne marylki; nie ma Wojtka Kuny, jego syna, nie ma kapitana, powoli wyswobadza Kuna ręce skute grubym, podgumowanym płaszczem żołnierskim, siada, ociera spocone czoło. Nie śpi już Kuna, patrzy w ciemność, a całkiem wybija go ze snu rechot ciągnącej swoją ścieżyną dziczej watahy; rechotanie grubej lochy, tupot raciczek przylatków, pokwikkiwanie walczących na niby zeszłorocznych prosiąt. Pomyślał sobie, że trzeba by pomyśleć o jakimś mięsie dla siebie i Smoły, do którego czuł wdzięczność za wyrozumiałość i przyjmowanie bez lęku tego, na co się narażał, goszcząc go i nocując.

Nad ranem, nie jedząc, zasadził się Kuna na dziką, na skraju młodnika i starego lasu, przy dziczej ścieżce. W domu rodzina zawsze się śmiała, że u Władka rauberką na głodniaka, to zwierzyna pewna. I rzeczywiście, im bardziej Kuna był głodny, tym bardziej starał się nie wrócić do domu bez zdobyczy. Łatwiej znosił zasiadkę kilka godzin bez ruchu i westchnienia, bez myśli pazernej, którą mógłby odebrać jakimś instynktem zwierz; cały był wtedy Kuna zespolony z lasem, jak ta kuna, jego imienniczka, przewijająca się od fioletowej kępy wrzосу do dąbka, na którym igrają dwie wiewiórki.

Nagle z młodnika przesnuwał z opuszczoną, skąpą kitą parchaty lisek; stanął, powęszył, dał susa przez dziczą ścieżkę, na której Kuna spodziewał się ujrzeć zdobycz, i znikł pomiędzy ciemnorudymi pniami starodrzewu.

Władek sprężył się; przez młody las za liskiem szedł, sądząc po odgłosach, grubszy zwierz, ale taki, jakiego Kuna niechętnie widywał. Człowiek, a raczej dwóch ludzi – spieszących się, dyszących i nie mających pojęcia o tym, jak chodzić po lesie.

Już są na skraju młodnika; jeden pada i nie podnosi się. Drugi stoi nad nim w workowym ubraniu z czerwoną plamą na plecach, zapadnięte policzki, dawno nie golony zarost, bose, poobijane stopy.

Kuna opuszcza karabin, waha się, nasłuchuje, ale szlak, którym przyszli, wydaje się czysty.

Już wie, kim oni są; poznaje tego, który biegł na niego pod obozem konających Ruskich i przez którego o mało nie dostał serii z bergmana. A tymczasem ten, który jeszcze stał, siada obok leżącego drągala. Mówi półgłosem i z wysiłkiem:

– Weź się, chłopie, w garść. Musimy znaleźć jakąś chałupę, przecież tu gdzieś

musi być jakaś wieś. Wejdę, poproszę, choć ziemniaka gotowanego, chociaż karpia dadzą. Odpocznij i pójdziemy.

Kuna wiedział, że ten drugi bez ludzkiej mocnej ręki już nie wstanie. Nie wali się taki chłop na darmo na ziemię i leży bez ruchu. Chwilę wahał się, ale potem zarzucił karabin przez plecy i wyszedł z krzaków.

Leżący nie zareagował w ogóle, ale siedzący usiłował się zerwać. Podparł się ręką, podciągnął nogi; to było wszystko, na co było go stać i patrzył na Kunę z dołu, przenosząc wzrok z dłoni na broń Kuny.

– Nie złapali was – Kuna uśmiechnął się skapo. – Bałem się, że nic z tej waszej ucieczki nie będzie.

– Pognali za Panczerem i Malcem – powiedział cicho tamten. – Jak my się odbili przez takie bagno, cośmy myśleli, że potoniemy, to już my ich nie słyszeli.

– To tamtych dwóch, co za wami lecieli?

– No...

– Żleście poszli. Tu jakbyście szli, to jeszcze dwie mile i patrole z poligonów. W bok stąd z milę będą Ostrowy, parę chałup. Dopiero dalej są wsie... Pójdę, przyniosę wam chleba i wody nacerpię. A z tego twojego..., no, jak mu tam, to już chyba całkiem nic nie będzie. Ale jak jeszcze da rady jeść, to się może ocudzi. Siedźcie tu...

– Nie zostawicie nas? – w szepcie zbiega była prośba i przerażenie.

– Jakbym miał was zostawić, tobym do was nie wychodził, tylko poszedł i czekał aż dojdziecie... – zniecierpliwiał się Kuna. Oddalił się długim krokiem, a Kosmyk usiadł, oparł się o drzewo i opuszczył głowę na piersi.

Kuna wrócił po godzinie. Początkowo nie chciał ich wtajemniczać w to, gdzie ma ziemiankę, ale potem pomyślał, że jak ich nakarmi, to ich przecież w lesie nie zostawi, i postanowił zabrać ich do siebie.

Kiedy ukazał się z powrotem, ten żwawszy uciekinier podnosił akurat tego kościstego dragała do pozycji siedzącej i opierał go o drzewo. Tamten wodził za Władkiem oczami, a kiedy Kuna dał mu kromkę chleba i ser, to zaczął jeść, jakby nie wiedział, od czego zacząć.

– Nie jedz tak szybko, bo cię zemdli – rzekł Kuna i przyłożył do ust dragała wermachtowską manierkę obszytą filcem.

Kuba pociągnął i zamamlał ustami, zapiekła go samogona z miodem, łyknął, odetchnął. Kuna maczał w wodzie chleb i wkładał mu do ust, kruszył ser; chłop łykał, jak bocian żabę.

– Dość – rzekł Kuna – bo po takim głodzie, to możesz umrzeć. – Przypomniało mu się opowiadanie ojca o żołnierzu, który wrócił do domu po wielkim głodzie wojennym i zmarł przy stole po zjedzeniu dwóch łyżek domowego barszczu.

– Daj jeszcze – szepnął Kuba. Patrzył na manierkę.

Kuna uśmiechnął się. Wybrał kawałek chleba, nasycił, nalewając miodówkę, włożył to do ust kościstego dragala. Tamten z błogością mlaskał.

Ten żwawszy skończył jeść i przypił się do menażki z wodą, a potem wybierał okruszki chleba i sera, i wrzucił do ust. Kuna podał mu manierkę z wódką. Zbieg pociągnął dobrze, oddał Kunie i zapatrzył się na niego, jakby go pierwszy raz zobaczył.

– Do śmierci się nie odrobie – wyszczerzył równą palisadę zębów bez drugiego siekacza z lewej strony obciągniętej tylko skórą twarzy. – Nie poznaje mnie pan? Kosmyka? Jezu! Nie pamięta pan?! W Mieście, przy koniach! A teraz mnie znowu ratujesz!

Kuna już wiedział. To ten złodziejasek, który mu chciał brzękadełka zdjąć z konia. Jak żywa stanęła mu przed oczami twarz policjanta Tonczyskiego, Agnieszki w jasnej spódnicy i wyszywanym gorsecie, dziedzica... Aż zęby zacisnął Kuna, bo odganiał od siebie te wspomnienia, a one przyszły niespodziewanie z tym obdartym nieszczęściem z głębi lasu... Nie miał tej szczyrby w zębach, pomyślał i powiedział, otrząsając się ze wspomnień:

– Dolicz se jeszcze tego Niemca na wieży, bo druga seria już by była lepsza...

– A ja myślałem, że to jakiś Niemiec nam od lasu zalatuje i wrywałem, żeby tylko dalej. Słyszysz, Kuba – powiedział do dragala. – Pewnie będziemy długo żyć, jak taki cud boski się zdarzył. Znajomka spotkałem! – Ale Kuba, siedzący przy pniu i oparty o niego, zaczął się osuwać po chropowatej korze i wiotko zupełnie uderzył tyłem głowy o mech. Wywrócił oczy. Kosmyk oparł się na rękach, wstał, kulawopodszedł do niego, przykląkł. Kuba oddychał z półotwartymi ustami.

– Śpi – mruknął Kuna. – Może sązione mu będzie żyć?

Zdjął z siebie płaszcz po niemieckim wartowniku, położył na mchu, przetoczył Kubę jak bezwładny worek kości na ten płaszcz, owinął wolną podgumowaną tkaniną. Wyjął z torby onuce, które miał prać dzisiaj w potoku, rzucił Kosmykowi.

– Owiń mu nogi! jakbyśmy go tu zostawili gołego, toby mógł dojść. W lesie chłodno, jeszcze tydzień temu w dziurach śnieg leżał. Ognisko tu rozpalę, chociaż lepiej śladów nie zostawiać. Ale innej rady nie ma. Po południu się stąd zabierzemy. Muszę coś w nocy upolować, żeby na parę dni jedzenia było...

Kosmyk spojrzał na mauzera Kuny i cmoknął.

– Nie dałoby się taką armatkę dla mnie wykombinować?

– Jak będzie trza, to się znajdzie – Kuna usiadł przy płonącym ognisku, położył na kolanach karabin. Nie mówił już nic. Czekał.

Dopiero po dwóch tygodniach doczekał się Matras na kompanię. Za to wrócili z tego Rożnowa z dwoma końmi, a każdemu koniowi zwisało z obydwu stron po cztery worki wyładowane wszelkim dobrem.

Mieli nawet wóz, ale tym wozem przez noc dojechali tylko do Zakliczyna, gdzie przespali dzień w lesie i konie owsem odkarmili, potem nocą, już bez wozu, przedostali się aż za Wojnicz. Przesiedzieli dzień w polach, w olszynie nad jakimś rowem, w którym czarna woda stała, załadowali worki na konie i nocą doszli do Dunajca, parę kilometrów niżej Wietrzychowic. Karabiny mieli w pogotowiu, bo tu od Żabna podjeżdżał Niemiec Guzdek, który dwa tysiące ludzi miał na sumieniu. Tutaj worki podnieśli wyżej, Bożenę wsadzili na mocniejszą kobyłę i przez płytki, rozlany na żwirowym podłożu Dunajec, przeprawili się na drugą stronę. Znowu przespali dzień w jakimś przylasku i nocą, a właściwie to świtaniem, złachani, zmęczeni, ale bezpieczni, byli u Matrasa. Wyspali się, pojedli, coś wypili i zaczęli rozmyślać, co z takim dobrem, które przywieźli, robić.

Jak świat światem Matras nie miał konia, wszystko obrabiał mu przyrodni i jak chłop patrzył na stojące w olszynie konie, to oczy mu się świeciły. Ale Iżyk tylko głową pokręcił.

– Nawet se do łeba nie przybieraj! Jakby się ludzie dowiedzieli, że masz konia, to policja tutaj pewna. Nie uśmiecha mi się znowu z ognia uciekać.

Poszedł Matras zasmucony, czapkę tylko głębiej nacisnął, za to Stach, którego Zuzka sprowadziła, ucieszył się.

– Konie! Mam takiego, co im papiery wyrobi. Weterynarz ze Szczucina podbije i pójda do chłopów. Tyle że taniej.

– Ty już od razu taniej! – zezłościł się Papiak.

– A co?! Może byś chciał drożej?! Musi być taniej, bo trefne. Rejestry im trza na zębach powypalać, żeby im lata pozmienić. Do tego trza specja znajdującego się. No i wszędzie opłacić. Za darmo nie będzie.

Bożena sobie zostawiła połowę przyodziewy z szaf wójtowej; najwięcej kłótni było przy futrze z kretów, które koniecznie chciała mieć i zaraz odłożyła na bok.

– Patrz, jakie to cienkie – Papiak podtykał jej pod nos jedwabną podszewkę, którą krety były podbite. Ani to zagrzeje, a na śniegu w zimie będzie znaczne. Żeby to był kozuch dębiony, to co innego.

Ani słuchać nie chciała. Zawdziiała na siebie, cyce rozparły przód, ledwo dopięła ostatni guzik.

– Ale masz mleczarnię – powiedział Osiniak.

– Wynieś na strych, powieś na sznurze, okryj płachtą – kazała Bożena Zuzce. Popukali się w głowę.

– Spadnę trochę i będzie...

– Już ty tam schudniesz! Słoniny się nawtykasz i schudniesz?

– Przy was bym nie schudła! Ale!

Ten Stach, przyrodni Matrasa, to był złym duchem dla Osiniaka. W sobotę

przyszedł, przyniósł pieniądze za konie i przyodziewę, kiełbas podrzucił i bimbru, a razem z tym wiadomość, że w Klemensowie u Machnika Zygmunta jest wesele. Od rana się tam bawią i piją, bo Zygmunt ostatnią córkę wydaje za syna dróżnika z kolejki wąskotorowej z Ratajów.

Papiak, chociaż przy Bożenie powinien siedzieć spokojnie, zaraz podskoczył.

– Idziemy! Pojemy, popijemy i potańczymy – i zaraz zaczął śpiewać: – *Hop siup, po ciupinie, będzie wesele w Szczucinie. Będzie wódka, będą śledzie i potrzymać za co będzie! Hop siup!*

Iżyk nie ryzykował na ślepo, nie chciał iść, przeczuwał widocznie coś, ale Osiniak poparł Papiaka:

– Czego nie?! Chodźmy! Akurat na wieczór będziemy.

Bożena chwilę myślała, ale potem i ona się zdecydowała:

– Idę z wami! Ktoś was musi pilnować i karęcić!

Spoglądała przy tym na Osiniaka, któremu od czasu zarznięcia żony wariatem z oczu patrzyło, a szczególnie po wódce.

– To se idźcie – rzekł Iżyk – Ja mam gdzie pójść.

– Żydówki to mają na poprzek – Bożena była zła na to latanie Iżyka do duleckiego lasu.

– Ty ino w całym powiecie masz na podłuż...

– Kurzej!

– Ostrojbna!

– Świnia!

Iżyk nie chciał się kłócić, wyszedł. Bożena zniknęła na strychu, nie było jej parę chwil. Zeszła w sukience z wójtowej z Rożnowa, w kwiaty, krótkiej, nad kolana; cycki jej się z przodu wylewały. Na nogach miała oficerki z pani Habdankowej, trochę tylko w ostrym śniegu w zimie poobijane, a i to Zuzka zaczęła sadzą rozrobioną w mleku. Iżyk też wrócił, popatrzył na nią, zaśmiał się.

– Kawalery koło ciebie ciżbę robią.

– Byle nie stare kawalery, bo od nich myszami ciągnie – odcięła się Bożena, bo Iżyk już swoje lata miał. Wyszła z chałupy Matrasa pierwsza.

– To karabinów nie bierzemy? – spytał Papiak.

– Pewnie! Będę se plecy obciągała. Przecież tam policji nie będzie.

– Ale po drodze...

– Po ciemacku tam zajdziemy i po ciemacku wrócimy.

– Drogi więcej niż miła, a jak się z drużkami zabawimy i rano nas zastanie? – zażartował Papiak.

– Na ciebie już tam jedna garbato czeka i śpiki ma po pas. Akurateś do niej!

Osiniak nic nie mówił, przymknął ku drzwiom, karabina nie popuszczając z ręki. Papiak rozglądnął się, wyjął z pochwy bagnet, założył za pas pod marynarkę.

Matras okrągłymi oczami patrzył na Iżyka, ten uciekł wzrokiem. Stach wyjął kapciuch, nasypał bkonu na bibułkę, kręcił cygara.

– Rezykanty – mruknął.

Z pola doleciała Papiakowa piosenka.

Hop ciup po ciupinie! Bądzie se jarmark w Szczucinie

Będq jabłka, będq gruszki, będq panny po trzy szóstki!

Chajka siedziała w kaplicy już całe trzy tygodnie. Ciepłej się zrobiło, a w dzień to nawet zupełnie ciepło, ale nie dla Chajki. Nosa nawet nie mogła wychylić, dopiero wieczorem, kiedy wychodziła za swoją potrzebą, to mogła nogi rozprostować. Najgorzej było w deszczowe dni, bo całe jej poślanie nabierało wilgoci.

Łąka wokół zazieleniła się, na okolicznych polach spadających do rzeki ruszały w górę oziminy, zasadzono „amerykany”, żeby już w czerwcu były do sałaty i kwaśnego mleka; na dworskim sadzono pastewne sine ziemniaki z grubą skórą, bo treuhander nastawiał się teraz na młode bydło. Jeszcze trochę i Otylka z matką wygnają krowy na pastwisko. Niemiec zawołał nawet matkę i córkę, karbowy Kalicki przyszedł po nie z rana do czworaku i oznajmił im, że treuhander chce ich widzieć ino mig. Poleciały biegiem. Akurat siadał na konia, którego trzymał mu Mosiądz.

– A, Otylka i mutter Otylka – powiedział, widząc je. – Wy paść teraz trawa za fabrik.

Nie wiedziały, o co mu chodzi, kiwały głowami, bo mógł w gębę strzelić, że się człowiek z ziemią zapozna.

– Mówi, że będziecie paść za lasem koło jeziora – rzekł Kalicki.

Treuhander zobaczył, że matka Otylki gwałtownie zatrzęsła głową, zdjął nogę ze strzemienia.

– Nie, panie, bo jak tam wypasimy, a tu na święty Jan zaleje, to co będą krowy jadły?

– Co jadły? Co jadły? – wściekał się Wolff i pryskał śliną.

Kalicki zaczął tłumaczyć, treuhander cisnął lejce, długimi krokami poszedł do oficyny, gdzie mieszkali Stajeńscy. Po chwili przyszedł, powiedział Gut! Gut! – bo mu widocznie hrabina wytłumaczyła, o co chodzi.

– Teraz popasiecie na drugiej stronie – rzekł Kalicki. – Już tam się dobrze puściła trawa. Po gówno żeście mu mówiły! – Kalicki pukał się w głowę. – Jak taki mądry, to niechby se rządził i wyrządził.

Otylka odetchnęła, bo jakżeby dała jeść Chajce, kiedy spałaby za fabryką pod lasem. Musiałaby zostawić ją na pastwę losu.

Tydzień minął. Przygnały krowy z drugiej strony, podoiły i Otylka, kiedy matka położyła się spać, ruszyła nakarmić Żydówkę, jak ją w myślach nazywała. Nie wiedziała, że przy furtce niedaleko okopu przeciwlotniczego, który wykopano tuż przed wojną, stoi ktoś i czeka na nią.

Kiedy nadeszła, cień stojący przy furtce i trzymający w garści niedopałka cisnął go i wyszedł jej na spotkanie.

– Poczekaj – powiedział i schwycił ją mocno za ramię. – Nie bój się.

Bił od niego zapach przetrawionej wódki. Otylka upuściła torbę z ziemniakami i butelkę z mlekiem, szarpnęła się, usiłowała wykręcić się z jego rąk, ale sukienka uszyta z samodziałowej grubej płachty, trzymana przez mocnego napastnika, rznąła ją w ramię i nie puszczała. – Ciiicho! – mówił wesoło mężczyzna. – Otylka! Nie poznajesz mnie?

To, że wymówił jej imię, trochę kobietę uspokoiło, ale w dalszym ciągu nie poznawała tego, kto ją trzymał.

– Czego chcesz? – stęknęła

– Nie rób ruchu, bo stróż przyleci. Wacha chodzi po ulicy. Bądź cicho. Chodźmy na łąkę – mówił niecierpliwie, półgłosem.

– Nie pójdę...

– Nie poznajesz mnie? Przecież Edek Zbożek.

Otylka przestała się wrywać, chociaż wołałaby usłyszeć inne imię i nazwisko. Zbożek był chłopakiem z miasta i mieszkał gdzieś z drugiej strony Błoni, ale dworów i miastowych dzieliła pewna niechęć, sięgająca jeszcze czasów rabacji i wojen toczonych przez Jąkatego Hirka z magistratem. Status materialny dworów i ludzi takich, jak Zbożek, nie różnił się. Przezywali się tylko od żydowskich parobków i pańskich parobków, ale tak jedni, jak i drudzy, jedli to samo i tak samo zarabiali grosze.

Stała więc Otylka trzymana za zebraną w garść sukienkę na plecach, a Edek dyszał jej w twarz gorzałą i mówił:

– Gdzie tak lecisz?

– A co cię to obchodzi?!

– Nie rzucaj się! Powiedz po ludzku, jak cię pytam po ludzku.

– Za swoją potrzebą...

– Co, to gnojowiska za oborą nie ma?

– A co, ty policjant, że mnie tak wypytujesz?

– Może by się co i dla policji znalazło. Coś tu za bardzo cebulą i czosnkiem zalatuje – rzekł wolno i z przyciskiem Edek.

Otylce serce podeszło do gardła, stanęło i potem zabiło mocno; czuła jak krew odpływa jej z głowy i nogi się pod nią uginają – jak wtedy, gdy zobaczyła łańcuch czarnych mundurów otaczających Kąty, a potem dym i płomienie nad chałupą Kunów.

– Nic nie mówisz? Co cię tak zatkało? A ty wiesz, że kto Żydów trzyma, to za to śmierć. W Dąbrowie na rynku za to powiesili chłopą i babę.

– Zlituj się! To dziecko, ledwo żywe!

– Ładne mi dziecko. Żeby mi tak wszy nie bał...

– Człowieku, czego, no, czego... – płakała bezgłośnie Otylka, a w głowie kołatało jej: Alem głupia! Alem głupia! Komarnicka se śpi spokojnie, niechby ją i na piaski prowadziła... co mnie się było w to mieszać. – Czego chcesz? – spytała przez łzy.

– Bogata Żydówka? Dała ci co?

– Dała mi tyle, że mam zmartwienie! Tyle! Bo mi żal... Prawie goła jest. Ja się dziwię, że jakiego zapalenia płuc nie dostała...

– Nie ma nic?

– Nie ma...

Edek milczał chwilę, zawiedziony.

– No, toś wpadła jak śliwka w gówno.

– Wpadłam – mówiła bezsilnie Otylka. – Nie doniesiesz...?

– Dojdziemy do zgody – rzekł Edek. – Ty mnie, ja tobie, dogadamy się.

– Co ja ci..., nie mam nic..., jak będzie wypłata, to ci dam wypłatę albo z ordynarii co..., na półrocze będzie...

– Co ty mi pieprzysz o półroczu! – zezłościł się Edek. I Otylka z tego, że naparł na nią i zatrzęsło go tak, że mówił przez zaciśnięte zęby, poznała, że to, czego od niej chce Edek, nie ma nic wspólnego teraz z pieniędzmi ani z ordynarią.

– No, chodź! – mówił niecierpliwie i wiódł ją na łąkę w odrośniętą trawę. Mogła mu się teraz z łatwością wyrwać, ale kiedy pomyślała o Chajce, o której on z wściekłości na pewno doniesie policji albo Niemcom, a ci na miejscu ją tu zastrzelą i każą zakopać byle komu, a najpierw dziewczynę wypytają kto, i ujrzała siebie powieszoną na rynku, to pozwalała się prowadzić tak, jakby ten Edek przedstawiał jej nogi.

Z drugiej strony bliskość mężczyzny, którego mocne ciało czuła przy swoim, zaczęła wyzwać w niej dawno nie odczuwane drżenia i gdyby nie to, że wiódł ją tak na przymus z groźbą, to słodki dur ogarniałby ją jak zawsze w takich razach, czy z Władkiem, czy jeszcze wcześniej, za dziewczynskich czasów, przed dzieckiem. I zaraz opadł ją żal do Władka, za to, że ją tak zostawił i sam się poniewiera, a może już i nie żyje. I obawa, straszna obawa o ciążę. – Zlituj się! Tylko zrób mi na brzuch, nie do środka – szeptała kiedy ją kładł, a on tylko warknął: – Akurat! Będę tam

uważał! Ty uważaj! – i już poczuła go w sobie bardzo mocno i te mocne uderzenia rozkołysały ją, trzymała go Otylka za szyję, aż dyszał z uznaniem: – No! Naddaj się... Naddaj się –sapał: – O tak! Naddaj... – i robiła to, co chciał; naddawała się, aż skończył w niej, charknął, zachrapał i zmartwiał na chwilę, a ją to gorące zupełnie pozbawiło tchu, tak że krzyknęła. To go zaraz doprowadziło do przytomności, wstał, brzęczał pasem, powiedział: – Nie jurc, bo jeszcze kto przyleci – a ona dopiero teraz usłyszała granie słowików, od którego trzęsła się dosłownie cała kępa nadrzeczna, od Wisły aż po góry.

– No, to bądź tu znowu wieczorem. Przyjdę.

– Przyjdź... – szła za nim, patrzyła jak poszedł wzdłuż parku, zniknął w ciemności.

Odszukała papierowy worek po otrębach, w który włożyła jedzenie, całkiem przemókł ten worek i musiała go trzymać od spodu, boby z niego wszystko wyleciało. Nie mogła w tej ciemności namacać już flaszki, musiało się obejść bez tej ćwiartki mleka udojonego w polu.

Chajka rzuciła się na jedzenie jak zgłodniałe zwierzątko, a ona usiadła na kupie starych cegieł i poczuła nagle, że wypływa z niej to, co zostawił w niej ten Edek. I w tym zmartwieniu ucieszyła się, bo nieraz słuchała, jak doświadczone kobiety mówiły, że to dobry znak, bo się wtedy nie zastąpi...

– Daj puszkę, pójdę i przyniosę wody z rzyki. Mleka dzisiaj nie ma.

– Wytrzymam – szepnęła Żydówka i poszukała jej ręki w ciemności. – Taka jesteś dla mnie, jak mama...

Do „Marty”-Kapitanowej w padającym deszczu wczesnym rankiem przemyka po kolei pięciu mężczyzn. Dom „Marty” jest wolny, córka Riegla, siostra Heinza, Uta, przeniosła się z powrotem do rodziny. Wychodzi za męża, jej narzeczony przyjedzie na szybki ślub żołnierza frontowego. Jest czołgista, Trzecia Rzesza potrzebuje synów czołgistów; do zawojowania jest cały świat, a na razie step między Donem a Wołgą trzęsie się od pracujących do przodu maszyn, znowu tłumy jeńców zapełniają różne Góry Śmierci, Doliny Śmierci, obozy wyniszczenia, stare kamieniołomy i stare grzebowiska zwierzęce. Nie ma czym karmić poddających się masowo ludzi; Rzeszy grozi klęska nie od działań wojennych, tylko od obżerających niemiecką gospodarkę niewolników w szarych mundurach.

A z drugiej strony frontu, na trzeciej linii okopów i poza nią pojawiają się oddziały zaporowe, w malinowych otokach czapek, dobrze odżywione i uzbrojone. Te strzelają w plecy rejterujących żołnierzy, a kiedy front zastyga, ich oficerowie zorganizowani w trójki szybko i zdecydowanie sądzą złapanych na cofaniu się ludzi, którzy nie chcą bronić ojczyzny i Stalina. Rozprawy są krótkie, bez obrońców z urzędu. Kula w łeb, karna kompania. Do wyboru. Więc prędo przodu zwycięskie maszyny i równie sprawni jak maszyny ludzie coraz częściej natrafiają na opór i ten

opór powoduje, że coraz to któraś, niezwyciężona dotąd, jednostka traci połowę swego stanu maszyn i żołnierzy. Więc śluby mięsa armatniego są szybkie; ich żony mają rodzić dzieci, te dzieci to taka sama przyszłość, jak surowce na wschodzie, jak wunderwaffe...

Toczy się maszyna wojny, a w jej trybach zgrzyta coś; to właśnie Ryś, „Delikatny” i „Marta”, i „Silny”, i „Kazio”, i tysiące takich, jak oni, podtaczający ziarenka piasku w dobrze naoliwione tryby.

„Delikatny”, któremu zaczynają deptać po piętach, rzuca mieszkanie na osiedlu, zmienia dokumenty i całkowicie przechodzi do konspiracji. Mieszka raz tu, raz tam, a Londyn awansuje go do stopnia kapitana; teraz zatrzymał się u „Parczewa”, który ma do dyspozycji duży dom u kupca Czerepa, a właściwie u Czerepowej.

Dzisiaj u „Marty” są w komplecie, „Delikatny”, „Parczew”, który tak szybko uwinął się z Okinowskim, Kulbaka, który raz jest w Mieście, raz na wsi, a raz u „Ruszczyca” za Wisłą, gdzie bierze udział w różnych nocnych wizytach. Jest też Ryś, którego matka wyzbyła się złudzeń co do rozsądku syna i klęczy przed obrazem Częstochowskiej, a kapa na łóżku przemokła od jej łez.

Pięciu ludzi ma dzisiaj brać udział w losowaniu, kto będzie strzelał konfidenta Potoczka. Potoczek przynosi duże szkody. Pozbył się już konkurencji w branży rowerowej, pakując do obozu Pruskiego, który też jest z zawodu mechanikiem; jemu zawdzięczać należy wyspę wśród poznaniaków pracujących u landrata, aresztowani są dwaj nauczyciele prowadzący lekcje z zakresu szkoły średniej, u których był przed ich aresztowaniem.

Po kolei ciągną losy: „Parczew”, „Silny”, Ryś, „Kazio” i Kulbaka.

Los pada na Kulbakę. Ten błędnie, oddycha głęboko. Ryś jest wyraźnie zawiedziony.

Potoczek ma być strzelany u siebie w sklepie. Potoczek zajął duży dom pożyczkowy po Zaidenie z tartaku i ogroził go błyskawicznie. W ogrodzie dwa duże psy. Sklep jest najlepszym miejscem. Cały czas siedzi przy tych swoich rowerach. Kiedy jeździ z landratem, zastępuje go subiekt. Dzisiaj jest na miejscu.

Kulbaka jeszcze raz oddycha głęboko, obecni podchodzą do niego i po kolei ściskają mu rękę. „Delikatny” patrzy na zegarek.

– Zbliży się pierwsza – mówi. – Potoczek od pierwszej do drugiej ma przerwę. Nie chodzi na obiad. Przegryza w warsztacie czy sklepie. Zazwyczaj siedzi w kantorku i je. Pomocnik idzie coś zjeść do domu.

Kulbaka bierze ze pistolet zdobyty kiedyś przez „Kazia” i „Silnego”, wprowadza nabój do lufy, wkłada broń do wewnętrznej kieszeni marynarki na piersiach, gdzie ma wzmocnienie dla takiego ciężaru; idzie do drzwi.

– Proszę nie zapomnieć o wyroku – mówi „Delikatny”, a Kulbaka maca boczną kieszeń. Rusza jeszcze krok i przystaje. Postawny chłop w oficerkach nagle jakby

kurczy się, maleje.

– Nie mogę... – szepce. – Nie dam rady... Coś mi się stało... – wraca do stołu, sięga w zanadrze, wyklada pistolet, kładzie obok zmięty już trochę wyrok. – Mam niedobre przeczucie...

Zapada milczenie i w tym milczeniu równocześnie Ryś i „Kazio” sięgają po broń. „Kazio” pierwszy chwytą w garść wyrok, składa go równo we czworo, chowa do kieszeni

– Pójdzie „Kazio” – decyduje „Delikatny”. patrzy nieodgadnionym wzrokiem na Kulbakę, który usiadł na kanapie i wziął głowę w dłonie. I do Rysia: – Ty masz już Gustnego na rozkładzie... Pójdzie „Kazio”!

„Kazio” nocował dzisiaj u Nowotańskich, po drugiej stronie miasta; żeby nie zmoknąć pożyczył od Nowotańskiego jego stary parasol. „Kazio” jest w pumpach, białych skarpetach, skórzanych półbutach z dużym językiem, w koszuli i w pulawce. Do butów ma włożone „zgrzybki”, które tak skrzypią, że słychać go, kiedy idzie na piętnaście kroków. „Delikatny” zwracał mu już uwagę kilka razy, ale „Kazio” jest „Kazio”. – Panie kapitanie – mówi – jak ja tak idę i skrzypię, to ci z Hitlerjugend mi salutują, bo myślą że jestem partajgenoz.

„Kazio” chowa parabellum, wychodzi, rozpina parasol, skrzypienie jego butów słychać jeszcze długo.

Kuna pochmurnym brzaskiem dochodzi do starej dębiny. Na skraju jej leży rozszczepiony przez piorun wiekowy dąb. Przy wrośniętym w ziemię, odartym z kory pniu, zielenieją kępy leśnej trawy. Kuna podnosi jedną z nich, chwilę odsuwa piasek, pod pniem ukazuje się otwór, sięga ręką, wyciąga owinięty w szmaty karabin Mauzera, odwija ze szmat, otrzepuje z resztek piasku, zarzuca przez plecy.

Kosmyk i Kuba śpią; na palenisku w ziemiance Kuny ogień wygaś, krople spadającej rosy stukają po przykryciu dachu; wierzch wydmowego wzgórze jest ponad mgłą, w dolinie nad potokiem istne mleko.

Kuna stoi nad uciekinierami, Kosmyk otwiera oczy, patrzy na dwa karabiny oparte o ścianę przy drzwiach, uśmiecha się.

– To dla mnie?

– Musisz się nauczyć strzelać. W lesie bez strzelania nie przeżyjesz – mówi Kuna i patrzy na Kubę. – Co on taki spocony? – pyta.

– Niedobrze z nim – mówi Kosmyk, też patrząc na Kubę. – Coraz gorzej kaszle i pluje, a jak kaszle to go boli w piersi i na kolana rzuca. Ochryplł całkiem...

Władek już nic nie mówi, bierze karabin, stawia obok posłania, opiera o dyłowanie. Przykrywa się płaszczem, kuli, deszcz zaczyna szeleścić po dachu ziemianki, Kosmyk poszedł się odlać. Kiedy wrócił, Kuna już spał.

Do Edka Zbożka przyszedł dzisiaj Jacek Zdybek i przyniósł pół litra samogony. Edek kiwnął na matkę. – Dałabyś jaką zagrychę. – Matka ukrajała chleba, a na chleb posmarowała sztucznego miodu. Pokrajała na kęsy, takie na raz do gęby, i sama siadła przy stole. Rozlali, wypili. Siedzieli, pogadywali, matka poszła do swojej roboty, a kiedy wódki zabrakło, Zdybek zabierał się do siebie. Edek nie przeszkadzał mu, bo jak zawsze po wódce przypominał sobie Otylkę. Popatrzył za okno. – Pójdę – pomyślał – albo jeszcze nie przyszła, albo jest u tej Żydówki. – Wyszli razem ze Zdybkiem. Jacek zaraz się zaciekał.

– Gdzie idziesz?

– Drze mnie. Zadupcę se.

– Gdzie? Masz pieniądze? Na Panieńską...

– A bo mi to trzeba pieniędzy? I starej Komarnickiej?!

– A masz co innego?

– Dworuskę! Towor aż pachnie! – przechwalał się Edek.

– Młoda? Dziewucha?

– Ty tobyś chciał zara nieruszaną.

– Pójdę z tobą!

– Akurat!

– Daje?

– Czy pani daje, czy mi się zdaje? – zaśpiewał Edek. – Mnie da, a tobie może i da? Co będę miał z tego?

– Pół litra przyniosę.

– Dasz litr samogony i pół kila słoniny. I bkonu.

– Skąd ci wezmę słoniny. Samogon jest i bkonu się znajdzie.

Otylka wracała po nakarmieniu Chajki. Światło z połówki księżycy grzęzło w zieloności; trele słowików płynące falami z nadrzecznych krzaków były tak głośne i gęste, że głużyły wszystkie głosy nocy.

Otylka dochodząc do furtki parkowej myślała o Edku, który odwiedzał ją regularnie i nawet był dla niej miły. Nie posiedział wprawdzie dłużej, po położeniu się i zrobieniu co swoje zaraz szedł do domu, ale o Żydówce nie wspominał i niczego więcej nie żądał. Ze dwa razy to ją nawet pocałował i przez to Otylka nawet czuła wyrzuty sumienia, że tak bez przymusu i ciągnięcia za rękę idzie z nim na łąkę. Ale kiedy już leżeli w rosistej trawie, to zatracala się w swoim wnętrzu, tak że nawet świadomość tego, że zawsze kończył w niej, nie przeszkadzała jej w przeżywaniu.

Kiedy kładła się na posłaniu obok matki, ta, chociaż zmęczona całodzienną uganianką za jałownikiem, nie spała. Jadasie już zasnęli; stary wygrywał na gardle i nosie istny koncert, matka przytuliła usta do ucha Otylki i szepnęła:

– Otylka..., dziecko, chcesz jakiej biedy napytać? Przecież masz męża!

– Gdzie ja mam męża, jakem go od roku nie widziała. Ja wiem, czy on żyje? Zostawił mnie, bo mówi: „przy mnie zginiesz”, a ja bym wolała ginąć z nim, niż tak...

Matka głaaskała ją po głowie, nie mówiła już nic więcej.

Słówki jakby przerwały na chwilę; przy furtce był Edek, żarzył się ogienek papierosa w zagłębieniu dłoni. Otylce serce podeszło do gardła i nogi znowu jej zesłabły. Ktoś stał obok Edka.

– Chodź – powiedział Zbożek. – Jacka Zdybka pewno znasz. Jego matka na policji sprząta.

Otylka, zaskoczona, nic się nie odezwała, a na wzmiankę o policji znowu ją zesłabiło i w ustach jej zaschło.

– Co słyszać – odezwał się ten drugi.

– Nic... – odpowiedziała Otylka. Edek trzymał ją za dłoń, przebierał palcami.

Tego drugiego znała z widzenia, młodszy był od niej, przypomniła go sobie jak przez mgłę z jakiejś zabawy na strażnicy, jeszcze za dziewczyny, ale słowa z nim nie zamieniała. Śpik! Gówniarz taki!

– To ja pójdę...

– Czekaj! Siedzmy se! – Edek nie puszczał jej ręki. – Chodź!

– Gdzie... – wyrwała się Otylka. Świadomość tego, że on by przy tym gówniarzu...

– Nie drzyj się! Chcesz tu ściągnąć całe miasto?! Na Mostowej wacha chodzi z granatami za pasem...

Otylka przycichła, zwiotczała. Wydrę mu się i puszcę po parku, pomyślała i szarpnęła się, ale Edek trzymał ją mocno i jeszcze poparł to chwytem za sukienkę na plecach.

– Prruuu... – warknął. – Houu! Coś ty taka dzisiaj narowista. Siadaj!

Przycisnął ją do ziemi, usiadł obok.

– Siedz se, Jacek, z drugiej strony. Zobacz, co tu jest. – Wziął rękę tamtego, widocznie mniej śmiałego i położył na jej piersi. – Panna jak piniądz. Cycuś ino doić!

Otylka pchnęła chłopaka, odrzuciła rękę; skurcz chłodny i obrzydliwy szczęk, w ustach sucho, przetoczyła się po mokrej trawie, zerwała na nogi, ale Edek był szybszy, już ją opasał ramionami. – Cicho! Kurwo! Ciiicho! Co ty myślisz, że to żarty! Jutro już będziesz na gestapo w piwnicy! I ta twoja Żydowa też! Chodź tu i siedź cicho! A to ci cnota! – prowadził ją na bok – Chcesz!? Chcesz?! To ja ci zrobię lepiej! Odechce ci się bić zadem! Co? Płaczesz? Chodź tu! – Prowadził ją z powrotem, bezwolną, sadzał obok tego drugiego. Wsadził jej rękę między nogi. – Zobacz, Jacek, jakiego ma kota! Przywitaj się z nim...

Wróciła dzisiaj późno; matka tylko westchnęła, kiedy zdjęła przemoczoną od rosy sukienkę, i położyła się przy niej.

– Dorobisz ty się, dziecko! Matko Boska! Po tym hamaniu ty masz naturę! Płaczesz teraz?

– Bo mi smutno i żal! Bom nieszczęśliwa. Bom głupia!

Jadaś poruszył się, przerwał chrapanie, ucichły.

– Już tu o tobie i gadają baby – szepnęła matka. – Kiedy miałaś na koszuli?

– W tamtym miesiącu – odszepnęła Otylka.

– Dawno?

– Będzie z miesiąc.

– I nic?

– I nic...

– Może jeszcze będzie...

– Może. Mamo, ja muszę na dwa dni iść stąd.

– Gdzie cię Niemiec puści! Z głowy se wybij! Kogo do krów da?

– Pójdę!

– O Matko Boska! Jak nic da cię do Pustkowa...

Rano Otylka zostawiła matkę z krowami za mostem i pobiegła szybko z powrotem. Narastało w niej, wraz z poczuciem krzywdy, tkwiącej jak kamień pod sercem, pragnienie wyswobodzenia się z koszmaru, w jaki się wprowadziła przez pomoc Chajce. – Przecież on mi ciągle jakiegoś byka będzie sprowadzał – powtarzała sobie – a na końcu zda mnie Niemcom... Nienawisć, jaką wczoraj poczuła do Edka, spowodowała, że myśląc tak, aż przybladła i zacisnęła zęby. Jeden Władek, jeżeli żyje, może ją z tej opresji wyratować. A jak nie żyje? Nie chciała o tym myśleć

Doktor Kobyłski właśnie był po zastrzyku morfiny, którym stłumił straszny ból głowy promieniujący z tyłu czaszki do prawego oka. Kiedy Otylka zastukała do drzwi, wyprostowany już przekreślił klucz. Ruchem ręki odprawił służącą, która jak zawsze spóźniała się z otwarciem, i wpuścił Otylkę do gabinetu.

– A, to ty jesteś – pamiętał ją jeszcze z czasów, kiedy Otylka skreśliła nogę. Wiedział nawet, że miała dziecko.

– A jak twoje dziecko? – pytał. – Chłopak czy dziewczynka?

– Chłopak... – Otylka rozplakała się.

– Chory?

– Nie żyje... – znowu łzy.

– No... Będziesz jeszcze miała... Choroba? Wojna?

– Wojna...

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Wojna – powtórzył. – A co ty chciałaś?

– Żeby mi pan doktor zrobił tak, żebym zachorowała – wyrzuciła z siebie Otylka. – Bo mnie trojhander nie puści, a ja muszę na dwa dni do krewnych – płatała.

Doktor patrzył na nią w milczeniu.

– Jakże ja ci zrobię chorobę? Co, napiszę, że cię brzuch boli, kiedy tobą kamienie można tłuc...

– Złamała bym se nogę – mówiła przez zaciśnięte zęby Otylka – gdybym na jednej tam zaskakała, ale nijak się nie da...

– Bólu się nie boisz...

– Wytrzymam...

– Będziesz miała bliznę po szyciu...

– Co mi tam blizna...

Gdyby doktor Kobylski nie był po zastrzyku morfiny, może inaczej by się zapamiętywał na to, co zamierzał zrobić.

– Przetnę ci skórę na rękę. Długą ranę ci zrobię. Zaszyję i wygoi się. Ale chodzić będziesz mogła. Napiszę ci zaświadczenie do trojhandera. Będziesz mówiła, że upadłaś na kosę czy kosa na ciebie...

– Już ja tam panu – Otylka złapała go za rękę, pocałowała.

– Ani mi nie mów!

Matka Otylki stała przy schodach, obok Mosiądz trzymał gniadą klacz, na której jeździł przed wojną starszy panicz. Klacz zezowała na kobietę, tupiała i grzebała przednią nogą, żuła wędzidło.

– Stary dzisiaj jak ten diabeł – mówił Mosiądz. – Nic, ino nahajem tnie po krzakach i pokrzywach. Lepiej mu się nie nawijaj. Może jak poźre, to mu przejdzie, ale z rana to był, że nie daj Boże.

Trojhander wyleciał, matka Otylki złapała go pod kolana. Widocznie obiad poprawił mu humor, bo zawołał wesoło:

– A, pasterek! Padać na święty Jan! Nie padać, dziesięć na goła!

– Córka mi choruje, panie trojhanderze! Tyle krwi straciła!

– Was! Thoter krank! Blud! Was is? Abort?

– Na kosie się przecięła.

– Was is kosie? Kalicki!

Przyleciał Kalicki, treuhander dosiadł konia i cała procesja za kobyłą poszła do czworaku. Otylka leżała na wyrku, Jadaśka siedziała przy niej.

Obok na polepie stała żółta woda, którą dał jej doktor; rękę całą miała wysmarowaną jodyną, gruby bandaż wyżej łokcia. Cuchnęło apteką, jodyną i chloroformem. Otylka, błada ze strachu usiadła na widok treuhandera; ten trącił ją w ramię ręką, ściskając szpicrutę.

– Ty krank. Nider. Pokazać!

Matka Otylki wzięta z okienka zaświadczenie, które wypisał Kobylski; coś tam i po łacinie było, ale Niemiec tylko okiem rzucił na papier i kazał odwijać bandaż. Kiedy ukazały się pierwsze szwy powyżej łokcia, machnął szpicrutą.

– Genug! Kalicki! Nicht dniówka!

Kiedy się tylko ściemniło Otylka nakarmiła Chajkę, zostawiła jej w polewanym gliniaczkku wodę i w torbie po otrębach ziemniaki i chleb.

– Przyniosę ci mleka dopiero pojutrze. Leż tu cierpliwie. Teraz nie pasę, bo się zraniłam.

– Kolana mnie strasznie bolą – powiedziała Chajka. – I dźgała mi strasznie krwią. Językiem krew z nich wyciskam.

– Wytrzymaj jeszcze... Potem coś pomyślę. – Muszę siebie najpierw zratować, bo jak ja zginę, to i ty.

– Wytrzymam...

Poszła Otylka polami do wału. Szła wałem i dobrze już po północy doszła do tego miejsca, gdzie półprzytomny Władek Kuna przeprowadzał się przez Rzekę. O brzasku już skręciła w pola. Po przejściu szosy prowadzącej do Dzikowca w polach obok Jaśkowego przysiadła i zjadła chleba z młodą cebulą, kawałkiem słoniny i tam zastało ją słońce wysuwające się zza lasu. Wstała wtedy i na obolałych nogach poszła ku ciemniejącej ścianie boru. W południe zastukała do doktora Cudzowolskiego.

VIII

W ciągu tygodnia wykopał Kuna nową ziemiankę dla siebie, ale przenosił się do niej ponad miesiąc. Spowodowane to było kłopotami, jakie spadły na niego po zaopiekowaniu się uciekinierami. Musiał zadbać o jedzenie dla nich i najpierw strzelił kozła na posilną zupę z kaszą i ziemniakami, którą chudzielców karmił, a potem sporego przylatka, chudego wprowadził po zimie, ale z resztkami tłuszczu w mięsie.

Kosmyk szybko przyszedł do siebie, ale Kuba, któremu dżięsła gniły po obozowym jedzeniu i zęby się ruszały, pomatu przychodził do zdrowia, chociaż upierał się, że już całkiem wrócił do sił.

Włóczyli się z Kosmykiem trochę po lesie, a że był to okres smardzów, to jednego dnia przynieśli tych grzybów całą torbę i Kosmyk nagotował na nich zupy z kaszą i mięsem tego dziczka, którego Kuna tydzień wcześniej strzelił.

Obudzili się rano po obfitej kolacji, Kuna i Kosmyk głodni i szukający jedzenia, a Kuba nie bardzo się do śniadania brał, narzekał na bolące gardło i kichał. Wieczorem zagorączkował, spociał się i trząsł się pod przykryciem, zupełnie tak, jak przez parę dni po znalezieniu ich przez Kunę.

– Może to tyfus? – powiedział Kuna.

– Chyba nie – oponował Kosmyk. Tyfus jest zaraźliwy i wszy go przenoszą. Już chorowalibyśmy obaj, a nie tylko on. Jakbyś poszedł do jakiego, co się na tym zna? Może ten pasiecznik? Kaszle i gardło go boli, to pewnie bańki by mu postawić, albo pijawki. Różni ludzie się znają na tym. Może jaka baba...

– Skąd ci tu babę wezmę? – mruknął Kuna. – Pijawki u mnie w stawku były, ale się brzydziłem tego brać do ręki. Jest dobry doktor, który mnie ratował z gorszej choroby i dziecko mi... – tu zaciął się Władek, bo niepotrzebnie sobie Wojtka przypomniał, i nie kończąc już, machnął ręką.

– No, to może by jego – Kosmyk popatrzył na niego.

– Trzy mile stąd i pod samym poligonem – rozważał Kuna. – Nie byłem tam ze dwa miesiące, bo gdzie się pokażę, to Niemcy ludzi, winny czy niewinny, wybiją

albo do obozu wezmą. Sam nie wiem, czy i doktora nie wzięli albo nie zabili. Ale słyhać by było, bo to człowiek znany. Pójdę do niego. Noce teraz krótkie...

Wybrał się Kuna na noc. Pełnia akurat była, dobrze mu się szło i na rano był w lesie obok młyna w Sośniakach. Tu już szedł z karabinem przerzuconym na rękę, bo łatwo było o patrol z poligonu w tym lesie, ale zaraz przeszedł w pola językiem olszynowego zagajnika i do wieczora zapadł w młodniku, w którym była jego ziemianka przed rokiem. Dach się w niej zawalił, brzozyowe kołki sterczały w niebo, a on nawet do niej nie podchodził. Rozumował, że Niemcy mogli się na nią natknąć i wejście zaminować. Przespał cały dzień nie niepokoiony i na noc, podjadając po drodze chleb z łykowatym mięsem, obszedł zgliszczą Kątów i dotarł do drogi, którą czołgi i działa pancerne przewróciły do góry nogami. Przed północą stanął przed opuszczoną zagrodą, gdzie na szczerbatym płocie doktor zawieszał stary żelazniak, kiedy chciał się z nim zobaczyć. Dziurawy garnek tkwił na słupku od strony pastwiska, tak jakby go doktor wczoraj tam założył. Nie był jeszcze pewien, bo i dzieciarnia mogła ten gar tam zawiesić, ale przecież nie po to tu przyszedł, żeby odejść z niczym.

Dom doktora ciemny był i cichy. Stał chwilę, jak to miał we zwyczaju, kiedy przyszedł w nowe dla niego miejsce, i dobrze zrobił, bo od sąsiedniej chałupy odebrały się cienie, usłyszał kroki i głosy. Przywarł do grubej akacji. Żarzyły się ogienki papierosów; trzech ludzi przeszło мимо niego, usłyszał końcówkę zdania po polsku. Pomyślał, że to warta, jaką Niemcy kazali wystawiać sołtysom każdej nocy. Zza lasu wschodzić zaczął czerwony księżyc, rozjaśniło się trochę; Kuna zastukał w okno do pokoju, gdzie doktor sypiał.

Doktor przyzwyczajony był do nocnych wizyt; natychmiast pojawił się przy oknie.

Kuna stuknęła jeszcze dwa razy; Cudzowolski bez słowa chrobotnął kluczem w ganku.

– Wejdz! Myślałem, że cię gdzieś utukli. Ale z drugiej strony na pewno by się tym pochwalili. Musisz teraz bardzo w lesie uważać. Kupuję tu od jednego ich lekarza różne ciekawe rzeczy, bardzo porządny człowiek, chociaż Niemiec, to mówił, że sprowadzili z Tyrolu specjalistów od tępienia kłusowników. Wszyscy są uzbrojeni w snajperskie karabiny i broń maszynową. To najważniejsze! I drugie ważne. Trzy dni temu była tutaj twoja żona...

– Otyłka! – tchnął Kuna. – Coś... jakaś bieda? – mówił zaniepokojony nie na żarty.

– Zaplątała się w straszne kłopoty. Przechowuje gdzieś w jakichś ruinach żydowskie dziecko, dziewczynkę. Spenetrowały to jakieś łobuzy i ją dręczą, płakała... A ona nie ma się gdzie pozbyć tego dziecka. I jeszcze jedno. Ewa Bołdówna jest w Mieście. Żyje z jakimś gestapowcem. Twoja żona się boi, że ją Ewa rozpozna. Zostałaby tu z tobą, ale tamta Żydówka z głodu by umarła, a matkę niemiecki zarządca dworu Stajęskich mógłby dać do obozu.

Kuna usiadł i zbierał myśli. Natłok niepomysłnych wiadomości poraził go. Ewa Bołda może rozpoznać Otylkę! Będzie się mściła, czy będzie się bała? Otylka przechowuje Żydówkę! Sama nie bardzo ma co jeść i jeszcze Żydówka! I ktoś tam ją nachodzi – wspomnienie żony i syna, dojmujące z początku, potem coraz bardziej stłumione, odżyło.

Skrzypnęły drzwi. Doktorowa Cudzowolska weszła z lampą. Co prędzej zasłoniła okno.

– Żona była. O, jaką ma pan brodę, nie do poznania!

– Rzadko się golę – bąknął Kuna.

– Dobrze panu z brodą...

– Dałabyś spokój – zniecierpliwił się doktor. – Co ty o brodzie, kiedy ludzie giną... Typawa babska psyche...

– Zimą pan miał pewno ciężką?

– Ja przywykły. Umiem sobie poradzić i w największe mrozy. Mam dwóch ludzi, co z Pustkowa uciekli. Jeden mi zachorował, z tydzień będzie. Zamorzeni są. Chciałem, żeby doktor...

– Daleko przesiadujesz?

– Poza poligonami. W lasach panów weryńskich. Będzie trzy mile lasem.

– To na cztery dni musiałbym się wybrać. Byłoby podejrzane. Ludzi jestem niepewny. Może się druga taka Bołda trafić i wystarczy...

– Ja się dziwię, że on żyje. Zagłodzony był, że już na nogach nie mógł ustać. Jak mu trochę siły wróciły, to poszli na smardze i na drugi dzień zaczął narzekać, że go gardło boli, a teraz leży i kaszle, cały spocony, i nawet mało mówi, tyle co za potrzebą wyjdzie.

– Kaszle?

– Z początku to tak kaszlał, że go na kolana rzucało.

– Dam ci lekarstwo, które mam od tego Niemca. Będziesz mu dawał trzy razy dziennie dwie tabletki. I aspirynę. Też trzy razy po jedzeniu. I zioła będziesz mu gotował.

– Ten drugi musi koło niego robić. Ja do Miasta się wybiorę.

– Dobrze. Będziesz pamiętał? Tu masz trzydzieści tych tabletek – doktor sięgnął do szuflady. – Ogołociłeś mnie, ale nie ma innej rady. Chłop ma zapalenie płuc, jak amen w pacierzu...

– Ledwo żywy jest...

– Niech to zje, i zobaczymy...

– Panie doktorze... – zaciął się Kuna i zaczerwienił. – Jak... tam... żona...

– Zmizerniała. Na kosie się przecięła, to ją Niemiec puścił...

– Na kosie?

– Szyta była. Bandaż jej zmienilem. Rękę na temblaku niosła. Jak chcesz wracać?

– Noc krótka. Nic już dzisiaj nie nawojuję.

– To pościelę ci na strychu. Wyjdiesz na noc jutro. Przecież ty w lesie chodzisz w nocy jak w dzień. Strażują teraz z psami. Dam ci butelkę z naftą. Józkę odpraw jutro pod jakimś pozorem – zwrócił się doktor do żony. Ta zafrasowała się:

– Co jej powiem?

– Daj jej pieniądze i wyślij do Padewia albo do Bekasów po cukier i wódkę. Pomyśli, że na imieniny.

– Nie mam już kartki na cukier.

– O Jezu! – zniecierpliwiał się doktor. – Niech kupi na pasku. Ona tam wie dobrze, u kogo. Zaraz ci dam pieniądze.

– Dobrze. Pościelę panu.

Kuna zjadł u doktora spóźnioną kolację i poszedł spać. Żona doktora patrzyła za nim.

– Niby spokojny człowiek, a popatrz, jak storturował Bołdównę. I dziadka Pateraka zabił.

– Ma swoje poczucie sprawiedliwości i wymierza ją tak, jak on to rozumie. Nie każdemu się zdarzy, że zabiją mu najbliższych.

– Boże drogi, co z ludzi ta wojna zrobiła!

– Co jeszcze przed nami? – doktor zapatrzył się w szarzejące okno.

Leżał Władek na strychu u doktora i zaczęły mu przychodzić do głowy myśli takie, jakie mu nigdy głowy nie zaprzątały. Niewiele Władek myślał o Bogu. Chodził od dziecka do kościoła, spowiadał się i komunię przyjmował, przyznawał się księdzu do rauberki w pańskich lasach, przyjmował księżę strofowania i pokutę, jaką mu ksiądz dawał, i dopiero teraz zaczął dochodzić do tego, że wszystko dzieje się za zrządzeniem Boskim. Gdyby tych Ruskich nie wzięli do niewoli Niemcy gdzieś tam na froncie, gdyby nie zrobili dla nich obozu, gdyby nie wzięli do roboty przy tych wieżach tego skutego komanda, gdyby w końcu nie uciekli ten Kosmyk z Kubą, to nie musiałby iść do doktora Cudzowolskiego po lekarstwa. I Otylkę poniewierałyby jakieś miastowe świnię, a on o niczym by nie wiedział, bo skąd? Pan Bóg pokierował i wie. A swoją drogą, Otylka też się zaplatała z tą Żydówką. A dlaczego się zaplatała? A dlatego, że Niemcy mordują Żydów. Bo gdyby nie mordowali, to Otylka nie musiałaby tej Żydówki ratować i chodzić do doktora Cudzowolskiego. Wychodzi na to, że wszystko to jest przez Niemców, i zaczęło mu się płatać z tym zrządzeniem boskim, bo przecież i Niemcami, i Hitlerem, tak jak całym światem, Pan Bóg kieruje... Aż zezłościł się na siebie Władek za to rozpatrywanie wyroków boskich i dał sobie z tym spokój, tym bardziej że oczy mu się zaczęły kleić i wszystko zaczęło się rozmazywać.

Rzeka była już płytka i Władek przeszedł ją kilometr poniżej mostu. Podszedł trochę w górę rzeki i powoli podchodził do stada pasionego przez Otylkę i jej matkę.

Najpierw stara Mozgawa zwróciła uwagę na tego chłopca, który przyszedł od rzeki i usiadł pod krzakiem bokiem do nich. Nie bardzo się jej podobał. Licho ubrany, z torbą na sznurku, w kaszkiecie. Może to Żyd uciekający przed Niemcami, może ktoś, kto uciekł z transporu do Niemiec, może jakiś ukrywający się... Nieraz niebezpiecznie było się do takich zbliżać, bo przy takim można było sobie nieszczęścia napytać.

Otyłka zaganiała jakąś oporną jałowkę, która cały czas nawracała do owsa sąsiadującego z pastwiskiem. Zdyszana przyszła do matki, rękę miała zawieszoną na chustce, pomacała ją, bo jeszcze trochę rwała i ściągała pod szwem.

– Kołek by jej uwiązać na szyi, cholerze!

– Dałby ci Niemiec kołek! Co to za chłop?

– Który...?

– A ten, co tam siedzi przy olchach.

Otyłka patrzyła, patrzyła, aż jej oczy zaszyły łzami. Nie wierzyła.

– Czekał tu! Pójdę do niego!

– Nie...

– Czekał! – zerwała się, pobiegła.

Stanął nad nim, on patrzył do góry. Otyłka padła na kolana, objęła go, matka widziała tylko jej trzęsące się plecy.

– Cicho! Nie płacz!

– Jak mogę nie płakać? – szepnęła przez szloch. – Nie dam rady! Popatrz! Doktor Kobylski zrobił mi ranę i zaszył, żebym udawała chorą. Jeszcze rękę na chustce noszę. Wtedy do ciebie... Ale całą nadzieję straciła, bo doktor powiedział, że ciebie nie ma i nie ma...

– A ja trzy dni po tobie byłem u doktora.

– Dobrze, żeś przyszedł! Jezu! Co ja tu mam! – i ulga w szlochu i pewność, że to już koniec, że Władek odsunie od niej tę groźbę nad nią wiszącą.

– Tę Żydówkę trza od ciebie wziąć. Niech idzie ze mną!

– Gdzie ona pójdzie, jak ledwo żywa? Rematyz ją połamał. Od marca na ceglach śpi. Mokra nie mokro, mróz nie mróz. A jak ją weźmiesz, to myślisz, że te... – zmęła w ustach przekleństwo Otyłka – dadzą mi spokój? Nie dadzą!

– Ilu ich jest?

– Jeden. Teraz drugiego przyprowadził... – Otylce broda się trzęsła.

– Przyjdą dzisiaj?!

– A ja wiem? Przychodzą, jak...

– Wiesz, gdzie mieszkają?

– Za Zbożowym. Ale nie wiem domów.

– To źle – mruknął Kuna. – Ale nic... – zacisnął zęby, na policzku wyskoczył mu węzeł mięśnia. Poczekam. Mam czas. Kiedy przychodzą?

– Wieczór. Ja tu późno mogę ją karmić. Po doju...
– No i co chcą? Pieniędzy? Wygrają ci...
– Żeby tylko! O Jezu! Słodki Jezu! – rozszlochała się Otylka.
– Grandzą cię – domyślił się Kuna. Nic już nie mówił, nie pytał, ona też milczała.

Matka Otylki, obserwująca tę scenę z oddalenia, wspomniała Otylczynie wieczory i jej przemoczoną od rosy sukienkę; westchnęła i przeżegnała się. Przecież to Otylki chłop! Matko Boska! Odwróciła się stara, siadła do nich plecami, uderzała kijkiem o ziemię. Nie chciała nic wiedzieć.

Folksdojczce Uher i Tratsch otrzymali od krajslandwirta koncesję na połów ryb w Rzece sięcią i innym rybackim sprzętem i od tego czasu czuli się właścicielami odcinka rzeki od Wisły aż po Sulisław.

Jako że amatorów na rybę w tych głodnych czasach nie brakowało, obaj codziennie patrolowali brzegi rzeki w obrębie Miasta i poza Miastem, odbierając złapanym na gorącym uczynku wędkę i saki, kopiąc w tyłek i waląc nahajem, wygrażając Pustkowem i Oświęcieniem.

Dzisiaj też zapuścili się w kępę pod Miastem przy przewozie na Podwierzbie; mało wiele zabawili z jakimś chłopcem, odbierając mu wędkę i parę złowionych kielbi. – Będzie dla kota – mówił Uher, który chował spasionego na rybach kocura. Powściekali się chwilę na brzegu, kiedy łowiący na drugiej stronie podrostek pokazywał im, gdzie się ręka zgina. Nawet Uher rozebrał się do gaci i wlaź w wodę po pas; dał się ku tamtemu brzegowi, wrzeszcząc: – Donnerwetter! Verfluchte Polnische Schwein! – bo tyle na razie umiał z niemieckiego oprócz pozdrowień i Heil Hitler – ale ten gówniarz nie czekał na niego, wędkę zwinął i smyrgnął w kępę.

Zawdziął Uher portki na mokre gacie, ale nie przejmował się tym; gorąco się robiło nie na żarty, a na zachodzie już się pierwsze chmury zbierały, jak zawsze o tej porze.

– Musimy se kupić strzelby – mówił Tratsch – solą w dupę będziemy walić, to jeden z drugim skurwensyn da se spokój z rybami.

Szedł pierwszy, Uher za nim; Tratsch grał pierwsze skrzypce w tej spółce, bo syna miał w wojsku niemieckim, prawdę powiedziawszy, nie wiadomo, gdzie ten syn służył, w Wehrmachcie czy w SS, czy jeszcze gdzieś, w każdym razie czasem wpadał w mundurze i tyle, ale na długo się nie zatrzymywał. Wolał byłym kolegom z podwórka na oczy się nie nawijać.

Ścieżyna wila się krzakami, to w cieniu, to znów na słońcu, wychodziła na górki, które wiosenna woda nasypała i spadała w dolinki wydarte przez przyparte do ziemi kry po ruszeniu rzeki, i nagle Tratscha zatrzymało gwałtownie, tak że Uher o mało na niego nie wpadł.

Na kamieniach schodzących do wody leżał jakiś chłop w koszuli, na brzuchu leżał, tak jakby wodę z rzeki pił. Jego nieruchomość zastanowiła obydwu foksów; podchodzili coraz wolniej. Tratsch oglądnął się na Uhera, był mocno przestraszony, wargi oblizywał, spocił się od razu.

– Koszulę ma pokrwawioną, pewnie policjanci zabili jakiegoś Żyda, co się ukrywał – powiedział Uher.

Jak zahipnotyzowani zeszli nad wodę. Leżący nie ruszał się. Uher, śmielszy, wziął go za rękę, chciał przewrócić na wznak, ukazały się dwie szerokie rany na piersi po lewej stronie. Puścił rękę, rozglądnął się bezradnie. Chłopak był młody, jakby znajomy.

– To Zdybkowej syn – powiedział Tratsch – przedtem robił u Zajdena, teraz handluje, czym się da... – wstrzymał się Tratsch, bo to „handluje” nie bardzo pasowało do trupa.

– Ktoś go zostawił – szepnął Uher.

– Nie. On tu się przyczołgał. Pić mu się chciało... – Tratsch pokazywał ślad na piasku, w którym roilo się od mrówek.

Poszli za tym śladem w górę; polanka tam była w wiklinie. W wysokim mleczu leżał ktoś, ledwo z tego mleczu wystawał. Uher podszedł, znowu go odwrócił. Trup w oczach miał pełno mrówek, ale obaj go poznali. Zbożek Edek.

– To dworska kępa – mówił Tratsch tak przerażony, że broda mu się trzęsła. – Chodźmy do treuhandera.

Doktorowa otworzyła drzwi i przypatrzyła się Otylce. Była zła, ściągała podmalowane cienkie brwi.

– Proszę przestrzegać godzin przyjęć! Doktor teraz śpi.

Otylka pochyliła się jej do kolan.

– Kiedy mnie bardzo pili...

– Każdego pili!

– Szycie mam do wyjęcia...

– Przyjdź za dwie godziny!

Doktor sam przyszedł, usłyszawszy te pogaduszki. Trzymał się za głowę.

– A, to ty. Chodź!

Doktorowa zamiotła krótką sukienką, zatupała wysokimi obcasami, jakby była obrażona. Z głębi domu słychać było jej podniesiony głos, kiedy mówiła coś do służacej.

Doktor, jakby macając przed sobą powietrze, podszedł do biurka. Z błyszczącego pudełka wyjął małą strzykawkę, namacał na stole równie małą ampułeczkę, złamał, usiadł i suwał ręką po stole. Natrafił na pudełeczko z igłami; jego prawe oko zezowało, nie widząc, na Otylkę, nałożył igłę i wkuł sobie pod podciągnięty

mankiet, aż się Otylce zimno zrobiło. Nacisnął tłok. Chwilę siedział z zamkniętymi oczami, westchnął.

– No, pokaż tę rękę! Ooo! Wygoiło się jak na psiej skórze! Tyle że blizna będzie.

Wstał, otworzył duże srebrne pudełko, wyjął nożyczki, łapał za końce nici idące od węzłów, przecinał, wyciągał.

– No i w porządku – powiedział. – Blizna to głupstwo.

Otylka złapała go za rękę, pocałowała.

– No! No! – pogłaskał ją. – Założyłbym się, że jeszcze coś ode mnie chcesz.

– Panie doktorze, pan jest jak anioł. Matce bym nie powiedziała, ale panu powiem.

– A co? – mrugnął. – Było chcenie i dorobiłaś się czegoś?

Otylka chciała powiedzieć, że też i to, ale tylko rozplakała się, bo o łzy kobiecie najłatwiej.

– No nie becz, mów, co tam!

– Panie doktorze, ja w starej kaplicy mam... Żydówkę – wyrzuciła z siebie.

– Jezus Maria! – przestraszył się doktor. – Toś sobie narobiła! Niemcy zaraz strzelają. Tych dwóch to podobno zastrzelili za jakieś historie z Żydami.

Otylka chciała powiedzieć, że nie zastrzelili i nie za Żydów, ale ugryzła się w język i pomyślała, że nie na darmo Kuna na koniec powiedział jej, że jest głupia, i dalej tylko popłakiwała.

– Ona jest chora, panie doktorze. Trzy miesiące prawie siedzi pod ołtarzem na cegłach. Com mogła, tom poznosiła i jeść sobie od ust odejmuję..., matce nic nie mówię... Chyba mi się utopić przyjdzie – Otylka pomyślała, że lepiej już będzie, jak Żydówka zemrze, niż miałyby ją pociągnąć za sobą. A jak się trafi taki drugi Zbożek... Wstrząsnęło nią i aż gęziej skóry dostała.

– Czarna jest? Na Żydówkę wygląda?

– Ja ją tylko po ciemku widzę, to nie wiem. Ale pewno tak.

– To gorzej, ale będą u mnie chłopci z Przywiśla... Wdowiec z synem. Może... może się zgodzą... Powiemy im, że to z bogatych Żydów.

– Bo bogata..., ale ona nic nie ma... W jednej sukience ich wygonili.

– Wojna nie będzie wiecznie trwała... Może się zgodzą... To z Miasta Żydówka?

– Z Miasta. To Kilafunta córka... Jego w bóżnicy spalili... Matka z dziećmi też nie żyje... Mówiła mi ta baba, co ją do mnie przyprowadziła.

– Spróbuję... Przyjdź jutro wieczór... Mają u mnie być po południu.

Chajka siedziała na kupie zmurszałych cegieł wypadłych z ołtarza kaplicy i apatycznie drapała się po wychudzonych ramionach pod flanelową nocną koszulą, która służyła jej za sukienkę. Dokuczały jej obolałe stawy, tak że nie mogła się przewrócić na bok w wąskiej wnęce pod zawalonym ołtarzem. Do tego dołączył się świąd

oczu wywołujący silne łzawienie; dziewczyna ciągle wycierała powieki zabrudzonym rękawem i jeszcze bardziej zaostrzała stan zapalny spojówek.

Kiedy Otylka przyszła i powiedziała jej, że będzie się przechowywała u chłopów, przyjęła to w milczeniu i nie miała nawet siły okazać radości.

– Jeść będziesz do syta, bo to bogate gospodarze, spać będziesz w łóżku, będzie ci lepiej jak u matki w getcie.

– U matki było najlepiej, ale nie ma już matki, nie ma braci, nie ma nic... Tylko umrzeć mi i na nic nie czekać.

Dzisiaj Otylka spóźniła się, bo celiły się dwie krowy i to z jałówek. Treuhander stał nad dojkami i przywiezionym specjalnie chłopem z Woli, który się znał na porodach, do samego końca i dopiero kiedy cielęta spoczęły przy matkach, puścił obsługę.

Pobiegła Otylka i tylko kawałek chleba wzięła do kieszeni, ale Chajka nawet go nie ruszyła.

– Żeby mnie bolał jak gryzę – powiedziała i siedziała, milcząc, ze spuszczoną głową.

– Chodź – Otylka pociągnęła ją za rękaw.

Chajka wstała i powoli przesuwając obolałe nogi, szła za Otylką. Doszły do płotu parkowego i ruch, zamiast pobudzić dziewczynkę do wysiłku, wyczerpał ją zupełnie. Uchwyciła się siatki i dyszała ciężko.

– Chodź – niecierpliwiła się Otylka.

– Kiedy nie mogę. Daj mi odpocząć – szepnęła Żydówka i zakaszłała.

Zdesperowana Otylka przykucnęła.

– Włóż mi na plecy – szeptała. – Trzymaj się za szyję.

Powoli wędrowała z lekką jak piórko dziewczyną przywartą do pleców i oplatającą jej rękami szyję. Nie szła bezpośrednio do ulicy Mostowej, tylko skierowała się na dworskie łąki i szła równolegle do ulicy, aż dotarła do miejsca naprzeciw doktora Kobylskiego. Wtedy weszła pomiędzy ogrody spływające tutaj od ulicy aż do skarpy nad doliną rzeki i szła, dopóki nie natknęła się na tyły płotów żydowskich domów, których to płotów już prawie nie było, bo poszły na opał.

Chociaż Chajka była lekka, Otylka zdyszała się; przez swój oddech i bicie serca, które czuła w skroniach, usłyszała miarowe kroki patrolu, jeden z żołnierzy coś mówił i oświecał latarką porozbijane i wyrwane z futryn okna, ale wacha przeszła spokojnie i zniknęła w ciemności. Otylka weszła na obszerne podwórze adwokata Verstenliega; tu ktoś już mieszkał; przez wąską szparę rolety zaciemnienia widać było nikiel światło. Otylka przystanęła, bo nagle poczuła, że ślina napływa jej do ust. Usiłowała splunąć, bo sądziła, że to zaciśnięte na szyi ręce Chajki to powodują. Przykucnęła i zsadziła ją z pleców. I teraz napłynęła fala mdłości; Otylka wymiotowała, starając się robić jak najmniej hałasu. Przypomniała sobie, że kiedy chodziła

w ciąży z Wojtkiem, to też z początku dręczyły ją wymioty. – Mam, com chciała! – pomyślała i poczuła taką straszną nienawiść do Zbożka, że z mściwą przyjemnością pomyślała o jego chwilach konania, kiedy ostrze bagnetu Kuny od pleców szukało serc chłopaków. Starła się przedtem nie myśleć, odrzucała od siebie wspomnienie tej chwili, kiedy siedziała cała sztywna, pomiędzy nimi, napełnionymi wódką i chucią, i czując ich ręce błędzące po jej podbrzuszu. Zbożek tylko westchnął i, zdało się jej, zgrzytnął zębem, ale Zdybek umierał dłużej i trzeba było mu zatkać usta, bo krzyknął i jęczał, chociaż uderzenie bagnetu wydało się pewne. Strach pomyśleć, co by było, gdyby dotrwał żywy do chwili znalezienia przez Uhera i Tratscha.

Mdłości minęły, Otylka znowu wzięła na plecy Chajkę, milczącą i bezwolną. Przemknęła przez podwórze Verstenliegów, potem przez ulicę. Teraz szybko w dół ulicy. Ręce Chajki zaciskają się ostatnim wysiłkiem. Chajka dyszy tak jak mocna, wypracowana Otylka. I już zbawcza brama domu doktora. Ciemne zarysy koni i uspokajające chrupanie obroku. Od ściany domu odrywa się cień. To doktor. Jest po zastrzyku morfiny, spokojny i rozluźniony. Chłopy siedzą w jego gabinecie.

– Jest?! Daj ją!

– Panie doktorze, ona jest strasznie chora...

– Wnieś ją ze mną.

Wnoszą Chajkę przez wąski korytarz; służąca dostała wolne, żona doktora leży z okładem na głowie i kroplami waleriana na szafce obok łóżka. Z furją zaciska pięści, ale nic nie może poradzić. – Pomagał podczas nalotów, pomagał uciekinierom, z domu zrobił szpital, co ma z tego? Bóle głowy i morfinizm! – szepce przez zaciśnięte zęby doktorowa. – A teraz Żydówka! Przecież ja się przy tym wariacie przejadę! Ja chcę przeżyć wojnę, a nie gnić w jakimś obozie. – I zaciska piąstki i bije jedną o drugą, słysząc kroki i przyciszone głosy na korytarzu. Plusk wody w łazience Jej łazience! I słyszy tam przyciszoną rozmowę. – Jakaś kobieta jest z tą Żydówką – myśli doktorowa.

Otylka pierwszy raz zobaczyła Chajkę przy świetle i przeraziła się. Kołtun czarnych włosów, bladolina twarz, przygasłe czarne oczy, opuchnięte dziąsła w sinych szerokich wargach.

– Pomóż – doktor równie jak Otylka był poruszony widokiem Chajki. – Ile ona w tej piwnicy siedziała?

– Trzy miesiące... – szepce Otylka.

Doktor wychodzi, przynosi pudełko z brzytwami.

– Namydl jej głowę.

Otylka robi gęstą pianę na głowie Chajki, doktor z wprawą cyrulika goli ją do skóry. Ze wstrętem rzuca do kubła kłęb włosów i piany z żyłkami krwi. Spod brzytwy wynurza się gładka czaszka dziewczyny, pokryta pozdzieranymi brzytwą strupami

poczynionymi przez wszy. Chajka daje bez słowa robić ze sobą wszystko; jest bezwolna jak kukła.

– Zdejmuj z niej te łachy! – komenderuje doktor i Otylka rozdziera dosłownie rozpadłą starą koszulę nocną, która służyła Chajce za suknię, cuchnącą, równie cuchnące barchanowe majtki. Chajka nawet nie ma sił zakryć swojej nagości z ledwo wyklutym zarostem łonowym.

– Namydl ją.

Doktor goli nawet ten zarost na kościstym wzgórku łonowym. Wsadzają Chajkę do sprowadzonej jeszcze przed wojną z Hamburga wanny doktorowej. Polewają ją ciepłą wodą.

– Jeszcze nigdy mi tak dobrze nie było – szepce Chajka jakby do siebie.

Otylka zbiera łachy Chajki, pakuje do kubła, doktor wyciera dziewczynę do sucha i ubiera w bieliznę i sukienkę. Dla pewności sypie jej w dekolt wojskowy proszek przeciw wszawicy. Krytycznie ogląda kolana i łokcie Chajki, popuchnięte i poranione.

– Damy aspirynę – mówi. – Powinno przejść. To twarda rasa. Pojedziesz rano pod sianem. Musisz wytrzymać. Potem będzie dobrze.

Otylka po ciemku położyła się obok matki. Matka nie spała.

– Mój ty Boże! Żeby tak latać po nocach jak ostatnia kurwa! – szepce. – Nie wytrzymasz bez tego? Znowu się dziecka dorobisz! Miałaś na koszuli?

– Nic nie miałam – mówi głucho Otylka i patrzy w ciemność. – I nic nie będę mieć! Rzygam, jak kot robokami. Będę miała dziecko...

– A wiesz, kto ojciec? Bo przecież twojego tu nie było...

– Ojciec w maślonce się utopił – Otylka wykrzywiła wargi w gorzkim uśmiechu, którego stara nie widzi w ciemności; pomimo zmartwienia ciężą jakoś ulżyło jej na duszy, już niczego się nie boi. Będzie, co Bóg da...

Stara zna to powiedzenie, że ojciec w maślonce... egzystujące od wieków w tych okolicach, określające nieślubne dziecko. – Znowu wstyd – szepce. I dodaje: – Nie wiesz, kto to?

– Ojciec nie żyje... – szepce Otylka – a nawet żeby żył... – nie kończy i łzy ma pod powiekami.

– Śpij – mówi matka. – Nie dogada się z tobą.

Od czasu zamieszkania z untersturmführerem Skolasko Ewa Bołda stała się zupełnie inną kobietą. Nie chodzi o ubiory, których jej wpływowy kochanek nie żałował. Nawet nie o to, że wydelikatniały jej ręce i zniknęła pod opalenizną czerwoność nóg, narażonych niedawno na zmiany pogody i różne przemarznięcia. Zapomniała szybko, że kiedy przyszło jej przepłukać po praniu kilka sztuk bielizny, to

nawet w parostopniowy mróz nieubrana wyskakiwała z domu i przykleknawszy gołymi kolanami nad przeręblą w stawku, za parę minut przynosiła wypłukane i wyżęte łąchy.

Zmieniła się Ewa nie tylko na urodzie i modzie, ale zaczęła się też zastanawiać, co dalej.

To, co zrobił Kuna z nią, żołnierzami i Paterakiem, a nawet z niemieckim psem w Sośniakach, gdzie ją diabli ponieśli na randkę z wesołym Wilfridem, którego za chwilę widziała patrzącego martwymi oczami w sufit, napełniało ją takim przerażeniem, że Ewa zamykała teraz w sobie te wiadomości, które mogłyby narazić ją na powtórne spotkanie ze strasznym gajowym nieboszczyka pana Hinceza.

Nie można powiedzieć, że Ewa nie chciaaby się zemścić, ale myśl o zemście odsunęła do tego czasu, kiedy Skolasko powie jej, że Władek nie żyje.

Nawet podejrzenia, jakie miała co do doktora z Łosiowa, zachowała dla siebie i kiedy Skolasko napomknął jej, że mogłaby się przejechać do rodziny i pozbiierać jakieś wiadomości, to tylko wybuchnęła płaczem, roztrzęsło ją i powiedziała:

– Ledwo mi ślady po mrówkach zeszyły. Jak nie będzie na świecie tego piekielnika, to wtedy pojedę. A jak chcesz się mnie pozbyć, to mnie wyślij do Niemiec do roboty i niech mnie tam zamęczą, a do domu nie pójde.

Ewa postanowiła wojnę przeżyć i nikomu się nie narazić, tym bardziej że systematyczne wystrzeliwanie konfidentów stawało się głośnie i wielu rozparzonym ludziom, którzy niemieckimi rękami chcieli załatwiać swoje porachunki, odebrało rozpęd i ochotę.

Ten smutny fakt stwierdzili zgodnie Lamsdorf, komendant żandarmerii Deurenfurth, komendant granatowej policji Dworacki, a nawet szef Gestapo Raischoff standartenführer Kramer, bo kilka dni po zastrzeleniu przez „Kazia” mechanika Potoczka, przed budynkiem gestapo w Mieście pojawił się czarny samochód z jednoznacznie chorągiewką, z którego wysiadł SS Sturmbanführer Tschajke.

Lamsdorf nie był tym zaskoczony, ale Skolasko, który wybierał się w ten słoneczny i upalny dzień czwartkowy po południu nad rzekę z Ewą i psem (nowy jednocześnie kostium kąpielowy, z którego dziewczyna wykwitowała jak marmurowa kariatyda, to widok, który cieszy oko każdego nordyka), kazał Ewie iść nad rzekę samej, a on rad nierad pozostał w biurze.

Ewa wzięła na smycz ładnego owczarka niemieckiego, którego nie zносиła za natarczywe zalecanki, o czym Skolasce nie mówiła, ale kiedy mogła, to psa głodziła i tłukła drążkiem od miotły. Nie wiedziała, że Luks, bo tak się pies wabił, był ze Skolaską w przejściowym obozie, z którego rozsyłano więźniów, tego do pracy w Rajchu, tego do koncentraka, tego do obozu pracy, a jak trzeba było, to na miejscu likwidowano skazanych więźniów. Obóz był koedukacyjny i strażnicy z nudów, widząc dobre chęci psa, nauczyli go spółkować z kobietami. Te nieszczęśliwe isto-

ty, najczęściej Cyganki i Żydówki, ale też Polki, szmuglerki, bite i maltretowane, bez oporu poddawały się tej seksualnej torturze ku ucieście strażników i obozowych funkcyjnych, dla których spektakle psiej miłości urządzano w pustym baraku.

Po przeniesieniu Skolaski do Miasta, untersturmführer zabrał psa ze sobą, nie widząc, że był specjalnie uczony takich zabaw, Luks zaś, nie znajdując ujęcia dla swoich uczuć, zaczął dręczyć Ewę, która opędzała się od niego jak mogła. Szczególnie dokuczliwy był w czasie periodu, cały czas szukając okazji do wsadzania jej głowy pod sukienkę i adorując ją zawzięcie.

Dzisiaj jednak Luks bardziej węszył za zapachami płynącymi od pól, gdzie suszono siano, i szedł potulnie przy nodze, a na plaży, uwiązany do krzaka, położył się w cieniu i cierpliwie czekał na pana.

Skolasko tymczasem słuchał tego, co mówił Tschajke. Stan penetracji społeczeństwa polskiego znacznie się pogorszył. Zmniejsza się liczba donosów, nawet tych anonimowych; po wsiach nieznani ludzie regularnie tłuką po tyłkach sołtysów zbyt gorliwie dbających o wywiązywanie się z kontyngentów.

– Większość z tych, którzy otrzymali po dwadzieścia pięć, nie przyznaje się do tego i wiadomości o pobiciach docierają do nas okrężnymi drogami – mówił sturmbanführer Tschajke. – Zdarzają się przypadki współpracy granatowych policjantów z bandami podziemnymi. Jakiś procent Polaków przetrzymuje i przechowuje Żydów. Trzeba nasilić antyżydowską propagandę. Do tego proszę wykorzystywać żydowskich policjantów, którym należy pozwalać na konflikty z Polakami, co więcej, starać się w sposób zakamuflowany stawać po ich stronie. Z drugiej strony pozwalać rozchodzić się wieściom o krzywdach Polaków z ich strony. Dotychczas wykorzystujemy tych policjantów do tępienia resztek żydostwa, teraz trzeba podchodzić do ich zadań elastycznie. Używać ich też do tropienia polskich organizacji, które, jak nam ostatnio wiadomo, mają nawet specjalne komórki do spraw pomocy Żydom.

Co do ogólnej sytuacji naszych wojsk, to – tu sturmbanführer Tschajke uśmiechnął się triumfalnie – wszystko przebiega planowo. Führer i sztab generalny są pewni wyczerpania się rezerw rosyjskich. Wyczuwa się to w cofaniu Rosjan, równie panicznym, jak w poprzednim roku, do tego stopnia, że jeńcy zeznają o oddziałach zaporowych, które strzelają w plecy cofających się. Po rozbiciu armii rosyjskiej na Powołżu i na stepach kubańskich, co przesądzi losy wojny, połączymy się z naszymi wojskami przebijającymi się przez angielskie enklawy na Bliskim Wschodzie i w Afryce. W sowieckich republikach zakaukaskich mamy sprzymierzeńców, o czym świadczy masowe poddawanie się i dezercja z wojska sowieckiego i spontaniczne tworzenie się jednostek narodowościowych SS spośród jeńców, przedstawicieli tych narodowości. Słucham teraz panów – zakończył swój występ Tschajke.

– O ile można, sturmbanführer – podniósł się Lamsdorf – usiłujemy zewidencjonować ludzi, którzy mogą mieć coś wspólnego z organizacjami podziemnymi. Byli-

śmy na tropie komendanta AK. Niby spokojny przedsiębiorca, mieszkający w budynku w większości zajęтым przez rdzennych Niemców i volkschdeuschów, a kiedy zrobiliśmy nalot, to mieszkanie zastaliśmy puste i pomimo założenia tam kotła przez tydzień, nikogo nie ułowiliśmy. Oczywiście, rozlepiliśmy plakaty z fotografią, którą udało nam się znaleźć w dziale personalnym Flugzeuwerku... puściliśmy jego tropem konfidentów, braci Gustnych, ale już, niestety, nimi nie dysponujemy. Mieliśmy trupa tego bandyty, który zastrzelił starszego Gustnego, niestety, głowa strzaskana wybuchem i ślad się urwał. Nie mamy jeszcze współpracowników w samych organizacjach...

– A ja mam, ale muszę być ostrożny, bo to człowiek, którego używam rzadko i w ważnych sprawach. Niemniej Kronenbergera wam przekazałem, a wy, untersturmführer, tylko biadacie i popełnacie szkolne błędy! Ostatnio miałem wiadomość, że Heinz zastrzelił na moście jakiegoś niedobitka Żyda z córką. Jest już kilka miesięcy od akcji Reinhard na waszym terenie. Gdzieś ten Żyd musiał się przechowywać z tą dziewczyną. U kogo się ukrywali, Heinz nawet nie spytał, tylko ciągnął za cyngiel. Pracujesz, Riegel, w gestapo, a nie w sonderkommando. Czasami przy banalnej sprawie wychodzą ważne wątki.

Heinz zerwał się, trzasnął obcasami.

– Jawohl, sturmbanführer!

– Jeżeli można, sturmbanführer – wstawał Skolasko, który chętnie pooglądałby Ewę w kostiumie kąpielowym i porzucał patyka do wody, co pies uwielbiał. – Nie zwróciliśmy dotychczas uwagi na tak zwane bandy rabunkowe bez tła politycznego. Rekrutują się z przedwojennych jeszcze rzezimieszków, chłopaków zbiegłych z Bau-dienstu i uciekających przed wyjazdem do Rajchu... Mamy taką bandę w gminach graniczących z kreishauptmanschaftem w Dąbrowce. Doniesienia mówią o kilkunastu ludziach, dobrze uzbrojonych, wśród których jest kobieta. Są groźni nie tylko dla Polaków, mają na sumieniu żandarma i kilku granatowych. Dowodzi nimi bandyta słynący z siły, wysoki, postawny, znany sprzed wojny kryminalista. Zamordował swoją żonę, która związała się z granatowym policjantem. Ostatni jego wyczyn – tu Skolasko uśmiechnął się – to zgwałcenie panny młodej na weselu, które banda odwiedziła. Jest to człowiek z fantazją. On gwałcił dziewczynę na środku podwórza, a pan młody trzymał zapaloną lampę, zaś całe towarzystwo trzymała w szachu pod karabinem kobieta z bandy. Komendant policji z Mokrego Gruntu to lojalny policjant, nie mam powodu mu nie wierzyć.

– Z takich incydentów to tylko należy się cieszyć. Nie muszę wam chyba na ten temat nic mówić – powiedział Tschajke. – Niech się żrą między sobą. To typowe dla tego narodu. Dochodzą nas słuchy, że w ich organizacjach politycznych też jest niewesoło. Są znaczne tarcia pomiędzy tak zwaną Armią Krajową i ludowcami, nie mówiąc już o skrajnych narodowcach i komunistach. Są też luźne, zupełnie niepod-

porządkowane grupy. Mamy taki oddział za Wisłą na terenie dystryktu Kielce. Ci nawet nie chcą słyszeć o Armii Krajowej.

– „Ruszczyć!” – wstał Lamsdorf.

– Proszę! Mówcie, untersturmführer.

– Mieliśmy go w rękach, ale potrafił zdjąć kajdanki i uciec. Drukuje gazetkę. Wpadło nam w ręce sporo kolporterów i drukarzy tej gazetki. Nawet na terenie działania gestapo w Tarnowie zginął jego brat. On jednak uparcie dalej drukuje tę gazetkę. Mocny typ.

– Nie ma co się dziwić – Tschajke wsiadł na swego ulubionego konika. – Przecież tu większość ma pochodzenie niemieckie. I to nie tylko z kolonizacji cesarzy austriackich, ale dawniejszej, od głębokiego średniowiecza począwszy. Wyobraźcie sobie, panowie – przeszedł na półsłużbowy, półfamiliarny ton – doniesiono nam, że w okolicach Krosna jest wieś osadzona na prawie niemieckim za jakichś tam ich książąt czy królów. Pośleliśmy specjalistów od badań antropologicznych oraz doktora Grosche, historyka z monachijskiego uniwersytetu. I co powiecie? Jeden w jednego typy nordyckie, blond bestie, jak nie przymierzając Heinz Riegel, a nazwiska wszystko niemieckie. To samo jest wśród górali w Tatrach. To też germańskie plemię, które można będzie wykorzystać po przeniesieniu tutejszej hołoty gdzieś za Ural.

– „Ruszczyć” jest czarny jak kruk. Prędzej wygląda na południowca niż na nordyka – poderwał się na baczność Riegel.

– Frankowie też byli plemieniem germańskim – wtrącił Skolasko, który, niestety, bardziej wyglądał na południowca niż na nordyka.

– Tak więc, wróciwszy do tego, co mnie tutaj sprowadza – opamiętał się Tschajke i spojrzał na Skolaskę jakby chciał sprawdzić jego nordyckość. – Czekamy, po pierwsze, na nowych zurbringen, drugie: musicie ich bardziej zakonspirować, trzecie: policjantów żydowskich ustawiać zawsze jako ważniejszych od Polaków. Dalej. Ze względu na coraz to bardziej ważną produkcję Zakładów imienia Göringa, penetrować środowisko pracowników. Następnie, bezwzględnie egzekwować kary za zabicie Niemca lub Polaków współpracujących z nami. Wytypować zakładników, którzy będą przykładnie likwidowani w takich razach. Proszę o sporządzenie list znaczniejszych ludzi, których będziemy likwidować w ramach tej akcji. I jeszcze jedna sprawa. Bardzo ważna. Poligony. Chciałbym wiedzieć – zwrócił się do untersturmführera Skolasko – jak wpłynęło sprowadzenie mistrzów celnego oka na zabezpieczenie tego terenu, który jest pod waszą opieką.

– Nie mamy więcej napadów – zerwał się Skolasko. – Ludność nie zbliża się do rejonu poligonów na odległość kilometra. Trudno, ale te pola muszą leżeć odłogiem. Sam widziałem realizację mojego planu. Zamaskowane w listowiu dębu stanowisko snajpera. Kobieta weszła na odległość, jak potem stwierdziłem, dwustu

metrów w głąb poza tablice zakazujące poruszania się ludności cywilnej. Jeden strzał i po niej. Kreska na kolbie. Miał osiem takich kresiek w ciągu miesiąca, z różnych stanowisk.

– Gratuluję! A co do tego, który cię zranił? – Tschajke spojrzał na Riegla.

– Albo się wyniósł, albo zginął podczas tworzenia pasa bezpieczeństwa wokół poligonu – podniósł się Riegel.

– Nie byłbym taki pewny – pokręcił głową Tschajke. – Sygnalizowano nam ucieczkę z Pustkowa czterech więźniów. Jednego czy dwóch zabito, dwóch na pewno nie złapano. Podczas tej ucieczki strzałem w głowę z oddalonego o sto metrów lasu unieszkodliwiono dwóch strażników w wieżyczkach. Jeden zabity, drugi kontuzjowany. Ten ktoś, kto strzelał, strzelał dobrze.

– To daleko od poligonów – powątpiewał Skolasko.

– Trzeba jednak pomyśleć o penetracji lasów poza pasem bezpieczeństwa. Tyrolczycy i strzelcy alpejscy mogą to zrobić bez wysiłku. Dla nich las to dom. Wszyscy to byli kłusownicy albo służba z lasów. Dopilnujcie tego. Nie chcę już mieć skarg z dowództwa poligonu. Będziemy kończyć – wstawał Tschajke. – Przekazuję podziękowanie za dobrą pracę waszej jednostki podczas akcji Reinhardt. Heil Hitler.

Lamsdorf, Skolasko i Riegel zerwali się i wyrzucili ręce w górę. Wrzasnęli jednocześnie.

IX

Fryzjer Górniczewski rozrobił w mosiężnej balwierskiej miednicy z wcięciem na kark pianę mydlaną i zbliżył się do drewnianego obrotowego fotela, w którym siedziała Szumska. Jej długi warkocz, rozwinięty, zwisał po obydwu stronach twarzy aż do pasa. Krył się pod nim mocny biust, unoszący w takt oddechu czarny pled włosów żony stolarza.

Górniczewski łakomie spoglądał z góry na wspaniałości ciała Szumskiej, penetrując przy sposobności dekolt letniej sukienki klientki.

– Już kilka razy proponowałem łaskawej pani ścięcie tego balastu – mówił, sprawdzając dłonią temperaturę wody. – Jest to niepotrzebne obciążenie. Nie powiem, że nie przydałaby mi się taka peruka, ale to przede wszystkim wygoda dla pani. Odpada rozczesywanie i zaplatanie, wieczorne i poranne, i te wszystkie ceregiele... Na to mogły sobie pozwolić nasze babki, i to te, które miały służbę, obecnie życie biegnie prędko, kobiety muszą się rozglądać za produktami, stać w kolejkach, nieraz trzeba wyprawiać się na wsie...

– Wie pan co? – powiedziała nagle Szumska – może się zdecyduję...

– To tniemy! – ucieszył się Górniczewski.

– No..., niech będzie...

– Marysia! Ania! – wołał na czeladniczki pracujące w sąsiednim pomieszczeniu.

– Pani majstrowa ścina włosy! Robimy trwałą!

– No, jeżeli zetnę, to bez trwałej się nie obejdzie – zgodziła się zrezygnowana Szumska.

– To najpierw zetniemy, potem mycie i trwałą – pochylał się nad stolarzową fryzjer.

Szumska pomyślała, że mąż, który lubił jej długie włosy i rozczesywał je nieraz wieczorem, będzie jej miał za złe ścięcie tej ozdoby. Mała zmarszczka ukazała się nad jej nosem, ale fryzjer, śledzący wyraz twarzy klientki, zatrząsał nożyczkami nad jej uchem, więc z determinacją pochyliła głowę, a kiedy Górniczewski kładł na stoliku odcięty pęk włosów zebrany w garść, westchnęła tylko cicho.

– No, a teraz druga strona – gruchał Górniczewski i położywszy drugi pęk włosów obok pierwszego, znowu zatrząsał nożyczkami. Konfidencko pochylił się nad kobietą i szepnął: – Ja już nie wiem, czy wypada nawet mówić do pani, pani majstrowa.

– A to dlaczego? – spoglądnęła na niego spod rozsypanych włosów zdziwiona Szumska.

– No, bo wie pani, kiedy tylko idę ulicą Pułaskiego, to widzę, że znowu warsztat powiększony. Toż to istna fabryka! Nie ma rady, trzeba będzie panią tytułować fabrykantową.

Szumski, chociaż małomówny i zamknięty w sobie, złapał się za głowę.

– Coś ty z sobą zrobiła?

– A co?! Nie podobam ci się?

– Podobasz, ale tamto było lepsze.

– Za bardzo mi już to ciążyło. I odróżniałam się od innych kobiet.

– Co ty mówisz? Po kolei wszystkie warkocze noszą i zawijają je na głowie.

– Mysie ogonki, a nie kilogramy fryzury.

Szumski nic już nie powiedział, a żona dodała:

– Górniczewski już mnie zaczyna tytułować fabrykantową. Niby że ciągle powiększamy firmę.

– No i pięknie! Pracuje się dla Trzeciej Rzeszy, to i jest... – uśmiechnął się Szumski.

– Dzisiaj – szepnęła żona.

– Dzisiaj – potwierdził.

Kiedy Szumska wyszła od fryzjera, uczennica, Władka Rapkówna, posprzątała i przeszła do drugiego pomieszczenia. Górniczewski spojrział na Anię, chudą blondyneczkę, z którą żył od paru lat, nie decydując się jednak na ożenek, a ta skrzywiła wąskie usta.

– Jak jej mistrzu powiedział „fabrykantowo”, to mi dwa złote tringle dała.

– Taka ona fabrykantowa, jak z raka ogier.

Ania i Marysia zachichotały, a Górniczewski podszedł do ściętych z głowy Szumskiej włosów i ujawszy je w obydwie dłonie, potrząsnął jak buńczukiem.

– Landratowej wdowie od tego dupczenia i picia zaczęły włosy wyłazić. Utleni się połowę tych włosów i będziemy jej dopinać. Już dawno mnie prosiła.

Marysia zapaliła papierosa i patrzyła w okno. Powiedziała wolno:

– Nie umie sobie poradzić. Pojechałyby do Pustkowa albo do tego naszego obozu i ostrzygłaby jaką Żydówkę. Utleniłaby i miała.

– Gdzie by taka pani żydowskie włosy nosiła! Zresztą, oni wszystkie tam strzygą. Idę do Janoskiej na piwo. W razie czego poślijcie tę wioskową niezgułę, niech mnie woła.

Na Władkę Rapkówną, pochodzącą z rodziny świeżo przesiedlonej z Lasowej do pożydowskiego domu na ulicy Mostowej, na razie inaczej w zakładzie nie mówiono jak wioskowa niezguła.

Dopiero o trzeciej nad ranem Szumski był gotowy z odszyfrowaniem depeszy i nadaniem swojej. Szumska pierwsza poszła do sypialni i kiedy wszedł, w ręce miała lusterko oprawne w czarny dąb, pozostałe po matce Szumskiego. Odłożyła lusterko na szafkę nocną i spojrzała na męża.

– Co o tym myślisz? – spytała.

– Nie jesteśmy od myślenia, ale chociaż się cofają znowu, to jednak nie jest to takie cofanie, jak w zeszłym roku.

– Z czego tak sądzisz?

– Jeńców mniej, to raz. Straty niemieckie dużo większe, to dwa. Na tyłach dużo oddziałów partyzanckich. Cała armia musi być zatrudniona do ochrony torów i dróg. I najważniejsze: pomimo cofania się, już interesują się głębokimi niemieckimi tyłami, czyli naszym otoczeniem. Połowa depeszy dotyczy polskich organizacji niepodległościowych, systemów działania, osiągnięć, propagandy, uzbrojenia, pomocy z Londynu, zrzutów...

– Zrzutów?

– Podobno Londyn zrzuca na nasze tereny ludzi i materiały. Pamiętasz sprawę Kronenbergerów? Oni mieli zrzuty i jakieś kontakty z Londynem.

– O Żydów pytają?

– Nie...

– Nic ich to nie obchodzi...

– A myślisz, że tych na Zachodzie, to obchodzi? Mają ważniejsze sprawy na głowie niż Żydów. Sami Żydzi zresztą też się o swoich nie upominają.

– Może się upominają, ale są za słabi, żeby ich słyszeli.

– Może...

– A tymczasem Hitler wytlucze cały naród!

– Żadnego narodu nie da się wytłuc do nogi.

– Trzecia trzydzieści – powiedziała Szumska. – Czas spać...

– Podobasz mi się w tej fryzurze.

– To dobrze.

Wiedeńczyk Horst Longard, właściciel Spółdzielni „Społem” w Mieście, rzadko kiedy wychodził z pracy przed godziną piątą po południu i pracownicy spółdzielni przyzwyczaili się już do tego, że obiad trzeba jeść z podwieczorkiem, a jak dobrze pójdzie, to i z kolacją.

Dzisiaj Longard przeszedł samego siebie i Pustulka, przez półotwarte drzwi swojego baraku obserwujący rozległe podwórze spółdzielni, przytykające do torów

kolejowych, gdzie stały magazyny, zauważył Niemca wychodzącego z tej ich części, w której leżał cement w workach. Za Longardem wybiegł magazynier z kaszkietem w ręku i schylony coś do niego mówił. Longard odpowiedział mu przez ramię ostro, a tamten wrócił do magazynu i zamknął za sobą drzwi. Niemiec wszedł do budynku biurowego, był tam chwilę i zaraz zniknął w stajniach, w których nie było koni, bo wszystkie wyjechały w rozjazdy. Longard wybiegł stamtąd szybko i skierował się wprost do baraczku Pustułki. Ten błyskawicznie wyrzucił na biurko dwa segregatory i zeszyt, złapał ołówek i linijkę i zaczął rubrykować niedokończoną kartkę. Longard wszedł, rozglądnął się po pomieszczeniu.

– Zostajesz, Pustułka, na noc z chłopami i stróżem. Będziecie zładowywali cukier do magazynu – powiedział dobrą polszczyzną. – Idź do domu, zjedz coś albo weź coś do jedzenia. Będzie transport, jedenaście ton. Wagon wprowadzić pod magazyn, trzech ludzi da radę znieść to szybko. I zaraz szybować wagon na stację, bo nie będę płacił postoju. I nie chcę nawet słyszeć o tym, że jakiś worek się rozleciał, był pęknięty. Jak mi pół kilo cukru zginie, pójdziecie do Pustkowa. Ten cukier ma iść – pogrzebał w kieszeni, wyjął kartkę, oddalił od oczu – dwie tony na Hohenhof i inne miejscowości niemieckie, dwie do Soldatenheimu, a reszta na razie pozostanie w magazynie. Kreishauptman ma zdecydować o reszcie.

– Kiedy ja się prześpię? – bąknął Pustułka, który w tym półżarcie zawarł to, na co mógł sobie pozwolić wobec Niemca.

– Chopok jesteś – rzekł tamten, zupełnie jak chłop z Podwierzbia, i obnażył zdrowe żółte zęby. – Po wojnie się wyśpisz. Leć se teraz pojedz, a zanim wagon przyjdzie, to się zdrzemniesz.

Pustułka poszedł do domu, zjadł talerz kaszy jaglanej z roztopioną margaryną i popił to odwirowanym mlekiem. Wziął do kieszeni kawał chleba i sporą cebulę, a do papierka soli, i wyszedł. Za płotem natknął się na jakiegoś wysokiego jegomościa w pumpach i koszuli. Gębę tamtego, pod nosem jak dżagan, przekreślał czarny wąs. Poza tym był gładko wygolony. Gość zdawało się oglądał słoneczniki w ogródku u sąsiada Pustułki, kolejarza Kozika, a zobaczywszy Pustułkę powiedział: – Dzień dobry – i uśmiechnął się ujmująco.

– Pan Pustułka?

Gość nie wyglądał na gestapowca czy nawet Niemca, i Pustułka, któremu początkowo serce podeszło do gardła, po chwili wahania skinął głową, przełknął ślinę i rzekł obojętnie:

– Tak, Pustułka.

– Pan teraz nie ma czasu zapewne. Wpadłbym do pana wieczorem. Na parę słów tylko.

– Dzisiaj pracuję całą noc... – Pustułka czuł, że nie może powiedzieć nie.

– Może w takim razie jutro.

Pustułka uznał, że nie należy pytać, po co nieznajomy ma do niego przyjść. Powiedział:

– Śpieszę się do pracy.

– No, to do jutra – nieznajomy poszedł, energicznie wymachując rękami i powiewając nogawkami obfitych pumpów.

Longarda nie było, Pustułka podążył do stajni, gdzie cztery konie po powrocie z wyjazdów chrupały obrok, a jeden z furmanów jadł chleb i popijał zabielałą kawą z flaszki od piwa.

– Gdzie reszta? – spytał Pustułka. – Wiecie, że jest cukier do rozładunku?

– Poszli pojeść. Pan Longard kazał.

– No, wagon będzie na dziewiątą albo trochę później, jak nic się nie zdarzy.

– A co ma się zdarzyć? – furman łknął resztkę kawy. – Orobi się tylko człowiek jak cholera. Becukszajn by się przydał na skórę do zimowych butów dla chłopaka.

Urzędnik uznał to ostatnie stwierdzenie za retoryczne i poszedł do siebie. Upał lejący się z nieba przez cały dzień zelżał, od Rzeki ciągnął pachnący wilgocią powiew; Pustułka pomyślał, że mała drzemka chociażby na papierowych workach, które leżały obok w magazynku, nic mu nie zaszkodzi. Położył się i rzeczywiście zasnął. Mrok już zapadł w pomieszczeniu, kiedy otworzył oczy. Słońce czerwoną tarczą dotykało czwartkowskiego lasu, niebo nasycalo się przedwieczornym fioletem, pod dachem baraku wróbla rodzina układała się do snu, ćwierkając coraz sennie, a za murem ograniczającym podwórze spółdzielni Longarda, gdzie był stary kierkut, z którego sukcesywnie wywożono macewy i brukowano nimi drogę do przewozu na Rzece, zawrzasnął kot i zawtórował mu płaczliwie drugi. – Co u licha – pomyślał Pustułka. – Przecież koty marcuja się na wiosnę. – A kiedy koci duet, wzbijając się crescendo, to znowu opadając prawie do słabego miauczenia, stał się zbyt natarczywym, wziął spod stajni drabinę i oparł ją o mur.

W każdym mężczyźnie jest coś z chłopca; Pustułka też nie odstawał od typowego standardu, włączając więc po śliskich szczeblach, trzymał w ręku kamień. Koty znowu zawrzeszczały u szczytu skali i Pustułka, wychylony ponad mur, wyszukiwał wzrokiem źródła wrzasku. Wypatrzył go w końcu. Łaciaty kocur siedział na kocicy, której umaszczenia obserwator nie mógł rozeznaczyć, i obydwójce zapamiętałe wyspieliwywali. Na kierkucie mroczyło się już zupełnie i gdyby nie biała plama na grzbiecie kocura, Pustułka nie miałby do czego celować. Zamachnął się w końcu, kamień wałnął obok kotów; spłoszone przerwały koncert i pognały w kierkut. Pustułka pośliznął się, szczebel uciekł mu spod nogi, w panice złapał wierzch starego muru; wraz z sypiącym się tynkiem poleciał na dół. Klął, otrząpywał spodnie. Drabina, oparta krzywo o mur, sterczała zapomniana.

W stajni handryczyli się o coś furmani: Waluś z Rynku Zbożowego, Grzegorzewski z Zawala, Sypek z Podwierzbia i Porębski z Dzianowic. Ten mieszkał daleko i jadł

to, co wziął z domu; dzisiaj też pożywił się chlebem i kawą na miejscu. Grzegorzewski miał kiedyś platformę, dwie pary koni i parobków do roboty; wojna zabrała mu konie, woda podczas tamtego rocznego wylewu świętojańskiego zbiory i musiał się nająć na furmana do Longarda. Miał stałą pracę i przydziały; jakie tam były, ale były. Niemniej, obsługując konie, wspominał te, które utracił, i to też wspominał, że kiedy w granatowej kamizelce z tombakową dewizką od zegarka wielkości cebuli, w wyszuwaksowanych butach z cholewami wchodził do Mamera albo do Abelkranza, to Żydzi kłaniali mu się od drzwi. A tu nagle, w trzech latach, życie zrobiło z niego dziada pracującego razem z chłopami, którzy kiedyś u niego po wypłatę stali i pół dnia, póki do nich nie wyszedł. Siadywał też trochę bokiem od reszty furmanów, a oni z uciechą spoglądali na jego upadek. Dzisiaj też, przy wieczornym obzroku, przed przyjściem wagonów, kiedy urzędnik zabawiał się z kotami, a Grzegorzewski czyścił zgrzebłem karą grubą kobyłę i wytrzępywał zgrzebło o szczotkę, Waluś powiedział jakby do siebie.

– Na co ci to, Grzegorzewski, przyszło! Przedtem leżałbyś se przy babie, po brzuchu ją miętosił, a inni by robili.

– Każdemu przyjdzie, jak psu na ósmy rok – dodał Sypek, który to i owo byłemu przedsiębiorcy pamiętał.

Grzegorzewski odłożył zgrzebło na parapet okienka przebitego w ścianie na mur kierkuta i popatrzył na nich ponuro.

– Ja zem – powiedział wolno do Walusia – z tobą, hecioku, barszczu z jednej miski nie jadł, to mnie nie tykaj, bo ja dla ciebie żaden Grzegorzewski.

– A co?! Może mam ci panować?! A to jaśnie hrabia!

– Nie panuj i nie gadaj do mnie.

Milczeli chwilę, szeleściły i szurały zgrzebła i szczotki, aż Waluś znowu zaczął:

– Ksiądz Wolny w niedzielę na kazaniu mówił, że Pan Bóg każdemu namierzy, co mu się należy.

– Najlepiej to namierzył jego gospodyni, bo aż jej kamienicę za te grzechy postawił – zaśmiał się Porębski, który przed wojną był ludowcem i dwa razy z ambony za to był wyklęty, a po kolędzie ksiądz do niego do dzisiaj nie chodził.

– Jednemu tak, drugiemu inaczej – Waluś skończył robotę, odłożył zgrzebło i szczotkę na skrzynię. – Już to, jak kto ludzką krzywdę ma na sumieniu, to mu Pan Bóg nie popuści. To Józiu Kuku cię szuko, za to, coś go utopił – powiedział brutalnie i beczelnie popatrzył Grzegorzewskiemu w oczy.

Grzegorzewski, który, bywało, po nocach nie śpiąc, szukał źródła swojego nieszczęścia i nie raz, nie dwa odrzucał myśl, że to Józiu Kuku mu tak dopieka, nagle uprzytomnił sobie po słowach Walusia, że na nic odpychać od siebie wspomnienie czystych jak niebo oczu chłopaka i tego, co z nim zrobił, wyrzucając na mróz. Zamiast skoczyć do Walusia i łupnąć mu łbem o ścianę, zmiękł i zwiotczał. Ramio-

na mu opadły, jakby ta szczotka w jednej ręce i zgrzebło w drugiej ważyły po cetnarze. Popatrzył na Walusia; w świetle żarówki popstrzonej przez muchy tamtemu tylko białka błyskały.

– To nie ja winien – powiedział cicho. – Młoda Janoska się na niego uwzięła, bo jej czymś nie spasował, jak tam pojechał. Ona narobiła ruchu i Janoski się wściekł i robotę dał Furdynie. Tak to...

– Janoska! Restauratorka!

– A bo ją Józiu czymś tam obraził. I Janoski... – szeptał Grzegorzewski.

– Widzisz! Ta dopiero robi pieniądze! – zaśmiał się Porębski. – A jaka pani! Bez kija nie przystąp! Tak jakby człowiek nie widywał jej ze smarkiem u nosa, jak u Abelkranza podłogę myła.

– Janoska... – Grzegorzewski patrzył w ścianę. – Janoski najął wtedy Furdynę i mnie robotę odebrał i żem się wściekł...

To, że Grzegorzewski nie rzucał się, nie wrzeszczał, jakoś rozładowało napięcie. Walus popatrzył na Porębskiego i nic już nie powiedział, a Porębski zaraz chciał pofilozofować:

– Pan Bóg to jednemu choć ta... – zaczął, ale na zewnątrz zatupały kroki i usłyszeli, że magazynier woła do Pustułki:

– Panie ten! Wagon idzie na naszą bocznice.

– Jazda, chłopcy! Jakby który worek rozdarł, to będzie przy nim stał do rana, aż pan Longard przyjedzie i go rozgrzeszy – ostrzegał Pustulka. Szli do magazynu. Przy murze za stajniami została oparta przez Pustulkę drabina, z której rzucał kamieniem do kotów, i wystawała wysoko.

Wagon podchodził powoli, postukując na przerwach pomiędzy szynami. Przetokowy stał na stopniu na jednej nodze, trzymał się żelaznej poręczy schodka. Postukiwania na spojeniach szyn rzędy; wagon zdawał się zupełnie zatrzymywać, a jednak toczył się. Przed otwartymi szeroko wrotami magazynu przetokowy zeskoczył, trzymając w ręku żelazną stopę hamulca. Położył go na szynie. Wagon wolniutko najechał na hamulec, zgrzytnęło, stanął. Przetokowy dotknął dwoma palcami okutego mosiądzem daszka czapki i w milczeniu poszedł wzdłuż torów, gdzie wolno podjeżdżała lokomotywa. W obłoku podświetlonej pary przetokowy skoczył na stopień, lokomotywa zaświstała, pojechała szybko w stronę stacji.

Furmani, poganiani przez magazyniera i strofowani przez Pustulkę, układali jeden na drugim worki w magazynie. Magazynier odliczał te dla wsi niemieckich, te dla Soldatenheimu. – Kładźcie pod sufit, tylko ostrożnie...

Od ziemi powstawała mgła; najpierw zatopila ogródki przy domach za „śtreką”, potem same domy w dolince; czerwona, duża połówka księżyca wisiała nisko nad lasem za fabryką, w górze buczał samolot, świeciły jego światła czerwono i niebie-

sko; z lotniska podniosły się trzy meserszmity, pewno po remoncie, przestrzeliwały działka na strzelnicy pod lasem na wschodzie. Zaświeciły światła sygnalizacyjne i kolejno podchodziły do lądowania. Znowu jakiś samolot podniósł się z lotniska, tym razem był to trzymotorowy transportowy junkers. Poleciał na wschód. Kiedy ustało jego buczenie, noszący worki usłyszeli kroki kilku ludzi idących od rampy.

– Banszuce – powiedział magazynier. – Zgaście te cygary, bo się znowu będą czepiać, że ogień zaproszycie.

Idący obok torów podeszli bliżej, nie byli to banszuce, nie byli w ogóle umundurowani; pracujący przy workach pomyśleli, że to jacyś wracający z roboty zapuścili się w niedozwolone przejście.

– Halo! Panowie! – ostrzegał magazynier. – Przyskrzynią was banszuce! Będzie bieda, przyleją wam jak należy! Gdzie się pan pcha?!

Na podeście, gdzie wyładowywano worki z cukrem, naraz zaroilo się od wskazujących z dołu ludzi.

– Ręce! Ręce do góry! – syczał w twarz magazyniera jakiś mały w kaszkiecie, szturchając go lufą pistoletu pod żebra. Kilku pojawiło się od podwórza; prowadzili Pustułkę z wysoko wyciągniętymi rękami. Za nimi wszedł jakiś czarny człowiek z wąsikiem. Obok niego zjawił się młody, może osiemnastoletni chłopak z karabinem, w harcerskiej rogatywce, nawet z lilijką, a na końcu łysawy wysoki blondyn z gołą głową, z erkaemem browninga. Czarny z wąsikiem zaraz zorganizował pracę:

– „Kawa”! „Kolka”! „Fala”! Brać dwóch furmanów, niech zapręgają do platform! Wszystkie cztery platformy. Reszta dalej znosi worki. Pan, panie magazynierze, tak samo... i pan..., jak się pan nazywa?! – Pustulka. – Świetnie! Pustulka to taki sokół. Myślę, że będzie pan prawdziwym sokołem w tej robocie. Szybko!

– Pan Longard... – powiedział magazynier.

– Longard! Szkoda, że go tu nie ma, nosiłby te worki tak jak wy! Ale śpi pewno przy swojej Helence. No, szybko! Kto stoi od stacji?

– Dwóch ludzi – powiedział blondyn z erkaemem – Fala i Książę.

– W razie czego rozbroić banszuców. Nie strzelać! Wystarczy hande hoch!

Grzegorzewski podjechał pierwszy, za nim Waluś. Zagoniono ich do noszenia, część zbrojnych też wzięła się do roboty. Platformy wypełniały się szybko. Kiedy wszystkie cztery były obciążone jak należy, naraz zgasty wszystkie miejskie światła. Wozy ruszyły i wyjeżdżały na ulicę przez szeroko otwartą bramę. Uzbrojeni ludzie biegli przy nich, furmani przycinali koniom chcąc jak najszybciej znaleźć się za miastem; Pustulka i magazynier Tomusiak siedzieli związani w pustym magazynie. Pustulka miał przypięte pokwitowanie na jedenaście ton cukru z podpisem „Ruszczyca”.

Za mostem puszczono furmanów i dalej prowadzili wozy ruszczycowi ludzie. W czwartkowskim lesie czekało kilkanaście furmanek, na które szybko przełado-

wano zdobycz. Karawana wozów rozplynęła się w nadwiślańskich mgłach.

W bezdrożach zapadłych wsi powiatu sandomierskiego, w krytych strzechą chatach niespodziewanie pojawił się rzadki w ostatnich czasach gość – biały cukier.

Lamsdorf szalał. On i Riegel przywieźli na gestapo Pustułkę i magazyniera Tadeusiaka. Maglowano ich tam do południa. Kto mógł zawiadomić Ruszczyca o transporcie cukru? Kto? Pustulka nie domyślał się, magazynier również. Dlaczego drabina była oparta o mur kierkuta? Kto ją postawił?! Kto, do jasnej cholery, dawał z tej drabiny znak, że mogą bandyci wejść na teren Spółdzielni „Rolnik”? Pustulka, struchlały, przypominał sobie swoje polowanie na koty, ale wypierał się wszystkiego, bo wiedział, że jak tylko wspomni o kotach i murze, to zapłacze się w zeznaniach i pojedzie do Pustkowa albo do Oświęcimia. Oko miał już podbite, bo nie stał na baczność i odpowiadał niezbyt prędko.

Longard, sam mocno przestraszony i przejęty stratą, siedział na korytarzu i palił papierosa za papierosem. Raz wezwano go do konfrontacji z Pustulką. Chodziło o to, kiedy zawiadomił o transporcie. – Czy Pustulka mógł kogoś zawiadomić? – Teoretycznie tak, ale, jak dotąd, nie stwierdziłem nielojalności moich pracowników. Magazynier jest uczciwy... – mówił Longard. – Mogli kolejarze, oni najwcześniej wiedzieli, od dwóch dni wiedzieli o tym cukrze. A magazynier?

Tadeusiak był wymowniejszy od Pustulki.

– Panie sturmbanfirerze – mówił – przecież ja im mówiłem, że pan Longard będzie się gniewał, to oni powiedzieli, że jakby był pan Longard, to nosiłby te worki jak inni. Ale pewno...

– Co pewno?! – spytał Riegel.

– No, oni, za przeproszeniem, powiedzieli, że pan Longard pewno śpi przy swojej Helence..., i jeszcze mówili różne świństwa...

– Jakie świństwa?!

– No, gdzie ją trzyma i takie...

Lamsdorf machnął ręką, spojrzał na Longarda, wyszedł do drugiego pokoju, kiwał na przedsiębiorcę i Riegla.

– Co to za Helenka?

– Od niedawna – powiedział Longard. – Takie tam, sam pan rozumie..., męskie sprawy.

– Miejskowa? Może panu podstawili?!

– Ach nie! To się od dawna ciągnie. To dziewczyna z dobrej rodziny.

– Polka! Z dobrej rodziny?

– Ma niemieckie nazwisko. Ona właśnie ma podpisać listę...

– Wie pan co? Ja bym to całe towarzystwo, tych pańskich pracowników i tę

Helenkę, dla pewności wysłał do Pustkowa. Jest pan partaigenosse...

– To przydatni dla mnie ludzie. A panna Rehn, właśnie Helenka..., to gdyby ona..., toby się nie zdradzali..., nie ma mowy... – Longard, pomimo tego, że był partaigenosse, był w miarę porządnym człowiekiem.

– Ten bandyta „Ruszczyc” ma tu same wtyczki!

– On tu uczył w szkole. Stąd pochodzi – rzekł Riegel. – Wbrew temu, co mówi sturmbanführer Tschajke, jemu trzeba było strzelić od razu w łeb. Nie cackać się z kajdankami.

Wszedł Skołasko, też wściekły.

– Ten major Friedrich Fuchs, dowódca batalionu, który wystawia warty, mówi, że po to wystawia ludzi, żeby się nic nie stało obiektem wojskowym i w razie niebezpieczeństwa mają interweniować. Zatrzymywanie jakichś wozów konnych i gonienie po bezdrożach za rzezimieszkami, którzy kradną cukier, należy do żandarmerii i policji, bo za to się tym szczyrom tyłowym płaci. A w ogóle beczelny. Obiekt wojskowy to on! Przed jego kwaterą spaceruje całą noc dwóch ludzi z karabinami na gotuj broń i granatami za pasem.

Pustułka wyszedł z budynku gestapo dobrze po południu wraz z magazynierem. Przyszedł do domu, przyłożył sobie okład na oko. Żona cicho płakała, dziecko już spało.

– Był tu jakiś pan do ciebie. Co tylko...

– Niech mnie w dupę pocałuje... – powiedział Pustułka, a potem spytał: – Wysoki, w szerokich pompkach i koszuli. Z czarnym wąsem?

– Wąs to miał. Ale był w butach z cholewami i w koszuli. Szybko poszedł jak mu powiedziałam gdzie jesteś. Ja nawet myślałam, że to tajniak gestapowiec i że mnie próbuje i dlatego powiedziałam...

– Niech mnie! – znowu szarpnął się Pustułka i jakby zwolnił; myślał nad czymś intensywnie, marszczył czoło, coś sobie widocznie przypomniął, bo zmartwiony pokręcił głową. – Ani tak, ani siak – mruknął do siebie.

– A nie mówiłem, że to dzika partyzantka?! Nie podlegająca nikomu, zajmująca się głównie rabunkami! – złościł się „Delikatny”.

W pokoju u „Drwała” siedział Muranko, „Delikatny”, gospodarz, „Silny”, „Kazio” i „Parczew”. Czekali na Kulbakę i zastępcę komendanta inspektoratu, „Czereśnię”. Kiedy przyszli „Delikatny” znowu rozpoczął swoje:

– Jest wrzesień czterdziestego drugiego roku. Od rozpoczęcia wojny upłynęło trzy lata. Kto chciał walczyć z Niemcami, wstąpił do ZWZ. „Ruszczyc”, o ile wiem, działał już w tym czasie, ale ze Związkiem Walki Zbrojnej nie miał żadnego kontaktu. Teraz mamy Armię Krajową a on działa pełną parą i nawet się nie ogląda na nasze sugestie włączenia w skład Armii Krajowej. To nie jest oddział niepodległo-

ściowy. To dzika grupa, która rabuje pod pozorem walki z okupantem!

– Wydają „Wet za Wet” od chwili wejścia Niemców, kiedy nikomu się nie śniło o konspiracji – oponował Kulbaka. – To też pozory?! Przy tych pozorach zginęło z dziesięciu kolporterów, dwoje drukarzy i brat „Ruszczyca”! Poniewiera się jego żona i dzieci.

– To są wszystko pozory! Dlaczego nie chce się podporządkować?! – „Delikatnemu” drgał policzek ze zdenerwowania. – a ostatni rabunek to co?! Gdzie się podział cukier?!

– Cukier jedzą chłopskie dzieci – rzekł Kulbaka. – Za co w końcu chłopci na Zawisłu żywią i ukrywają osiemdziesięciu ludzi?

– Za co?! Dla ojczyzny! – wsiadł na koń „Delikatny”.

– Prosiłbym o skoncentrowanie się na naszych zadaniach – wtrącił się „Czereznia”. – „Ruszczyca” to sprawa okręgu Kielce. Wiem, że prowadzone są rozmowy. „Ruszczyca” chce wejść formalnie w skład Armii Krajowej, zachowując samodzielność.

– Generał Sosnkowski nie zamyśla chyba tworzyć zlepka samodzielnych oddziałów dowodzonych przez samodzielnych watażków – upierał się „Delikatny”. – Tu należy zagrozić sądem i wyrokiem.

– Generał Sosnkowski jest w Londynie – rzekł zimno Kulbaka. – Kto będzie sądził i wydawał wyrok? A kto będzie wykonywał?

– Ostatni raz przywołuję do porządku! – „Czereznia” wstał, zdenerwowany.

– Tak jest! – „Delikatny” wysapał się i mówił: – mamy zamkniętą sprawę braci Gustnych, Okinowskiego i Potoczka. Po zastrzeleniu Okinowskiego forarabajter Sieprawski zniknął z naszego terenu, trzeba się dowiedzieć, gdzie jest, i odpowiednio do tego postąpić. Sprawę tego idioty, który zatrzymywał Fronca, tego Pierchały, ze względu na dodatkowe okoliczności odłożyliśmy do czasów powojennych. Na placu boju, że tak powiem, pozostał policjant Gawor i policjant żydowski Abelkranz. Niestety, musimy to wszystko odłożyć, a zająć się sprawą, która dotarła do nas z pocztą. Już drugi list do gestapo przechwytuje nasz człowiek. Jakiś ledwo piśmienny kandydat na konfidenta pisze, podając swoje imię i nazwisko, miejsce zamieszkania na folwarku smykowskim. Donos jest na rządcę, członka organizacji, że przechowuje partyzantów, że po nocach cały czas maszyny stukają, że pod lasem w kopcach są Żydzi i rządcą ich żywi..., no, w każdym razie jest to podstawa wyspy. I to dużej wyspy. Pisze, żeby przyjechać, wywołać go z czworaka, a on wszędzie poprowadzi. I zaznacza: „Weźcie dużo żołnierzy, bo tu wszyscy mają broń. Żydy też.”

Wszyscy siedzieli wstrząśnięci, bo Kazik i „Silny” kilkakrotnie nocowali w smykowskim folwarku, stamtąd szło zaopatrzenie dla oddziału „Żelaznego”, tam kolportowano gazetki i kilka razy nocował „Delikatny”, kiedy zaistniała taka potrzeba.

– Pomyśleć, co by było, gdyby tego człowieka nie było na poczcie! Wart tyle, co

sam waży.

– W każdym razie wart po wojnie odznaczenia i stanowiska naczelnika poczty – skonkretyzował nagrodę „Delikatny”.

– Trzeba tam pojechać i sprawę rozwiązać – Muranko popatrzył na „Czeresznię”.

– Dać dobrze w dupę wystarczy – lekceważył sprawę Kulbaka.

– A jak nie wystarczy? – spytał „Drwal”.

– I pofatyguje się gość sam na gestapo? – dodał „Nowy”.

– Bieda... – powiedział „Silny”. Lepiej nie nocować w domu do czasu załatwienia tej sprawy.

„Delikatny” wstał. Był wyraźnie wzburzony, drgał mu policzek.

– Wobec realnego niebezpieczeństwa sprawę należy przeciąć w zarodku. Poprosimy okręg o zatwierdzenie wyroku po fakcie. Rozkazuję wykonać wyrok przez rozstrzelanie na konfidencie – zaglądnął do zamazanego papieru, który dostarczył mu Ziemek – Deczkowski Józefie zamieszkałym w folwarku Smyków, drugi czworak od drogi – popatrzył na „Czeresznię”, a ten aprobującą skinął głową. – Następna sprawa: Mamy duże trudności finansowe. Otrzymujemy wprawdzie wsparcie od kupców i z dworów, tam gdzie nie ma liegenszaftów, ale to wystarcza na zakup pojedynczych sztuk broni. A szykuje się większa możliwość. W Mieście jest jednostka słowacka. Chce sprzedać dziesięć karabinów, cztery lugery i skrzynkę granatów zaczepnych. Całość ma kosztować dziesięć tysięcy złotych.

– Fiuu! – gwizdnął „Kazio”.

„Delikatny” zgromił go wzrokiem i ciągnął:

– Poza tym, coraz więcej ludzi mamy w całkowitej konspiracji. Muszą coś jeść i gdzieś spać. Ja, Kulbaka, „Kazio” i „Parczew” nie mamy środków do życia. „Silny” niby pracuje u Leginowskiego, ale ani to nie daje wielkich pieniędzy, ani nawet środków do życia. Tyle że ma gdzie mieszkać. Ja korzystam z dworu w Woli, mam co jeść i gdzie spać. „Silny”, „Kazio” i „Parczew” muszą otrzymywać pieniądze na życie i mieszkanie.

– U mnie jest dwóch chłopaków i u „Owcorożca” trzech, którzy nie mają środków do życia – rzekł Kulbaka. – Mnie by się też gotówka czasem przydała. Chociażby na kontakty z granatowymi.

– Potem to wszystko policzymy – „Delikatny” patrzył na Murankę.

– Potem? – spytał „Czeresznia”.

– Po akcji.

– Jakiej?

– Proponuję skok na Komunalną Kasę Oszczędności.

– Kto tam jest dyrektorem?

– Taki lawirant. Niby folksdojecz, niby Polak. W każdym razie nie będzie wiele

przeszkadzał – rzekł Muranko.

– To człowiek niepewny. Może być strzelanina... – „Czeresznia” patrzył uważnie na Murankę. – Przecież naprzeciw jest Soldatenheim, siedziba NSDAP i restauracja niemiecka.

– A na górze burdel oficerski – dodał Kulbaka.

– Ale pieniądze są pewne – upierał się Muranko.

– Oczekujemy w takim razie – podsumował „Czeresznia” – planu tej rekwizycji. Kto będzie brał udział, ilu ludzi, uzbrojenie, drogi odskoku po akcji. I na ile pieniędzy można liczyć. Czy to się w ogóle opłaci. Trzeba by dysponować samochodem, żeby szybko odskoczyć. Przemyślcie to wszystko. Przy takiej akcji nie możemy tracić ludzi.

– Wracamy do sprawy Smykova – opamiętał się „Delikatny”. – Dzisiaj o godzinie szóstej dwanaście po południu jedziemy tam na miejsce. Od stacji do dworu jest tam dwa kilometry. Rządca Arendowski będzie powiadomiony wcześniej. „Kazik” pojedzie rowerem o godzinie czwartej. O tej porze rowerami jedzie dużo pracowników fabryki, to nie zwróci do siebie uwagi. W akcji będzie brał udział „Silny”, „Parczew”, „Kazik” i ja.

– I ja – rzekł Muranko.

– Ty masz inne zadania.

– A kto wywoła konfidenta? Ja wyglądam na Niemca, mówię po niemiecku, będę udawał gestapowca. Białe skarpety, pumpy, kapelusz z pędzlem, swastyka w klapie...

– No, dobrze. Na stacji o szóstej dwanaście. Nie znamy się, rozłazimy się po kątach. W tym czasie już będzie powiadomiony przez „Kazika” rządca. Powiedz mu, że do dworu nie zachodzimy. Spotykamy się z nim w altanie w sadzie.

Rządca Arendowski, potężne chłopisko w sztylpach i zielonym, podobnym do ubrań służby leśniej, garniturze, przeczytał nagryzmołony chemicznym ołówkiem list i chwycił się za głowę. „Delikatny”, który znał Arendowskiego jako zrównoważonego człowieka, zdziwił się, kiedy ten padł na ławkę przy altanowym stole i szybko oddychał.

– Panie Arendowski, weź się pan w garść. Jak się tylko dobrze ściemni zastrzelimy drania i po sprawie. Wywołamy...

– Kogo zastrzelicie?! – jęknął Arendowski. – Kogo zastrzelicie?! Przecież to gówniarz, ledwo to od ziemi odrosło. A ja jego matce podniosłem pensję i ordynarię! Bo się litowałem...

– To tym bardziej nikt pana o nic nie będzie posądział.

– Ile on ma lat? – spytał Nowy.

– Szesnaście może..., a może idzie mu szesnasty... Ale tyli jest – Arendowski pokazał ręką wysokość nieco większą niż wbudowany w podłogę stół.

– To co robić? Dać w dupę?!
– Może pomoże, a może nie...
– To już drugi list. Piszze zawzięcie, nie lubi coś pana. Całe szczęście, że nie poszedł na gestapo...

– A jak się wybierze do Miasta?! To tylko dziesięć kilometrów. Albo spotka jakiego policjanta czy kolonistę... Wiem, czego on chce. Ucinał się do pokojówki, śmiała się z niego – jęknął Arendowski.

– Cherchez la femme! – mruknął Muranko.

– Taki gówniarz! Napijcie się, panowie, czego? Może nam wtedy przyjdzie co do głowy – Arendowski był zupełnie skołowany.

– Napijemy się – „Delikatny” zmarszczył brwi i drapał się po karku. Kiedy Arendowski poszedł ścieżką do dworu, powiedział:

– To on napytał tej biedy! Chędoży te fornalskie baby i teraz ma. Chłopak jest zazdrosny, bo pewnie z tą pokojówką pan rządca sypia.

– A on chciałby, żeby z nim...

– *Pytał żołnierz cną Agatkę? Chcesz? Pokażę ci armatkę... Lecz Agatka już wolała pistolecik generała...* – zadeklamował Muranko.

– Boże mój drogi! – zdenerwował się „Delikatny”. Tu taka matnia, a on głupie wierszyki...!

– Masz jakieś wyjście oprócz kuli? Bo ja nie widzę! Aresztować i do końca wojny trzymać? Ja się na to nie piszę.

Wrócił Arendowski z koszykiem. Po kolei wykładał suchą kielbasę, chleb, masło, dwulitrowy dzbanek i karafkę z przezroczystym płynem.

– Zjedzcie, panowie! Bimberek po dwóch destylacjach...

– Jeść to się nam odechciało – powiedział za wszystkich „Delikatny”, ale „Kazio” i „Silny” zaraz złapali za kielbasę.

– No, to wypijmy po „gestapowcu”! – nalewał Arendowski.

– Tak pan, panie Arendowski, to zawiązał, że rzeczywiście tylko się upić – Muranko wziął kieliszek do ręki.

– Myślę... – „Delikatny” patrzył na pobliski las za torem. Z niedalekiego lotniska startowały jeden po drugim samoloty z szybowcami desantowymi. Po zatoczeniu koła zwalniały je nad lotniskiem. – A jakby tak oczyścić pałac, pozbyć się tych Żydów z kopców?

– I czekać na wizytę gestapo, bo przecież on znowu napisze. I jeszcze im powie, że to już trzeci list. Narazimy naszego człowieka na poczcie.

– Ciemno się robi – Muranko wrzucił do ust kawałek chleba, żuł. – Nie ma rady, musimy przynajmniej wywołać go z tego czworaka. Potem się okaże. Stłuc mu dupę na kwaśne jabłko, czy... – popatrzył po obecnych. – Kto ma latarkę?

Arendowski poszedł do pałacu, a oni skierowali się do czworaków. W swoim

pokoju rządcą podszedł do kredensu, otworzył go i wypił jeden po drugim dwa kieliszki wódki. Skrzypnęły drzwi, weszła mocna dziewczyna w kwiecistej sukience wzniesionej wysoko na brzuchu, ciemne wątrobowe plamy na twarzy mówiły jednoznacznie o jej tuszy. Arendowski wyciągnął rękę, ujął dziewczynę za przegub i przyciągnął do siebie. Oparł czoło o brzuch. Objęła mu rękami głowę.

– Ożenię się z tobą.

– Jezu! Jak urodzę?!

– Pójdiesz i tak w welonie. Pojedziemy gdzieś, wesele wyprawimy... – a w głowie kołatała myśl: – Trzeba ją było wyprawić do Niemiec, kiedy jeszcze nie była w ciąży. Ale głupi, teraz mnie wezmą... A to gówniarz! Może go stłuką i będzie się bał...

Tamci tymczasem podeszli pod długie budynki czworaków. W niektórych oknach pełgały światełka naftówek, w jednym jaskrawo świeciła karbidówka. Stanęli przed drugim od drogi. Muranko ruszył pierwszy, wszedł na korytarz pomiędzy izbami. Pchnął pierwsze drzwi. Przy stole siedział chłop zarośnięty tygodniowym zarostem, na narach w kącie skulona stara kobieta. Młoda kobieta stała przy piecu, mieszała drewnianą łyżką w wysokim żelźniaku. Dusił odór kwaśnego jedzenia i jakiś trudny do zidentyfikowania ekliwy zapach.

– Ist du bist chłopak Deckowski Josif? – kaleczył jak mógł „Nowy”.

Patrzyli na niego niemo; stara kobieta pierwsza się opamiętała i wstawała z pryczy.

– Deczkowski Józek, to tam dalej. – Muranko dopiero teraz zobaczył, że na pryczy śpi dziecko i dwoje zamorusanych starszych siedzi na niskiej ławeczce przy ścianie. Kobieta szła przed nim i otwarła drzwi, z których padła smuga światła karbidówki. Zawołała: – Szukaj Józka!

– A kto?!

– Pewnie Niemcy...

– Matko Boska – doleciało ze środka, ale na progu zaraz zjawił się wyrostek i powiedział:

– To ja, Deczkowski...

Arendowski niewiele przesadził z określeniem wzrostu i postury swego rywala. Małe to było, zabiedzone, na lewych nogach. Muranko, zobaczywszy go, zdrętwiał, bo dopiero teraz z nagłą uświadomił sobie, że przecież tego nędzarza, to prawie że dziecko, trzeba będzie stłuc, żeby mu wybić z głowy gestapo, albo zabić. To samo odczuł „Delikatny”. Przemknęła mu nawet myśl, żeby to biedne stworzenie porwać i zamknąć gdzieś w piwnicy, ale stłumił ją jako zupełnie niedorzeczną. Do końca wojny w piwnicy? Kto się tego podejmie? Idiotyzm!

A tymczasem mały stał przed nimi i patrzył w latarkę, której światło skierował na niego Muranko. Sucha kobieta wyszła za nim, ale chłopiec wepchnął ją z powrotem.

– Idźcie, mamó – powiedział niecierpliwie.

– Ty pisać list do naszy amtu? – klecił Muranko zdania, które wydawały mu się mieszanką niemieckiego i polskiego.

– Ja! Ja zaraz panów zaprowadzę...

– Ja! Ajn, cwai, idziemy...

Na korytarz zaczęli wyglądać mieszkańcy czworaka; Muranko szybko ruszył za chłopcem i „Delikatnym”. Na podwórzu pozostali otoczyli chłopca i podeszli z nim pod stare lipy rosnące przy ogrodzeniu.

– No, mówić, co wiesz – kontynuował Muranko.

– To chodźmy do Mateusza, on też chciał...

– Jakiego Mateusza? – Murance nagle zakołowało w głowie, tak że zapomniał, że jest gestapowcem.

– Kieliana. My ten list pisali razem. Dwa razy my pisali. Już myślałem, że panowie nie przyjdziecie.

– Gdzie mieszkać?! Wohin?!

– Ja zara po niego skoczę!

– My iść razem.

Oj! Nie karmiono tych chłopaków frykasami, nie! Suchy ziemniak, chleb, w niedzielę przysypany cukrem, słonina od święta. Kaszy i kapusty czasem do syta, a czasem pewno nie. Mateusz Kielian wyglądał nie lepiej od Deczkowskiego, a może był nawet młodszy. Ale śmiały był i zaraz zabrał sprawę we własne ręce:

– To chodźmy pod las. Tam są Żydy w kopcach – mówił. – Rządca im jedzenie nosi. Partyzanty co i raz zajeżdżają do niego, gazetki przywożą, on je daje leśnemu Boczarowi. Jadłkę, pokojówkę, spaskudził. On tu całą partyzantką rządzi. Dzisiaj też cała gromada ich od stacji przyszła. Trzeba obstawić...

Jeżeli listy do gestapo były sprawą poważną, to teraz cała ta historia stawała się najpoważniejsza. Muranko odciągnął „Delikatnego” na bok.

– Człowieku! Decyduj! Ale ja mam tylko jeden pomysł. Zabić! Zabić, bo pobicie tu nic nie da... Nie można ryzykować!

– Straszne...

– Człowieku! Przecież to wojna! Jak będzie wsypa, to się nikt z nami cackał nie będzie.

Wrócili.

– To my maschiren do tych Juden! Pod las. Dużo tych Juden?

– Jest trzy Żydówki i dwa Żydy. I dzieci sześcioro. Trzy dziewczyny i trzy chłopaki.

Szli. Podczas marszu „Delikatny” cofnął się do „Silnego”, „Kazia” i „Parcze-wa”.

– Strzelamy ich, nie ma rady... Za dużo wiedzą...

Byli w połowie drogi, „Delikatny” zakomenderował: – Ognia!

Wywalili wszyscy po trzy naboje do ciemnych postaci chłopców postępujących przed nimi. Muranko strzelał w bok. Liczył, że zabije ktoś inny. Wszyscy, za wyjątkiem „Kazia”, też tak liczyli.

Uchodzili jak złoczyńcy.

Po kilkuset metrach odezwał się „Delikatny”:

– Nie wstępujemy już do pałacu. Idziemy do Kronstowa i wałem wzdłuż Rzeki do Miasta.

– A jak żyją? – zreflektował się „Kazio”.

– Padli od razu. Nawet nie krzyknęli.

– Trzeba było strzelać z przystawienia, to byłaby pewność – upierał się chłopak.

– Albo potem po jednym strzale w głowę.

– Szkoda, że nie wydałem ci takiego rozkazu – zezłościł się „Delikatny”. Kulał. Nieprzyzwyczajonemu do długich marszów but otarł nogę.

– Szkoda, panie kapitanie! Jak się mówi „a” to trzeba i „b”.

– Dosyć!

Kuba Bure Woły leży na wznak i patrzy w niebo, a niebo nad wydumą i lasem, gdzie znajdują się ziemianki, jego i Kosmyka, a z boku powyżej – Kuny, jak ta farbka do bielizny, którą matka Nietupałowa wlewała do krochmalu, kiedy prała u pani doktorowej Franckowej. W dębinie wilgi się nawołują, a olszyna i leszczyna na dole nad potokiem aż trzęsą się od śpiewu ptaków. Bury myszołów z jasnym podbiciem skrzydeł waży się wysoko nad lasem; pewno widzi stamtąd i pałac weryńskich panów, i raniżowskie chałupy, i Sokołów w oddali, a z drugiej strony Miasto i Rzekę, i pasmo gór na południu. – Z takiej wysokości – myśli Kuba – to on pewnie i Dzikowiec widzi, Wisłę z piaszczystymi łachami spiętą mostem w Szczucinie, a może nawet za Rzeką i lasami widzi ten cmentarz, gdzie w jednej mogile leżą postrzelani Cyganie i Marusia, i mądra Sonia.

Stęka Kuba, jakby mu ktoś w plecy tarninowego kolca wsadził; nie potrafi Kuba myśleć o Marusi i Cyganach inaczej jak z dławiącą go w gardle ością dziwnego żalu i wzburzenia, które zaciska mu pierś niby obręcz. Wbija Kuba paznokcie w garście, w miękką poduchę dłoni, wydelikaconych przez chorobę i nieróbstwo. Od czasu kiedy uciekli z Pustkowa z Kosmykiem czasem tylko Kuba kołek jakiś zaciosał albo ziemniaków ugrzebał na chłopskim przyleśnym zagonie.

Odrzuca od siebie Kuba Bure Woły myśli o Marusi i Cyganach, o ich losie straszny; miga mu jeszcze w tych oczach, które gdzieś tkwią głęboko we wnętrzu głowy, twarz chłopca z grubowłosym płowym wąsem, który rozwiązał mu ręce zaciśnięte na krwawej głowie jego Cyganki, postawił na nogi i wypchnął ze zbezczeszczonego cmentarza, i znowu Kuba patrzy w niebo; teraz pławią się w nim dwa myszołowy, widocznie samica dołączyła do samca, żeby skrzydła rozprostować.

Szum jakiś słychać od południa, metaliczny, rżęzący, aż w uszach wierci. – To ten samolot – myśli Kuba, bo zdążył się już do niego przyzwyczaić; od miesiąca chyba, raz, dwa razy, a czasami i trzy razy dziennie, najpierw słychać ten rżęzący huk, a zaraz potem wspina się płaskim torem nad dębiną samolot. Najpierw myśleli, że to z lotniska w Mieście, ale to nie ten był kierunek, potem, że to angielskie jakieś

samoloty Niemców straszą. Te samoloty nie z lotniska startują. Za obozem, kiedy już Ruscy wymarli i spalono na stosach to, co z nich zostało, pobudowano w parę tygodni coś jakby tor godzący w niebo, skierowany na północ, który jest jak droga urywająca się nagle na wysokości, i stamtąd wylatują te cudactwa. Ten tor budowano z takim pośpiechem, że pono na każdym metrze dróg dojazdowych, na każdej kupce urobionego betonu położyli życie to Żyd, to Ruski, to Polak. Taki samolot czasami potrafi się wrócić i wałać o ziemię przy tych pochylniach. Bije wtedy i obsługę, dlatego Niemcy nazganiali tam różnych Kałmuków i Mongołów, którzy się do ich armii zgłosili, i oni w pobliżu tych wyrzutni robią, a Niemcy w bunkrach siedzą i przez telefon kierują.

Ten cudaczny samolot wyskoczył zza dębiny, dziwaczny, z krótkimi skrzydłami, bez kabiny pilota, z garbem, z którego wystawała rura. Z rury walił płomień, a Kuba ledwo głowę zdążył za nim odwrócić, a on już stał się punkcikiem na wysokości, aż znikł.

Kuba Bure Woły westchnął, jeszcze raz spojrzął na błękitne niebo; znowu tam wisiał jeden z myszolowów, wisiał zataczając małe kółka i nic sobie nie robiąc z dziwolągą, który tyle huku narobił nad cichym lasem, widocznie i on, tak jak Kuba, przyzwyczał się do nadzwyczajności.

Kuba wstał bo, prawdę powiedziawszy, zgłodniał. Po jego wyjściu z choroby, po tych tabletkach dalekiego doktora, po które Kuna chodził, po ziołach, którymi go Kosmyk poił, chłop przyszedł do siebie i tylko ciągle mu się jeść chciało. Dwa miesiące wystarczyło, żeby odpluć to, co miał w płucach, i odpasł się na młodych ziemniakach i na miodzie od Smoły, i na tłustym i pożywным wikcie, bo Kuna co jakiś czas strzelał to sarnę, to dziczka.

Piers mu rozpieierała rozpiętą, brudną jak święta ziemia koszulę; spodnie miał wojskowe w kolorze feldgrau, z jakiegoś Niemca zdarte jeszcze tamtej jesieni przez Kunę, stopy bose. Poszedł do ziemianki, w której mieszkał z Kosmykiem, odkrył przykryty deską żeleźniak; było tam trochę ziemniaków z zeskwarzonymi kawałkami dziczego tłuszczu i mięsa. Nie podgrzewał tego nawet, złapał warzechę wystruganą przez Kosmyka, zaczął jeść, wyszukując co większe skwarki. Zastygł z nabranym na szerokie zagłębienie warzechy pożywieniem, bo jasne wejście do ziemianki ktoś mu zasłonił. Odwrócił się; stał tam niski, szerokoplecy, wąsaty żołnierz niemiecki; karabin z lunetką trzymał przy brodzie, uśmiechał się.

– Ist! Achtung! Hier können sie in der mehrzahl sein! – powiedział do kogoś, kto stał na zewnątrz.

– Jawohl! Bert ist ruhing. Auch wenn da sind, damm ganz weit – odpowiedział mu ktoś z lasu.

– Hande hoch! – kiwał lufą, nie odejmując broni od oka, ten pleczysty. Cofał się i wyprowadzał Kubę, który jak zahipnotyzowany patrzył w otwór lufy.

Na zewnątrz stało jeszcze dwóch Niemców; jeden z boku czapki miał przypiętą szarotkę i szmajsera w rękach, drugi, trzymając na smyczy psa, długowłosego podpalanego wilczura o spadzistym zadzie i wilczym ogonie, też miał wąsy i też bardziej wyrósł na szerokość niż na wysokość. Ten miał taki sam karabin z lunetą, jak pierwszy, który wyprowadził Kubę.

Strzelec alpejski szybko wyjął kajdanki, a tamten drugi poluzował linewkę psa, który unosząc wargi i cicho warcząc, patrzył na Kubę paraliżując wzrokiem. Kajdanki zaczęły na przegubach Kuby. – Już po mnie – pomyślał Bure Woły i odbiło mu się ziemniakami, a tamci zaśmiali się, ale bez wesołości, jakoś tak złośliwie.

Strzelec alpejski pchnął Kubę w plecy łufą empi mocno, boleśnie, a tamci rzucili się do ziemianek. Zaraz jeden wyszedł z mauzerem Kuby, którego niedawno otrzymał od Kuny, a za nim wywłókł się ogon czarnego dymu i ziemianka zabuzowała wesołym ogniem, który walił przez drzwi i komin; widocznie tamten nie pożałował benzyny czy nafty, bo ostry zapach rozszedł się dookoła. Ten, który złowił Kubę, zakręcił zakrętkę na płaskiej blaszance, którą włożył do chlebaka, i z ziemianki Kuny też buchnęły płomienie.

Wszyscy trzej, poganiając Kubę, ruszyli szybko ku wysokim drzewom i Kuba, chociaż w beznadziejnej sytuacji, zarejestrował, że strzelec położył mapę na leżącym pniu, a na mapie kompas i pokazał kierunek. Idąc w wysokim lesie bez kłopotu doszli do starego duktu wiodącego na Ostrowy Weryńskie. I zdziwił się Kuba, bo nie wyszli na dukt, tylko przemykali się, idąc gęsiego pomiędzy drzewami wzdłuż duktu. Utrudniało to trochę marsz, ale strzelec alpejski wyciął sobie leszczynowy pręt, którym idącego przodem Kubę poganiał, nadając ostre tempo. Zastygli na moment, bo doleciał ich głuchy huk granatu, który Kuba też otrzymał od Kuny i zagrzebał w mchu w posłaniu. Po tej eksplozji jakby diabeł w nich wstąpił i ten, który miał psa, poszczuł go na Kubę, cały czas trzymając za smycz, a pies podarł na Kubie spodnie i poharatał mu dobrze prawy pośladek.

– Na! Genug, Bert! – powiedział snajper i pies ustawił się posłusznie obok niego.

Teraz przyspieszyli, ale ciągle trzymali się obok duktu, a nie wychodzili na niego, za to ten, który miał leszczynowy pręt, przylewał Kubie co jakiś czas, żeby go przyspieszyć, bo chłopak zaczął ustawać, nie będąc jednak jeszcze w pełni sił po chorobie.

Te osiem kilometrów do skraju lasu przy Ostrowach zrobili w dobrym tempie i Kuba, wprawdzie rzężący trochę, ale w jakiej takiej formie, przystanął, kiedy i oni przystanęli. Naradzali się coś ze sobą, Kuba myślał czy przypadkiem nie o nim, ale oni zaczęli siadać i wyciągać jedzenie. Nie wyszli na wolną przestrzeń, ani nie poszli do tych dwóch domów, które stały na Ostrowach, i zachowywali się tak cicho, że dokazująca przy domach dzieciarnia, goniła w najlepsze, nie wiedząc, że

sto metrów od nich w lesie siedzą ludzie.

– Jeszcze z dziesięć kilometrów i poligon – myślał Kuba. – Postawią mnie tam pod mur albo znowu do Pustkowa. A tam już mi za Potocznego dadzą..., żeby chociaż tego psa nie było – patrzył na wilczura, który nie spuszczał z niego oczu. W pewnej chwili jednak odwrócił od Kuby wzrok i sprężył się; postawił włos na karku. Ten, który go trzymał na linewce, przestał jeść, spojrzał na psa uważnie.

– Pssst!

Ten, który wziął Kubę Bure Woły, nie podnosząc się, tak jak siedział, ujął karabin oparty łozem na kolanie i szczęknął bezpiecznikiem. Oczy miał czujne; oblizywał wąsy z tłustej konserwy mięsnej. Drugi snajper przyklęknął, trzymał karabin za łożo i szyjkę za magazynkiem. Pies z uszami wysztywnionymi węszył w stronę chałup, tak jakby interesował się biegającą dzieciarnią; naciągał uwięź. Zza krytej zmurszą pociemniałą słomą kleci, stojącej samotnie bliżej lasu, wyszedł bosy chłop w lnianych portkach i takiej koszuli. W opuszczonej ręce trzymał postrzępioną płachtę. Widocznie nie spodziewał się, że w lesie ktoś się czai. Ten z szarotką pogroził Kubie łufą szmajsera, ale widać było, że tylko tak, dla porządku. Chłop zresztą nie szedł na nich; ukosem, przekraczając rude kępy sitowia, którymi porośnięta była podmokła na wiosnę łąka, przeszedł w odległości może dwudziestu metrów i zniknął w lesie. Zaraz też usłyszeli trzask łamanych gałęzi, widocznie zbierał susz na opał.

– Kosmyk – jęczało w Kubie, ale się nie poruszył i nawet nie popatrzył w stronę tych trzasków w lesie.

– Puść – powiedział ten siedzący snajper; skrzyżował nogi i sprężyste wstał ciągle trzymając karabin na gotuj broń.

Pies skoczył, zniknął w lesie i z jego bojowym warknięciem zmieszał się głośny śmiertelny skowyt; szara koszula chłopca migała teraz pomiędzy drzewami równolegle do duktu. Wszyscy trzej Niemcy wyskoczyli na otwartą przestrzeń, rozległ się grzechot szmajsera, sucho huknęły karabiny. Kuba, kulejąc, pobiegł w drugą stronę od ruchu, jakiego narobił Kosmyk, skute ręce przeszkadzały mu w tym biegu; seria peemu zastukała po pniach. – Las to najlepszy kulochwyt – migało w głowie Kuby powiedzenie Kuny, kiedy z hukiem odległego strzału, gdzieś na dukcie w stronę poligonu, urwała się seria pistoletu maszynowego i zaraz potem znowu dwukrotnie szybko przemówił mauzer. Nastąpiła cisza i w tej ciszy zakwilił myszołów i zaskrzeczała sroka. Od chałup na Ostrowach oderwały się figurki ludzi; Kuba nigdy by nie pomyślał, że w tych dwóch strzechach kryje się ich tak wiele. Kilka bab biegło, dźwigając i ciągnąc za ręce dzieci, za nimi biegło pięciu mężczyzn, jakiś półnagi chłopak pędził oklep na gniadym koniu. Zniknęli w lesie po drugiej stronie. Znowu zaskrzeczała sroka, ale już bliżej; Kosmyk szedł w stronę zupełnie osłabłego Kuby dziwiącego się, że teraz właśnie zaczyna go piec i boleć rana na tyłku, którą mu zadał pies. Szcherzył Kosmyk dziurę w uzębieniu, pamiętkę po obozie, i wycierał w garść mchu niemiecki

błyszczący bagnety. Pomacał się po rozdartej na prawym ramieniu koszuli.

– Ale to pies – pokręcił głową z uznaniem. – Łapie od razu za rękę. Tylko szkolony był na prawą, a nie wiedział, że ja mańkut, czyli śmaja.

Zatrzeszczał susz; Kuna biegł truchtem. Razem podeszli do leżących prawie na kupie żołnierzy.

– Wpieprzyłbym ci, ślimoku – mówił Kuna do Kuby, przypatrując się zwłokom i szybko wsiąkającej w piasek krwi. – W ziemiance cię naszli?

– W ziemiance – wymamlał Kuba.

– Pewnieś co żarł – kiwał głową Kosmyk.

– Zimioki...

– A mówiłem. Jak jesteś sam, to se siedź w lesie i patrz na ziemianki. Wtedy ty widzisz, a oni nie widzą. Przecież miałeś karabin! Zabrali ci?

– Zabrali. Ale jest – Kuba pokazał brodą na miejsce gdzie biwakowali Niemcy. – Granata nie znaleźli. Jak podpalili, to wybuchł.

– No i dobrze, bośmy już wiedzieli, że nie ma co wracać.

– Zostawimy ich? – spytał Kosmyk.

– Wybiją ludzi. Trza dół w lesie drzeć, zakopać ich i zamaskować ściółką, bo te chałupy spalą i ludzi wybiją. Bierzcie się za to, a ja ich porozbieram. Będziemy mieli łachy na zimę do przebrania. Biorą się za mnie równo! W te lasy nigdy nie zachodzili.

– Widziałeś te karabiny?

– Dawno o takim myślałem. Na kilometr można człowieka trafić. Hrabia Szażkiewicz, jak przyjechał do dziedzica na danię, to miał taki, tylko lufa była dłuższa i łożo krótsze. No, jazda! Szukajcie łopat!

Koniec lata tego roku był upalny, że niektórym przypominał się rok trzydziesty dziewiąty i ten straszliwy wrzesień, kiedy nie spadła ani kropla deszczu, a na niebie nie pokazała się nawet maleńka chmurka. Wprawdzie był koniec sierpnia, ale nic nie zapowiadało zmiany pogody. Rzeka cała była pokryta łachami żółtego piasku i tylko w pobliżu brzegów wody było po uda. Dęby tkwiące w Rzece czerniały wyschnięte i pokryte ptasimi odchodami, a zamiast promu na Podwierzbiu krypiarze poszczepiali w poprzek koryta nieużyteczne teraz krypy i zrobili jakby most czy kładkę.

Skolasko znowu pojechał do komendy poligonu w dworcu Hinczów i Ewa, nie mając co robić, wybrała się na plażę. Poszła sama, pozostawiając Luksa znudzonego w jego zagrodzie, co demonstrował, wydając co parę minut głośne wycie.

Na plaży było sporo ludzi, w większości niemieckich żołnierzy i kilkanaście kobiet z dziećmi. Ewa ułożyła się na zielonym wojskowym kocu, posmarowała ramiona kremem nivea, który Skolasko otrzymał od syna doktora Frankego, i nu-

dziła się setnie. Z nudów zaczęła oglądać żołnierzy i myśleć o tym, z którym by się przespała, gdyby jej Skolasko nagle znikł z horyzontu. Jego nagły wyjazd nie wróżył nic dobrego. Skolasko po takich nagłych wezwaniach na poligon wracał zły, kłął pod nosem, bo zazwyczaj musiał tam jechać po jakiejś awanturze, zabójstwem wartowników, podpaleniem czegoś czy obaleniem tablic wyznaczających granicę, poza którą cywilom nie wolno było wchodzić.

Cień jakiś padł na rozmyślającą Ewę, nawet myślała, że to ten żołnierz, z którym zetknęła się wzrokiem, dosyć przystojny, zdecydował się i do niej podszedł. – Parę słów przecież możemy se powiedzieć – myślała Ewa, ale srodze się zawiodła. Jakaś dosyć korpulentna, a nawet tłustawa kobieta, z liściem babki na nosie, w różowym perkalowym kostiumie plażowym, układała swój koc obok niej.

– Nie będę pani przeszkadzała? Tu tak cicho, a tam cały czas biegają ci mężczyźni – pokazała na żołnierzy.

– Nie – powiedziała Ewa, która śmiertelnie się nudziła. – Dobrze nawet, że pani tu siednie, bo pójde zamoczyć się do rzeki. Strasznie mi ten gorąc dojad.

– Oczywiście, że pani popilnuję – rzekła kobieta. – Gdyby nie to, że mam reumatyzm, to sama bym poszła się zamoczyć.

Kiedy Ewa wróciła – srodze zawiedziona, bo ten żołnierz, który jej się coraz bardziej podobał, nie poszedł za nią do wody, a kiedy wyszła z powrotem na brzeg, Niemcy stali już w szeregu w mundurach i za chwilę pod dowództwem podoficera pomaszerowali przez łąkę do wału – kobieta poczęstowała ją jakąś ersatzową pomadką, a potem drugą.

– Dobrze – powiedziała Ewa i pomyślała, że te francuskie pomadki, które kiedyś przyniósł Skolasko, lepiej smakują, ale powtórzyła: – Pyszne! – bo Ewa szybko uczyła się wyrażać po miastowemu.

– Nie uwierzy pani – kobieta rozsiała się lepiej na swoim kocu i zaśmiała się, a jej piersi i brzuch zadrgały – że to z fasoli.

– Z fasoli? – Ewa była zdziwiona i od razu odechciało się jej tych pomadek.

– Oczywiście! Moczy się fasolę i gotuje bez soli, potem miele i dokładnie miesza po odrzuceniu łupek – zaczęła jej wyjaśniać kobieta. – To jest podstawa tego przysmaku i cała baza. Do tej masy fasolowej dopiero dodaje się owsiane kakao, jakby było prawdziwe, to jeszcze lepiej, ale owsiane też się nadaje – kobieta po kolei wyliczała różne ersatz-dodatki i po godzinie zaprzyjaźniły się z Ewą do tego stopnia, że przeszły do zwierzeń:

– Wie pani, ja jestem wdową po austriackim wojskowym. Był w stopniu kapitana mój mąż i kiedy umarł, nie było rady, musiałam się wziąć do pracy. Do wojny prowadziłam stancję dla młodzieży z gimnazjum, no a teraz, wie pani, wynajmuję pokoje. Do niedawna mieszkała u mnie osoba – ściszyła głos – z bardzo porządnej niemieckiej rodziny. Bardzo miła dziewczyna. Pracowała w Flugzeugwerku, ale teraz

wyszła za mąż i wróciła do rodziców...

– Ja nie pracuję. Znaczący się, pracuję, ale prowadzę gospodarstwo jednemu panu – wyjaśniała Ewa zawile, ale nie bardzo wchodząc w szczegóły.

– No, to się pani mój przepis przyda – ucieszyła się wdowa po kapitanie. – Mam mnóstwo takich przepisów, może pani kiedyś wpadnie do mnie.

– Czego nie – powiedziała Ewa Bołda. – Do południa mam czas. I wieczorami... – przypomniała sobie, że Skolasko siedzi nieraz do późna w Soldatenheimie.

– To nie musi pani gotować obiadu?

– Iiii! Nie! Coś tam upichcę i wystarczy. A on dużo je w... „reustaracji”.

– To pani ma dobrze... – Kapitanowa przerwała i patrzyła pomiędzy kamienne filary, na których stał hangar, w którym Niemcy trzymali kajaki. Z tyłu tego hangaru, na małej łączce porośniętej wysokim mleczem, miotał się jakiś chłop w koszuli i podwiązanych portkach. Tępa zwierzęca twarz parobka wyrażała największą wściekłość. Za ramię, a raczej za szelki na plecach, trzymał zapłakanego, może dziesięcioletniego chłopca, drugą ręką wydzierając mu płócienny, do połowy wypełniony woreczek.

Kapitanowa wstała, bezwiednie to samo zrobiła Bołda; obydwie weszły w cień hangaru i pod jego dnem przeszły na łączkę.

– Ja ci, kurwa, urwę! Ja ci...! W szkodę leziesz?! Ja przez ciebie do Pustkowa pójde?! Jak się nazywasz?!

– Proszę go puścić! Czego pan chce od tego dziecka?! Wstydziliby się pan! – powiedziała Kapitanowa.

– A panusia to co?! Czego tu się pani wtrąca?! – kropkowana starymi ospowymi bliznami twarz chłopca jeszcze bardziej poczerwieniała, a dłoń mocniej ujęła szelki i woreczek. Mały załzawionymi oczyma patrzył na Kapitanową.

– Co on zrobił?

– A co panią obchodzi?! Trawę rwie! Ja jestem furman z niemieckiej firmy i tu konie pasę. Pan Kenig powiedział, że jak konie nie będą dobrze futrowane, to pójde do obozu.

– To co, chcesz je futrować tym mlicem?! Owies kradniesz, a mlicu koniom dasz?! Puść go! Ino migiem! – wtrąciła się Bołda.

– Nie wtrącaj się, paniusiu – powiedział groźnie. – Polecę do firmy, sprowadzę Niemca i będzie bida.

– Ty jeszcze dziś pójdziesz na gestapo do piwnic. Wiesz, co to gestapo?!

– Wiem...

– To puszczaj chłopaka, ciarachu, i zejdź mi z oczu – Ewa w nagle przerażonych kropkowanych tęczęwkach furmana ujrzała swoją ważność i władzę, jaką posiadała, żyjąc ze Skolaską. – Jak masz na nazwisko?

Palce chłopca zaciśnięte na szelkach i woreczku rozluźniły się. Umknął wzrokiem.

– Eee, tam... – wykrztusił.

– Nazwisko?! – krzyknęła Ewa.

Furman Keniga puścił się biegiem, przelazł przez druty kolczaste ogradzające plażę i hangar i leciał przez kartofle, nie oglądając się za siebie.

– Po co ci ten mlecz? – spytała Kapitanowa.

– Dla królików – bąknął chłopak.

– Urwij se jeszcze – powiedziała Ewa.

Ale chłopak miał widocznie dosyć wrażeń, bo złapał woreczek i szurnął w kępę.

– Ale mu pani dała! – Kapitanowa z uznaniem spoglądała na Bołdę.

– Cham zbontowany! – Bołda zadowolona była z siebie.

– A żeby pani wiedziała! Pięknie to pani wywiodła: „zbuntowany”!

– Pójdę do wody, bom się z tego wszystkiego spociła – Ewa pociągnęła po nakremowanych ramionach i pomyślała, że Skolasko lubi to i kiedy jest spocona, to pcha jej nos pod pachę.

– Żeby się pani tylko nie przeziębiła.

– Iii... Nic mi nie będzie – powiedziała Ewa i na odmianę pomyślała, że gdyby tej milej pani powiedziała, że nieraz robiła przepierkę, klęcząc gołymi kolanami na mokrej, zamarzającej szmacie nad przerębłą, to ta by na pewno nie uwierzyła.

– To co? Wpadnie pani do mnie na herbatę? – spytała Kapitanowa. – Od pierwszego rzutu oka panią polubiłam.

– Pewnie, że wpadnę!

– Zobaczysz pani, jakie towarzystwo u mnie mieszka. Najlepsze niemieckie rodzi-ny!

„Kazio” był złym prorokiem. Obaj chłopcy ze smykowskiego folwarku przeżyli. Trafiły tylko dwie kule z visa „Kazika”. Józek Deczkowski miał przestrzelone prawe płuco, mocno się skrwawił, był nieprzytomny. Mateusz Kielian miał przestrzeloną szyję, krtań była uszkodzona i nie mógł mówić, ale za to był przytomny. Arendowski, żeby uniknąć podejrzeń, zawiadomił gestapo.

– Co pan myśli, panie doktorze – pytał Skolasko doktora Marczewskiego. – Z którego można coś wyciągnąć?

Stali wraz z roztrzęsionym Arendowskim nad obydwojma chłopakami leżącymi na słomie i podścielonych prześcieradłach w starym spichrzu. Wokół rozlegał się płacz kobiet, matka Józka leżała tak, jak padła po przyjsciu na miejsce.

– Postrzał w płuca – mówił półgłosem Marczewski do Skolaski – sprawa bardzo niepewna, rokowanie jest zdecydowanie niepomyślne. Temperatura subnormalna, właściwie on kona.

– To zostawmy go – rzucił niecierpliwie Skolasko. – A jak ten drugi?

– Jest lepszy. Po pierwszym szoku przyszedł do siebie. Rozumie, co się do niego

mówi, włada rękami, nie wiem jak będzie na dalszy dystans z mową. Może w ogóle nie mówić, może wydawać dźwięki świszczące i ciche, ale będzie go można zrozumieć.

– Kiedy?! – zniecierpliwił się Skolasko.

– No, pół roku chyba...

– Herr Je! Pół roku! Pan chyba nie wie, co mówi! Mnie trzeba już wiedzieć, kto i dlaczego ich postrzelał. Czekaj pan! Niech pan im przetłumaczy, przecież dzieci chodzą do szkoły. Tabliczkę i rysik niech przyniosą – mówił do Marczewskiego.

Wnet jakaś dziewczyna przyniosła ubogą szkolną wyprawkę w parcianej teczce.

– Kto?! Pytaj go pan!

– Kto to zrobił? – pytał Marczewski.

Ręka chłopca ujęła rysik, głowa leżała nieruchomo, ale na lekarza spojrzwały oczy w ciemnych obwódkach. Marczewski trzymał tabliczkę.

– Kto? Napisz, chłopcze.

Chłopiec najpierw napisał drukowane N, potem odpoczął chwilę, dopisał E, znowu odpoczął i dopisał M, leżał chwilę z zamkniętymi oczami, stłumił jęk i dopisał z wysiłkiem C i Y.

– Niemcy...? Niemcy – odkrył Marczewski. – Niemcy – powtórzył zdumiony. – Niemcy! Deutsche! – tłumaczył Skolasce.

– Tyle, to i ja rozumiem – zniecierpliwił się Skolasko, który z Ewą dogadywał się wprawdzie na migi i w miłosnym żargonie, ale chwycił już kilkanaście polskich słów, tak jak Ewa niemieckich. – Jacy Niemcy?! W mundurach, czy cywilni?!

– Jest zbyt słaby. Uszła go krew – mówił lekarz do Skolaski.

– Te baby też mówiły to samo. Jacyś bandyci przebrali się za Niemców. Przeżyje?!

– Przeżyje.

– To bierzmy go do szpitala w Dzikowcu. Tam jest dobry chirurg! – gorączkował się Skolasko. – Rządca niech się zjawi u nas jutro rano. I rodzice obydwu chłopaków. Tego chłopca do pojedynczej separatki. Przy drzwiach postawimy mu wartę, doktorze. Tu się szykuje duży sukces. Nie zabija się takich smarków dla błahostki. Ten chłopiec wie coś bardzo ważnego.

– Ostrożnie! – powiedział doktor do Arendowskiego. – Przenieś go ostrożnie na wóz i powoli do Dzikowca.

– Panie doktorze – do Marczewskiego podeszła płacząca matka Deczkowskiego. – A co z nim?

– Jak przeżyje trzy dni, to przywieziecie go do szpitala – powiedział niecierpliwie Marczewski. – Dam mu zastrzyk kamfory. Nie trzeba! Nie całujcie mnie po rękach.

I przyszło „Kaziowi” znowu odwiedzić doktora Marczewskiego.

Doktor najpierw spieszonym krokiem przeszedł przez poczekalnię, niewidzą-

cym wzrokiem przeleciawszy po czekających pacjentach, a potem jakby go kto pchnął w pierś, zatrzymał się w drzwiach. Obrócił głowę, spotkał się ze wzrokiem „Kazia”, zamrugał oczami i wszedł do gabinetu. Za chwilę znowu się ukazał, już w fartuchu, i powiedział:

– Pan był ze mną wczoraj umówiony?

– Tak jest, panie doktorze – „Kazio” powstał z krzesła i patrzył na doktora z szacunkiem.

– Proszę...

„Kazio” wszedł, skrzypiąc butami, i doktor zaciskając szczęki, jakby go zęby bolały, na głos Kaziowych „zgrzybków” zaszeptał:

– Czy pan sobie zdaje...

– Zdaję, zdaję sobie sprawę i jestem całkiem przytomny. Szybko, doktorze, bo nie mam czasu. Co z Kielianem?

– Jest w Dzikowcu w szpitalu – mówił roztelepany doktor. – Pilnuje go warta. Píše na tabliczce. Podał rysopis jakiegoś blondyna w kapeluszu i białych skarpetkach.

– Co z rządcą?

– Mówi, że chłopcy cały czas latali po lesie i mogli natrafić na jakichś bandytów albo Żydów, którzy się ukrywają i ci, bojąc się o nakrycie, ich zabili.

– Dobrze. A ten drugi chłopak?

– Była jego matka. O dziwo, żyje, chociaż jest nieprzytomny. Jutro rodzice przewiozą go do naszego szpitala. I na litość boską, niech pan już tu nie przychodzi. Ja nic nie wiem i nie chcę o niczym wiedzieć!

– No, to zmykam – rzekł „Kazio” i poskrzypiał do drzwi, nic nie odpowiadając na ostatnie enuncjacje doktora. Zamknął drzwi, ale zaraz włożył głowę z powrotem.

– Trzy razy dziennie te krople czy dwa razy?

– Trzy razy – zamrugał oczyma doktor, wyjął chusteczkę i starannie wysiakał nos. – Proszę! Kto następny?!

Doktor Podstarości w szpitalu w Dzikowcu siedzi u siebie w gabinecie i trzyma głowę w dłoniach. Przed nim wysoka menzurka laboratoryjna, na dnie której jest trochę przezroczystego płynu. Doktor, uczeń Rydygiera i Schramma, pierwszy raz w praktyce spotkał się z przypadkiem, że ktoś namawiał go do złamania przysięgi Hipokratesa i zasady primum non nocere.

Przywieziony przez gestapo chłopiec z przestrzeloną szyją i uszkodzoną krtanią, przez czas od momentu postrzału „napompował” się powietrzem na całym podskórzu okolicy gardła i szyi. Wygląda jak tłusta świnka morska i pozornie pogłębia to jego ciężki stan, obrzęki jednak spowodowane przedostaniem się powietrza pod skórę z uszkodzonej krtani nie są groźne. Wchłonie się to prędzej czy później. Groźny

jest sam chłopiec, który powoli wraca do sił i jeszcze trochę, a wróci do pisania na tabliczce.

Przed chwilą wyszedł z gabinetu doktora niepozorny, średniego wzrostu człowiek około trzydziestki, z tych, na których nie każda kobieta zwróci uwagę.

Człowiek ten w ubiegłym roku dostał burę od właścicielki mieszkania, w którym nocował Świsza z łączniczką i której nie podobały się nocne pokrzykiwania partnerki partyzanta.

Niepozorny człowiek nosi pseudonim „Bławatek” i jest komendantem dywersji podobwodu AK w Dzikowcu. Rozmowa z nim wprowadziła dyrektora szpitala hrabiny Dzikowieckiej w taki przygnębiający nastrój, że musi się ratować dawką bezbarwnego płynu z laboratoryjnej menzurki. Doktor jest członkiem Armii Krajowej i musi w jakiś sposób pogodzić posłannictwo lekarza z patriotyczną misją.

Kiliana, chłopca, który nie lubi rządcy z majątku w Smykowie, trzeba za wszelką cenę uciszyć. Zależy od tego życie rządcy Arendowskiego i w kolejności losy obwodu „Ser”, bo Arendowski wie dużo, a nawet bardzo dużo.

Rozmowa „Bławatka” z doktorem była krótka.

– Proszę go otruć, panie doktorze! tego wymaga od pana dowództwo obwodu i podobwodu.

– Macie liche grupy dywersyjne – obrusza się doktor. – Żeby kilku ludzi strzelało i tylko jedna kula przypadkowo trafiła?! Kretynstwo!

– Stało się! Na drugi raz będziemy mądrzejsi. Ale to groźny konfident, pomimo młodego wieku.

– Może przez głupotę to robi. Przecież on nie ma nawet siedemnastu lat... I teraz ja mam truć to nieledwie dziecko!

– Mówił mi człowiek obeznany trochę z medycyną, że można mu dawać takie coś, żeby był ciągle oszołomiony. Jakiś taki środek...

– Veronal – szepnął doktor. – Mogę to zrobić. Potrzymam go na dużych dawkach veronalu, ale wy też zróbcie coś, bo nie mogę tego wiecznie robić.

– Dobrze... – odetchnął „Bławatek”. Zbiegł ze schodów, wyszedł i dosiadł roweru; chwilę postął oparty nogą o krawężnik, niby dopinając spinacz przytrzymujący nogawkę i zapobiegający wkręcaniu się tejsze w łańcuch. Do szpitala szedł granatowy Dyśko, wysoki, postawny policjant z wąsikiem rozciągniętym i przyszytym nad górną wargą. Był na służbowo, z paskiem od czapki pod brodą i bagnetem na mauzerze. – Zmiana warty – pomyślał „Bławatek” i odepchnął się nogą od krawężnika.

Po wyjeździe Uty Riegel i jej zamążpójściu, u Kapitanowej-„Marty” zamieszkały dwie młode Niemki, Gundula Schwartz i Erna Ziberbisch, ale po dwóch tygodniach powołano je na kilkudniowy kurs w ramach Bund Deutsche Madel do siedziby dys-

tryktu i korzystając z tego, w piątek wieczorem do domu Kapitanowej przemykali się kolejno: „Delikatny”, „Nowy”, „Kazio”, Burczy-Ryś, Kulbaka i „Parczew”.

Siąpił wrześnieowy wczesnojesienny deszczyk i wszyscy, przyzwyczajeni do letnich upałów, które nagle się załamały, nie mogli się jeszcze pogodzić ze zmianą ubiorów na jesienne, wobec czego jak jeden byli zmarznięci i z nadzieją patrzyli na Kapitanową nalewającą wrzątek i kapiącą do szklanek herbatol o zapachu rumu.

– Niemcy to chyba w świecie przodują w produkcji różnych ersatzów. Herbatol, margaryna, sztuczny miód, marmolada z buraków – wyliczał „Delikatny”. Widać było, że komendant obwodu „Ser” chętnie mówił o wszystkim, byle nie rozmawiać o blamażu, jakim było wykonanie orzeczonego doraźnie wyroku na dwóch chłopcach, konfidentach gestapo z majątku Smyków.

„Delikatny” przedwczoraj spotkał się z majorem Wigrą, komendantem inspektoratu „Książka”, który wyrzucał mu nieprzemyślaną decyzję i skandaliczne jej wykonanie.

W rozmowie z „Delikatnym” uczestniczył kapitan „Czeresznia” oraz milczący cały czas oficer z czarnym hennowanym wąsem, niezbyt wojskowo wyglądający, w obszernych pumpach i sportowej marynarce z draganikiem na rozpiętej pod szyją koszuli. Jak się później „Delikatny” dowiedział od siostry „Parczewa”, pracującej w inspektoracie „Książka”, był to drugi zastępca Wigry, major zawodowy Cios-Gorczyński, który nosił pseudo Jeff.

– Panie kapitanie – mówił „Wigra”, który mocno zaciągał z ruska, bo do armii polskiej przeszedł prosto z Armii Denikina i zdążył jeszcze brać udział w wojnie bolszewickiej i obronie Warszawy jako dowódca kompanii. – Panie kapitanie, nie dziwiłbym się oficerowi czasu wojny, jakich teraz z konieczności mamy niemało i nad czym boleje kto bardziej trzeźwy w korpusie oficerów zawodowych, ale jeśli oficer zawodowy popełnia takie szkolne błędy – patrzył na „Delikatnego” zza okularów.

– Pozwolę sobie zameldować, panie majorze – „Delikatny” aż się trząsł – że błąd nie był taki, jak go przedstawiają pańscy informatorzy. Odwróćmy sytuację i założmy, że akcję wykonujemy po zadziałaniu drogi służbowej, na co stracilibyśmy około tygodnia. W tym czasie pierwszą lepszą furmanką któryś z chłopaków dostałby się do Miasta i poszedł na gestapo. Przecież to tylko dwanaście kilometrów. Ryzykowałbym wtedy dekonspirację ważnego punktu oparcia we dworze, życie kilku ludzi, dekonspirację dowództwa obwodu, życie Żydów ukrytych na dworskich polach i w lesie – „Delikatny” zauważył, że milczący dotychczas człowiek w lakierowanych wąsach wykonał gest lekceważenia, jakby nagle powstrzymany – oraz życie naszego informatora na poczcie, co pociąga dalsze nieszczęścia. Założmy, że posyłam jednego człowieka, który likwiduje Józefa Deczkowskiego. Ten człowiek nie wie nic o drugim, pozostałym konfidentcie. Nieszczęście gotowe, bo smarkacz na-

tychmiast schroniłby się pod skrzydła gestapo. Dopiero kiedy „Nowy” wywołuje Deczkowskiego, ten ujawnia drugiego chłopca. Jak się okazuje, bardziej inteligentnego od Deczkowskiego, bardziej zorientowanego i bardziej zawziętego.

– I obaj pozostają przy życiu – mówi cicho ten wąsaty.

– Zaznaczam, że nie chcę się usprawiedliwiać, stwierdzam tylko fakty.

– To dobrze, niech się pan nie usprawiedliwia, bo wykonanie tego pańskiego wyroku stanowi plamę na działalności dotychczas wzorowo pracującego obwodu – mówił „Wigra”. – Co pan kapitan zamierza zrobić, żeby usunąć zagrożenie?

– Jak najszybciej zlikwidować obydwu rannych, dopóki nie są w możliwości komunikowania się... Tym razem dokona tego jeden człowiek lub dwóch ludzi.

– Są strzeżeni przez granatowych – mówi milczący dotychczas oficer spod kruczego wąsa, prawie nie otwierając ust.

– Jeden jest strzeżony w Dzikowcu, ale ten ciągle śpi. Drugiego ma wieść do szpitala rodzina. Ten jest nieprzytomny i niestrzeżony. Ten zginie w drodze, bo to będzie najłatwiejsze.

„Wigra” wstał. Za nim podnieśli się jego oficerowie.

– Otrzymuje pan rozkaz do wykonania. Zlikwidować obydwu konfidentów. Bez względu na przestrzegania nieangażowania członków wywiadu w akcje dywersyjne. „Nowy” nie może przejść do całkowitej konspiracji. Jest potrzebny w fabryce. Przemysławie sprawę zdobycia pieniędzy, o której informował mnie kapitan „Czeresznia”.

– Rozkaz! – powiedział „Delikatny”.

Siedział teraz przed swymi ludźmi i przypatrywał się im. Z góry postanowił, że do Dzikowca wyśle Rysia i „Kazia”. Kto zastrzeli jutro na drodze Deczkowskiego? „Parczew”? „Silny”? „Silnemu” coś przeszkodziło i nie dotarł do „Marty”.

– „Kazik”!

– Słucham?

– To nie jest szkoła. Nauczcie się odpowiadać jak wojskowi!

– Na rozkaz! – poderwał się Kazik.

– Pojedziesz do Dzikowca. Ty i Ryś.

Ryś podniósł się.

– Dwa pistolety vis z pełnymi magazynkami otrzymacie zaraz.

– Tak jest!

– Kulbaka!

– Tak jest!

– Zlikwidujecie tego w Smykowie. Na miejscu, podczas drogi do szpitala. Do szpitala nie może dojechać, bo mu dadzą wartownika. Weźmiecie dziewczynkę od „Silnego”. Z kompletem nabojęw.

– Nie trzeba. Mam swojego visa.

– O! – zdziwił się „Delikatny”. – Skąd?

- Otrzymałem od „Ruszczyca” po jednej akcji.
- To trefna broń – skrzywił się „Delikatny”.
- Ale strzela dobrze.
- „Delikatny” zirytował się. Bura, jaką odebrał od komendanta inspektoratu, samowola „Ruszczyca” i jego napady, które wprawdzie dokuczały władzom okupacyjnym, ale nie w taki sposób, w jakim to sobie wyobrażał; cały chłodny i ponury dzień spowodował, że powiedział do Kulbaki:
 - Proszę się zdecydować, czy jesteście w dyspozycji, czy nie?
 - Ja zawsze jestem w dyspozycji!
 - Przyjmuję to do wiadomości – „Delikatny” chłodno popatrzył w oczy Kulbaki.
- Niemniej, gdybyście się rozmyślili, to robi to „Parczew”.
- Podejmuję się... to podejmuję. – Kulbaka uciekł oczami w bok.

Na Rynku Zbożowym przez sklepem Wasińskiego zatrzymał się duży samochód ciężarowy marki MAN, wyładowany miałem węglowym. Z szoferki wyskoczył Broniek Nowotański, wytarł czarną szmatą zaoliwione ręce i ruszył szybkim krokiem wzdłuż południowej pierzei rynku. Niósł nasłuchy przepisane wczoraj przez Nowotańską z londyńskiej audycji BBC. Milka, żona Muranki, odebrała od niego karteluszki pokryte równym kaligraficznym pismem matki Bronka.

- Chodź! Napijesz się mleka.
- Nie mam czasu.
- Nie stój tutaj. Wejdz do pokoju.
- Zostawiłem Kobylińskiego w szoferce. Aż nogami przytupuje, bo chce jeszcze jeden kurs zrobić. Powiedz Antoniemu, że ten chłopak z tej strzelaniny w Smykowie jest w szpitalu w Mieście. Dowieźli go rodzice.
- Boże! Antek w pracy, muszę złapać „Delikatnego”! Polecę do „Parczewa”, on ma z nim kontakt.

– Ktoś schrzanił robotę – rzekł Broniek
Milka szybko narzucała jesionkę i chustkę w kwiaty.

Skrzypnęły drzwi z kuchni i stara Harmacińska weszła do sieni. Milka nie miała trzydziestu lat, a jej matka wyglądała na dziwnie zgrzybiałą. Broniek uklonił się, stara nawet nie skinęła mu głową.

- Idziesz gdzieś? – spytała.
- Idę! Jakby Antek przyszedł, to powiedz mu, że poszłam do Jeżowskiej. – „Delikatny” zatrzymywał się czasami u starszej wdowy, która w rzeczywistości nazywała się Barycka, ale w konspiracji nazywano to mieszkanie „u Jeżowskiej”.

Wyszli razem z Milką; żona Muranki prawie pobiegła do Rynku, a Broniek wrócił do samochodu. Kobyliński stał na stopniu i przynaglał go machaniem ręki.

„Delikatny”, otrzymawszy od „Parczewa” fatalną wiadomość, wsiadł na rower i pojechał na drugą stronę rzeki do „Owcorożca”, gdzie spodziewał się zastać Kulbakę. Starego chorążego nie było w domu, pojechał w pole doglądać kobiety kopiące kartofle.

„Owcorożec” miał duże dwudziestomorgowe gospodarstwo, powstałe po parcelacji części gruntów Dolińskich. Takich gospodarstw w Zaleszanach było tylko cztery, nie licząc gospodarstw w kolonii Schenanger, gdzie prawie wszyscy koloniści mieli duże, w jednym kawałku, areały.

„Owcorożec” nazywał się Kwartowy i znany był dobrze administracji niemieckiej, od urzędników landrata poczynawszy, a na kreishauptmanie kończąc. Wszędzie docierał z łapówkami, pierwszy oddawał kontyngenty, pierwszy wprowadzał uprawy propagowane przez agronomów niemieckich; jego to zdjęcie figurowało w gazecie ściennej dla Polaków, i nawet slogan namalowany na murze kościelnym – „Pamiętaj rolniku, usilna praca, za trudy na roli, zyskiem odpłaca” – podobno był przez niego wymyślony.

Żona „Owcorożca” przywitała „Delikatnego” bardzo chłodno, chociaż kilkakrotnie go widziała. Prawdę powiedziawszy, bała się kobieta o rodzinę, o niedorosłe jeszcze dzieci i chociaż niewtajemniczona przez męża w sprawy konspiracji, czuła, że balansuje z rodziną pomiędzy Oświęcimiem a szubienicą na środku rynku. Dojedli jej po klęsce żołnierze w mundurach, dla których trzeba było na gwałt szukać cywilnych ubrań, dojedli nieznajomi ludzie nocujący i cicho odchodzący nad ranem, dojadły ciężkie, wypchane żelazem marynarki wiszące na poręczach krzeseł, a najwięcej dojadł jej znany jeszcze sprzed wojny sierżant Zela, który teraz był nazywany Kulbaką. Najwięcej złościła ją jego niesłowność i jakieś roztrzępanie. Ciągłe coś przyrzekał i potem zapominał, tak że w myślach nazywała go „krzywą gębą”. Czego on nie naobiecywał synowi, a to błyszcze do łowienia szczupaka, a to jakiś nowy rodzaj więcierza do zastawiania na noc, z którym zapoznał się na Litwie, a kiedy Andrzej pytał o to, przekładał termin na następny tydzień; lato się kończyło, a błyszczy nie było i o więcierzu ani słychu. W końcu Kwartowa, rozzłoszczona, powiedziała synowi: – Jak twój ojciec ci mówi, że coś zrobi, to robi, a jak Zela mówi, to mówi i tyle.

„Owcorożec” wrócił późnym popołudniem, „Delikatny” poszedł z nim do sadu, usiedli pod jabłonką. Za wcześniej było jeszcze na babie lato, ledwo skończyły się letnie upały, ale po sadzie snuły się pajęczne nitki. Gospodarz zrobił parę kroków, podniósł gruszkę spadłą z pobliskiego drzewa, podał „Delikatnemu”, ten wziął ją do ręki, nie pogryzł, pusto zażuwał szczękami.

– Kulbaka pewnie przyjdzie pod wieczór, bo zgłodnieje – mówił sarkastycznie „Owcorożec”.

– Znacie sprawę tych konfidentów ze Smykowa?

– Coś słyszałem – rzekł ostrożnie gospodarz. Patrzył prosto w oczy „Delikatne-

mu”, białka miał mocno pożyczowane grubymi naczyniami, w żrenicach ani śladu uśmiechu.

- Kulbaka miał dokończyć jednego z nich w drodze – wygrzytał „Delikatny”.
- Nie chwalił się tym. Był tu wczoraj wieczór. Nawet nocował...
- Jakby ten chłopak przeżył i gestapowcy z niego coś wyciągnęli, to nikt nie będzie w Mieście bezpieczny.
- Tyle wiedział?
- Podejrzewam, że tak.

Kulbaka nie okazał zdziwienia, ujrawszy komendanta obwodu „Ser” u „Owco-
roźca”. Stuknął obcasami oficerek, jak gdyby nigdy nic.

– Deczkowskiego dowieziono do szpitala – powiedział „Delikatny” z rosnącą w gardle pigułą wielkości jaja kurzego. – O ile przypominam sobie, to wydałem ci rozkaz likwidacji konfidenta w drodze.

– Deczkowski nie żyje – Kulbaka umykał wzrokiem – umarł zaraz, jak go położyli na łóżko. Jeszcze lekarz do niego nie doszedł... – usiadł Kulbaka, dalej nie patrząc w oczy „Delikatnemu”.

„Delikatny” zdębiał na tę wiadomość i razem z ulgą, jaka spływała na niego, napłynęło niedowierzanie i wściekłość. Niedowierzanie, bo przecież miał do czynienia z Kulbaką, i wściekłość na siebie, za powierzenie niepewnemu żołnierzowi tego zadania.

- Skąd ta wiadomość? – spytał.
- Od zakonnicy, z którą nawiązałem kontakt przed trzema dniami. Lubię mieć wszystko obstawione.
- Niemniej Deczkowskiego dowieziono do szpitala. Gdyby żył, to przypuszczalnie musiałyby go zastrzelić ta zakonnica. A wydałem rozkaz likwidacji w drodze – „Delikatny” coraz bardziej podnosił głos.

– Rozkaz otrzymałem i przyjąłem do wiadomości – Kulbace łuna wyskoczyła na twarz aż po czoło – ale nie mogłem go wykonać. Widocznie pojechali polnymi drogami i na szosie ich nie spotkałem.

– Dziwnym zbiegiem okoliczności, wszystkie akcje prowadzone przez ciebie nie udają się...

- Co przez to rozumiecie?! – Kulbace grymas wściekłości wykrzywił twarz.
- To, co słyszysz! Dla ciebie najlepiej by było, żeby konfidenti sami umierali, tak jak ten Deczkowski. Źle zorganizowana akcja likwidacji starszego Gustnego, przez co zginął „Miłek”, brak pomocy z twojej strony dla tego chłopaka, kiedy znalazł się w niebezpieczeństwie...
- To pan wyznaczył miejsce, nie ja! To pan wymyślił te zastrane ceregiele z odczytywaniem wyroku i przypinaniem kartki, zamiast strzelić w łeb i po wszystkim.

A ponadto, jakim prawem zwraca się pan do mnie na per ty?! Jestem sierżantem i zwracajcie się do mnie tak jak jest to w wojsku!

– Regulaminowo?! Z pańskich poczynąń, panie sierżancie, wynika, że dosłużył się pan tego stopnia w kwatermistrzostwie, że nadaje się pan do liczenia kałesonów i ważenia cebuli, a nie do wykonywania zadań w konspiracyjnej dywersji. Na przyszłość będę o tym pamiętał.

– No, wolnego, panie kapitanie – rzekł „Owcorożec”, który też poczerwieniał. – Podpisaliśmy akces do Armii Krajowej, ale nie po to, żeby nas obrażać.

– Nic was wojna nie nauczyła! – szarpnął się Kulbaka. – Oficerek z pana wyłazi, ale to nie te czasy.

– Nic do pana, panie Kwartowy, nie mam – sapał „Delikatny”. – Mam tylko pretensje do tego tchórza! Tak! Tchórza. Nie pochwalił się panu, że wyciągnął los na zastrzelenie Potoczka i od drzwi się wrócił i powiedział, że nie da rady.

– To trzeba było samemu iść! – Kulbaka tym razem zbladł jak ściana, a z oczu wyjrzała mu jawna nienawiść. – Łatwo kogoś wysyłać na śmierć...!

– Na wojnie musi ktoś dowodzić i przewidywać, a ktoś wykonywać. Jak się zamienimy miejscami, to ja wezmę pistolet. Inaczej to będzie banda lżyka, czy Osiniaka, a nie wojsko. Dlatego nazywamy się Armią Krajową, że istnieje u nas wojskowa hierarchia.

– A my nazwaliśmy się Batalionami Chłopskimi i też jesteśmy wojskiem – rzekł „Owcorożec” – i to musicie zrozumieć, że nie po to łączymy się z wami, żebyście nami poniewierali.

– Róbcie tak dalej! Nie dziwię się, że wiele naszych oddziałów BCh nie zgodziło się na akces do was. Dlaczego nie macie Pawliny? Dlaczego nie macie „Ruszczyca”? Bo się boją oficerskich rządów – rzucił się Kulbaka.

– No, to dogadaliśmy się – rzekł już pozornie spokojnie „Delikatny”, pomimo, że wszystko w nim wrzało. – O waszych nastrojach poinformuję inspektorat i okręg. Do widzenia!

Odszedł, a „Owcorożec” pokręcił głową niezadowolony.

– Taki to nigdy nie zrozumie powiedzenia: „Żywią i bronią”. A swoją drogą, dlaczegoś nie kropnął tego gówniarza?

– Bo pewnie pojechali przez las – odetchnął Kulbaka. Pomyślał chwilę, a potem dodał: – Sami zasrali sprawę, bohaterzy, a potem innych w to pchają, żeby wyciągali za nich grule z ognia.

Traf chciał, że wartę na korytarzu przed separatką Kieliana trzymał ten policjant Dyśko, który trzy dni wstecz obserwowany był przez „Bławatkę”, kiedy maszerował na służbę. Był to mocny służbista i wsławiony paroma akcjami, w których jego kula powstrzymała ucieczkę niejednego złodzieja, aż niektórzy koledzy, którzy na ogół

strzelali tak, aby nie trafić, wiedząc, że z bogactwa w czasie wojny się nie kradnie, mieli mu za złe tę służbistość.

Dyśko po przejściu służby zaglądnął do separatki, gdzie postrzelony chłopak spokojnie, acz nieco z trudnością, oddychał na wysoko podpartej poduszce, i usiadł na krześle, które przed chwilą wygrzewał jego kolega, Królski. Pasek spod brody przełożył na daszek; nogi w granatowych rajtkach szeroko rozłożył, obcasy zaparł w podłogę, karabin oparty obok krzesła trzymał za łożę.

Patrzył w głąb korytarza, gdzie dwóch ludzi w białych kitlach lekarskich ukazało się przed chwilą; jeden z nich pchał wózek ze stosem talerzy, drugi miał przewieszzone przez rękę jakieś ściereki. Przyspieszyli, a z drzwi za nimi wybiegła zakonnica i powiedziała jakby zdziwiona: – Panowie... – a ci już zrównali się z Dyśkiem i zza brudnych talerzy ten mniejszy, piegowaty, pokazał Dyśce otwór lufy visa i zbliżył go do oczu skamieniałego ze zdumienia, a potem przerażenia, granatowego. Drugi zniknął w separatce, gdzie leżał Kielian, a tymczasem ten mniejszy, piegowaty, wyjął z ręki zdrętwiałego Dyśki karabin. Patrząc na niego cofnął się, założył visa za pasek, sprawnie wyrzucił z magazynka mauzera naboje i wyczepił zamek. Schylił się po nie, a w pomieszczeniu obok rozległ się stłumiony odgłos wystrzału. Zakonnica przemknęła z szelustem habitu i kometu obok i wpadła do separatki, rozległ się jej krzyk. Z separatki wyskoczył ten drugi, wyższy, rozglądnął się, a w tym czasie piegowaty pozbił Dyśki naboje i wrzucił do kieszeni. Ten, który był w separatce, trącił muszką visa koniec nosa Dyśki, ale tak jakoś przyjaźnie i powiedział: – Ani mru-mru! Bo się wróć! – Pobiegli w kierunku schodów, a zakonnica krzyczała: – Jezu! Jezu Chryste!

Dyśko nie przestraszył się pogróżki tego czarnego, który trącał go w nos i oderwawszy się od krzesła dopadł okna. Spodziewał się zobaczyć tych dwóch w białych fartuchach, ale tylko dwóch mężczyzn w kaszkietach wsiadło na rowery i popedałowało w kierunku miasta. Dopiero wtedy zorientował się, że to oni; podniósł gwizdek do ust. Gwizd, chociaż ostry, nie zwrócił niczyjej uwagi; na stadionie naprzeciw okna biegały i skakały dziewczyny z Bund Deutsche Madel w kostiumach gimnastycznych i w ogóle nie reagowały na jego gwizdy.

– Ratunku! – zawył Dyśko. – Hilfe! Hilfe!

Na korytarzu szpitalnym zaroilo się; biegli nawet pracownicy apteki szpitalnej, przybiegł dyrektor. Zalana łzami szarytka szeptała: – Takie dziecko zabili, takie dziecko. A oni nie starsi – była szara, jak jej zakonna sukienka. – Boże, zlituj się! Boże, zbaw!

– Proszę iść do chorych – powiedział półgłosem Podstarości.

Dyśko stał ze swoim okaleczonym karabinem, nieokryte zamkiem czerniało wewnątrz magazynka, dyszał i ocierał czoło. Po schodach stukwały kroki biegnących żandarmów z pobliskiego posterunku.

Pustułka zapomniał już o spotkaniu z czarnowąsą jegomością w dniu napadu Ruszczyca na Spółdzielnię „Rolnik”, a właściwie na magazyny Longarda, ale ten widocznie nie zapomniał, bo po upływie półtora miesiąca od tych wydarzeń zapukał wieczorem do drzwi longardowskiego urzędnika.

– Pan mnie chyba nie poznaje – patrzył pod światło na zaskoczonego Pustułkę.

– Nie...

– Rozmawialiśmy tu opodal pańskiego domu, miałem do pana przyjść, ale wszystko skomplikowało się trochę...

W pokoju zakrzyczała mała córeczka Pustułki, żona uciszała ją; nieznajomy cofnął się z progu.

– Gdyby pan był uprzejmy i poświęcił mi parę chwil...

Pustułka przypomniał sobie czarne wąsy i szerokie pumpy, przypomniał sobie też, że jegomość, usłyszawszy od żony, że Pustułka jest przesłuchiwany na gestapo, odszedł pospiesznie. Nie wyglądało to wszystko na prowokację; wyszedł za próg, zamknął drzwi.

– Pan tu ma jakąś szopkę w podwórzu – mówił półgłosem tamten. – Gdybyśmy tam sobie porozmawiali...

– Króliki chowam, mięsa nie ma, to chociaż króliki – bąkał Pustułka.

– No, właśnie, tu zawiewa, może nawet deszcz...

– Chodźmy – Pustułka poszedł przodem, odemknął skobel. Zapachniało króliczym moczem, zwierzęta zatupały, zaruszały się w klatkach. – No, słucham pana – mówił z rezygnacją Pustułka.

– Przypatrywaliśmy się panu od jakiegoś czasu – prawie szeptał nieznajomy. – Ta sprawa z rabunkiem cukru w pańskiej instytucji trochę przewlekła nam działania, sam pan rozumie, że musieliśmy sprawdzić, czy nie poszedł pan na współpracę z gestapo.

Pustułka milczał, coraz bardziej przeświadczony, że nie wypłacie się łatwym kosztem z tego, czego chce czarnowąsą jegomością.

– Słowem – dyszał szeptem tamten – uznaliśmy, że jest pan odpowiednim człowiekiem...

– Odpowiednim do czego?

– Do prowadzenia pracy konspiracyjnej jako kierownik ruchu oporu cywilnego. Chcielibyśmy widzieć pana na tym stanowisku. Ma pan tu pracę nie zwracającą uwagi, to w konspiracji rzecz nieoceniona.

– Niech mi pan da czas do namysłu.

– Proszę bardzo. W następnym tygodniu, w poniedziałek, zaglądnię do pana.

– O siódmej wieczór. Będę tu czekał. Proszę iść tutaj od razu. Nie trzeba wchodzić do domu. Będę czekał.

Nieznajomy zniknął, a Pustułka szedł chodniczką do drzwi. Popadywało. Rząd-

ki listopadowy kapuśniaczek chłodził rozgrzaną twarz przyszłego opornika.

Upłynęło trzy dni. Longard znowu zorganizował robotę na popołudnie i część wieczora. Tym razem w szybowanym przez lokomotywę wagonie siedział granatowy policjant, który przysięgał sobie, że gdyby tylko zaistniało podejrzenie napadu, to ciśnie karabin i podniesie ręce w górę. Wszystko odbyło się jednak spokojnie i Pustułka wracał do domu około dziewiątej, zmęczony, ale spokojny. Postanowił odmówić wąsatemu, pamiętając, że ma jeszcze innych mocodawców, którzy mogą zażądać od niego czegoś wręcz przeciwnego.

W ciemności zauważył przy bramce ciemną postać, ale nie był to wysoki mężczyzna, tylko kobieta. – Pugu, pugu! – zaszeptała i dodała półgłosem: – Dobry wieczór! – Pustułka przystanął i odpowiedział: – Dobry wieczór pani – nie wymawiając odzewu, ale ona widocznie zrozumiała, że ją poznał, bo powiedziała cicho bez żadnych wstępów:

– Otrzymał pan ciekawą propozycję ostatnio. Centrali zależy na tym, aby pan tej propozycji nie odrzucił.

– A jeżeli ją odrzucę?

– To w ogóle nie wchodzi w rachubę. To już jest ustalone. Nie będę panu przeszkadzała. Tylko tyle mam panu do przekazania.

Kobieta poszła w stronę miasta, ogłędna się jeszcze za ciemną sylwetką, ale cóż mógł zobaczyć? Kobieta jak wiele innych kobiet, dosyć zażywna chyba.

Wszedł do domu, żona podała kolację. Jadł, nie czując smaku chleba i salcesonu, który gdzieś kupiła. Potem usiadł, wziął głowę w ręce. Milczał, żona rzucała na niego niespokojne spojrzenia.

Noc. Mecenas Verstenlieg brnie w rozkiszłym, wiążącym stopy bloku nadwiślańskiej mady, idąc prosto przez pola do Lasowej. Idzie ostrożnie, bo w odległości ośmiu kilometrów znajduje się kolonia niemiecka Hohenhoff, siedlisko najbardziej licznych i najbardziej dokuczliwych kolonistów, mających na sumieniu kilkudziesięciu Żydów i Polaków. Z tej kolonii pochodzi też Riegel, i chociaż chłonący łakomie mięso armatnie front wschodni upuścił trochę krwi siedzącym tu od lat rodzinom, to jednak młodzi koloniści, indoktrynowani kilka lat przed wojną i rajcowani dotychczasowymi zwycięstwami wojsk Rzeszy, wierzą w führera, chętnie chodzą na patrole, biorą udział w obławach, hajlują i ryczą pieśni marszowe. I najważniejsze: w każdym domu w honorowym kącie stoi karabin, a czasami dwa.

Mecenas Verstenlieg nie jest w ciemę bity. Bezbłędnie wyczuwając intencje Niemców, wiedział, że to się nie skończy na jednej czy drugiej kontrybucji, czy śpiewaniu: *Nasz Hitler złoty, nauczył nas roboty*. Niemniej, jeszcze siedząc w bunkrze, wykonanym parę miesięcy wcześniej przed pilotowym w Generalnym Gubernatorstwie, a nawet w Europie, wcieleniem w życie akcji Reinhardt, nie wyobrażał sobie wielkości i potworności mordu, dokonywanego na całym narodzie z bezprzykładnym okrucieństwem i drwiną, i dopiero wieści przynoszone przez gospodarza uprzytomniły adwokatowi i jego rodzinie, że przeżyć wojnę, która toczyła się gdzieś na wschodzie, zachodzie i południu, będzie sztuką, która nie każdemu się uda. – Przeżyje – myślał z rozpaczą adwokat – tylko ten, kto jest najsilniejszy fizycznie, psychicznie i do tego posiada odpowiednie środki.

Verstenlieg błogosławił siebie za to, że spieniężył cały swój pokaźny i zbierany od pokoleń majątek, że zmienił go w złoto, dolary i małą tylko część pozostawił w okupacyjnych młynarkach. Błogosławił też matkę, za to, że namówiła go do likwidacji swoich kont w krajowych bankach.

Ciało matki odjechało już dawno na forszpanowym wozie do Pustkowa, aby spłonąć tam na chwałę führera i Tysiącletniej Rzeszy, a Verstenlieg czekał i dziwił się mądrości staruszki, która jakby w proroczym widzeniu powiedziała pewnego

wiosennego dnia: „Po Czechach przyjdzie kolej na Polskę. Pokonanie tego kraju przez Niemców to kwestia kilku miesięcy. Nie będzie kraju, nie będzie banków. A nie będzie banków, to nie będzie pieniędzy.

– To mam tu zlikwidować konta i przenieść za granicę? Gdzie? Do Francji czy do Włoch?

– Do Szwajcarii. A tutaj musisz mieć taką ilość pieniędzy, żeby tobie i twojej rodzinie zapewniły bezpieczeństwo. Im więcej masz pieniędzy, tym mniej wrogów. Chyba że te pieniądze są łatwo dla ludzi dostępne. Wtedy masz więcej wrogów.

Błoto cmokało pod stopami mecenasa, a w głowie kołatała myśl: – Trzeba było wyjechać! Trzeba było wyjechać, chociażby w sierpniu jeszcze! Ale kto się spodziewał, że Niemcy sięgną po środki, jakie stosował Tamerlan po zdobyciu wrogiego miasta. Spodziewać się było można trudności, a nie pogromów.

Gdzieś daleko szaszczekał pies, odpowiedział drugi i głos psich naszczekiwań niósł się wśród rzadko porozrzucanych domów tonących w jabłoniowych sadach.

Kolonijna zabudowa obrzeża Lasowej przechodziła w szeroką ulicę. Z boku ciemniał masyw kościoła ze stojącą naprzeciw długą, typu polskiego dworku, plebanią. Verstenlieg obszedł obszerne podwórze, przesunął trzymający żelazną bramkę łańcuch tak, że duża kłódka znalazła się na zewnątrz, sięgnął do kieszeni, wydobył klucz, otworzył kłódkę i wyciągnawszy łańcuch zamknął za sobą bramkę. Łańcuch powiesił na siatkowym płocie i przeszedłszy podwórze, zastukał do plebańskich drzwi od tyłu budynku.

Po kilku stuknięciach drzwi cicho skrzypnęły i Verstenlieg wsunął się do środka.

Noc. Chajkę obudziło stuknięcie drzwi do komory, w której sypiała. Stary Korniak wszedł i nie świecąc światła zapytał:

– Nie śpisz?

– Nie – odpowiedziała Chajka. – Kolano mnie jeszcze trochę rwie, to sobie masuję.

– Nie głodnaś?

– Nie. Najadłam się na kolację.

– Musisz dużo jeść, bo jedzenie to lekarstwo na twoją chorobę. Śmietanę pij. Pogadamy trochę. Dobrze? – Korniak usiadł na ławie, stuknęła krótsza noga mebla.

– Dobrze... – rzekła Chajka.

– Powiedz mi o twojej rodzinie coś... Jak myślisz, kto się z nich uratował?

– Nie wiem...

– No, to po kolei. Tatę spalili Niemcy w bóżnicy? A dziadkowie?

– Dziadka nie znałam, wcześniej umarł. Babcia zmarła w getcie na tyfus. Mama miała siostrę Miriam...

– Wydaną...

– Tak. Mamy siostra wyszła za Saula i jego w sierpniu przed naszym wysiedleniem zabił Niemiec przy robieniu wału nad rzeką.

– Za co?

– Pan Esleben, który był przy tym, mówił, że za nic...

– Ano tak. U nas też przy wałach zginęło sporo Żydów.

– Mieli co ci twoi krewni? Doktor mówił, że z bogatej rodziny pochodzisz.

– Dziadek, ojciec taty, był bogaty. Miał dwa tartaki, jeden w mieście, drugi w Sulisławiu. Jak umierał, to jeden zapisał na wujka Barucha, który potem go sprzedał i pojechał do Ameryki, a ten drugi, w Mieście, mieliśmy my. Mamy ojciec miał dwie kamienice w rynku i jedną zapisał na mamę, a drugą na ciotkę Miriam.

– A gdzie ta ciotka?

– Ciotkę Miriam Niemiec zabił, wtedy jak nas wyganiali na rynek. Najpierw dziecko zabił, co się ciotce urodziło – Chajce na wspomnienie głowy ciotki, prawie zmiażdżonej uderzeniami kolby, zaczęło brakować tchu w piersiach i rozpłakała się.

– Nie płacz – powiedział Korniak. – Ciesz się, że żyjesz. A twoja matka?

– Nie wiem, czy żyje. Niosła najmłodszego brata, bo żołnierz go kopnął i nie mógł iść.

– To nie żyje. Kobiety z dziećmi strzelali gdzieś za miastem.

Chajka znowu zaczęła płakać. Przypomniła sobie matkę siedzącą z Moszem w ramionach i straszny los Jaszy w wyjących wagonach na bocznicę.

– Nie płacz. Kogo jeszcze miałaś krewnego?

– Brat Jasza był ze mną...

– Jaki stary był?

– Rok młodszy ode mnie. Zamknęli ich w wagonach i oni strasznie krzyczeli. Potem słyszałam, że zasypali ich karbidem.

– To też nie żyje. A cegielnia była wasza?

– Cegielnia, dom, w którym mieszkaliśmy, i ceglaki...

– Jakie ceglaki?

– Takie domy, w których ludzie mieszkali. Tacy sami biedni...

– No dobrze... Śpij. Lekarstwo od doktora wzięłaś?

– Wzięłam.

– Śmietanę pij i to tam, dla małych dzieci, jedz.

– Fosfatynę?

– A ino. Pacierza się ucz.

– Umiem już „Wierzę w Boga”.

– Na książeczce czytaj Litanię Loretańską. Jak pójdziesz do spowiedzi i do komunii, to za każdy raz jak litanię odmówisz, to masz trzysta dni odpustu z czyśćca. Jak będzie suchy mróz, to będziesz po nocach chodzić, żeby nogi rozruszać. Miód

pijesz?

– Lubię miód.

– Kto by nie lubił. Jakbyś dalej w tym mokrzu siedziała, toby cię już na świecie nie było.

– Wiem...

Noc. W wysychającym kanale, gdzie woda stała od świętojańskiej powodzi, Jadaś złapał w kosarkę sporego szczupaka. Jadaśka szczupaka się bała, bo jak była mała, rybia ość utkwiała jej w gardle i długo nic jeść nie mogła, aż dopiero Żyd felczer upił ją wódką i wyjął tę ość, już oropiała, więc matka Otylki przyrządziła rybę gotowaną na cebuli. Jadaś zjadł sporo od łba, a matka z Otylką resztę z dobrym kawałkiem chleba. Popiły to zabielaną mlekiem kawą z melasą z cukrowych buraków i Otylce odbija się teraz cebula i melasa. Rzuciła zmęczone nogi, zasypia, a co jej się odbija, to dziecko pod sercem kopie ją, jakby mówiło: „Nie przeszkadzaj, śpij i mnie daj spać.”

Otylka tę ciężę znosi gorzej niż pierwszą, z Wojtkiem, żylak jej nabral na prawej nodze i dziwić się nie ma co; bieranina jest przy stadzie czy to przy pasieniu w kępie, czy pod lasem przy jeziorze. Żeby jeszcze dobry pies był do pomocy, jak kiedyś Muszka, którą ktoś za jej dobroć zabił, bodaj czy nie Staszek Mosiądz, po tym biciu, jakie mu Władek urządził za napastowanie Otylki.

– Muszę wziąć jakiego pieska, tylko żeby był smysny do nawracania, bo jak się nie nauczy, to będzie na nic – coraz wolniej myśli Otylka i z tą myślą zasypia.

Noc. W uśpionym Kronstowie brzęczy metal uprząży i poskrzypuje wóz zaprzęgnięty w parę koni. Skrzypi, kołysze się na wybojach gruntowej drogi, a wokół wozu kilku ludzi idących w milczeniu.

Dopiero po opuszczeniu zabudowy, na drodze przy wale któryś odzywa się ciepłym baskiem:

– Na cholerę wlecemy konie! Jak co będzie, to weźmiemy na siebie.

– Będzie na cały wóz, nie bój się – wtrąca się chrypliwie drugi. Kaszle, pociąga nosem, spluwa. – Nie udźwigniesz, tyle mają – dodaje.

Zapada milczenie, ale tylko na chwilę, bo ten młodzieńczy basek znowu mówi jakby trochę z wahaniem:

– Niebudek nas zna...

– To co z tego? Poleci z pyskiem do Niemców na siebie?!

– Powie tym Żydom.

– Mom ich w dupie. Niech siedzą cicho, bo im co na garba może zlecieć.

– Ten adwokat, to nie byle co...

– Teraz byle co... Pilnuj koni i się nie wymądrzaj.

Znowu zapada milczenie, pluska błoto, szumnie wzdycha puchacz w topolach za

wałem.

Po godzinie drogi wóz zatrzymuje się.

– Skręcamy do pola, podjedziemy pod stogi – mówi ten zakatarzony, który kazał milczeć woźnicy. – Pójdę przodem, mało dziesięć razy żem tu po ciemku podchodził. Wiem wejście, ani nie mrukną. Psa żem struł przedwczoraj.

– A jak wyjdzie Niebudek?

– To go zagonię do chałupy. Niech siedzi cicho, bo w razie czego, to nam Niemcy nic nie zrobią, a jemu zrobią, bo Żydów trzyma. Hoou! Uwiąż konie! Zdejm orczyki! Idziemy!

Po odejściu adwokata Verstenliega, który co pewien czas chodził po pieniądze w sobie tylko wiadome miejsca, na zapewnienie żywności, ukryte w podstogowym bunkrze dwie żydowskie rodziny jeszcze bardziej niż zwykle starały się nie zdradzać swojej obecności.

Verstenlieg, który tak przewidująco zbudował zaopatrzoną w najniezbędniejsze wygody kryjówkę, jeszcze wtedy, kiedy getto jako tako wegetowało, liczył na to, że tylko jego rodzina, składająca się ze staruszki matki, żony i jej niezamężnej siostry oraz dorastającej córki, gimnazjalistki Anny, i dziesięcioletniego syna Efraima, znajdzie ukrycie pod stogiem u Niebudka. Niestety, tuż przed wyrokiem wydanym w Wanesse na Żydów Europy, do mecenasa przyjechała rodzina jego nieboszczyka brata, złożona z jego żony Polki i ich dwóch synów w wieku dwunastu i jedenastu lat. Decyzja starej matki Verstenliega o pozostaniu w domu na pewną śmierć zmniejszyła wprawdzie obsadę kryjówki o jedną osobę, ale i tak noce spędzano śpiąc pokotem na podłodze, w zaduchu pomimo wentylacji, która była wyprowadzona do szczytu stogu. Dlatego też co pewien czas ktoś wydostawał się z bunkra na świeże powietrze, żeby odetchnąć i rozprostować kości. Za swoją potrzebą chodzili do Niebudkowej sławojki przy stajniach. Największe kłopoty sprawiali chłopcy żony brata Verstenliega, ruchliwi i lekceważący niebezpieczeństwo. Obaj blondyni i niebieskoocy, odziedziczyli urodę po matce Polce, co pozwalało im chodzić po mieście bez większych obaw. Matka przygotowała im aryjskie dokumenty, metryki chrztu, obrazki pierwszej komunii; obaj doskonale znali ministranturę i w najbliższym czasie mieli się przenieść do Krakowa, gdzie matka miała mieszkać i pracować. Niestety, obaj byli obrzezani i całymi dniami musieli naciągać skórę na członku, tak aby w końcu pokryła glans penis i stworzyła namiastkę napletka. Starszy już prawie tego dokonał, młodszy, któremu mohel mocno naciągnął przy obrzezaniu praeputium, miał jeszcze sporo do zrobienia. Matka właśnie po nich przyjechała i nocowała w chałupie Niebudków, nie chcąc zagęszczać i tak gęstej atmosfery w bunkrze.

Anna, córka Verstenliega, wyczołgała się przez wąskie przejście, otworzyła dREW-

niane, zbite z grubych desek drzwiczki z otworem wentylacyjnym u góry i odsunęła snopek oddzielający ją od podwórza. Wyprostowała zgięty grzbiet i wolnym krokiem przeszła za stół. Kiedy wyrosła przed nią ciemna postać, sądząc, że to gospodarz, powiedziała:

– To ja... Anna, panie Niebudek.

Uderzenie ciężką dłonią w usta prawie pozbawiło ją przytomności. Poczuła słony smak krwi, jęk, jaki wydała zdusił mocny chwyt za gardło.

– Masz ją?! – usłyszała przez szum w uszach chropawy głos i zwiotczała, udając, że straciła przytomność.

Twardy chwyt na szyi zelżał zupełnie, Anna wiotko spłynęła na ziemię.

– Bierz ją do tej dziury – mówił dalej chropawy głos.

Anna, sądząc że tylko dwóch ludzi jest obok niej, wyczuła moment, zerwała się na nogi i rzuciła w ciemność. Otarła się o kogoś, usłyszała tupot za sobą; uderzenie obucha siekiery załamało jej czaszkę. Krzyknęła słabo, upadła i straciła przytomność. Nie czuła omacujących ją dłoni. Napastnicy naradzali się gorączkowo.

– To baba! Zabijeś ją?! Ale sprytna!

– Dostała dobrze w łeb – kaszlnięcie, splunięcie flegmą.

– To co teraz robimy?

– Trzeba ich wszystkich ubić. Znajdą ją rano i ten adwokat może na nas jakie nieszczęście sprowadzić. Pieniądze ma, podkupi tych zza Wisły albo lżyka bandę na nas sprowadzi...

– No, to...

– Sylwek, stań przy wejściu. Będziemy po jednym wyprowadzać, a ty w łeb...

– Czego ja? Ty se stań – zaoponował basek. – Znalazł se...

– Pewno, że stanę! A ty się już z nami nie wybieraj! Pierdolę cię w łeb! Włóż ty, Władek, i Józek. Włóżcie! Dawajcie ich!

Spod stogu rozległ się przytłumiony krzyk. – Panowie..., panowie... – mamrotał Efraim. – Ktoś gramolił się w wejściu. Głuche uderzenie obucha, miękki upadek ciała.

– Dawaj drugiego!

– Panowie, mamy pieniądze, proszę... – głucho mówiła w przejściu kobieta.

– Wyłaż! Nic ci nie będzie.

Stuknięcie obucha. I jeszcze, i jeszcze. Przyduszony krzyk.

Basek:

– Baba i dwóch chłopaków, jak nie Żydy.

– Dawaj, bo ciebie zapierdolę!

Podjeżdżają konie. Ładują wiotkie ciała na skrzynię.

– Do rzeki!

– Będę jechał do rzeki! Trzaby do wału i na rampę. W pola! Zwalimy do Kiełbasowego Dołu i jedziemy prosto do nas. Wnoście, co tam mają...

– Ale walizki! Sama skóra! I plecaki!
– Dawać to wszystko! Przyodziejewę!
– Futra są i kozuchy. Mąka i słonina.
– Mąkę zostaw! Weź słoninę, będzie na zagrychę. Pozdejmujcie co lepsze z tych bab. Na tej, co była pierwsza, płaszcz... I buty. Zdym jeszcze sukienkę. Przyda się.
Oddała się poskrzypywanie wozu. Matka zabitych chłopców, nie spodziewając się niczego, śpi w domu. Budzi się w nocy, patrzy w żar przeświecający spod blachy; dusi ją odór parowanych na ranny obrządek ziemniaków i rzepy. Wierci to w nozdrzach; przyciska nos do twardej poduszki. Jutro będziemy w Krakowie, skończy się ten koszmar – myśli i z tą myślą zasypia, uciekając od zapachów i kryjąc nos w pościeli. Położyła się w sukience, ledwo zdjawszy płaszcz.

Anna ocknęła się w momencie, gdy mocne ręce podniosły z jednej strony lotrę, a z drugiej przychyliły wóz. Siłą powstrzymała jęk i poleciała pierwsza. Zdawała sobie sprawę, że krzyk czy jęk byłby wyrokiem śmierci i kiedy sypiące się po zboczach wądołu ciała spadały na nią, zaciskała zęby, a kiedy szarpnięcia bólu w ranionej głowie stały się zbyt dojmujące, zagryzła zębami dłoń.

Słyszała rozmowę; napastnicy ładowali z powrotem na wóz walizki, plecaki i toboły z pościelą

– Co robimy?
– Co mamy robić? Do domu!
– Z powrotem do wału?
– Pójdę przodem. Weź kobyłę przy pysku, pójdziemy na przełaj, aż do naszej drogi. I za drogą.
– Ciemno jak w dupie!
– Lepiej, że ciemno.
– Wijo! Hoou! Wiijo! Czego się, kurwo, nawalasz na mnie?! O, widzisz ją! –
Skrzyp wozu i odgłosy rozmowy powoli cichły.

Anna ruszyła się, odsunęła od siebie zwłoki któregoś z chłopców; nogi przygniotło jej ciało matki. Odpoczęła chwilę i pomimo bólu i głuchego pulsowania w załamanej obuchem czaszce, wydostała się spod zwłok i poczęła pełznąć po łagodnej ścianie wądołu przeciwległej do zbocza, gdzie zsypano zwłoki. Odpoczęła chwilę i znowu pełzła. Anna nie chciała siebie ratować, bo przeświadczona była, że jest to beznadziejne. Anna chciała wypełnić swoją misję. Misję zemsty na podstępny chłopie, który najpierw ją przyjął, a nawet zbudował bunkier-pułapkę za pieniądze jej ojca, a potem wydał na pastwę bandy, z którą podzielił się zdobyczą. Pora napadu, bezwzględność napastników nie pozostawiały złudzeń co do losu ojca i żony brata ojca. Nawet na chwilę nie pomyślała, żeby wrócić do gospodarstwa Niebudka. Ojciec nieraz wspominał, że sytuacje, kiedy gospodarz zbywał z głowy kłopot

przez wydanie kłopotliwych lokatorów w ręce bandy, zdarzają się, niemniej ufał mocno Niebudkowi, którego przed wojną wyciągnął z tarapatów sądowych, kiedy ten miał proces z rodziną nieboszczki żony.

Anna dopełzła do brzegu wądołu i podniosła oczy w chmurne niebo. Dopiero teraz spostrzegła, że jest w samej halce i majtkach. Zdarto widocznie z niej wełnianą ciepłą sukienkę, sweter i jesionkę. Położyła delikatnie czoło na mokrej ziemi i załkała sucho. Podniosła głowę. Na południe od niej blado mżył poblask nad centrum miasteczka. Niedawno zniesiono obowiązek zaciemniania okien ze względu na odległość od linii frontu, tak na zachodzie, jak i na wschodzie, i w środku miasta tu i ówdzie świeciły się latarnie. Anna zacisnęła zęby i usiłowała powstać, co się jej udało za którymś razem. Jeżeli miasto było na południe od miejsca, gdzie ich wywieziono, a bunkier był nad rzeką płynącą z południa na północ, to gospodarstwo Niebudka znajdować się będzie po jej prawej ręce. Znowu zacisnęła zęby, ale już ból ją nie obchodził. Ściśnięcie szczęk, to wspomnienie ponurego, milczącego gospodarza, ciągle jakby coś knującego, milczącej młodej gospodyni i ich dzieci, które cały czas przebywały z bydlętem w kępie, a obok stogów przechodziły, jakby nie widząc. Anna nawet nie zastanowiła się, ile tych dzieci jest.

Dziewczyna należała do starego narodu, którego dzieje sięgały początków cywilizacji, zdolnego, przemysłowego i pracowitego, wytrenowanego przez lata bezmyślnych prześladowań, które przeżywane były przez jednostki zdolne do poświęceń tak siebie, jak i pobratymców, potrafiące się dostosować do każdych warunków. Jednocześnie naród jej, oprócz innych przymiotów, obdarzony był doskonałą pamięcią historyczną i nie przebaczał krzywd, które od wieków były jego udziałem. Anna była nieodrodną przedstawicielką tego narodu i widząc nieuchronną swoją śmierć, postanowiła przynajmniej dokonać zemsty.

Anna nie uciekała, Anna, potykając się bosymi stopami w spokładanych świeżo zagonach, brnąc przez wypełnione wodą rowy, ślizgając się na rozmokniętych ścierniskach i przebijając się, pomimo bólu, przez oplecione suchymi pędami fasoli, pozostawione w polu tyki, podążała do miasta, unosząc pękniętą od obucha siekiery głowę i sprawdzając kierunek na coraz bardziej jaśniejszy poblask miejskich świateł.

Ta wędrówka trwała długo, bo Anna chwilami traciła przytomność i leżała, dopóki ból załamanej czaszki jej nie obudził. Brzask zastał ją przy kanale ściekowym miasta, który przed kilkoma miesiącami przekraczali, uciekając przed mającym nastąpić pogromem; zastał ją leżącą i ciężko dyszącą. Anna nie miała już siły iść, więc zaczęła się czołgać na boku, podpierając rękami i podciągając nogi. Tak pełznąca, pokonała mostek na kanale i wciągnęła nieposłuszne ciało na otoczoną płotami uliczkę wiodącą do ulicy Mostowej. Niedaleko był jej dom; Anna chciała dopełnić tylko do tej ulicy i tam napotkać jakiegoś Niemca, żeby mu przed śmiercią powie-

dzień o kryjówce, o pieniądzach, o wymordowaniu rodziny i rabunku, o ojcu i ciotce Władzi, żonie brata ojca. – Potem niech mnie zabiją – szeptała przez zęby – a najlepiej, żeby mnie zabili z Niebudkiem i jego rodziną. Niech...

Był ranek, kiedy dopełzła do połowy uliczki. O tej porze jej widok zwabił już ludzi, jej niedawnych nieledwie sąsiadów; Anna pełzła, a ulica za nią wypełniała się mieszkańcami domów i domków, którzy wychodzili z podwórzy, bram i przystawali, kiedy Anna wypoczywała z głową przy ziemi i znowu ruszali, kiedy unosiła głowę i podciągając biodra i nogi uporczywie sunęła do tylko jej wiadomego celu.

– To Verstenliegówna – szepnął ktoś. – Anna..., ta, co chodziła do gimnazjum. – Dzieci biegnące gdzieś zatrzymywały się, patrzyły okrągłymi oczami. Matki odganiały je.

– Boże! Boże! – zapłakała jakaś kobieta. – Nie patrz na to! Do domu! Do domu!

– Jaka pokrwawiona – szeptała inna, ciągnąc za rękę trzyletniego chłopca.

– Idźcie, ludzie, nie róbcie zbiegowiska – powiedział jakiś elegancki mężczyzna z teczką, wyglądający na urzędnika od landrata czy innego Niemca. Poszedł, nie oglądając się za siebie.

Anna dopełzła do ulicy Mostowej i jak ciężko ranne zwierzę, dźwigając tułów na rękach, skrzyła głowę w stronę mostu. Stara profesorka Porajowa, która uczyła ją w czwartej klasie, wybiegła ze swojego domu z blaszanym garnuszkiem, w którym coś parowało.

– Aniu! Aniu! Wypij! – ale nie odważyła się podnieść dziewczyny i wciągnąć jej na podwórze.

Anna odsunęła garnuszek głową i patrzyła w stronę dworu. Wiedziała, że tam jest Niemiec, wiedziała też, że siły uciekają z niej, że straci na dobre przytomność i nie powie tego, co ma powiedzieć.

Pełzła. Jadące ulicą Mostową furmanki omijały ją, woźnice zacinali batami konie. Od mostu nadjechał łązik wojskowy z oficerem i trzema żołnierzami. Zatrzymał się. Jeden z żołnierzy zeskoczył. Stał nad nią, przypatrywał się.

– Jude? – pytał.

– Jude... – wyszeptała Anna. – Byłam u Niebudka..., przy wale.

– Jude! – krzyknął do oficera. – Strzelić ją, panie oberlejtncanie?

– Trzeba zawiadomić żandarmerię. Zaraz tam wstąpimy. To nie nasza sprawa. Być może potrzebne będą jej zeznania.

Żołnierz skoczył na łązika. Oglądnął się. Anna pełzła. W odległości dziesięciu metrów szła jakaś ciekawa kobieta i kilkoro wyrostków. U wylotu ulicy Hildebrandta stali gapie, patrzyli. Profesorka Porajowa obracała swój garnuszek, lży ciekły jej po twarzy. – Przecież to człowiek – szeptała. – Nawet Niemcy ulitowali się, nic jej nie zrobili.

Anna pełzła. Odpoczywała i pełzła. Obolałą głową nacisnęła uchyloną furtkę

do parku, zakołowało jej w oczach; sparaliżował ból. Gromadka chłopaków zatrzymała się; kobieta zaglądała bezmyślnie przez otwarte teraz wejście na dworski teren.

Gazon. Anna leży z głową przy ziemi, wypoczywa, skupia siły, żeby powiedzieć to, co w niej tkwi przez te kilkanaście godzin. Ponure oczy milczącego gospodarza Niebudka. Jego baba, dzieci – wolne, biegające – zaduch bunkra, podciekająca woda, ojciec, ciotka ze swoimi złotymi włosami, kuzyni, szczęśliwi kuzyni, którzy mieli jechać do bezpiecznego Krakowa, a leżą gdzieś w polu, w dole, gdzie ze wsi wywała się do niczego nie nadające się świństwa i odpadki. Sprzedali nas, usunęli jak śmiecie dla kilku walizek i plecaków, i garści pieniędzy, które przyniósł przezorny ojciec. Od niego pewno zaczęli.

Kroki. Anna unosi głowę i widzi przed sobą dwie pary butów. Parę lśniących sztylpów z błyszczącymi kabzlami i ubłocone, juchtowe, związane rzemieniem buciory.

– Was is das, Kalicki – spytał treuhander Wolf.

– To pewnie Żydówka – mówi Kalicki. – Jude, panie trojhanderze..., po co ona tu?! Jezusie Maryjo...!

– Chcę coś powiedzieć... Niech pan powie... temu Niemcowi...

– Co gadać? Kalicki!

– Ona do pana trojhandera szprechen...

– Lej woda na łeb! Gadać!

– Panie trojhanderze! Jej ciepłe mleko! Warm milch...

– Milch. Gut! Gadać!

Kalicki kopnął się biegiem. Za chwilę Marysia z kuchni przyniosła ciepłego mleka w blaszanym garnuszku. Na gazonie zebrał się tłumek fernali i bab. Patrzyli na pulsującą ranę na głowie Anny, na jej pocierane do mięsa dłonie, na jej nagość.

Otyłka też przyszła. Patrzyła na leżącą; wspomniała Chajkę, łzy napłynęły jej do oczu. Pochyliła się, wzięła garnuszek od Marysi, podniosła głowę Anny, podsunęła mleko. Anna łykała ciepły płyn, odetchnęła, przypadła twarzą do ziemi.

– To Verstenliegówna – powiedziała z tyłu Aliśka od Snopka.

Treuhander zadzwonił na gestapo. Odebrał Skolasko.

– Nie zwracajcie sobie głowy jakąś poranioną Żydówką. Zapisać adresy i nazwiska tych, co ją ukrywali, i zastrzelić. Ma pan przecież broń. Zastrzelić i zagrzebać gdzieś nad rzeką.

– Dobrze – powiedział Wolf. – Dawno nie polowałem. Wyszedł na gazon.

– Kalicki! Gdzie szlafen?

Anna zrozumiała, uniosła głowę, ciepłe mleko jakby ją wzmocniło.

– Byłam z całą rodziną u Niebudka, przy wale. Niedaleko Kronstowa. Tam jest bunkier pod stogiem.

Treuhander nie wszystko rozumiał; przykucnął, wyciągnął z tylnej kieszeni notes. Kalicki, który znał Niebudka, zaczął kręcić, że nie rozumie, dostał w pysk; wystękał nazwisko i że przy wale.

– Wieś! Wieś! – wrzeszczał treuhander.

– Tam nie ma wsi. Przy wale...

– Gora most, dół most?

– W dole...

– No! Jude wóz. Za plotą...

Treuhander wszedł do pałacu, nie było go jakiś czas, wyszedł z trójlufką.

– Za plotą!

Annę położono na deskach wozu. Jęknęła.

– Uważaj – powiedziała Otylka.

– Lepiej, żeby ją zabił, niż by się męczyła – powiedziała któraś.

Pojechali przez podwórze, skręcili za obory.

– Kalicki! Szpadel!! – komenderował Wolf. – Mosiadz! Snopek! Lopata!

Za chwilę ludzie usłyszeli strzał. Kalicki ukazał się na podwórzu. Obcierał usta i oczy. Zrzygał się tam za tymi oborami.

Jeszcze dobrze było ciemno, kiedy Niebudkowa wstała i poszła do obory obrządząć krowy. Żona nieboszczyka brata Verstenliega też wstała i nie myjąc się, szybko narzuciła płaszcz i wyszła na przyzbę. Wstawał chłodny, wilgotny, listopadowy dzień, ale światło słoneczne nie przebijało się przez grubą warstwę chmur i mgły.

Władka Verstenliegowa wstrząsnęła się. Pochodziła z maleńkiej wioski między Radoszycami a Końskim; los rzucił ją na służbę do Dzikowca. Najpierw służyła u wdowy po notariuszu, zjadliwej i nieprzystępnej jędzy, następnie u bogatej żydowskiej rodziny, trzymającej w dzierżawie trzy młyny za Wisłą. Potem pracowała jako pomoc sklepową w dużym sklepie towarów mieszanych, też u Żyda, Berdana, którego nie wiadomo dlaczego nazywali Olens. Kiedy awansowała na ekspedientkę, do tego Żyda po zakupy zaczął przychodzić niebieskooki rudawy Żyd, postawny i wysoki. Nazywał się Józef Verstenlieg. Pochodził z rodziny dosyć swobodnie traktującej swoje pochodzenie i od lat mieszkającej w Dzikowcu. Józef prawie codziennie przychodził do sklepu Olensa, najpierw kupując, a potem tylko stojąc i rzucając ukradkowe spojrzenia na rozsypane wokół głowy włosy ekspedientki Władzi, i narażając się na drwiny dzieciarni Berdana, której dotychczas raczej imponował ze względu na wadę, którą wyrzucała mu cała społeczność żydowska, tak ortodoksyjna, jak i asymilowana. Otóż młody Verstenlieg, który miał brata, początkującego, ale dobrze zapowiadającego się, adwokata, dawał się bić po mordzie byle komu. Chłopak po prostu uprawiał boks. Zawzięcie i regularnie chodził na treningi bokserskie, które prowadził przybyły skądś marynarz słonych wód, podobno były bokser. Mło-

dy Verstenlieg nie tylko chodził na treningi, ale występował w meczach bokserskich w półśredniej wadze i co więcej, odnosił sukcesy. To na ten mecz, w którym występował, z Miasta do Dzikowca przyjechał cały pociąg Żydów. Od tego boksu załamał mu się trochę nos i oczy wpadły głębiej, bo wyraźniej zaznaczyły się łuki brwiowe i guzy policzków, i kiedy męska część żydowskich mieszkańców Dzikowca uśmiechała się szyderczo i szeptała: „szajgiec”, to żeńska połowa raczej milczała i wodziła wzrokiem za przystojnym chłopakiem.

Jego pryncypał, Ewi Nachterman, szkolony w Monachium dentysta, u którego Józef Verstenlieg praktykował, miał mu całkiem za złe uprawianie tak niebezpiecznego sportu.

– Słuchaj pan, panie Verstenlieg – mówił. – Ja, nie powiem, nawet lubię się przypatrzeć jak pan rozbijasz komuś nos czy posyłasz go na deski i on wstaje, a nogi pod nim tańczą, ale aż drętwieję, kiedy pomyślę, że panu grozi podbicie oka. Jak pan z takim okiem pochylisz się nad kimś, komu trzeba wyrwać zęba albo założyć zatrucie, to on takiego widoku może nie wytrzymać. Wstanie i ucieknie. I jak pan, nie daj Boże, otworzysz swój zakład i staniesz w drzwiach z podbitym okiem, to pan na sól do śledzia nie zarobisz.

– Ho! Ho! Zanim ja otworzę swój zakład, to już nie będę boksował – śmiał się młody adept sztuki dentystycznej.

– Cccy! Ccy! Taka porządna rodzina, brat adwokat, ojciec pewnie się w grobie przewraca, bo syn bokser – sarkał niby niezadowolony Nachterman, ale młody praktykant trochę mu imponował, więc coraz to podnosił mu pensję.

Sielanka skończyła się, gdy prawie wyświęcony młody dentysta oznajmił pryncypałowi, że się żeni. Żeni się! I to z kim?! Z Polką, z rodziny, że lepiej nie wspominać, z jakichś Wilkowicz czy Wilczakowicz, gdzie porządny Żyd nawet by się nie osiedlił, bo to jądro ciemności. Ajajaj! Świat się już wali i wszystko idzie ku zagładzie! I to cywilny ślub! Prawdziwy szajgiec!

Brat adwokat na wieść o ożenku podniósł tylko brwi w górę i rozłożył ręce, za to matka na wieść o decyzji młodszego spakowała się i bez słowa przeniosła do syna adwokata w Mieście, zostawiając młodszemu całe rozległe drewniane domostwo w Dzikowcu. W nim młody Verstenlieg po zdaniu egzaminów i uzyskaniu uprawnień dyplomowanego dentysty założył swój zakład.

Czas temu sprzyjał; wizja ministra Kwiatkowskiego przetworzenia zapadłych miasteczek w ośrodki przemysłowe ściągnęła do pracy tłumy ludzi. Małe miejscowości pękały w szwach; pojawiły się niewidziane w takich ilościach pieniądze. A zęby, niestety, nie nadążały z ogólnym postępem. Józef Verstenlieg dawno porzucił boks, pozostawiając to młodszemu, borował i plombował, kiedy na to kogoś było stać, rwał, kiedy pacjent przychodził z ruiną w ustach. Zarabiał. Początkowo nie miał żydowskiej klienteli, ale po urodzeniu się dwóch synów w rocznych odstępach za-

często latać do niego przy byle okazji, aż jego były pryncypał, spotkawszy go przy wymianie ukłonów, groził mu dobrotliwie palcem. Aż pewnego razu zaprosił go do siebie i przy kieliszku pejsachówki zaproponował mu spółkę. – Ty trzydzieści procent, ja siedemdziesiąt.

– Czterdzieści! – powiedział wtedy Josif i zgoda została przybita.

– Gdybym ich nie dała obrzezać... – myślała, stojąc na progu chaty Niebudków Władzia i żymając się od wilgotnego chłodu. – Gdybym... Ale ten mój Józek, który mi dał tyle szczęścia, chciał tego..., jakże mogłam się nie zgodzić. Był w tym nieuśiępliwy. W tym i w solidarności ze swoimi pobratymcami, którzy kiedyś nazywali go szajgiec. Kiedy Niemcy utworzyli getto i wybuchł tam tyfus, to chodził od domu do domu, od łóżka do łóżka, aż sam się zaraził. Nie chciał wierzyć w swoją chorobę, uważał ją za grypę, co więcej, mając szczepionkę, zaszczepił się sam. Pamięta Władzia ten wieczór i jego błyszczące w uśmiechu zęby, kiedy wbijał sobie igłę powyżej łokcia pod podwiniętym rękawem. Na drugi dzień był nieprzytomny, na trzeci dzień zmarł.

Została sama ze swą rozpaczą i z tymi chłopcami, których Żydzi nie uznawali za Żydów, a Niemcy wręcz przeciwnie. Zmieniła im imiona z Saul na Stefan i z Meir na Michał, ale okazało się, że wygląd dla Niemców nie ma znaczenia. Dla niektórych Polaków też. Kiedy nie poszła do getta, natychmiast pojawił się stróż szkolny Jantosik, który teraz był prawą ręką Niemców w tropieniu Żydów i zaganianiu ich do getta.

– A pani to co? – powiedział z satysfakcją. – I tak za długo tu siedzicie. Pani sama nie musi iść, ale żydowskie bękarty muszą.

Uciekła wtedy z obcego jej miejsca, gdzie żydowska rodzina, przy której jej dano mieszkanie, nie chciała z nią w ogóle rozmawiać, a po strefnieniu koszernego naczynia do mleka dano jej do zrozumienia, żeby się wynosiła.

Korzystając z nieszczelności kordonu wokół getta, dzięki zachowanym pieniądzom, bo gabinet objął Niemiec z pobliskiej kolonii, ale jakiś ludzki i nadspodziewanie zapłacił odstępnę, tak jakby nie mógł zabrać za darmo, pojechała z chłopcami chłopską furką do Sandomierza. Tam wsiadła do pociągu i po dwudniowej podróży dotarła do matki. Matka przyjęła ją bardzo chłodno, a na wnuki nawet nie spojrzała. Czerstwa chłopka miała inne problemy. Wyszła drugi raz za mąż po śmierci męża, o czym nawet córki w dalekim świecie nie zawiadamiała. Ale chyba podzieliła się z drugim mężem wiadomością o hańbie, jaka spadła na rodzinę, bo ten na trzeci dzień przez matkę powiedział, że nie chce mieć kłopotów z Niemcami przez żydowskie dzieci. I żeby sobie poszła z najduchami. Mieszkająca w sąsiedniej wsi młodsza zamężna siostra przetrzymała ją tydzień, a potem dała do zrozumienia, że o dalszym mieszkaniu z nią nie ma mowy. Ludzie wiedzą, że wyszła za Żyda, paru

się pytało, czy ci chłopcy to Żydki.

Po dłuższej podróży, w której przynajmniej nie czuła się jak zaszczute zwierzę, bo nikt jej ani jej dzieci nie znał, dotarła do Miasta. Brat męża zwierzył się jej, że na wypadek jakichś restrykcji przygotowuje kryjówkę na wsi, w której zamierza przetrwać wojnę. Wytrzymamy nawet rok czy dwa lata. Dom miał zatłoczony, ale o przeniesieniu się do tej kryjówki nawet nie myślał.

– Dla ciebie – powiedział – z twoim i dzieci wyglądem, jedyne wyjście, to aryjskie papiery.

– Tutaj?! – spytała. – Czterdzieści kilometrów od Dzikowca?

– Jedź do Krakowa. Tam znikniesz. Zmień nazwisko. Podaj się za wysiedloną z Wielkopolski. Oto wyjście. Przy twoim i chłopców wyglądzie będziesz miała spokój.

– Jak ja mam zmienić nazwisko? – spytała bezradnie. – Nie wiem... Oni obrzezani...

– Moja w tym głowa – powiedział adwokat. – A im trzeba powiedzieć, żeby naciągali skórę na prąciu. Stary rzymski sposób, kiedy też nie lubiano obrzezanych.

Rzeczywiście, po dwóch tygodniach Władka miała kenkartę i nazywała się Władysława Przybyła urodzona w Kcyni, jej dzieci zaś metryki z kościoła parafialnego w tej miejscowości. Z pieczętkami prawie że autentycznymi.

Właśnie wtedy zaczęły nadchodzić wiadomości o rychłym wysiedleniu, chociaż nikt nie wyobrażał sobie okropności tego, co miało się nazywać tylko: „Umsiedlung. Evakuierung”.

Kiedy do adwokata przyszła Kapitanowa, a potem Nowotański z wieścią i ostrzeżeniem o daremności wszystkich kontrybucji i okupów, Verstenlieg zdecydował przenieść się z rodziną do bunkra. Odmowa matki pójścia wraz z rodziną nie wpłynęła na jego postanowienie. Wieści przynoszone potem do bunkra przez przeżalonego opowiadaniem o okropnościach gospodarza Niebudka utwierdziły mecenasa w słuszności tej decyzji.

Szwagierka Verstenliega westchnęła i odetchnęła głęboko wilgotnym powietrzem poranka. Dzisiaj zabierze chłopców. Ma mieszkanie przy rodzinie robotniczej na osiedlu Cegielskiego, ma pracę w wytwórni lemoniady w Śródmieściu. Właściciel wprawdzie oblesny i omacuje ją spojrzeniem, ale niech tam... Potem się zobaczy.

Mgła opadała, ciemność rzedła; ktoś stał przy rogu domu. To Verstenlieg wrócił i jak zwierzę wracające do swojej nory, najpierw ostrożnie obserwuje otoczenie, potem daje krok, znowu węszy i rozgląda się, tak mecenas po długiej nocnej drodze przez pola i wertepy, zmęczony, ale zadowolony, wysondował wzrokiem szarość brzasku, zrobił krok i po ścianie domu doszedł do drzwi. Ujrawszy Władkę spytał:

– Tak wcześnie wstałaś?

– Nie mogłam dospać. Już chciałam być na stacji. Mam przesiadkę z Dębicy, ale

cała podróż wygodna.

– Szczęśliwa jesteś – powiedział. – My musimy gnść w tym dole, ale to i tak dobrze. Spać mi się chce. Szesnaście godzin na nogach. Najgorsze jest przejście przez most. Idziesz w ciemnościach i nie wiesz, czy ktoś nie stoi na drugim brzegu. W lecie to się idzie przez rzeką wbród... Verstenlieg skierował się w stronę niewidocznego we mgle stogu, zniknął, za to do Władzi podeszła gospodyni. Niosła w rękę drewniany skopek.

– Niech pani się jeszcze prześpi. Nie ma ich co budzić. Noc teraz długa.

– Pójdę – powiedziała młoda kobieta. – Szwagier... – chciała powiedzieć: „wrócił”, ale przerwał jej krzyk dochodzący od stogów. Rozległ się tupot; Verstenlieg nadbiegł, wpił jej palce w ramię.

– Nie ma! Nie ma! – rzęził.

Przestraszona gospodyni wyszła z naftówką do sieni, światło padało na wybałuszone oczy adwokata.

Gospodarz przypadł w niedopiętych spodniach, bosy. Walił po łbach dzieci, które stłoczyły się w drzwiach. Verstenlieg rzucił się ku niemu, złapał za gardło, gospodarz rzucił mu ręce, chwycił za przeguby.

– Coś pan! Coś pan! – powtarzał.

– Wydałeś ich! Wydałeś! Wyrodku! Wyrodku!

Adwokat zatoczył się, zakołowało mu w głowie, zjechał po ścianie na podłogę. Siedział z opuszczoną głową i półotwartymi ustami, złoty ząb błyskał w świetle lampy kiedy oddychał. Gospodarz pognął na bosaka, tylko w koszuli i spodniach, do stogów.

– Uciekaj! Uciekaj! Władka, uciekaj! Twoich chłopców i moich dzieci już nie ma – szeptał Verstenlieg. – Nie ma! – zawył.

Władka z uczuciem całkowitego zagubienia, nic nie rozumiejąc, czując tylko pustkę w głowie, pobiegła w stronę stogów. Zobaczyła ciemną czeluść wejścia, wczółgała się do środka. Verstenlieg widocznie zapalił kaganek i postawił na składanym stole. Wybite deskami pomieszczenie tchnęło pustką i chłodem. Niebudek stał na środku, łapiąc oddech. Nagle padł na kolana.

– Pani! – zawył. – Ja nie winien! Ja uczciwy człowiek! Mecenas mi gospodarkę uratował, co mi ją szwagry chciały zabrać i moje dzieci głodem umorzyć. Gdzie ja bym...! Ja do grobowej deski!

Młodej kobiecie nagle zawirowało w głowie, zaszumiało w uszach i przez ten szum usłyszała płacz swoich dzieci, zobaczyła ich jasne czupryny; pociemniało jej w oczach i osunęła się na dylowaną podłogę.

Kiedy otworzyła oczy, leżała w sieni obok siedzącego Verstenliega, gdzie ją gospodarz złożył. Ten klęczał z dużym krzyżem zdjętym ze ściany w kuchni. Podsuwał go, przytykał do twarzy adwokata, a potem trzymając go w lewej ręce położył palce

na krwawym boku Zbawiciela i powiedział:

– Jak tutaj klęczę, tak klnę się na rany Chrystusa, że nijakiej krzywdy waszej nie chciałem i że nie zdałem was nikomu.

Pocałował krzyż i podpierając się dłonią, wstał.

– Żeby to nam kiedy do głowy przyszło, to niech tu zaraz trupem padnę, ja i moje dziecko – rozplakała się kobieta.

Verstenlieg podparł się na obydwu rękach i usiłował wstać; Niebudek podniósł go, Władce znowu podcięło nogi.

– Co oni z nimi zrobili?! To jest dla mnie ważne, a nie walizki. To chcę wiedzieć – mówił głosem przerywanym przez zadyszkę Żyd.

Matka chłopców rozplakała się bezradnie i przez łkanie jęczała z głową przytuloną do kolan.

– Moi chłopcy! Moje iskierki! Czyż ja Boga obraziłam, żyjąc z najuczciwszym i najlepszym w świecie człowiekiem?

– Cicho! Może jeszcze żyją! – w Verstenliega nagle wstąpiła nadzieja.

Jaśniało, przybiegł najstarszy syn Niebudka.

– Tato! Chodź ino! Chodź! – ciągnął ojca zerkając na Verstenliega.

Niebudek pobiegł za synem; Verstenlieg od godziny piątej poprzedniego dnia na nogach, wyczerpany po zasłabnięciu, powlókł się za nimi. Władka nie chce nic widzieć; usiadła na progu, wzięła głowę w dłonie, zapadła w odrętwienie bliskie katalepsji, bez pragnień, bez myśli, bez wspomnień. Stan, który jest błogosławieństwem dla ludzi o podatnej na wstrząsy psychice.

Tamci doszli do stogów. W pobliżu zięjącego, odkrytego wejścia chłopak patykiem pokazywał krwawe ślady.

– O, tu widać! – mówił. – Tu, tato! A tu jak dużo! Jezu, tu włosy pokrwawione! – podniósł lok jasnych włosów wraz ze skórą.

– Nie chcę! Nie chcę tego widzieć! – Verstenlieg, pewny już śmierci rodziny, zatkał oczy i usiadł na mokrej murawie. Słyszał, jak chłopak coś mówi, ale nie rozumiał.

– O, tutaj, tato! Patrz! Konie nasrały. Parą byli! Tu nawracali. O, i tutaj krew!

– Panie! Panie! Ja myślę, kto to zrobił, i dorozumiałem się. To taki jeden z Kronstowa, dwa razy do mnie zachodził. On przed wojną siedział za rabunek. Raz krowę niby chciał kupić, a raz dwa barany, bo mówi: „Mam cztery skóry i jeszcze dwie będę miał...” Bogaty chłop... I pies mi zdechł, trzy dni będzie. Pójdziemy śladem, rafa się mocno wbiły, ziemia mokra...

Nadchodzący ojciec z synem z daleka zobaczyli klębiące się nad wądolem ptactwo. Wrony i kawki zerwały się z krakaniem. Trupy leżały na samym dnie, zwalone jeden na drugim. Żona Verstenliega z głęboką raną czoła patrzyła martwymi źrenicami w niebo. Wierzch czaszki nurzał się jej w czarnej krwi.

– Nic tu nie zrobimy – powiedział Niebudek. – Lećmy do domu!

– Tato... – mówił z wahaniem i namysłem chłopak. – Liczę i liczę i cały czas tu jednej brakuje. Tej Anny, co tak książki czytała...

Niebudek zeszedł ze strachem po stromej ścianie wądołu. Przeglądał trupy.

– Nie ma – powiedział. – Chyba im uciekła. Tu nic nie wystoimy. Do domu... – Ruszyli szybkim krokiem, a cały czas powrotnej drogi przemyślał, co ma powiedzieć Verstenliegowi i Władce, matce pobitych chłopców.

Ale na podwórzu stał trzynastoletni chłopak, którego nigdy nie widział, i pytał o niego, nieufnie spoglądając na siedzącego na progu Żyda i Władkę.

Ujrzawszy Niebudka, a szczególnie jego syna Zdzicha, ruszył ku nim.

– Tato kazał wam powiedzieć, że was wydała Żydówka, żeście Żydów pozabijali.

– Jaka Żydówka?! – chwycił się za głowę Niebudek.

– Pokrwawiona była, do dworu się przyczółgała gdzieś z pól. Powiedziała trojhanderowi jak się nazywacie i że Żydów trzymaliście. Trojhander ją za oborami zastrzelił i zapisał se was i tych Żydów. Tato mówił, żebyście uciekały, bo trojhander na gestapo telefonował.

– To pewno ta, co książki czytała, uciekła. Nie zabili jej – wyszeptał Zdzich.

– Verstenlieg zbliżył się i słuchał. Powoli uświadamiał sobie ogrom nieszczęścia. Nie tylko jego rodzinę, ale i tych zniszczą... Chłopak zatupał obłożonymi drewniakami i tyle go widzieli. Mignął jeszcze na wale i pewno dał nura w kępę. W oczach adwokata bezbrzeżna rozpacz. Anna... Salome... Syn!... Żal rzuca go na kolana, bije głową o ziemię. Podnosi się.

– Gdzie są?

– Będzie półtora kilometra, w dziurze na polu. Ani nie masz pan tam po co iść. Ratować się trza!

– Bóg patrzy na to i nic nie mówi?! – jęczy adwokat.

– Uciekaj pan! – powtarza Niebudek. – Maryśka, bierz dzieci, zabieraj się z nimi do ciotki na Maliniec.

– A ty?! – kobieta patrzy rozszerzonymi oczami na męża.

– Ja tu zostanę! Przecież to wszystko musi jeść – pokazuje dookoła. Biegnie do stogu, co prędzej maskuje wejście, nosi łupki drzewa, rzuca je na psią budę, chłopak mu pomaga. – Może nie znajdą – mówi. – A ty na Maliniec. Polami. Przyodziewę bierzcie. Uciekaj pan stąd! Uciekaj!

Władzia podnosi się z ziemi, do której przytłukła ją rozpacz. Potargana, ze smugami brudu na twarzy, wśród których zaschły łzy, idzie jak ślepa do stogów.

– Władka! – podrywa się nagle adwokat. – Uciekajmy! Tutaj już nic nie zrobimy! Zaraz będą tu Niemcy. Ratujmy się, może przeżyjemy, to przysięgam, że odpłacimy tym zwierzętom! Bo przecież to nie ludzie!

Ale Verstenliegowa nie słucha. Przed oczami ma jasne głowy swoich dzieci,

swoich synów, których nosiła pod sercem, i ich ufnie patrzące oczy, kiedy odbywała swoją drogę od Annasza do Kajfasza, jak ślepa idzie w pole za śladami wozu. Najmłodsza dziewczynka Niebudków jęczy: – Mamo! – Niebudkowa pakuje w płachty najpotrzebniejsze rzeczy.

– Szybciej! – mówi niecierpliwie chłop. – Jak do wieczora Niemcy tu nie przyjdą, to wam dam znać. Jak nie będę się odzywał, to niech was ręka boska broni, żebyście tu przychodzili!

Kobieta wiesza mu się na szyi, potem obejmuje go w pasie i przytula głowę. Chłop niecierpliwie ją odpycha. Gromadka dzieci Niebudka i jego żona biegną w ślad za idącą wolno, ale zdecydowanie Władzią. Ona patrzy w ślady kół i idzie na swoją Golgotę. Coraz niżej kłębiące się nad wadołem czarne ptactwo.

Dochodzi do Kiełbasowego Dołu, jęcząc, ale z determinacją wyciąga okaleczone ciała chłopców na orne pole. Siada i bierze ich krwawe głowy na kolana. Ociera krew chusteczką. Zastyga.

W tej pozycji zastają ją Riegel i Rudi, którzy po przeszuchaniu i zastrzeleniu Niebudka idą do Kiełbasowego Dołu. Rudi trąca ją nogą.

– Sie hat die Haare hell gefarbt? – mówi.

– Pochowajcie mnie razem z nimi – szepce Władzia.

– To ci mogę umożliwić – uśmiecha się Riegel. Sięga na brzuch.

Heinz coraz częściej ma całe dnie niedosytu zabijania.

Od rana dzisiaj przemykali się ludzie kępą do „Owcoroźca”. Około południa przyszli „Delikatny” i „Nowy”; „Delikatny” od wsi, bo nocował w leśniczówce u Dębickich, a „Nowy” od miasta z wędką w ręce, co wywołało uśmiech na twarzy chorążego. – Panie inżynierze – powiedział – w listopadzie nikt z wędką na rzece nie siedzi, chyba waryjat. Ryba na zimę schodzi na głębie, a tu akurat wody w rzece niewiele.

– Niemcy o takich rzeczach nie mają pojęcia.

– Ano, co racja, to racja, ale mogą się popytać naszych ludzi.

– Kogo się popytają, kiedy ci, co za dużo gadają, teraz milczą na zawsze.

– A foksy, co im rzekę landrat w pacht puścił, Uher i Traczka, to nie powiedzą?

– Nikt mnie nie widział... – Muranko odstawił kij z owiniętą wokół niego wędką do kąta. – Przyznacie jednak, że coraz to im kogoś przydatnego wystrzeliwujemy.

– Oni nam też. W Ujściu trzech chłopaków zabili, a jednego ranili, a potem dobili i zostawili w rowie.

– Wiem – zmarkotniał „Delikatny”, a Muranko sięgnął do kieszeni i wyciągnął kartkę, na której miał coś zapisane. – W Ujściu jest kobieta, która służyła w Austrii u jakiegoś majora. Nazywa się Serocka. Kilka razy widziano ją wchodzącą na gestapo w Mieście. Trzeba się nią zająć, bo ci chłopcy, to jej dzieło.

– Będziemy o tym mówili, ale po porządku – przygryzał paznokcie zirytowany „Delikatny”, bo od pewnego czasu denerwował go widok Kulbaki.

W dużym pokoju na tyłach obszernego domu „Owcoroźca” było dobrze napalone, a na stole stał litr wódki, chleb i nakrojona na półmisek gotowana słonina. Z boku leżały karty, które „Owcorożec” rozdzielił na cztery kupki i rzucił przed „Delikatnym”, „Nowym”, Kulbaką i „Parczewem”. „Silny”, „Kazio” i Owcorożec pozostali bez kart.

„Delikatny” przygotował się do mówienia i już wstawał, gdy zabrał głos Kulbaka.

– Mam zamiar na Kunę! – powiedział triumfalnie.

Wszyscy obrócili się ku niemu.

– Będziemy referowali po kolei – rzekł sucho „Delikatny”. – Najpierw sytuacja w kraju i w obwodzie. Przekazuję to, co wiem. Oprócz polskiej organizacji zbrojnej w postaci Armii Krajowej w kraju będą tworzone agendy tajnej, można powiedzieć, administracji poprzez Delegaturę Rządu na Kraj. Nazwa tego tworu jest nieokreślona. W powiecie na czele tego, no, powiedzmy, tajnego urzędu, będzie stał jeden człowiek. W przeciwieństwie do Armii Krajowej, która zgodnie z naszymi tradycjami jest apolityczną, stanowiska te będą, niestety, obsadzone według układu partyjnego. Tyle wiem na razie. Wojna na froncie wschodnim zaczyna się klarować. Jeżeli Niemcy przeprawią się przez Wołgę pod Stalingradem, a na to wygląda, tylko cud może uratować Sowiety, bo nawet nie Ural. Niemcy to wiedzą, o czym świadczą poligony utworzone w naszych lasach. Opustoszały prawie zupełnie. Pozostały tylko służby techniczne i strażnicy. Armia generała von Paulusa opuściła je jeszcze w lipcu. Na to miejsce weszły nowe szkolące się jednostki, ale i te pospiesznie w sierpniu i wrześniu podążyły na front wschodni i sądzę, że na główny kierunek uderzenia. Niemniej poligony są dobrze strzeżone przez jednostki specjalne.

– Wiem coś o tym z pierwszej ręki – wtrącił się Kulbaka. – Od czasu kiedy ostatni raz się widzieliśmy...

– Uprzejmie proszę pana o nieprzeszkadzanie mi – „Delikatny”, który coraz bardziej nie lubił Kulbaki, i chyba z wzajemnością, a w rozmowach z Muranką nazywał go Münchhausenem (– Przecież na tym gościu w ogóle nie można polegać, on się nadaje tylko do gadania i obiecywania, co on to nie robi, i do napadania po nocy na mleczarnie i jajczarnie.), popatrzył zimnym wzrokiem na wściekłego i czerwonego Kulbakę i kontynuował: – Podobno jest tam jakaś jednostka specjalna złożona z byłych kłusowników i niższej służby leśnej z Tyrolu i Szwarcwaldy... Wszyscy są dobrymi strzelcami, a niektórzy bardzo dobrymi. Kilku ludzi, którzy weszli nieumyślnie czy przypadkowo na pas ochronny szerokości kilometra, który tam Niemcy utworzyli, zginęło, nawet przy pasieniu krów...

Kulbaka słuchał tego, co mówi „Delikatny” z wyrazem lekceważenia i niesmaku. Wstał i wyszedł. „Owcorożec” powiódł za nim wzrokiem, „Delikatny” udał, że tego nie widzi.

– Następna sprawa, to konfidenci i inni sługusi – mówił dalej „Delikatny”. – Zdecydowanie musimy usunąć Gawora i tę kobietę z Ujścia, jak jej tam...

– Serocka – poddał „Nowy”.

– Właśnie. Serocką. Czas także podjąć decyzję o likwidacji bandy Osiniaka. Jest to plama na naszym honorze. Ludzie zaczynają utożsamiać walkę zbrojną z Niemcami z rabunkiem i gwałtem... Szkoda, że nie ma pana sierżanta Kulbaki, on zna tamte strony, obyczaje i ludzi, ma znajomych...

– Ja mu to przekażę – rzekł „Owcorożec”. – Jest to sprawa ważna, bo członkowie tej bandy pochodzą ze wsi. Osiniak był wystarczająco długo upominany... Mam

kontakt z oddziałem BCh Pawliny-„Piotra” zza Wisły, tym, który rozbił więzienie w Pińczowie. Mówią, że mogą delegować ludzi, którzy tę sprawę załatwią...

– Ten oddział nie podporządkował się rozkazowi numer 3316 dowódcy Armii Krajowej i działa nielegalnie. Z jego usług nie będziemy korzystać.

– Jak pan chce – powiedział „Owcorożec” i zamilkł. Popatrzył na drzwi, przez które znowu wszedł Kulbaka. Ten, jak gdyby nigdy nic, usiadł na swoim miejscu.

– Panu sierżantowi wypadła część naszej odprawy – zwrócił mu uwagę „Delikatny”, mocno podkreślając tytuł.

– Nic mi nie wypadło. Sprawę oddziału strzegącego poligonu znam od dawna. Co więcej, wiem o tym oddziale masę szczegółów, które nie są panu znane. Chciałem się tym podzielić, ale pan nie pozwolił. Ten oddział nie jest taki świetny, a raczej – tu Kulbaka urwał i jakby namyślał się – może on jest i świetny, ale nie na Kunę. Kuna ze swoimi ludźmi odstrzelił w lipcu trzech z tego oddziału, zdobył wtedy dwa karabiny z lunetami, szmajsera, mundury...

– Skąd pan wie?!

– Widziałem się z Kuną i jego ludźmi, tak jak się z wami widzę – rozglądnął się Kulbaka. – I chciałem to powiedzieć, bo to chyba ważniejsze od tego, czy na poligonach są Tyrolczycy, czy inni górale...

„Delikatny” poczerwieniał, pomilczał chwilę, żeby nie wybuchnąć i powiedział, ledwo otwierając usta:

– To mów pan...

– W Kamionce, na północ od obozu w Pustkowie, jest leśniczy Koszczyn. Jest to Niemiec siedzący tam od trzydziestego piątego roku, człowiek porządny i spokojny. Ożenił się z Polką gdzieś od Tarnobrodu. Pracowała u niego na wysiedleńcu. Ta jego żona znalazła w lesie chłopaka, co uciekł z obozu jeszcze z dwoma czy trzema więźniami. Wiem, że jednego Niemcy zabili w obławie. Był ledwo żywy i ona go najpierw trzymała w lesie i tam mu nosiła jedzenie, a potem znalazła miejsce w pasiece, która należała do nadleśnictwa. Tam jest stary pasiecznik i on go ukrył. Potem się pokazało, że ten pasiecznik pomagał Kunie i dwóm więźniom, którzy uciekli razem z tym, co go Koszczynowa uratowała. Ta żona leśniczego przyjeżdża do sklepu Czerepa po sukienki i inne kobiece zabawki. Zaprzyjaźniły się z Czerepową i przy jakiejś okazji Czerepowa wyciągnęła z niej o tym chłopaku, bo ta leśniczyna to baba młoda, a leśniczy pewnie z trzydzieści lat od niej starszy..., no, wiadomo... Czerepowa powiedziała to „Parczewowi”, a on mnie...

– Dlaczego ja o tym wcześniej nie wiedziałem?! – „Delikatny” groźnie typtał na „Parczewę”.

– Nie wiedziałem, że to ważne, że jakiś więzień uciekł z obozu i ukrywa się w lasach.

– „Parczew” nie łączył tego z Kuną, a ja pomyślałem, że to jest może jakiś ślad, i pojechałem do tego pasiecznika. Niby po miód. On się nazywa Smoła, ten stary, a lasy tam cholerne, jeszcze większe pewnie od naszych, gdzie poligony. Najpierw pojechałem do Kamionki, bo to rejon tej gminy. Tam jest mleczarnia, a kierownik tej mleczarni jest w BCh. Zaraz dał mi zaświadczenie, że jestem kontrolerem z tej mleczarni, na moją kenkartę i zaświadczenie mam prawo po gminie jeździć za tymi, co nie odstawiają mleka... Rower zostawiłem u niego i te piętnaście kilometrów poszedłem na piechotę. Najpierw do nadleśnictwa, on tam ma, ten leśniczy, z piętnaście krów, a potem do Smoły, z pięć kilometrów lasem.

– Smołę znam – przerwał Kulbace „Owcorożec”. – Z przed wojny. Od niego w sądzie, jak świadczył, sędzia nie brał przysięgi.

– Ani gadać ze mną ten Smoła nie chciał. Miód – mówi – to Niemcy cały zabierają i dzięki temu tu żyję, bo dawno by mnie wysiedlili, a o żadnym Kunie nie słyszałem. Dopiero jak mu słowo w słowo o tej leśniczynie powiedziałem i o chłopaku, to mówi: „Zanocuj u mnie, co się będziesz po nocy po lasach tłukł, teraz bezpiecznie nie jest.” Ale o Kunie nic. Jeść dał. Wódkę postawił. Zasnąłem w izbie, a w nocy mnie wywelekli, nawet trochę na przymus i z lufą pod żebrami. Wprowadzili do stodoły, latarnią poświecili. „Niemcy cię przystali, zmów pacierz.” Stoi przy mnie trzech, a żaden się nie przedstawia, że Kuna. Ale jednego poznałem i zupełnie zgłupiałem, bo on się po mieście włóczył, taki przygłupiasty, z Cyganką się włóczył. Stąd go spałem. Nazywali go Kuba Bure Woły, dlaczego, to nie wiem. Jakem go poznał i powiedziałem kim jest, to poprosiłem, że muszę rozmawiać z Kuną. Ciężko było się dogadać, ale w końcu...

– Jak on wygląda?! – nagle odezwało się kilka głosów naraz.

– Ani byście nie pomyśleli! Mnie o tak, po nos, grabę ma tylko mocną i kościstą. Mało mówi, rzadko się uśmiecha. Ledwom od niego wyciągnął, że tych tam, Tyrolczyków, postrzelał.

– Ilu ma ludzi?

– Tylko tych dwóch. Kubę i takiego drugiego cyrkowca. Temu to się znowu gęba nie zamyka. On mi powiedział, jak było. „Poszedłem, mówi, na wabia, bo z lasu nie można ich było wyciągnąć. Jak jeden był na widoku, to dwóch zasłoniętych, ale jak zacząłem uciekać, to wszyscy trzej wyskoczyli na drogę, żeby mnie dopaść. A Kuba był na zasiadce. Miał dwa karabiny, żeby tylko raz zarepetować. I się udało.” Bo nie powiedziałem, że tego Kubę to Niemcy złapali, ziemianki im spalili i prowadzili go na poligon. Tam by go pewno rozwalili albo oddali na gestapo.

– Cuda! – westchnął „Kazio”. – Trzech ludzi tak sprzątać!

– Ani nie zipnęli. I teraz Kuba ma karabin z lunetką i ten drugi, zapomniałem jak go wołali... Włosek czy jak, zresztą nieważne. Grunt, że mamy Kunę...

– Trzeba, żeby złożyli przysięgę! – „Delikatny” nie wypadł z roli.

– Powiedziałem im. Kuna nic na to, ale ten drugi mówi, że dobrze. Że dawno szukali kontaktu. I dali mi namiar na takiego doktora w Łosiowie, w razie czego, żeby mu powiedzieć hasło...

– Dane weźmie „Nowy” po odprawie – „Delikatny” skinął głową. – Mamy jeszcze jedną sprawę do omówienia. Prosiłbym „Owcorożca”.

– Chodzi o Osiniaka i Iżyka – rzekł „Owcorożec”. – Trzeba z nimi skończyć, bo uprawiają bandytkę. Musisz wziąć naszych chłopaków – spojrzał na Kulbakę – i rozwalić, przynajmniej Osiniaka. Tamci nie są tak groźni, ale ten to waryjat. Wiemy, gdzie siedzą. Iżyk najczęściej w lesie za Radecznicą, w ziemiankach z Żydami. Podobno żyje tam z jedną Żydówką. Osiniak, Papiak i ta baba są u jednego takiego w Dołach, pod lasem.

– Trzeba się dogadać – rzekł Kulbaka ni w pięć, ni w dziewięć, a „Delikatny” zanotował sobie to w pamięci. Ale widocznie nie było to ni w pięć, ni w dziewięć, bo „Owcorożec” rzucił na Kulbakę spojrzenie i skinął głową.

Wybrali się z pierwszą gwiazdą i mieli całą noc przed sobą. Do traktu dowiózł ich Stach Mikuła, ale tylko do traktu, bo w łączkowskim lesie Niemcy zrobili duże magazyny amunicji, która w sterty poskładana, plandekami okryta czekała na swój czas. Te magazyny ciągnęły się prawie na kilometr w kwadracie i po lesie chodziły straże, strzelając bez ostrzeżenia

Stach popatrzył za nimi, bąknął sobie pod nosem: „Szczęść Boże”, bo przecież szli do dentysty w Daromyślu, skąd spodziewał się nie lada zdobyczy, i nawrócił kobyłę, a oni poszli duktem leśnym, ominęli kołem łączkowski las i wyszli z powrotem na drogę przed Kawęczynami.

Księżyc wysunął się zza lasu, ale tylko różkiem świecił i zaraz zaczęła się dyskusja pomiędzy Osiniakiem i Papiakiem czy wróży to pogodę, czy deszcz.

– Rogami w dół – mówił Papiak – to na pogodę...

– Akurat! – oponował Osiniak. – Na deszcz albo i na śnieg...

– A starzy ludzie mówią, że z roga piece, z pępa ciece...

– A inni starzy mówią, żeś głupi.

– Tyś mądry, jak wole podogonie...

– Ej! Widzę ja, że ci trza rozgrzewki!

– Chłopy – powiedziała Bożena – opamiętajcie się! O co się zrecie?! O księżyc?! Czyście pogłupieli już do ostatka?!

– Obaj głupio gadacie – Iżyk pociągał cygara ukrytego w garści. – Wiecie, jak starzy ludzie mówią? Z roga woda, z pępa pogoda.

Oczy im się przyzwyczaiły już dobrze do ciemności, a niebo wygwieżdżone też trochę światła dawało, więc Osiniak rozglądał się po okolicy i powiedział na odmiannę:

– Pójdziemy się wody napić...

– Wolałbym wódki – rzekł Papiak.

– Ja bym nawet piwa nie pił, chyba żeby grzane było... – burknął Iżyk.

Ale pragnienie widocznie dokuczało Osiniakowi, bo nagle skręcił w bramkę i wszedł na obszerne podwórze z ciemniejącym, opartym o sad domostwem.

– Postój? – Iżyk, niezadowolony, stanął w bramce. – Siednijmy se jeszcze, to akurat na rano zajdziemy do tego dentysty. Każesz se zęba wyrwać i jeszcze zapłacisz.

– Pamiętacie? – spytał Osiniak, a w głosie miał coś dziwnego. – My tu wodę pili, jak my do miasta szli fabrykę budować.

– A potem spierdalaliśmy z Miasta, boś chłopą porznął.

– Spierdalaliśmy, bo ci się bab zachciało!

– Trzeba było się kazać za uszy trzymać, toby cię nie okradła!

– A tyś niby kazał się za uszy trzymać?!

– Aleście świnię! – oburzyła się Bożena.

– Pamiętacie tę babę, co nas stąd wygoniła – Osiniak zazgrzytał zębami.

– Co by nie – Papiak szczęknął zamkiem karabina. – Jak to się darła! „Mnie, gospodyni, będziesz, ciarachu, farmazoni prawić?!” Jak to męża wołała! Jak mu tam było?

– A pies go jebał! – Iżyk zezłościł się na dobre na ten postój. – Policjanty mogą i tu zajść. Jak się wam chce z nimi strzelać, to czekejcie tu, czego nie.

Ale Osiniaka już wariactwo zaczęło ponosić i karabin zdjął z ramienia.

– Jak se chcesz, to idź sam. Dentysta nie ucieknie. Jeszcze se uzbiera.

Iżyk, zrezygnowany, usiadł na cembrowinie koryta przy studni, nic już nie mówił, tylko drapał się po zawszonym łbie. Mydła brakowało, a w ziemiankach, gdzie Żydzi siedzieli i gdzie zachodził, nie tylko wszy, ale i kołtuna można się było nabiwić. U Matrasa też nie było lepiej.

– Idź, Wicek, od stajen – mówił Osiniak. – Szlag mnie zaraz trafi przez tego psa. Ucis� go!

Papiak sięgnął do pasa, bo nigdy bagnetu na karabinie nie nosił, tylko przy sobie przytulał bez pochwy za paskiem, założył go na karabin i poszedł do psiej budy. Duży kundel szalał, kręcąc się wokół karabinczyka łańcucha jak wrzeczono w rękach sprawnej baby. Pies łapał zębami za bagnet, Papiak szybko pchnął, pies zawył i nurknął w dziurę w budzie. Dyszał tam chrapliwie z przyjękiem. Papiak zachichotał.

– Wybij z tyłu okno i włącz do środka. A uważaj, bo chłop może mieć widły.

– Zaraz mu dam widły! Chodź, Bożena!

Zniknęli, obesзли dom. Iżyk wstał, siedł od tej studni, podszedł do Osiniaka. Pukał się w czoło:

– Czyś ty zdurniał? Co oni mogą mieć?

– Tako gospodyni byle czego nie ma. Nie pamiętasz, jak się darła, że ma w co ręce włożyć...?

Iżyk splunął, ale stanął z drugiej strony drzwi. Z tyłu domu najpierw brzęknęła szyba, a potem z trzaskiem pękały ramy przy wtórze tłukącego się szkła. Słysząc było jak Papiak wytlukuje kolbą resztki szyby sterzące u spodu ramy. Zakłęła Bożena i już głos Papiaka słysząc było przez frontowe drzwi we wnętrzu domu. Zawrzeszczała kobieta i słysząc było męski podniesiony głos mówiący coś szybko, a potem histeryczny wrzask dwojga czy trojga małych dzieci. Zastukały kroki i Bożena otworzyła z trzaskiem drzwi, odbijając je na oścież z haka i zamka. Mało przy tym nie rozbiła głowy Osiniakowi, który nie spodziewał się tak energicznego jej działania.

Osiniak wpadł szybko do domu, Iżyk wszedł za nim. W dużej kuchni oświetlonej słabą naftówką migał zakrwawiony bagnet na karabinie Papiaka, naprzeciw stojących z podniesionymi do góry rękami kobiety i mężczyzny. Baba była w koszuli i jej tęgie białe ramiona świeciły mdło w półmroku, a chłop z czarnym cygańskim wąsem, w gaciach i narzuconym naprędce samodziałowym kubraku podbitym barankiem, dygotał z półotwartymi ustami. Dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, siedziało na łóżku za dużym piecem wśród pomiętych pierzyn i poduszek i zanosilo się płaczem.

– No, dawaj, co tam masz za obrazem – powiedział Osiniak.

– Nic nie mam, panowie – szeptał chłop, a kobieta potrząsnęła głową i powiedziała rezolutnie, opuszczając ręce.

– Żleście trafili, bo dwa dni temu były tu Niemcy z tymi z gminy ciarachami i co było w oborze, to pogнали, kwity tylko na wódkę zostawili i na cygary i na drewniaki... W Kasie Stefczyka w Mokrym mamy odebrać pieniądze na obsianie jarym i posadzenie ziemniaków...

– Nie pyskuj tak dużo, bo my trafili. Jeszcze jak my trafili! – zaśmiał się Osiniak.
– Poznajesz mnie?!

– Nikogo nie znam i nikogo nie poznaję – twardo rzekła kobieta, myśląc, że Osiniak wymaga zaprzeczenia, które w takich wypadkach każdy napadnięty powtarzał, choćby nawet napadający był jego sąsiadem.

– Bożena! Zobacz tam od drogi! A wy ani nie mrugnijcie, bo chałupę spółę razem z wami! – zagroził Osiniak. – A weź te dzieci gdzie, bo się drą!

Bożena wygoniła dzieci z łóżka i zamknęła w komorze.

– A siedzicie tam, jak myszki – powiedziała.

Kobieta wstrząsnęła się.

– W komorze zimno. Dzieci zmarzną. Pozwólcie im dać choć pierzynę.

– To weź nawet dwie i wrzuć im do komory. Ino nie próbuj uciekać – pozwolił Papiak.

Kobieta zgarnęła pościel z łóżka, na którym spały dzieci, otworzyła tam drzwi i wrzuciła bety. Zaraz buchnął stamtąd płacz dziewczynki. Baba uspokajała ją. Wróciła i stanęła przy ścianie obok męża.

– No, to co?! – upierał się Osiniak. – Poznajesz mnie?! Nie?! A pamiętasz, jakieś nas wyganiała od studni, żeś to tako gospodyni?! Jakiś się darła?!

– Kiedy?! Panie! Może co i tam było w trzydziestym siódmym, całe gromady do fabryki szły, żyć nie dawali, to może i co. – Baba poznała Osiniaka i rzuciła okiem na Iżyka. Trzęsła się teraz, tak jak i mąż.

– A pamiętasz, jakem ci powiedział, że będziesz jeszcze z dupą uciekała?!

Chłop poruszył się, jakby żgnięty, a Papiak poderwał karabin:

– No! Co jest?! Spokój ma być!

– Chodź – powiedział Osiniak. Złapał kobietę za rękę i włożył jej dłoń za koszulę. – Zmarzłaś, ale się zaraz rozgrzejesz.

Kobieta zagryzła wargi i pchnęła go w pierś. Osiniak trzasnął ją na odlew pięścią w twarz. Trafił dobrze, bo zsunęła się po ścianie; jej mąż opuścił ręce i poruszył się ale napotkał ostrze bagnetu uśmiechającego się ciągle Papiaka i znowu podniósł je do góry. Bożena weszła i przymknęła za sobą drzwi. Zobaczywszy, co się dzieje, podniosła karabin i zmierzyła do gospodarza.

– Siedź cicho!

Osiniak tymczasem ciągnął półprzytomną kobietę na łóżko, na którym przedtem leżały dzieci. Pchnął ją za piec, ale zaraz stamtąd wyleciał, bo ledwo zadarł jej koszulę, ta skurczyła nogi i gwałtownie je prostując pchnęła go nimi w pierś. Baba natychmiast poderwała się z łóżka tak błada, że pomimo lichej naftówki mech jej pod nosem stał się ciemną smugą. Osiniak porwał karabin i wymierzył jej w pierś.

– Kładź się, kurwa, bo ci strzelę w to wymię!

– Panie! Panie! – jęknął mąż i widząc, że mało brakuje, a bandyta pociśnie cyniel, wrzasnął z rozpaczą: – Daj mu, Helka! Daj mu! Bo cię zabije!

– Pewnie! To nie kruchy placek! Nie rozleci się. – Osiniak cisnął lufą pierś kobiety i pchał ją na łóżko z powrotem. Spadł na nią, szarpnął za koszulę, a kiedy kobieta znowu zaczęła się bronić krzyknął: – Bożena! Przyłóż jej lufę do łeba!

Bożena posłuchała. Spocona i zdyszana wysunęła karabin do przodu i twarda lufa mauzera nacisnęła gwałconej czoło pod kędzierzawymi włosami. Iżyk wyszedł z izby i usiadł na pniaku do rąbania drzewa przed domem.

Bożena patrzyła no coraz szybciej poruszające się golizny Osiniaka; dziwnie jej się zrobiło, dołem brzucha ją pociśnęło, tak jakby to nie tę kobietę Osiniak gwałcił, a właśnie ją.

W tej chwili chłop opuścił ręce, przykląkł i przyłożył głowę do podłogi. Zaszlochał bezsilnie.

Szli szybko w milczeniu przez bagnistą wiklinę nad Upustem. Osiniak na czele, karabin zawiesił na pasie na szyi, ręce oparł na łożu i na kolbie. Druga szła Bożena, obok niej Papiak. Iżyk włókł się z tyłu. Papiak sięgał do torby przy boku i pogryzał wędzonkę zabraną ze spiżarni zgwałconej kobiety. Ciapkało błoto i pluskało; gdzieś z boku, za rzeką, darł się puszczyk.

– Nożem bym cholerę krajał – powiedział nagle Papiak.

Kogo? – spytał Iżyk.

– A puszczyka. Puszczyka i wiwilgę!

– A co ci puszczyk zawinił?

– Jak się drze: Puły! Puły! to mnie aż przejmuję. Jak mi matka umierała, to się tak darł. Jakby go diabeł przyniósł do sadu. Cośmy nie robili, żeby go odgonić. Nic nie pomagało. Puły! Puły!

– A wiwilga co ci winna? – spytała Bożena.

– Ta znowu, jak się drze, to zaraz leje deszcz. W trzydziestym czwartym, co wielga powódź była, to nic tylko wiwilgi słyszeć było. Fiju! Fiju! Fiju! Fiju!

– Zabobony! – powiedział Iżyk. – Naciągajmy nogi, bo przez tę mitręgę tośmy gównu upolowali, a tu do Matrasa jeszcze ponad mila. Ja już do tego dentysty nie idę, żeby tam to wszystko nawet na talerzu leżało, ino brać. Trzy razy żeśmy się wybierali i trzy razy było pstu! Raz Wicek nogę sobie skręcił i iść nie mógł, raz z policją my się w Zdziarach postrzelali, teraz znowu ten kurdupel narobił świństwa...

– Co ci się nie podoba? – spytał Osiniak.

– Nie podoba mi się dostać kulę przy tobie i twoich dziadostwach.

– To siedź se z Żydami, żydowski ujku, a nie plątaj się za nami.

– I co mi to pomoże? I tak wszędzie gadają o bandzie Iżyka, bo przecież u ciebie to głoś słyszeć, a osoby nie widać. Co ty naświniś, to na mnie...

Osiniak już się nie odezwał; zwolnił kroku i szedł obok Bożeny. Papiak przestał gryźć wędzonkę, ogłądał się na niego:

– Ja tam pójde. Jutro nawet można iść. Co mi zależy. Wielkie bogactwo u tego dentysty. Złote zęby robi babom...

– A mnie już nogi bolą – sapnęła Bożena. – Już bym se pospała.

– Nie tak od razu! Takem się nastroił przy tej babie, że swoje zrobić muszę... He! He! Bożena! Nie?!

– Wstydziliś się! Ino ci świństwa w głowie!

Iżyk poprawił karabin na pasie i przyspieszył kroku. Szedł teraz pierwszy, a Osiniak, Bożena i Papiak z tyłu.

Huk strzału pistoletowego rzucił Papiaka i Bożenę w błoto. Iżyk ugiął kolana i powoli zaczął się obracać twarzą do stojącego z pistoletem w ręku Osiniaka. Ten strzelił drugi raz. Iżyk ciągle się obracał i łapał za karabin, ale nagle złamało go w

pół i uderzył twarzą w mokradło. Osiniak strzelił jeszcze raz do leżącego i obrócił się do reszty kompanii:

– Wstawać! Idziemy!

– Matko Boska! Matko Boska! – szeptała Bożena, wycierając mokre ręce o okrycie.

– No! Idziemy! Idziemy!

– Skądś ty miał ten leworwer? – jęknął Papiak.

– A stąd! Miałem wam rozgłaszać, co mam za pazuchą?! Przydał się! Jużem go miał dosyć z tym jego gadaniem. Nie chciał iść do dentysty, to nie pójdzie... – Osiniak zbliżył się do leżącego Iżyka, wziął jego karabin i na chwilę mocował się, wydzierając z krzepnących rąk trupa rzemień. – Nieś! – powiedział do Papiaka, a ten odebrał od niego broń i zarzucił pas na ramię.

Poszli. Ciało Iżyka znalazł na trzeci dzień chłop wycinający olszynowe krzaki na opał. Nie było mu sądzone znać sławnego na cały powiat bandytę. Po powrocie do domu wygonił dzieci i powiedział o wszystkim żonie i bratu.

– Pójdę do Mokrego Gruntu i zgłoszę do policji.

– Pomyślą, żeś go zabił albo co...

Radzili długo, potem wzięli rydle i wieczorem wygrzebali płytki, podciekający wodą grób. Zdjęli z trupa dobrą kurtkę i oficerki ze sztywnych nóg. Pochowali Iżyka w spodniach i koszuli. Szli do domu, cicho rozmawiali.

– To Żyd pewnie...

– Nie wyglądał na Żyda. Dwie kule miał w kieszeni. Do karabina...

– Z Żydów poniektórzy też mają broń. Te, co siedzą w lesie, to mają...

– Kto go zabił? Policja?

– A mało teraz takich, co ino patrzą, żeby kogo zabić! Dobrze, żeśmy nie zgłosili na policji. Kto do policji raz wejdzie, to potem cały czas musi chodzić.

Zimą lisy i bezpańskie psy rozgrzebały płytką mogiłę i dopiero wtedy ktoś doniósł o niej policji. Przyjechał policjant, kazał zagrzebać zwłoki głębiej.

– Kawał było chłopca – powiedział jeden z szarwarkowych grabarzy, zatykając nos.

– Może to Iżyk, bo gadają, że go Żydy ubili, bo ich tam w lesie radecznickim nachodził.

– Ubili i tu wywiozły?! Gdzie radeczniczy las, a gdzie my stoimy? Dwie mile będzie.

– Ano. Niech mu tam ziemia lekką będzie. Sypać, chłopcy!

Stach Mikuła przerzucił rzemienne sznurówki butów przez rękę i skromnie stanął obok straganu z medalikami i książeczkami do nabożeństwa. Stał chwilę nienagabywany, ale że buty były w czasach wojny rzadkim towarem, to za parę minut już zaczęli się koło niego zbierać ludzie.

Oglądali, ale chciał drogo, bo całego górala, i tylko szum i zamieszanie się koło niego robiło, a on ciągle stał z ugiętym ramieniem i zwisającymi na sznurówkach trzewikami. Był jeden, który nawet i przybił dłonią, ale o dziesięć złotych się rozeszło i poszedł. Za chwilę przyleciał drugi, ale ten tylko przyjemność sobie z targu robił; łapał Stacha za rękę, wrzeszczał, wywracał oczami, walił mu w dłoń, odpychał innych i w końcu poszedł.

Stach znosił to wszystko spokojnie, bo wiedział, że buty sprzeda, a najwyżej co upuści, jak się to mówi: lekko przyszło, lekko może pójść, bo towar był nie jego, a Osiniaka, który przedwczoraj z Papiakiem i Bożeną obrobił kupca w Rudzie. Osiniak kazał mu się nie targować wiele. Kazał, to jego sprawa, a sprzedać dobrze, to sprawa Stacha, więc Stach stał i czekał, aż się ktoś trafi zasobniejszy. Na wozie pod siedzeniem miał jeszcze trzy pary takich butów i dwa metry podwójnego sukna na płaszcz, granatowego zupełnie, jakby bielskiego.

I rzeczywiście, między wozami od szczucińskiego ratusza szedł młody jakiś, bez czapki, ale za to z takimi kudłami na głowie, jak baranek.

Popatrzył na buty, potem na Stacha, jeszcze raz na buty i zatrzymał się. Kurtkę miał z ukośnie wszytymi kieszeniami i barankowym kołnierzem, rajtki, na nogach dobre cholewiaki. Widać było, że coś tam w kieszeni powinien mieć. Podszedł, wziął buty w rękę. Pukał zgiętym palcem w podeszwę.

- Skóra?!
- A jakże. Krupon.
- Na handel?
- To po co bym tu stał?
- Ile?

- Górala...
- Stówkę opuścicie...
- Dziesięciu złotych nie chciałem opuścić, a tu stówkę!
- Dodam nie dziesięć, a dwadzieścia.
- Po czterysta dwadzieścia sprzedam, ale styry pory.
- Stoi?
- A niech będzie.

Poszli do wozu Mikuły; chłopak rzucił okiem na Stachową, pozdrowił. Usiadł na rozworze, ale butów nie zdejmował, cholewiaka tylko położył łydka na kolanie, drugą nogę wparł w ziemię, kupionego buta przyłożył do czubka podeszwy swojego buta i przypatrzył się, czy obcas pasuje. Pasowały, chociaż kupowany trzewik jakby mniejszy się wydawał. Cisnął pewno będzie, ale to nie była Stacha sprawa.

– Macie co jeszcze? – spytał chłopak, odwijając ze zwitka pieniądze i płacąc Stachowi.

- Dwa metry sukna granatowego. Podwójnego.
- Wezmę!
- Pewnie na handel?

Chłopak skosił oczy, patrzył między nogi kobyle.

– A z czego będę żył. Już tam co opuścicie na tym suknie, żebym i ja miał zarobek. Jeszcze nieraz od was wezmę.

Dobili targu; chłopak wziął worek z butami, sukno pod pachę i poszedł między wozy. Stach popatrzył na swoją kobietę, trzymała lejce w sinych dłoniach.

- Przyniesę ci co gorącego – powiedział.
- Ino żebyś za gorącego czego nie próbował. Miej opamiętanie.
- Ty już jak co powiesz...

Stach poszedł na przełaj przez rynek, stanął chwilę w ciżbie przypatrującej się jakiemuś nieszczęsnemu, którego rzucała choroba świętego Wita czy Walentego, bo jeden mówił tak, drugi inaczej, i wszedł do restauracji Hałki. Wypił przy bufecie dwie setki, jedną po drugiej, i zagryzł chlebem z serem. Trącił go ktoś, kiedy odstawił kieliszek; ten kudłaty, który od niego kupił wszystko, sięgał po setkę. Worka już nie miał; poznał Stacha od razu. Uśmiechnął się.

– My jak się nie widzimy, to się nie widzimy, a jak się trafia, to co chwila się spotykamy – zażartował. – Nalej pan – powiedział do syna Hałki, grubego, podobnego do buldoga. – I temu panu też – pokazał na Stacha.

Hałko nalał. Wypili.

– No, to na drugą!

Nieśli w dwojakach tłusty rosół z ziemniakami, zaprzyjaźnieni na całego. Stach dał dwojaki swojej, kobieta podejrzliwie patrzyła na tego kudłatego. Nic nie powiedziała, zabrała się do jedzenia.

Chłopak pożegnał się ze Stachem, zezem spojrzał na tabliczkę; Stach drapał się na koziół, kudłaty powiedział: – No, to do widziska – i poszedł znowu do Hałki.

U Hałki nie wrócił już do bufetu, a skierował się do drugiej izby, gdzie pod oknem siedział Kulbaka z jakimś łysym blondynem.

– No i co? – spytał Kulbaka.

– To ten. Przyrodni brat tego Matrasa, u którego siedzi Osiniak. Nazywa się Mikuła, bo mieli innego ojca z tym Matrasem. Buty nowe, sukno nowe.

– Pasuje to w takim razie do tego kupca z Rudy – Jemioły.

– Mówili mi w Dąbrownie, że tam byli u niego Osiniak, Papiak i ta baba, która z nimi chodzi. Iżyka albo nie było, albo stał na dworze – blondyn patrzył na Kulbakę, coś przemyślał.

– Pokażemy te buty i sukno temu Jemiole. A Mikułę trzeba powoli otaczać. Pan Sobczak ze swej strony też o nim pomyśli – mówił Kulbaka.

– Pomyślę – zgodził się z Kulbaką blondyn. – Ale najpierw wy się zorientujecie. Z tymi policjantami, których mam, wiele nie nawojuje. Boją się. Od czasu, kiedy zabili tego żandarma, a potem pod Zdziarami Jasnochę, boją się. Poślecie swoich ludzi, ja ze swojej strony postaram się dla nich stworzyć warunki. Ludzi wyślę w drugą stronę, gdyby Niemcy coś szykowali, ostrzegą.

Komendant granatowych policjantów z Mokrego Gruntu wstał i podawał rękę Kulbase, a potem chłopakowi z bujną czupryną. Poszedł, a Kulbaka zatarł ręce...

– Posterunek mam w garści!

– Wszystkich?

– Nie. Tylko komendanta. A reszta to pikusie. Dziękują Bogu, że żyją.

W mieszkaniu Rybkowskiego-„Drwała”, na dębowym, zrobionym własnoręcznie stole, leżała duża mapa Europy, którą „Drwał” uzyskał od kierownika zamkniętej teraz szkoły powszechnej, a na której teraz z Nowotańskim rysowali linie frontów, a głównie frontu wschodniego, bo ta zmieniała się błyskawicznie.

Gazety i nasłuchy radiowe, które znosił Nowotański, pozwalały z dużym prawdopodobieństwem określić zarysowującą się klęskę Rosjan. Od lipcowego natarcia na jakieś miejscowości Łozowo i Woroneż, potem zdobycie Sewastopola, przez równie egzotycznie brzmiący, jak dalekie Hawaje, Niżniczinsk, którego długo szukano na mapie i nie znaleziono, wobec czego postawiono czerwoną kropkę nad Donem i napisano nazwę tej miejscowości, po Wołgę, poniżej Stalingradu, ciągnęły się na mapie kolorowe linie oznaczające coraz to bliższe Moskwy i Kaukazu zdobycze Niemców.

– Dolali im strasznie – mówił „Drwał”. – Niemcy piszą w „Krakauerze”, że tylko w kilku domach Stalingradu siedzą Rosjanie, a całe miasto jest już w ich rękach, ale tych kilku domów zdobyć nie mogą i przeprawy przez Wołgę też nie

mają. Gdyby mieli, odciąłoby Moskwę od Kaukazu. Ale to chyba kwestia czasu. Wiercie mi, bo przecież przed powstaniem byłem w armii niemieckiej. To jest żelazna dyscyplina, świetne uzbrojenie i technika. Hitler nie na darmo pytał Niemców: „Chcecie masła czy armat?!” A oni postawili na armaty.

– Cała nadzieja w Ameryce, tylko musi sobie ona dać z Japończykami radę. Front na Wołdze stanął, bo zima, a Rosjanie lepiej ją znoszą od Niemców. Na wiosnę Niemcy znowu ruszą...

– Wierzyć się nie chce, że zatrzymali taką maszynę wojenną. Przecie to kupa swołoczy z workami na plecach i karabinami na sznurkach – dodał „Delikatny”. – Znam ich z wcześniejszej służby. Nie pozwolono nam się z nimi bić, ale jak były starcia naszych wojsk z ich czołówkami, to był prawdziwy pogrom. Wiali przed nami, aż się kurzyło...

– Masa... – Milka Murankowa zapaliła damskiego. – Znacie ten kawał. Hitler mówi: rasa!, Stalin mówi: masa!, a Roosevelt mówi: kasa! – Milka zaśmiała się, ale mężczyźni nie zawtórowali jej, dalej patrzyli na mapę. – Za dwa tygodnie Wigilia – przerwała znowu milczenie Milka. – Co byś chciał na gwiazdkę, Bronek?

– Oficerki – rzekł Bronek. – Albo takie półbuty, jak ma „Kazio”. Włożyłbym sobie do nich „zgrzyпки”...

– To chyba złota rybka może ci spełnić takie życzenie – powiedział Nowotański i podrapał się po łysinie.

– Wstyd – powiedział „Drwal”. – Tyle sił mamy, zaopatrzenie w broń też niezłe, z konfidentami jakoś sobie radzimy, a z bandą Iżyka nie możemy sobie poradzić. Znowu zrabowali kupca w Rudzie; zabrali, co miał. Musieli wozem podjechać.

– Iżyka tam nie było – rzekł Muranko. – Taką mam wiadomość od Kulbaki.

– No, Münchhausen! – skrzywił się „Delikatny”. – Temu to można wierzyć! Cały czas trzeba brać poprawki na te jego wiadomości. Iżyk nie musiał do środka wchodzić. A ta baba, która jest z nimi, jaka ostra! Mówił ten Jemioło, że mu cały czas trzymała lufę karabina przy głowie.

– Mamy wiadomość przez plebanię. Proboszcz z Zebrzydowic Dolnych doniósł do dziekana, że ten Iżyk czy Osiniak znowu zgwałcił kobietę w jego parafii. Pobił i zgwałcił. Przy mężu... – mówił z niesmakiem „Drwal”.

– To Osiniak. Iżyk nie gwałci – rzekł „Nowy”. – „Owcorożec” twierdzi, że to kwestia miesiąca, najwyżej dwóch, i będzie po tej całej bandzie.

– W jaki sposób?

– Jego w tym głowa. I Kulbaki!

– Prch! – parsknął „Delikatny”. – Kulbaki!

Stach Mikula otworzył drzwi stojącego na tyłach domu, złapał za brzeg koryta wywróconego przez świnię przy samych drzwiach i odciągnął sprzęt na bok. Ustawił

przy ścianie. Różowa dobrze odchowana świnia zerwała się z legowiska w głębi chlewa. Chrumkając przymilnie, zbliżyła się do wrót, wyglądnęła na dwór.

– Lus! Lus! – gruchał do niej Stach i drapał po karku. Zapadał zmierzch i Stach wszystko robił z ociąganiem.. Na podwórzu stała jednokonna furmanka, którą przyjechali Kulbaka i „Kudłaty”. Trwało oswajanie Stacha. Na dzisiaj umówili się z nim na odbiór ubitej świni, którą mieli zabrać do Miasta. Advent i święta za pasem, i mięso nie poleży ani chwili, a pieniądze, które otrzymali od „Nowego”, natychmiast się zwrócą.

Stach kupił świnie elegancko zakolczykowaną, ale to dla niego głupstwo. Po uboju delikatnie kolczyk zdejmie, odda sprzedającemu, a ten założy go na ucho o połowę mniejszego podchowka.

Wytarł przyrodni Matrasa dłoń śliską od świńskiej karmy o portki, zatrzaskał drzwi chlewa, na co świnia odpowiedziała kwikiem, bo dostała dobrze w ryj, i poszedł do domu, gdzie siedzieli Kulbaka z „Kudłatym” przy rozlanej do szklanek samogonie, na razie bez zagrychy, nie licząc pierogów z ziemniakami i serem, suto omaszczonych, które przed nimi postawiła Stachowa. Czekali jednak na podgardle, które zaraz gospodyni rzuci na wrzątek. Kulbaka spięty był, bo obiecywał sobie, że po zjedzeniu zaraz wyjadą.

– No i co! Już?! – spytał „Kudłaty”.

– Akurat! Już! Będziecie musieli nocować. Jakiś ciarach kręci się po wsi, policjanci co i raz takiego nasyłają; sołtys mówi, że go nie zna. Rowerem przyjechał po tym błocie, ani chybi doniesie.

– No i co robimy?

– Zabijemy, nie bójcie się. Przegnamy świnie do stodoły na boisko, założymy jej postronek na szyję, pod postronek damy kołka i jeden będzie skręcał i dusił ją, żeby kwiku nie wydała. Będzie kręcić tym kołkiem, a jak zaczną charczeć, to ją obuchem w łeb...

– No, to dawaj! – powiedział „Kudłaty”. – Ja będę kręcił, ty głuszysz, a pan Murański będzie łapał krew.

– Nie trza! Krew złapie moja kobita. Poczekam, jak się dobrze ściemni. I tak na noc nie będziecie jechać. Przenocujecie. Nad ranem pojedziecie.

Zabili tę świnie, kobieta nagotowała podgardla i kawał wątroby, wypili pół litra samogony, kobieta przygotowała im spanie w komorze. „Kudłaty” wyszedł doglądać konia w stajni i podsypać mu wieczornego obroku; Kulbaka siedział rozleniwiony, przemyśliwując jak tu zażyć Stacha, żeby się czegoś jeszcze dowiedzieć. W to, co głosiła wieść gminna nie wierzył. Legendy chodziły o kilkunastu czy kilkudziesięciu ludziach w bandzie, o broni maszynowej, o armatce, o wywożonych z lasu ciężarówkami Niemcach pobitych przez ludzi Łżyka, kiedy odważyli się robić obławę na jego bandę. A każda wiarygodna wiadomość uzyskana od świadków napadów i gwałtów, rabunków i strzelania, mówiła o trzech bandytach i kobiecie nie lepszej od nich. Sob-

czak, komendant posterunku w Mokrym Gruncie, twierdził, że banda liczy około dziesięciu ludzi, wymieniał nawet nazwiska, ale były to wiadomości raczej dla Niemców, maskujące bezradność i strach. – Strach ma wielkie oczy – pomyślał sennie Kulbaka.

Stach Mikuła wszedł, usiadł przy stole w zaparowanej gotowaniem karmy kuchni, gdzie w zimie żyła cała rodzina przyrodniego Matrasa. Brzękała jakaś niedobita późną jesienią mucha.

– Spokojnie tu u was – podniósł na niego oczy Kulbaka. – Gdzie indziej to słyszać o rabunkach, strzelaninach, a tu...

– U nas też się zdarza, czego nie – Mikuła patrzył na wchodzącego „Kudłatego”.

– Co się zdarza? – spytał „Kudłaty”.

– A mówię, że tu spokojnie... No, wypijmy tę resztę – nalewał gospodarzowi i „Kudłatemu” Kulbaka.

– Powiadają – „Kudłaty” solił wątrobę obficie i ze smakiem żuł – powiadają, że tu ten..., no, Iżyk grasuje.

– Iżyk to bliżej Szczucina, a nie tu, ale już go nie ma. Ubili go – Mikuła uciął kawałek trzęsącego się podgardla i położył na chleb.

– Co?! – skoczył prawie na równe nogi „Kudłaty”, a Kulbaka zgromił go spojrzeniem.

– A nie ma! Koniec z nim...

– Policja!

– Nie wiadomo, kto. Może Żydy w lesie, bo coś on tam z nimi mocno narabiał...

– Coś takiego?! Wierzyć się nie chce! A w Mieście tylko o nim gadają.

– Byle co w Mieście gadają! No, kładziemy się spać – rzekł gospodarz. Ziewał ukazując dobre zęby.

Obudzili się ciemnym świtem, zmarznięci, bo w nocy chwycił mróz i ściął błoto w grudę, a na to przyprószyło białą śniegową krukę. Zbierali się szybko, gospodyni już była na nogach i trzaskała drzwiczkami pieca, a kiedy weszli, to pod blachą aż huczało.

Dwie połówki świni wisały sztywno nad boiskiem. Zaprzęgli, zwalili na dno wozu ściervo, przykryli dwoma deskami, na to cztery półcetnarowe worki ziarna, już jawne, nieokryte, bo Kulbaka miał zaświadczenie z gminy wystawione na Szubra, sąsiada Mikuły, z wymiarem kontyngentu na ten rok, gdzie stało wyraźnie wypisane dwa metry żyta dla führera i jego armii. Obaj mieli dobre papiery; Kulbaka oprócz kenkarty miał legitymację kontrolera z mleczarni w Mieście, a „Kudłaty” pracownika Todta.

Pożegnali się z gospodarzami i „Kudłaty” cmoknął na konia.

Wóz turkotał sennie po skrzepłej od rzeźwego mrozu błotnistej drodze, poskrzy-

pywały pod kołami łamane z chrzęstem tafelki lodu w koleinach; „Kudłaty” ukrył obydwie ręce odziane we włóczkowe rękawiczki w rękawach, biczysko postawił między nogami, rzemień bata ślizgał mu się po ramieniu. Kulbaka, senny jeszcze, okrył nogi derką, ręce trzymał w kieszeniach.

– Za następnym razem trzeba dogadać się z Mikułą, że chcemy z Iżykiem i Osiniakiem pogadać, że mamy dla nich robotę. Ja wiem? – Kulbaka nie miał jasnej koncepcji co do dalszego postępowania.

– Mikuła mówi, że Iżyk nie żyje.

– Nie bardzo w to wierzę, bo ludzie byle co gadają. A nawet, to temu Osiniakowi zaproponować przyłączenie się do nas. Potem rozbroić i zastrzelić, bo przecież ani inspektorat ani obwód nie zgodzi się, po tym co on wyprawia, żeby po świecie chodził.

– Wyrok jest na niego, zatwierdzony przez okręg.

Zbliżali się do olszynowego lasku, a raczej kępy olszyn rosnących na sitowianej podmokłej łące; szadź połyskiwała na każdej gałązce młodych olch. Dwie sroki spadły przed nimi na drogę naprzeciw tej olszyny, podskakiwały z zadartymi ogonami nad kupą końskiego łajna żółciejącą w koleinach; dotrzymywały, zerkając na nadjeżdżających, uznały jednak, że lepiej przylecieć tu po przejeździe furmanki i frunęły w stronę czterech ogołoconych z liści topól. Siadły na gałęziach, skrzeczały, jak na lisa.

Olszyna się skończyła, samotna wierzbowa kępa stała po prawej stronie drogi; Kulbaka nastroszył się, mogło mu się wydawać, że za czernią gęstwy wierzbowych prętów ogołoconych z liści, ktoś stoi, ale swoim zwyczajem zawsze przeciągał ostateczną decyzję do końca i dlatego nie powiedział „stój”. Kiedy zdecydował, co robić, maca visa zasadzonego za pas, jakiś chłop w cholewiakach i z karabinem przeskoczył rów, a za nim wylazł zza tej kępy drugi, też z karabinem i też w cholewach.

Swojska i bezpieczna droga w coraz bardziej rozjaśniającym się poranku wyszczerzyła nagle zęby, jak podstępny pies, który daje się głaskać wpuściwszy intruza do mieszkania, którego pilnuje, ale wyjść mu już nie pozwoli.

– Ano! Złazcie z wozu! – powiedział ten, który wyszedł pierwszy, z kreską szarych włosów przekreślając czoło spod kaszketu i z zielonymi zimnymi ślepiami. Karabina nie podnosił, trzymał go zawieszony na wyprostowanych rękach. Widać było, że lekceważy obu mężczyzn.

– Stach im dał znać. To wszystko było ułożone. Mają pieniądze i wieprzka... przemykało przez głowę Kulbaki, kiedy zeskakiwał z wozu. – Mają i konia, a nas będą chcieli zabić... – Spotkał się spojrzeniem z „Kudłatym”, tamten był spokojny. Będzie strzelał, kiedy nadarzy się okazja. „Kudłaty” lubił nosić broń za kołnierzem kurtki na plecach w specjalnej kaburze. Przy uniesionych do góry rękach łatwo

sięgnąć za kołnierz. Strzał wtedy jest niespodziewany; „Kudłaty” ćwiczył tę sztukę ciągle i miał w tym dużą wprawę, tyle że nie miał okazji wypróbować tego w chwili niebezpieczeństwa.

– Ręce! Co nimi tak gmerasz?! Podnieś ręce!

Obaj podnieśli ręce, a ten tęższy, wesoły jakiś, bo mrugnął do nich, jakby to były śpasy, podszedł do wozu, karabin oparł i zaczął worki odsuwać.

Tu nie ma Iżyka, już był pewien Kulbaka. Iżyk to chłop... Ale sytuacja zaczęła się zmieniać, bo ten, co wyszedł pierwszy na drogę podniósł karabin i wycelował mu między oczy.

W tym momencie „Kudłaty” błyskawicznie sięgnął za kołnierz po visa i wyrzucił rękę do tego, który celował do Kulbaki. Szczęk niewypału złał się prawie z hukiem strzału karabinowego, to macający worki chłop już miał karabin w rękach. „Kudłaty” upadł i zaraz podparł się dłońmi unosząc głowę nie rządząc już sobą, bo gdyby leżał skończyłoby się na jednym strzale. Celujący prosto do Kulbaki bandyta tylko przesunął lufę i roztrzaskał czoło „Kudłatego” jednym strzałem.

Kulbaka nawet nie pomyślał, by sięgnąć po broń. Skoczył za wóz i zanim oni zarepetowali, oddalił się parę kroków. Nic by mu nie pomogło, gdyby nie koń, który spłoszony strzałami, wziął udział w wydarzeniach i ruszył nagle, skręcając, tak jakby miał zamiar wrócić się do gościnnego domu Mikuły.

Kulbaka biegł zrygawkami i czekał uderzenia kuli, ale Osiniak i Papiak zanim obiegli wóz, zanim się złożyli, pozwolili mu uzyskać jeszcze kilkanaście metrów. Strzelili razem; Kulbaka, smagnięty gwizdem kul, znowu zrobił zygzak, teraz strzelił Papiak, ale znowu chybił i Kulbaka wpadł w olszynkę.

– Niech leci – powiedział niedbale Osiniak. Schylił się, podniósł leżącego visa, włożył za pas.

Obdarli trupa „Kudłatego” z kurtki i butów, wsiedli na furmankę.

– Het! Het! – nawracał konia Papiak na właściwą drogę. Pojechali w kierunku Dołów.

– Ale cwany! – mówił Osiniak. – Jakby nie to, że mu się ten pistolet zaciął, to ja bym tam leżał, a nie on.

– Obaj byście leżeli – mruknął Papiak. – Trza co dać Stachowi za taki przybytek. Konia niech sprzeda...

– Już ta on przyleci po swoje – oglądnął się Osiniak na drogę, złapał bat. Przywalił koniowi po zadzie.

Ewa Bołda zadomowiła się już na dobre u Kapitanowej i kiedy tylko miała czas wpadała do niej na herbatę i ciasteczka. Dzisiaj też przyszła, jeszcze przed południem, bo Skolasko od rana musiał być w Hohenhofie, gdzie organizowali Sonderdienst do wielkiej obławy na przylegających do Wisły polach.

W tych polach, w przywiślańskiej kępie, ukrywali się Żydzi. Nie obyło się tutaj bez pomocy okolicznych chłopów, którzy dostarczali jedzenie i sprzęt do kopania ziemianek, niektórzy z litości i ludzkich uczuć, niektórzy za drogie pieniądze.

O tej obławie Skolasko mówił Ewie od kilku dni i kłął na całego, bo nie uśmiechało mu się kilkanaście kilometrów przełazić przez rzeczki i kanały, pokonywać dokuczliwe suche ostrężyny i krzaki..

Skolasko miał nocować w rodzinnym domu Rieglów i nazajutrz rano, razem z Heinzem Rieglem, prowadzić obławę; Ewa liczyła, że dopiero na wieczór wróci sama do pustego mieszkania i dlatego nawet przyniosła ze sobą cukier, mąkę i jajka, żeby uczestniczyć w tworzeniu jakiegoś nowego słodkiego dzieła Kapitanowej według oszczędnego wojennego przepisu. Zaraz też ze szczegółami nie omieszkała opowiedzieć Kapitanowej o swoich kłopotach.

– Co pani powie! – zdziwiła się Kapitanowa. – A ja myślałam, że tych Żydów już wszystkich wyłapali.

– Gdzie tam, proszę pani! Ciągłe łapią i strzelają, sam – ściszyła głos, nie wiedząc, czy w sąsiednim pokoju nie ma którejś z Niemek – Riegel ich trzydziestu teraz wystrzelał. A mnie ich żal, te dzieci, co one winne?

– No cóż! Wojna, taki rozkaz...

– Właśnie, proszę pani. Przecież Willi to dobry człowiek, muchy by nie skrzywdził, kiedyś mały kotek wlaźł na drzewo i nie mógł zejść, to sam się drapał na to drzewo i go zdejmował.

– A co pani tu przyniosła? – zmieniła temat Kapitanowa. – Zupełnie niepotrzebnie, przecież mąkę mam i...

– Ale nie taką, to z tego sklepu nur fir dojczers.

– Wie pani co? O jednym zapomniałam! – płaśnieła w czoło Kapitanowa. Nie mam w ogóle cukru waniliowego ani olejków zapachowych, a może byśmy zrobiły serowiec, mam trochę sera...

– Lubię serowiec – powiedziała Bołda, która była mocno łakoma.

– To ja zaraz – poskoczyła do drzwi Kapitanowa z żywością, której przy jej tuszy nikt by się po niej nie spodziewał i zanim Bołda coś powiedziała, już była na dworze.

Ewa złapała żurnal leżący na stole i zaczęła oglądać wykroje i wzory.

Kapitanowa tymczasem już wchodziła w drzwi Harmacińskich. Milka była sama, Muranko był w pracy, starzy gdzieś wyszli.

– Szybko! – powiedziała Kapitanowa – jutro idzie obława na Żydów od Hohenhofu w stronę Wisły. Mają być koloniści, gestapowcy Riegel i Skolasko, granatowi policjanci i chłopi.

– Chłopi!

– Dla powiększenia obławy powstawiają ich pomiędzy Niemcami i policjantami.

– To co ja mam zrobić z tym? Męża nie ma...

– Bierz rower i jedź do Czerepów. Tam jest „Parczew”, on pojedzie, gdzie trzeba. Jest czas do jutra. Ja lecę, bo zostawiłam tam ten niemiecki materac. Ale znajomość się przydała, już drugi raz coś się z niej wyciąga.

Kapitanowa wybiegła, a Murankowa założyła futerko, owinęła głowę i szyję ciepłą chustką i wyprowadziła starą damkę z pękniętym błotnikiem. Mocno nacisnęła pedały.

„Parczew”, który w rzeczywistości nazywał się Witold Broniecki, od początku okupacji zdomowił się u Czerepów. Początkowo podjął pracę kelnera, jednak z chwilą przystąpienia do konspiracji, najpierw w ZWZ, a później w Armii Krajowej, przeszedł całkowicie do konspiracji. Milczący, skryty, otwierał się tylko wtedy, kiedy mówił o broni, na której znał się doskonale. Z ucieczki na wschód przywiózł szturmowe parabellum i posługiwał się nim z dużą wprawą. „Delikatny” po kilku zdarzeniach, w których uczestniczył ten młody człowiek, docenił jego zimną krew, niepospolitą siłę fizyczną, dotrzymywanie obietnic i dokładne wykonywanie rozkazów. Jedno martwiło „Delikatnego” i Murankę, „Parczew” niepotrzebnie związał się z Czerepami, a właściwie z Czerepową i pomimo kilku napomknień na ten temat milczał swoim zwyczajem i w dalszym ciągu utrzymywał ten zupełnie niepotrzebny w konspiracji stosunek. Czerepowa, młodsza od swojego męża, w przeciwieństwie do małżonka, spokojnego, myślącego tylko o interesach i zrównoważonego człowieka, była ruchliwą i żądną życia bezdzietną kobietą, co chyba zaważyło na tym, że mając w domu przystojnego i tajemniczego chłopaka, związała się z nim nie tylko fizycznie.

Czerepowie przyjechali do Miasta przed wojną z Poznańskiego i założyli pierwszy katolicki sklep z tkaninami, galanterią i ubiorami męskimi. Działali w tym han-

dlu na tak dużą skalę, że pomimo znacznego nacisku konkurencji kupców żydowskich, potrafili się utrzymać na rynku, co więcej, rozwinęli interes, otwierając drugi taki sklep na osiedlu pobudowanym do trzydziestego dziewiątego roku.

Czerepowie byli zaciekłymi antysemitami, chociaż wojna znacznie stępiła ich uczucia agresji w stosunku do Żydów.

Czerep w środowisku gospodarczym Generalnej Guberni czuł się jak ryba w wodzie. Władając doskonale, tak on jak i żona, językiem niemieckim, szybko nawiązywał kontakty z urzędnikami w landraturze i krajshauptmanszafcie, dyskretnie wciągając ich w swoje interesy, nie szczędząc kosztów. Do jego sklepów docierały więc przydziały tkanin i materiałów, o które trudno było nawet w sklepach nur für Deutsche. Po cichu szeptano, że nieboszczyk landrat Negebauer swym kontaktom z Czerepem zawdzięczał szybkie przeniesienie w głąb wrzącej walką Rosji, które dzisiaj nazwano by kopniakiem w górę.

Murankowa postawiła swoją damkę przy furtce prowadzącej do okazałego domu Czerepów i nacisnęła dzwonek przy drzwiach wejściowych. Otworzyła Czerepowa, z którą znały się dość luźno.

- Niech pani wejdzie – powiedziała kupcowa.
- Chciałabym porozmawiać z panem Bronieckim.
- Jest. Zaraz go zawołam.

„Parczew” przyszedł, uklonił się Murankowej, którą dobrze znał. Murankowa wiedziała o związku „Parczewa” z Czerepową i o tym, że uczestniczyła ona w wykonaniu wyroku na Okinowskim.

– Była u mnie „Marta” – powiedziała. – Jutro od rana idzie od Hohenhofu w kierunku Wisły oblawa na Żydów ukrywających się w polach. Będą z gestapo, Skolasko i Riegel, granatowi, koloniści i chłopci, których zmuszą do tworzenia łańcucha. Trzeba dać znać, komu trzeba, on będzie wiedział, co z tym zrobić.

- Zaraz się wybiorę.
- Pójdę z panem! – ofiarowała się kupcowa.
- Nie – przeciął stanowczo „Parczew”.

Kobieta wiedziała co znaczy takie krótkie „nie” u „Parczewa”. Odwróciła się.

– Wypije pani ze mną coś, czego pani dawno nie piła – powiedziała do Murankowej. – Dostałam dziesięć deka prawdziwej kawy! – pochwaliła się z satysfakcją.

– Chętnie – Murankowa rzuciła futerko i odwinęła chustkę. „Parczew” założył jesionkę i kapelusz. Cicho zamknął drzwi.

Adwokat Verstenlieg uratował życie w ostatnim momencie koszmaru w gospodarstwie Niebudka. Tuż przed przyjazdem Riegla i Rudiego do gospodarstwa, zbiegł z waju do kępy nad rzeką. W oczach miał jeszcze jasną głowę żony brata idącej wolnym krokiem w kierunku pól i znikającą za fałdem wzgórza. W uszach dźwię-

czali mu strzały oddane przez Riegla do niechającego opuścić swoich krów i świń Niebudka. Ten twardy chłop nie wydał go i oszczędził adwokatowi obławę w nadrzecznych krzakach.

Verstenlieg nie chciał odchodzić przed odnalezieniem grobu Anny. Wiedział, że ciało córki pogrzebano za dworskimi stodołami i chciał znaleźć ten ślad świeżo kopanej ziemi i zaznaczyć go kamieniem czy kawałkiem drzewa. Mecenas ciągle był pewien, że wojnę przeżyje i pogrzebie na kierkucie pod macewami swoją rodzinę. Tę pewnośc dawały mu pieniądze, którymi jeszcze dysponował, ogromna odporność psychiczna i umiejętność przystosowania się do każdych warunków, przez tysiące lat i setkę pokoleń wyrabiana w jego narodzie.

W nocy dobrnął na zaplecze dworskich stodół, ale pomimo błędzenia w ciemności nie znalazł śladu grobu Anny. Być może złożyła się na to jego prawie dwudziestogodzinna bezsenność, być może ziemię nad ciałem dziewczyny dobrze ubito, w każdym razie porzucił myśl natychmiastowego działania i postanowił opłacić kogoś, kto dotrze do dworu, odnajdzie grób i dyskretnie go naznaczy. Cofnął się do mostu i w ciemnościach przepłynął na drugą stronę rzeki. Szedł na przełaj, unikając dróg i nad ranem zaszył się w stogu, w którym bodaj już raz wcześniej nocował, w połowie drogi do celu, którym była kilka kilometrów oddalona od Wisły wieś Sadowie. Miał tam dwóch chłopów, na których mógł liczyć. U jednego z nich był przygotowany w polu na zimę kopiec wypełniony burakami pastewnymi. Solidne, zrobione z topolowych i olchowych drągów sklepienie i gruba warstwa słomy pod ziemnodarniowym okryciem zapewniały jakieś takie schronienie nawet podczas mrozów. Za burakami znajdowała się nisza wyścielona słomą i łachami. Do tej niszy dostawał się pod sufitem po przemyślnie usypanych burakach.

Tam spędził ostatni dzień po odebraniu pieniędzy z plebanii w Lasowej i stamtąd poszedł w noc, która przyniosła zagładę jego rodzinie.

Do gospodarstwa w Sadowiu dobrnął już dobrze po północy. Zastukał w okno izby, w której spał gospodarz, a ten wyskoczył zaraz i pociągnął go za rękę do sadu.

– Uciekaj pan! Musisz pan wrócić! Jutro obława. Mają być koloniści i granatowi. Nas pewno też wygonią, bo ich za mało na te pola. Wsadzą po paru pomiędzy Niemców, tak jak to już robili. I trza iść, bo zastrzelą.

– W kopcu mnie nie odkryją.

– Kopce pierwsze będą przepatrywać, a najwięcej te w polu... W nocy zlikwidowałem kryjówkę, dowiozłem buraków i wszystko zatkałem.

– Nie mam gdzie wrócić – Verstenlieg osunął się na trawę pod jabłonką. – Rodzinę mi bandyci całą wybili – jęknął. Nie podawał szczegółów, zresztą chłop nie pytał i przestępował z nogi na nogę z niecierpliwości.

– Musisz pan uciekać! Przejdą, to się pan wróci. Odwali się buraki i zanim coś w stodole nie przygotuję, to będziesz pan w kopcu.

– Czekaj pan! – zdyszał się Verstenlieg. – Gdzie uciekać?

– Mają iść w stronę Wisły. Trzeba się przeprawić przez Wisłę, albo iść na Szczucin, oni przejdą po brzegu Pławiczka, na drugą stronę nie będą pewno przechodzić... Kto tam w polach siedział, to za Pławiczek uciekał. Na Połaniec się nie przeprawiali, bo Malenger, ten z Przyroża, cały dzień stał przy przewozie i przepatrywał, a wiadomo, że zaraz leci do Niemców. Chyba żeby kto pychówką, ale pychówki są przy tamtym brzegu... Dobrze jeszcze, że ktoś dał znać, że będzie obława. Z policjantów albo co? Zjedz pan co, weź jedzenie i trza się ukryć gdzie. Trochę mroziak chwycił, to w polach nie będzie błota.

Z mrozu, który ściął nieco ziemię w nocy, cieszyli się też koloniści z Hohenhofu i kilku granatowych z Lasowej, a tak samo chłopci, których całą gromadę wygnano z pobliskich kolonii chałup. Dowództwo nad nimi dano Malengerowi, który latał tam, ustawiał i wrzeszczał, aż ochrypl. Malutki, w szerokich cholewach saperek na cienkich nóżkach, leciał wzdłuż rozciągniętej tyraliery ciemnych mundurów i wypychał pomiędzy Niemców i granatowych po kilku chłopów, nie szczędząc klątw.

Dryblaszy z Hohenhofu śmiali się z niego; w obławie byli sami młodzi chłopcy przed wojskiem i podstarzali brzuchaci bauerzy. Wykarmieni od czterech pokoleń na polskiej ziemi, okazali się teraz bezwzględni i okrutni panami. Prawie z każdego domu był ktoś na froncie i przychodzące co pewien czas zawiadomienia o ranach i śmierci braci i synów jeszcze w tym czasie podniecały ich zawziętość i wściekłość. Riegel i Skolasko na koniach jeździli wzdłuż tyraliery od Pławiczka po Rzekę.

Wieczorem stary Korniak przyszedł z wieścią o obławie. Obaj z synem byli spokojni; nie na darmo pracowali prawie trzy miesiące, robiąc dla Chajki skrytkę w piwnicy. Przebili ścianę, wykopali sporą norę szeroką na dwa i długą na trzy metry. Podstemplowali sufit belkami opartymi na deskach w podłodze i od góry, a całą piwniczkę obili deskami całówkami. Przejście do skrytki zamaskowali ceglami namurowanymi na grube na pół belki odrzwia z ukrytymi zawiasami. Po zamknięciu tych drzwi nawet najwprawniejsze oko nie domyśliłoby się, że za ścianą z cegieł jest puste pomieszczenie. Gorzej było z wentylacją tej piwniczki, ale Korniaki nie liczyli się z tym, że trzeba będzie w niej dłużej przebywać. Przez pół roku pobytu u Korniaków Chajka tylko raz, podczas przyjazdu żandarmerii i rewizji po chlewach za niekolekowanymi świniami, skorzystała z tego zamknięcia i siedziała w ciemności przez kilka godzin, zanim stary Korniak nie przyszedł do piwnicy z lampą i nie powiedział: – No, już ich diabli ponieśli do Miasta z powrotem. Kraczkowskiego zbili i syna mu powieźli do Pustkowa. Tyle nawojowali przez pół dnia.

Obecnie nikt by nie poznał w dziewczynie półżywej, schorowanej istoty z ruin kaplicy na dworskich łąkach. Przytyła, zaokrągliła się; Korniaki, trzeba przyznać,

pilnowali zaleceń doktora Kobylskiego i karmili ją według jego wskazań. Jakiś czas dostawała nawet specjalny pokarm dla niemowlaków, fosfatynę, którą kupowali w Mieście w aptece, potem przyzwyczaiła się do wieprzowego mięsa i smalcu przesmażanego z cebulą. Ustały szybko dolegliwości stawowe, których się nabawiła w wilgoci ruin kaplicy, pozostały tylko ślady szkorbutu na dąsłach i dlatego Chajka rzadko się śmiała. Doktor Kobylski nawet dziwił się, że dziewczyna nie straciła ani jednego zęba. Korniak dopilnował też nocnych spacerów w sadzie i codziennego picia mleka, za którym Chajka nie przepadała.

Korniak był pobożny, toteż Chajkę przygotowywano do chrztu. Nauczono ją „Ojcze nasz”, „Pozdrowienia anielskiego”, „Wierzę w Boga” i „Litanii Loretańskiej”. Pewnej nocy przeprowadzono ją do kościoła i ochrzczono. Na chrzcie otrzymała imię Stanisława. Ksiądz Stodolak wystawił Chajce metrykę na nazwisko przedwcześnie zmarłej, w drugim roku życia, córki Jamroza. Była to ostateczność okazywanie tej metryki, bo semicki wygląd Chajki Kilafuntowej na pewno wzbudziłyby podejrzenia, i dlatego nic po tym chrzcie się nie zmieniło; nowo ochrzczona Stasia dalej spacerowała po nocach w sadzie, a dni spędzała w domu.

W tym czasie nauczyła się czytać polskie książki, których w domu Korniaków nie brakowało. Książki nie stały na półce, ale leżały w dwóch workach. Porządne książki w twardych okładkach z marmurkowymi ozdobami, wskazującymi na kunszt introligatorski tego, który je oprawiał.

Po wejściu Niemców do Lasowej wójtowi nakazano spalić bibliotekę, która była własnością gminy. Wójt ułatwił sobie zadanie, otworzywszy drzwi do dwóch pokoi, które w budynku gminy zajmowała biblioteka, i szepnąwszy kilku nauczycielom i bibliotekarzowi, staremu emerytowanemu chorążemu, że te drzwi są otwarte. Stary Korniak uważał, że od przybytku głowa nie zaboli, inni też; w ciągu jednej nocy wójt miał kłopot z głowy i w listopadzie 1939 roku w urzędzie gminy ostentacyjnie palono w piecach starymi szpargałami, broszurami Ligi Morskiej i Kolonialnej, na które się nikt nie połakomił i innymi książkami, które niegodne były twardej oprawy. Po przyniesieniu książek Korniaki pracownicy wycinali pieczętki biblioteki z kart tytułowych lub wyrywali kartki znaczone pieczętkami biblioteki. W ten sposób w większości tomów brakowało tytułów i nazwisk autorów.

Chajka zaczęła czytać początkowo z nudów, ale wkrótce książki ją wciągnęły. Kiedy przeczytała bardziej zajmującą powieść, szukała następnej tego samego autora. Nie zawsze to było możliwe ze względu na zniszczenie stron tytułowych do tego stopnia, że niektóre książki zaczynała od drugiego czy trzeciego tomu i dopiero później dopasowywała treść jak kamyki łamigłówek.

Z chwilą dojrzewania i rozrastania się fizycznego Chajka popadła w nowe kłopoty. Opóźniona z powodu warunków w getcie menstruacja, przy dobrym odżywieniu i poczuciu bezpieczeństwa wystąpiła teraz burzliwie. Szybko rozrastające się

piersi rwały i rozpychały kaftanik, zaczęła więc wdziwać sweter z grubej owczej wełny i bandażować się udartym ze starego prześcieradła pasem płótna. Wstyd z powodu pokrwawionej bielizny, uczucie nieczystości w czasie periodu, mycie się po kryjomu, kiedy ojca z synem nie było w domu, wyrastanie z odzieży, stawiało Chajkę w coraz bardziej kłopotliwej sytuacji.

Najgorsze, że ojciec Korniak, w przeciwieństwie do syna, spostrzegł te zmiany, bo jego stosunek do dziewczyny zmienił się; podżartowywał, kiedy byli sami, i brał ją na kolana, a Chajka, czując do niego obrzydzenie, siedziała wtedy sztywno i starała się pod byle pozorem uwolnić. Wiedziała, czego mężczyzna chce od kobiety, pamiętała tajemne chodzenie matki do pokoju Eslebena, pamiętała gwałt zadany matce przez policjanta Abelkranza i twarz matki po otwarciu drzwi, a także krzywy uśmiech zapinającego pas policjanta, przeczuwała, że to samo może ją spotkać i starała się odwlec tę chwilę. O zmianie swojej sytuacji nawet nie pomyślała; wokół szalał terror i gwałt. Korniaki prawie codziennie przynosili wieści o mordach ukrywających się Żydów. Mężczyźni mieli większe szanse od kobiet i dzieci; mogli być jeszcze przed śmiercią wykorzystani jako siła robocza. Chajka miała ciągle w uszach krzyk i skowyt swoich braci i siostr w zasypanych wapnem wagonach. Obecnie jej los w porównaniu z pobytem w ruinach kaplicy, a nawet z pobytem w getcie, poprawił się nieporównywalnie i za to była wdzięczna tak ojcu, jak i synowi. Po Niemcach można się było wszystkiego spodziewać. Znalezienie w jakimś gospodarstwie Żyda pociągało za sobą śmierć tak Żyda, jak i jego gospodarzy. Chłopa niemającego rozstrzeliwano natychmiast pod ścianą, a jego ziemię włączano do areału któregoś z kolonistów, chłopa bogatego też rozstrzeliwano, a do jego domostwa wprowadzano niemiecką rodzinę.

Dzisiaj skrytka w piwnicy będzie użyta drugi raz. Niemcy, rozwścieczeni fiaskiem wyprawy, mogli chodzić po domach, legitymować i rewidować. Chajka skończyła pranie, obrała ziemniaki na obiad, nastawiła pastewne kartofle w trzech wielkich garach na kuchni i równo z wejściem obławy na teren Lasowej została zamknięta w skrytce. Było tam ciemno jak w grobie i jak w grobie ciasno. Na zbitym z kołków i desek łóżku leżała stara pościel i derka. Chajka otuliła się pościelą, naciągnęła na nogi derkę i zamarła w bezruchu z otwartymi oczami patrzącymi w ciemność, tak jak robiła to w zimie i na wiosnę w ruinach kaplicy pod opieką Otyłki.

Mecenas Verstenlieg biegł. Wbrew przewidywaniom, obława sięgnęła poza Pławiczek i z tamtej strony też ciągnęła tyraliera policjantów i wygonionych z chałup chłopów. Posuwali się wolno; chwilami linia mundurów i cywilów nieruchomiała nawet; do Verstenliega dobiegał odgłos strzału czy strzałów, mecenas wiedział, co to znaczy, przyspieszał biegu chcąc jak najszybciej osiągnąć kępę wiślaną, w której pomimo jej obecnej bezlistności spodziewał się schronienia. Zdyszany wpelź na

wał wiślany i leżąc, obserwował tyralierę. Widocznie nie tylko jednak on obserwował. Jadący na gniadym koniu członek Sonderdienstu, którego nazywano Małym lub Postrachem Szczucina, blondwłosy pokurcz nie wzięty do wermachtu ze względu na karli wzrost, ale postawiony na czele posterunku granatowej policji w miasteczku, miał lornetkę i ponaglona jego krzykami tyraliera ruszyła żywiej, szczególnie ta część, która posuwała się w stronę Verstenlieg. Z tej strony Pławiczka doszłusował do nich Malenger, który przebiegł most i znalazł się po drugiej stronie rzeczki pełen krzyku i gorliwości.

Kiedy zbliżyli się na około pół kilometra, Verstenlieg po raz ostatni wystawił głowę za krawędź wału. Widział ich doskonale. Jeden w jasnozielonym mundurze, na gniadym koniu, z pistoletem maszynowym na piersi i z lornetką w rękach, dwóch granatowych, kilkunastu chłopów, przy czym kilku z łopatami, a przed nimi mała figurka, niby dziecka. To Malenger. Wszyscy szybko zbliżali się do wału. Mecenas nurknął w krzaki. Kępa wikliny pomiędzy wałem a korytem Wisły nie była tutaj szersza jak trzysta metrów. Tamci widocznie mocno przyspieszyli, bo po kilkudziesięciu metrach biegu usłyszał ich głosy za wałem, pochylił się więc i pognął, nie zważając na bijące w twarz pręty wierzby i drące mu skórę przez ubranie kolczaste pędy ostrężyn. Nagle musiał stanąć. Przed nim rozciągała się woda. Nie była to jednak Wisła, a tak zwana skrzynia, długi na kilkadziesiąt metrów dół i szeroki na kilkanaście. W tych dołach stała woda od powodzi do powodzi i stanowiły one wzdłuż Wisły ważny element jej życia, były bowiem siedliskiem ryb, ptactwa i zwierząt typowych dla tego krajobrazu.

Tej przeszkody mecenas nie wziął pod uwagę; za sobą słyszał już wrzaski nagonki, przed sobą miał wodę, ciemną i zimną. Na szczęście nie dotarł tu jeszcze taki mróz, który by ściał powierzchnię wody przy brzegu. Mecenas chciał żyć, każde włókno w jego ciele wołało o życie. Nie namyślając się, zbiegł po trawiastej pochyłości i starając się nie zostawić śladów w błocie dopadł wielkiego krzaka nawisającego nad ciemną głębią. Tuż przy nim skoczył do wody, która od razu się nad nim zamknęła. Mecenas instynktownie uchwycił giętką gałąź zanurzoną w wodzie i przyciągnął się pod grube korzenie wierzby wystające do stawu, unosząc głowę nad powierzchnię. Czuł parzącą ciało wściekle zimną wodę, czuł, jak mu się wlewa do uszu pomimo zapiętej pod brodą skórzaną pilotki, której kiedyś używał w samochodzie, pił haustami zimne powietrze i czuł pieczenie skóry porysowanej przez kolce ostrężyn. Wszystko to zrobił człowiek nie umiejący pływać i stroniący od wody głębszej niż po kolana, w przeciwieństwie do nieboszczyka brata, który Wisłę w Dzikowcu przepływał kilka razy podczas upalnych dni.

Mecenas najpierw usłyszał tętent kopyt końskich i trzask łamanych krzewów, potem tupot licznych nóg i wtedy, kiedy nagonka wbiegła nad skrzynię, Verstenlieg nabrał tyle powietrza, ile tylko mu się zmieściło w płucach i wciągnął się pod wodę,

trzymając się śliskiego, umykającego z dłoni korzenia wierzy i zostawiając na nim paznokcie. – Znajdą! Znajdą! – jęczało w nim. Dusił się nieprzyzwyczajony do długiego wstrzymywania oddechu, ale zamarł skurczony z pękającymi płucami i pustymi spazmami klatki piersiowej. Czekał strzałów do wody, ale zamiast tego usłyszał przez nią ryk śmiechu i jakby niedaleki plusk. To Melenger w gorliwości swojej wlaźł na nawisający nad wodę konar oddalonej o kilkanaście kroków wierzy i zleciał z niego sromotnie, koncentrując na sobie uwagę ciżby. Mecenas czuł, że nie wytrzyma; płuca rozrywało mu nabrane przed chwilą powietrze, klatka piersiowa pracowała pustymi skurczami. Popuścił przygięte ramię, które trzymało go pod wodą, wynurzył głowę, odetchnął. Przez wodę zalewającą mu oczy widział gromadę prześladowców skupionych na brzegu, odwróconych do niego plecami. Jeden z chłopów podawał rękę wrzeszczącemu Malengerowi. Verstenlieg odetchnął kilka razy i jak wprawny nurek bez plusku wciągnął ciało pod wodę. Słyszał oddalający się stuk kopyt konia i tupot stóp gromady; obława trwała i kiedy znowu się wynurzył i odetchnął, na brzegu nie było już Niemców. Mecenas siedział jednak dalej w wodzie pomimo strasznego przemarznięcia, i zrobił dobrze, bo zza skarpy usłyszał kłatwy Malengera wylewającego wodę z saperek. Za chwilę służalec z Przyroża włożył saperki, przytupał i pognął do wału przez krzaki, chcąc jak najszybciej znaleźć się w jakimś ciepłym i suchym pomieszczeniu.

Verstenlieg dopiero po kilku minutach zdecydował się wyjść z wody, co przyszło mu ze znaczną trudnością. Cały zeszytniał i ledwo się poruszał.

Poszedł coraz szybciej w kierunku wału, śladem Malengera, i wdrapał się na skarpe. W polu nie było nikogo, ale liczył się z tym, że Niemiec z granatowymi może wracać do mostu na Pławiczku, i zapuścił się w krzaki rosnące wzdłuż wału z biegiem Wisły, wiedząc, że dwa kilometry dalej jest ujście Pławiczka i prześladowcy powinni pójść krótszą drogą, nie powtarzając trasy obławy. I nie mylił się. Upłynęło około godziny, kiedy dygocąc z zimna, wstrząsnął się ostro, słysząc nagłą serię peemu. Seria powtórzyła się, potem padł pojedynczy strzał. Domyślił się, że to mały Sonderdienst ze Szczucina rozstrzelał jakichś złapanych w kępie Żydów przypartych do rzeki. Za chwilę też ujrzał najpierw gromadę chłopów, potem dwóch granatowych, a za nimi jasnozielony mundur na koniu. Słońce weszło wysoko, chmury się rozproszyły i wyślizgane w ziemi ostrza łopat i rydli wesoło połyskiwały nad głowami gromady chłopów.

Mecenas dosyć już był dzisiaj narażony na kaprysy przyrody i po nagle rozjaśniającym się niebie wiedział, że zanosi się na mroźną noc. Szybko zaczął się rozbierać do naga i wykręcać namokniętą odzież. Najpierw wdział wykręcone z całych sił kalesony, potem zabrał się do flanelowej koszuli. Wyżywał ją partiami: najpierw rękawy, potem gors, potem plecy, powiał nią i wytrzepał. Wkładając głowę w rękawy schował ją we wnętrzu koszuli i słysząc obok siebie kroki, zdrętwiał, a pomimo

zimna nagle zrobiło mu się gorąco. Szarpnął głową i kiedy wyjrzał z rozcięcia koszuli – zastygł. Przed nim stał chłop w kopiastej baranicy jaką nosili w zimie w tej okolicy i starzy, i młodzi. Na ramieniu ten chłop miał rydel.

Widocznie pozostawiono go, żeby zakopał pojedyncze zwłoki i teraz wracał do domu. Nie spieszyło mu się wyraźnie do dalekiej już gromady uczestników polowania, nawet nadkładał drogi. Mecenasa patrzył w niego nieruchomo z podniesionymi do góry rękami, a chłop odwrócił głowę, popatrzył po koronach topoli, ruszył i przechodząc w odległości trzech metrów od Verstenliega, zaczął wspinać się na wał.

– Udaje, że mnie nie widzi – pomyślał Żyd, a mężczyzna zniknął za wałem, zaś mecenas pośpiesznie zaczął wykręcać dalsze części garderoby i narzucać na siebie.

Krótką sukienną kurtka, którą nosił jako wierzchnie okrycie, nie dała się wyjąć; adwokat po prostu był za słaby po tych kilku dniach udręki i wysiłków. Sięgnął do kieszeni, znalazł tam kawałek słoniny i piętę rozmokniętego chleba. Zjadł to łapczywie, a przypomniawszy sobie o pieniądzach wyciągnął je, rozwinął z węzła i rozłożył na słońcu. W cmokających trzewikach wyszedł na wał i ostrożnie wysunął głowę. Patrzył za chłopem ze szpadlem. Ten już był daleko, rydel połyskiwał w miarę oddalania się idącego miarowym krokiem. – Nie wyda mnie – pomyślał z ulgą Żyd. – Gdyby chciał mnie wydać, biegłby i krzyczał za tamtymi.

Zachód zaczął nalewać się czerwienią; słońce wisiało nisko nad horyzontem, jeszcze chwila i zapadnie za korony topoli rosnących na przeciwległym brzegu Wisły. Verstenlieg rozglądał się, jak szczute zwierzę, i zeszedł z wału na stronę pól. Kierował się w stronę Pławiczka, do stosu łodyg kukurydzianych, w których spędził wczorajsze pół nocy po przeprawieniu się przez rzeczkę.

Ruda kania nocująca na topolach rosnących przy wale otworzyła sennie oko i strzepnęła oszronionym łbem. Kłapnęła dziobem i wyprężyła szponiaste, wpite pazurami w konar, łapy. Metaliczny dźwięk zamykanego dzioba obudził przytające w wysokiej stokroci kuropatwy; ptaki jeszcze bardziej wbiły się w poszycie, starając się prawie nie oddychać. Niedobity przez chłopaków bażant, kogut, jeszcze z tych, które w trzydziestym dziewiątym roku hrabia Tarnowski wypuścił w chłopskie pola ze swojej woliery, stanął na łapki, które grzał pod sobą w piórach brzucha na gałęzi niskiej olchy, i pokręcił ruchliwą głową. Na wschodzie, gdzie spało Miasto i skąd niósł się cichy brzęk silników samolotów, wyprawianych na wsparcie rozlatującego się frontu niezwyciężonej armii, różowiło pasemko świtu. Wyżej niebo było jeszcze ciemne, a księżyc w drugiej kwadrze, który wisiał nad drzewami na zachodzie, dawał jeszcze trochę światła.

W kupie łodyg końskiego zębu, leżącej w polu w pobliżu Pławiczka, coś się poruszyło. Grubo nawalone wzdłuż wąskiej miedzy łodygi drgnęły i powoli uniosły

w zagłębieniu, które było fragmentem pastwiska, ze świadomością, że musi zdobyć się na czujność opodał swojego kopca. Od kopca do zabudowań mieszkalnych było około kilometra. Chłop, który kopiec przygotował na najdalszym skrawku pola, specjalnie oddalił go od zabudowań, żeby zapobiec penetracji kryjówki mecenasa przez bawiące się dzieci czy ciekawych dorosłych. Taki kopiec to nie było nic dziwnego w krajobrazie pól. każdy robił go tam gdzie mu było bliżej do pola, na którym właśnie plantował buraki. Do kopców podjeżdżało się wozem i nabierało tyle buraków, ile było potrzeba dla zwierząt na tydzień lub dwa. Po nabraniu buraków kopiec się zamykało i zabezpieczało słomą i ciężkimi belkami. Verstenlieg traktował ten kopiec i kopiec drugiego chłopca, o którym nic pierwszemu nie mówił, jako tymczasowy azyl wtedy, kiedy przychodził po pieniądze na plebanię i zmuszony był nocować. Obecnie te kopce stały się jego stałym schronieniem.

Mecenas odsunął belki i słomę, wsunął się do kopca, znowu zasunął słomę i przyciągnął belki. Był tak umęczony, że wszystko to robił z charczeniem i jękami. Na domiar czuł, że zaczyna go mocno drapać w gardle, co zmuszało go do bolesnego kaszlu. To drapanie schodziło coraz niżej i czuł, że w tchawicy ma żywy ogień. W kopcu było jednak przytulnie; buraki „grzały” swoją utajoną przemianą materii, ale Verstenlieg miał przed sobą jeszcze jedno zadanie. Musiał odtworzyć swoją norę w tylnej części kopca. Wsunął się tam, odsuwając buraki pod sufitem i układając je we wszystkie wolne miejsca. W końcu dokopał się do dna kryjówki, które było wyścielone słomą i starą odzieżą. Zaczął zdejmować ubranie, znalazł wśród tej odzieży sweter, który wdział na gołe ciało. Tak ubrany porozkładał swoje wilgotne rzeczy i czując coraz bardziej opanowującą go gorączkę, zakopał się w słomę i szmaty, które naciągnął na siebie. Pomyślał jeszcze, że trzeba wyjąć pieniądze i umieścić je przynajmniej w dwóch skrytkach za belkami, ale na to nie starczyło mu sił. Wieczorem, kiedy się wyśpi i trochę przyjdzie do sił, pójdzie po jedzenie, gorące mleko, a może kielišek bimbru. Kaszlnął kilka razy boleśnie i zapadł w ciemność.

Obudził go rozrywający płuca kaszel. W tchawicy i oskrzelach miał wysypaną grubym żwirem drogę, na której potykał się każdy oddech. Jęczał dopóki nie odkaszlnął tego żwiru. Zlany potem opadł bezsilnie na posłanie. Na przemian z falami gorąca nachodziły go dreszcze; do bólu w prawym kolanie dołączył również dojmujący ból w lewym. Po szarości w kopcu poznał, że na dworze jeszcze dzień. Zagrzebał się głębiej w słomę i szmaty, zasypiał, oddychając delikatnie, żeby nie pobudzić nowej fali kaszlu. Spał długo i obudził go dopiero gospodarz, który przyszedł sprawdzić na wszelki wypadek, czy Verstenlieg przeżył czy też podzielił los kilkudziesięciu Żydów zastrzelonych dzisiaj przez obławę. Wszyscy ci, którzy uciekli za Pławiczek, sądząc, że obława dojdzie tylko do tej rzeki, zginęli wystrzelani przez nadchodzącą od Szczucina obławę karlego Sonderdiensta, łącznie z rodziną, w której były kilkuletnie dzieci. Z tej strony Pławiczka Skolasko i Riegel nie mieli takich sukce-

sów, bo większość Żydów przestrzeżona, przeniosła się poza Pławiczek, licząc że tam będzie bezpiecznie.

– Panie mecenasie! Panie mecenasie! – wołał półgłosem gospodarz.

– Jestem, panie Krupa – powiedział słabo Verstenlieg i zaraz się rozkaszał.

– Cud boski, że się pan uratował. Prawie wszystkich wybili, sukinsyny. Przyniosłem mleko, chleb i ser. I słoniny. Będzie pan miał na parę dni. Cud boski... Uratowali się tylko ci, co wczoraj uciekli za Wisłę.

Verstenlieg pełził pod sufitem kopca, kaszłał boleśnie i znowu pełził. Stoczył się w końcu do nóg chłopca. Przykucnął. Pił gorące mleko z dzbanka, ulewając sobie na przykrywkę. Gryzł chleb, kaszłał, odpływał. Znowu gryzł chleb, zagryzał serem obficie posolonym przez Krupową.

– Ominęli pana? – spytał gospodarz.

– Przycisnęli mnie do stawu w kępie i włożyłem w tym stawie pod krzak – szeptał Verstenlieg cicho, żeby znowu nie pobudzić kaszlu. – Jak nadeszli nad staw, to ja się schowałem pod wodę. Ubranie jeszcze nie wyschło... Chory jestem...

– Panie mecenasie – szeptał chłop – pan ma pieniądze, niech pan kupi broń. Jakiś urzyn czy leworwer...

– Nie chcę żadnej broni... Jakbym miał broń, tobym już nie żył, bo tam nad tym stawem, tobym się usiłował bronić. Może zabiłbym jednego albo nie, a oni mnie na pewno. A tak, to znalazłem wyjście w tym stawie. Nie chcę żadnej broni.

– Może i tak – zaszeptał z powątpiewaniem chłop.

Verstenlieg rwał zębami gotowaną słoninę, znowu zagryzał chlebem.

– Dam panu pieniądze, niech mi pan kupi motopirynę albo aspirynę... – zaszeptał.

– Chyba mam zapalenie płuc i stawy mnie boją.

– Dobrze – powiedział chłop. Zabrał koszyk i powiedział: – Mam starą bundę co w niej ojciec jeździł, jak kupcom furmanił. Aż na Węgry jeździł. Podbita baranem. Przyniosę ją, bo pan uświerknie jak przyjdzie większe zimno.

Verstenlieg pełził z powrotem, Krupa zakładał słomą i belkami wejście do kopca. Zanim się zagrzebał w posłanie, sięgnął do kieszeni spodni. Wyjął wilgotne młynarki i podzieliwszy na dwie części, z wysiłkiem, bo ból w kolanach nie pozwolił mu wyprostować nóg, ukrył za belkami pod sufitem. W dwóch miejscach, bo w wypadku, kiedy trzeba było się okupić szmalcownikom, oddawało się jedną część jako wszystkie zasoby, a zostawiało drugą część. Szmalcownik w nadziei na dalsze pieniądze nie wydawał zbiega Niemcom, tylko cierpliwie czekał. W tym czasie można było pozostałą część podzielić i przedłużyć życie.

XV

Jeszcze w lipcu udało się Nowotańskiemu kupić żywe prosię, kilkutygodniowe, które wsadzono do specjalnie zbitej klatki w piwnicy na węgiel. Prosię było mocno żerne i Sławek wraz z ojcem nic nie robili tylko zbierali pokrzywy, gotowali łupiny ziemniaków, które mieszały z utłuczonym w małej stępie ziarnem wyłuskany z zbieranych na polach kłosów albo z uzbieranymi w jesieni żołądziami, też tłuczonymi w tym starożytnym przyrządzie. Na ściółkę zbierali w kępie trawę i w czasie targów znosili w płachtach opadłe z wozów siano.

Świnia była jak wyścigowiec i życie w ciemności nie bardzo jej służyło, ale dorosła do pięćdziesięciu kilogramów zanim zupełnie przestała chodzić z powodu krzywicy. Przed Wigilią pierwszy raz, niestety, ujrzała światło dzienne patrzącymi w daleką przestrzeń niebieskimi ślepkami.

Kiełbas nie robiono, bo nie było z czego, słoniny nie odkładano, bo była na palec gruba. Obrano po prostu mięso z kości i przepuszczono przez maszynkę. Staszka obgotowała jeszcze kości na pożywne zupy z kaszą i ziemniakami i razem z Bronkiem dostała odcisków od rączki maszynki do mielenia. Święta stanęły pod znakiem wieprzowiny i kotletów mielonych z czarną solą, czosnkiem i cebulą, bez pieprzu, bo był na wagę złota. Chłodno już było na stryszku pod schodami i mielonka zajęła miejsce telefunkena z magicznym okiem, którego schowano w skrzyni na bieliznę, bo obawiano się, że chłody i wilgoć mogą mu zaszkodzić. Staszka i Nowotańska narobiły pierogów z kapustą i serem, a Nowotański złapał na żywca sporego szczupaka w stawach przy moście i tak Wigilia, jak i dalsze święta, zapowiadały się syte.

Na drugi dzień świąt przyszedł Muranko z żoną i na tę okazję wyciągnięto pół litra. Sławek przedostał się pod stół i siedząc tam, chciwie łowił słowa starszych. Późniejszym wieczorem przyszedł Stasiu Rybkowski ze swoją siostrą Henią. Za chwilę matka Rybkowskich poprosiła Henrykę, mówiąc, że ktoś przyszedł, i Henryka wprowadziła przystojnego, nieco zażenowanego młodziana, którego Muranko i jego żona powitali jak starego znajomego. Gość nazywał się Łopuczański,

a Nowotańscy znali go z widzenia i wiedzieli, że pełni jakąś rolę w konspiracji w fabryce.

Chłopak był po lwowskiej politechnice i szeptano, że jego ojciec był profesorem Uniwersytetu Lwowskiego. Sławek widywał młodego Łopuczańskiego z zabiedzo-
nym staruszką, bardzo nędznie ubranym, i mocno powątpiewał w to profesor-
stwo. Dopiero Nowotańska wytłumaczyła mu, że Łopuczańscy ledwo z życiem ucie-
kli ze Lwowa, bo wszystkich profesorów Rosjanie wywozili na Sybir, a Niemcy
rozstrzelali.

Zaczęto śpiewać, a Bronek zaraz sięgnął do szafy i wyciągnął stary, podobny do
gitary mandol i wręczył go ojcu. Ten wzbraniał się, ale potem uległ i nastroiwszy
instrument, akompaniował śpiewającym. Staś Rybkowski, były żołnierz Rajchsw-
ery, a później powstaniec wielkopolski, zaśpiewał „Cichą noc” po niemiecku, tak jak
go uczono w dzieciństwie. Nowotański zaraz dostroił akompaniament i Henryka
dołączyła się do śpiewu brata ciepłym altem. Kiedy skończyli, Nowotańska powie-
działa:

– Przecież ani jedna nasza kolęda nie umywa się do tej melodii. Czy oni zwario-
wali, ci Niemcy? Komponować takie melodie i tworzyć takie potworności?! Takich
Rieglów! Takich Hitlerów!

– Ale i takich Beethovenów i Wagnerów. Widocznie jedno z drugim nie ma nic
wspólnego. Hitler urządził uroczystości wagnerowskie. Przed samą wojną w Berli-
nie publiczność zdemolowała kino podczas wyświetlania filmu ukazującego wiwi-
sekcje z komentarzem, że wszystko odbywa się bez żadnych filmowych trików. –
Muranko spojrzał na Milkę i dodał: – Czy tam twoja mama nie zaczyna się niepokoić,
że nas tak długo nie ma?

– Moja mama bardzo dawno prowadziła mnie za rączkę do ochronki – zaśmiała
się Milka. – Od czasu, kiedy wyszłam za męża, już zupełnie się o mnie nie niepokoi.

– Bandytyzm szerzy się straszny – Nowotańska kręciła papierosa i kładła go do
cygarniczki. – Rabują już nie tylko Niemców, ale kiedy zabrakło Żydów, to biorą
się do Polaków. Najwięcej mówią o tym Iżyku i Osiniaku...

– Będą mówić już tylko o Osiniaku. Iżyk nie żyje. Teraz tylko drobne bandyckie
płotki czasami, nie wiedząc, jak idą sprawy, podają się za Iżyka.

– Złapie ktoś złodzieja na gorącym uczynku, a on od razu: „Znasz Iżyka?! Nie
znasz?! To ja ci pokażę! Stul pysk i siedź cicho!” A się potem pokazało, że to
uciekier z Baudienstu – mówiła Milka.

– Skąd taka pewność, że Iżyk nie żyje? – spytała Henia.

– Była strzelanina z naszymi ludźmi. Jeden z naszych zginął, ale z tamtych pozo-
stał tylko Osiniak, Papiak i ta baba, co z nimi chodzi. Początkowo nie wierzyłem
w śmierć Iżyka, ale potwierdza się to z różnych źródeł, a najbardziej wierzę Żydom,
tym, z którymi Iżyk często przebywał. Oni potwierdzają, że Iżyk nie żyje...

Łopuczański wstał, delikatnie uwolnił rękę spod ręki Henryki.

– To ja już pójdę – powiedział. – Przepraszam państwa za najście.

– Ależ nie – oburzyła się Nowotańska. – Proszę przychodzić. Żadne najście!

– My też się zbieramy – rzekł Muranko. – Jutro do pracy, Niemcy teraz bardzo uważają na wszelkie nieobecności.

– No, dostali w ... – Nowotańska popatrzyła pod stół – jak należy pod tym Stalin-gradem.

– Pod Moskwą w czterdziestym pierwszym też dostali i znowu się zerwali. To jeszcze potęga – westchnął Muranko. – Żeby nasi z zachodu uderzyli... W każdym razie, rosyjska zima już drugi raz nie służy Niemcom.

Wyszli. Nowotańska paliła papierosa. Bronek otworzył okno, wietrzył, bo w ciasnym mieszkaniu trudno było wytrzymać.

– Ten Antek to jest głowa – pochwaliła brata matka Bronka. – Zobaczycie, jak tu Amerykanie i Anglicy wejdą, jak on wyjdzie w oficerskim mundurze...

– Musi najpierw dożyć, durna babo! – zezłościł się Nowotański.

Po przerwie do willi Iwonickich wprowadził się znowu major, dowódca batalionu wermachtu, i od razu wokół kamienicy zamieszkałej przez Niemców i w domu, w podwórzu którego stał dom Nowotańskich i Rybkowskich, stało się niebezpiecznie. Major, doświadczony na froncie wschodnim, dbał o swoją skórę i wokół jego kwatery i przyległych domów chodziły całą noc wzmocnione patrole z karabinami na gotuj broń i granatami za pasem.

Całe szczęście, że patrole trzymały się trotuarów i jezdni, a nie zapuszczały się na tyły domów i na podwórza, zdaje się, że był to nawyk wyrobiony w Rosji, więc major spał spokojnie, a do mieszkania Stasia Rybkowskiego-„Drwala”, acz z dużym opóźnieniem, ale dotarli wszyscy idąc nadrzeczną kępą, a potem ścieżką przez łąkę.

Oprócz gospodarza był „Delikatny”, „Nowy”, „Czeresznia”, „Silny”, Kulbaka i „Parczew”.

– Z meldunków wynika, że nasila się terror nawet w stosunku do niewinnych ludzi. Po prostu zaczyna się zabijać za to tylko, że są Polakami, czyli metody przeciwiczone na Żydach stosowane są do nas. Na terenie obwodu „Dąbrowa” jest żandarm nazywający się Guzdek, Czech chyba, bo na pewno nie Niemiec. Ten potrafi dla zabawy strzelać nawet do ludzi pracujących w polu. Jedzie bryczką i potrafi strzelić i zabić. Tamtejsze placówki polują na niego, niestety, bezowocnie. U nas Riegel przechodzi samego siebie. Ma na sumieniu głównie Żydów, ale uczestniczy w torturowaniu naszych ludzi i rzadko kto wychodzi z tego z życiem. Ponadto mamy wiadomości od jednego ze strażników z więzienia, że Riegel po pijanemu przychodzi i pastwi się nad byle jakim więźniem, obojętnie, politycz-

nym czy kryminalnym. Ostatnio byli w nocy z policjantem Gaworem, pobili do nieprzytomności kobietę, krawcową Filasównę, która tam siedzi za jakieś głupstwa...

– Z Gaworem trzeba skończyć – wtrącił Muranko. – Należy mu się to od dawna.

– Słusznie! Wprowadzam to do rozkazu dziennego, na dzień szósty marca. Orientacyjnie, bo uzależniam to od jego służby. Pójdą „Parczew”, Kulbaka i Ryś.

– Ja nie mogę. Będę w marcu kończył sprawę Osiniaka i reszty. Nie będzie mnie w Mieście. Niestety, brakuje nam „Kudłatego”. Za to za śmierć Iżyka mogę ręczyć. Widziałem, jak padał. Gdybym miał trochę czasu i stena, ale co mogłem z moim visem przeciw dwóm karabinom... Trafiłem tylko Iżyka...

– Śmierć Iżyka potwierdzona – rzekł Muranko.

– Jednego bandyty mniej – mruknął „Delikatny”. – Czas na resztę tej bandy. Ludzie odetchną. W takim razie za Kulbakę pójdzie Kazik.

– Tak jest.

– Skupimy się teraz na zdobyciu pieniędzy na broń – mówi „Delikatny”. – Inspektorat zatwierdził całą sprawę – spojrzał na „Czeresznię”. Ten skinął głową. – W akcji będą brali udział: „Parczew”, „Kazik”, „Borsuk” i „Jeleń” z placówki „Barbakan”. Bierzemy pod uwagę dwa banki: Ringego i Komunalną Kasę. Ja proponowałbym KKO, ale to jeszcze rozeznamy...

– Mam wiadomość od pracującej w Arbeitsamcie kobiety, że przygotowywana jest wielka łapanka – poinformował Muranko. – Chodzi o wywózkę do Niemiec, jakiej dotychczas nie było. Z gmin pościągano już wykazy, zestawia się listy. Wiadomości są dokładne i należy pomyśleć co z tym zrobić.

– Czyli co proponujesz? – spytał „Delikatny”.

– Przed akcją na pieniądze proponuję rozbić Arbeitsamt, bo tu jest periculum in mora, niebezpieczeństwo w zwłoce. Nie można tego podpalić, bo szkoda budynku Rady Powiatowej, trzeba wywieźć dokumenty i zniszczyć. Dopiero potem myśleć o pieniądzach.

Rybkowski-„Drwal” zaczął nasłuchiwać; coś działo się w kamienicy Iwonickich. W wejściu do podwórza stała grupka lokatorów Niemców, słysząc było wzburzone głosy. Weszła Henia, siostra „Drwala”.

– Co się tam dzieje? – spytał „Delikatny”.

– Landratowej od dwóch dni nie ma w domu. Służącej teraz nie ma, bo ją zabrali do Niemiec. Wyraźnie Niemcy sami mają jej dosyć i chcą zmusić do siedzenia w domu.

– Przecież, żeby robić te rzeczy, to można siedzieć w domu, ale ona lubi urozmaicenie i zabawę – rzekł „Drwal”.

– Dziecko pozostawione w łóżeczku krzyczy już drugi dzień. Kenig i ten Schultz, co siedzi z Walczakową, chcą wyważyć drzwi, przysłuchiwałam się ich krzykom –

powiedziała Henia. – To porządni ludzie.

Gwar ustawał, głosy cichły; na górze u landratowej zapaliło się światło, widocznie ekipa ratunkowa córeczki nieboszczyka landrata doszła do porozumienia i zdecydowano się wyważyć drzwi.

– Proponowałbym akcję na Arbeitsamt ustalić na noc. – Muranko oglądnął się na „Delikatnego”, a ten aprobującą skinął głową. – „Parczew” zajmie się transportem. Gdyby rzeka nie była zamrznięta, to można by wszystko puścić z prądem, ale lód jest jak beton. Trzeba to spalić. Rozdzielić pomiędzy domy naszych ludzi i spalić.

– Dobrze. – „Delikatny” przejął znowu prowadzenie odprawy. – Pojedzie Kulbaka, „Parczew” i „Silny”. Środa w nocy. Akcja jest łatwa. Bez strzelaniny.

– Ja nie mogę, ale dam człowieka z moich ludzi – powiedział Kulbaka. – Cały czas mam na głowie sprawę bandy z Mokrego Gruntu. Pojedzie Kotuła z Podwierzbia. On da konia i sanki.

– Dobrze. Wykonać rozkaz zniszczenia ksiąg Arbeitsamtu.

– Rozkaz – „Parczew” podniósł się, a „Silny” i Kulbaka skinęli głowami.

Młody Janoski, mąż restauratorki, wszedł do przepelnionej żołnierzami i cywilami restauracji i poszukał wzrokiem żony. Kenicramówna postawiła zaraz za bufetem najbardziej rozgamiętą kelnerkę, Jaśkę Pagaczówną, a sama szybko wytarła ręce i poszła mu naprzeciw.

– Co cię tak zerwało? – powiedział Janoski. – Idź za szynkwas, co ona tam robi, tylko tyle, że se uszpurła parę groszy do kieszeni.

– Dałabym jej! – panna Kram potrząsnęła tlenioną głową. – Od razu won za drzwi – mówiła Kenicramówna i dalej stała w przejściu tak, że Janoski, który był nieduży, czuł jej miękkie brzuch i pierś. – Niech pan se siądzie, polecę za żoną, bo ona chyba w magazynie.

– Nie trzeba – Janoski zręcznie ominął bufetową i poszedł szybko na zaplecze. Skierował się do piwnicy gdzie był magazyn, a panna Kram odczekała parę sekund i pomknęła na palcach po schodach na wyżkę, gdzie kiedyś mieszkała Adela. Zapukała i szepnęła w szparę:

– Adela! Mąż!

Zaraz tam zrobił się ruch i Adela wyskoczyła na podest, poprawiając włosy. Zarumieniona była i bufetowa poczuła od niej zapach, jak od doktora Kobylskiego w jego dobrych czasach. W ostatnim okresie Adela Janoska lubiła sobie pociągnąć.

– Gdzie jest?!

– Poszedł do magazynu.

Adela szybko zbiegła ze schodów, a panna Kram wślizgnęła się do pokoju

w mieszkaniu na górze, w którym zamieszkiwali kiedyś Abelkranze. Janoski akurat wchodził po schodach z piwnicy. Zobaczywszy żonę warknął z niezadowolaniem:

– Zostawiłaś drzwi do lodowni otwarte, lód nie przykryty trotami, na złość robisz czy co?

– To ta cholera Perzyńska przyszła przed chwilą po lód, że będzie okłady robić, bo jej syn na mózg choruje i doktor kazał. Mówię: Niech pani idzie i se nabierze, a potem zapomniałam.

– Jego to jak brzuch nie boli, to mózg!

– Nie gadaj, jakieś zapalenie ma, doktor Marczewski mówił, że w Bogu tylko nadzieja.

Na górze otworzyły się drzwi do pokoiku na wyżce. Szymek Abelkranz w ciemnoszarym mundurze z żółtą gwiazdą na prawej piersi i w okazałej czapce z daszkiem i żółtym otokiem schodził po schodach. Zobaczywszy razem stojących Janoskich, spojrzał beczelnie w oczy mężczyzny, powiedział dzień dobry i wszedł w tylne wejście do lokalu restauracji.

– A on co tu robi? – zdziwił się Janoski.

– Przecież to jego dom – Adela chmurno spojrzała na męża.

– Gównu ma tu do szukania – Janoski patrzył na drzwi, w które wszedł Szymek.

– To świnią! Swojego ojca na śmierć wyprowadził. A dom jest nasz. Żydzi nie mają prawa własności na terenie państwa niemieckiego. Syn doktora Franckiego kiedyś mi to powiedział jak jadł u nas...

– On jest jedna ręka z Rieglem. Dopiero jak go Niemcy zabijają, to dom będzie nasz. Ale Riegel mu przyrzekł, że będzie żył. Wszystkim policjantom przyrzekł. Bez nich nie połapaliby tych reszty Żydów...

– Jak ich wyłapią, to i z nimi zrobią porządek.

– A niech robią. Zjesz co?

– Zjadłem u siebie. Piwa brakło.

– Widzisz, ile ludzi. U mnie też się kończy.

– A nie powiedziałem ci najważniejszego. Mama mówi, że Władeczek ma robaki. Ciągłe z niego wychodzą. Trzeba by iść do doktora.

– Akurat, będę płaciła doktorowi! Pójdę od razu do aptekarza. Pawlicki ma dobre sposoby.

– To już twoja głowa w tym – młody Janoski wyszedł drzwiami z tyłu i poszedł do swojej knajpy, a na górze ukazała się tleniona głowa Kenicramówny. Patrzyła na dół i zaraz zbiegła do Adeli.

– Ale byłoby, gdyby was naszedł! – wytrzeszczała okrągłe oczy.

– Już mi obrzydł cholernik zupełnie z tym jego chodzeniem. Chwili spokoju nie ma. Drzwi z tyłu trzeba zamykać albo klucz zmienić – powiedziała Adela i poszła do bufetu.

Noc. Od dwóch dni pada śnieg. Na białej powierzchni ulic w rynku nieliczne ślady przechodniów i samotny ślad płóz wysokich sanek. Wokół rzadkich latarni wirują płatki śniegu; ślady ludzi i sani powoli zasuwały się białą.

Na tyłach urzędu landrata, od strony Rzeki, w gęstej ciemności cienie poruszają się, nieruchomieją. Od miasta suną jednokonne sanki, skręcają w stronę rzeki, chowają się w cieniu landratury. Woźnica zeskakuje z kozła, podbiega do głowy konia, i ujmuje lejce wraz z wędzidłem. Ciiicho! Koń zażuwa żelazo w milczeniu, przestępuje z nogi na nogę. Od ogrodzenia odrywa się cień. Szepty. Cień znowu niknie w ogrodzie. Policjant Śliwa strażujący w zamkniętym budynku Rady Powiatowej, który chce przetrwać wojnę w miarę dostatnio i spokojnie, i jak dotychczas mu się to udaje, wyrwany z drzemki, przeżywa chwilę bezbrzeżnego przerażenia i zdumienia, kiedy lufa visa trąca go w brodę.

– Cicho bądź, to ci nic nie będzie – mówi ktoś, kto stoi z tyłu tej lufy i pociska mocno.

– Panowie! Panowie! Mam żonę i dzieci i nikomu krzywdy nie zrobiłem – szepce Śliwa, a głos mówi dalej:

– Wiemy! Wiemy! my tak dla pewności! – podrwiwa głos i twardnieje! – Odwróć się! Zwiążemy cię jak barana, a jak chcesz, to na zaświadczenie możemy ci oczy podsmalić... Klucze!

Szczęk otwieranych drzwi do biur. Trzask rozbijanych szaf. Bieganina, szelest upychanych do worków papierów i teczek.

– Zamknijcie drzwi, panowie – prosi policjant. – Nie zostawiajcie mnie przy otwartych, bo uświerknę do rana.

Wypełnione sanie ruszają w stronę rzeki; na kozłach, obok Kotuli, „Parczew”. Od przewozu skręcają w kępę, jadą zamrożonym korytem w cieniu krzaków około pięćset metrów. Przystają. Kotuła znowu bierze konia przy pysku.

– Co robimy? Bijemy przerębę i pod lód?

– Do rana to będziemy robić – odzywa się milczący dotąd człowiek Kulbaki.

– Dajmy to do Nowotańskich i Rybkowskich. To pięć worków. Do rana spalą. Konia zostawimy w kępie z Kotulą. Bierzmy się za to – mówi niecierpliwie „Parczew”.

Rybkowscy i Nowotańscy całą noc podkładają pod piec. Rano Staszka idzie do Bonczakowskiego po kilka kogutków, bo Nowotańskiej głowa pęka z bólu.

– Słyszałaś, Stasiu?! – pyta sklepikarz. Napadli na Arbeitsamt, wszystkie papiery poniszczyli. A już miał iść transport do Niemiec. Policjanta mało nie zabili. Latają tam teraz jak wściekli.

– Którego policjanta? – pyta Staszka.

– A Śliwę.

– Niech się nie robi taki ważny.

Noc. Mecenas Verstenlieg po przejściu wielkiego przeziębienia, po którym pluje flegmą, żółtą i ciągnącą się, do puszek z konserwy, ma teraz zapalenie wszystkich stawów. Każde poruszenie wywołuje u niego kłujący ból w kolanach i barkach. Dzisiaj pada śnieg i gospodarz spóźnił się coś i nie przyniósł gorącego mleka. Verstenlieg dojada resztek sera i słoniny z twardym jak kamień starym chlebem; zbiera ile może śliny i włożywszy w tę ślinę dwie tabletki aspiryny łyka je, czując jeszcze nieprzyjemny, kwaśny smak leku.

Usłyszał w końcu chrzęst kroków i ktoś zaczął w milczeniu odrzucać belki i snopy słomy. W kopcu powiało chłodem i jakiś głos powiedział:

– Wyłaż, Żydzie!

Verstenlieg zdrętwiał. Nie był to głos jego gospodarza. A tymczasem tamten u wejścia poszeleści słomą i uspokoił go: – Wyłaż! Nic ci nie będzie, tylko pieniążkami się podzielisz! – W kopcu zapachniało samogoną, a Verstenlieg usiłował się ruszyć, ale sparaliżował go ból i wyjął:

– Jestem chory, nie mogę się poruszać, mam zapalenie stawów od czasu obławy...

– Pieniądze, śmulu! – zasyczał tamten. – Do Hohenhofu dziesięć kilometrów, odżaluję konia i pojedę. Zaraz będziesz się mógł ruszać jak cię z ciepła za łeb wyciągną.

Verstenlieg błogosławił siebie i swoją przezorność, która kazała mu podzielić pieniądze. Ich mniejsza część tkwiła za belką w pobliżu wejścia. Jęcząc za każdym ruchem zaczął pełznąć do wejścia, a każde zetknięcie się obolałych spuchniętych kolan z przesuwającymi się i przetaczającymi burakami, powodowało nowy jęk.

– Nie jurc! – powiedział tamten niecierpliwie, ale jakby łagodniej i Verstenlieg ujrzał jego przysadzistą postać na tle śnieżnej pustoci.

Złapał się oburącz za drąg u sufitu, polciała na niego ziemia, podciągnął ciężkie i bolące nogi pod brzuch. W tej pozycji sięgnął za belkę, wydobył plik pięćsetek, „górali”, i z niego wyciągnął dwie, dał chłopu. Tamten zaświeceł zapalniczkę, rzucił okiem przy jej chwiejnym płomieniu. – Nie boi się, że go rozpoznam – pomyślał Verstenlieg. – Muszę się przenieść do Pezdy. Bo ten już mnie skazał.

Tłustawa, nieogolona twarz szmalcownika wykrzywiła się, zapalniczka zgasła.

– No, no, nie próbuj mnie omanić. Dawaj resztę, bo cię... – zagroził tamten. – Co mi dajesz, Żydzie?! Dwa papierki?!

– To Nosacz, przecież prowadziłem mu sprawę o pobicie i kalectwo – znowu pomyślał Verstenlieg i głośno powiedział: – Zlituj się pan, muszę za coś żyć.

– A mnie gówno obchodzi, za co będziesz żył. Dawaj, co tam masz!

Verstenlieg wysupłał jeszcze dwa „górale”.

– No, dobra – zgodził się napastnik i nic już nie mówiąc, oddalił się w ciemność.

Verstenlieg jak mógł zatkał wejście i jęcząc dowlókł się do swojego posłania.

Noc. Chajka Kilafunt siedzi w komorze domu Korniaków na swoim posłaniu. Nogi wciągnęła pod brodę, głowę oparła na kolanach, golenie ciasno oplotła rękami. Patrzy w ciemność. Widzi siebie w czarnej sukience siedzącą na schodach domu na Panieńskiej Górze, słyszy głos dzwonka wydzwaniającego nad drzwiami ich sklepu, słyszy głos ojca i głos małego Moszego powtarzającego za ojcem wersety „Tory”, napływa gładka twarz matki, jej wielkie czarne oczy. I zaraz zaczynają tłoczyć się widzenia straszne, które odpycha od siebie, ale nie może odepchnąć, getto i walka o każdą drzazgę drzewa włożoną do pieca, odmrożone ręce dzieci ciągnących z kępy zielone wierzbowe patyki, pogrzeb męża ciotki, Saula, i śmierć jej i jej niemowlęcia; obrazy wspomnień przyspieszają, już widzi czerwoną twarz policjanta Abelkranza wlokącego matkę do pokoju Eslebena i matkę siedzącą na brzegu łóżka w potarganej odzieży z oczyma pełnymi łez, i matkę siedzącą na rynkowym bruku i trzymającą w ramionach braciszka Mosze z przetrąconym przez Niemca grzbietem, i pożegnanie z matką idącą gdzieś z gromadą kobiet i starych Żydów, cały czas dźwigającą jęczącego chłopca, i ostatnie spojrzenie oglądającej się na nią i Jaszę matki. A potem ten straszny pociąg na zapomnianej bocznicy. Chajka puszcza kolana, zatyka uszy rękami, bo nie chce słyszeć tego okropnego krzyku wypychanych na siłę do wagonów ludzi, nie chce słyszeć tego straszego krzyku, w którym zdaje się, że rozróżnia głos kulawego brata, tego wycia ludzi, którym niegaszone wapno wypala oczy i żre skórę. Ten krzyk! Ten krzyk! Chajka wciska palce w uszy aż do bólu, drży pomimo ciepła w komorze, którą grzeje palony w kuchni piec, i ciepłego ubrania, czuje ziąb kamieni i cegieł we wnęce pod zawalającym się ołtarzem starej kaplicy i czuje jej wieczną wilgoć, i to ochronne zwinięcie się w kłębek, i słodycz gotowanych, ciepłych ziemniaków... Nie pamięta Chajka nawet rysów tej kobiety czy dziewczyny; raz tylko widziała ją przy świetle w ciągu tych trzech miesięcy, u tego doktora, który w wannie golił jej boleśnie włosy, i czuje niebiańskie gorąco wody, w której ją zanurzono, i potem bolesny zastrzyk i stuk kopyt końskich, i skrzyp wozu, na którym leżała pod siennikiem i workami; rozmowa przyciszona dwóch mężczyzn wiozących ją w nieznane, woli Chajka o tym myśleć, niż ciągle słyszeć ten krzyk – spowiadałam się panu Bogu wszechmogącemu w Trójcy Świętej jedyne- mu i tobie ojciec duchowny... u ostatniej spowiedzi byłam..., a dotąd popełniłam następujące grzechy – jakie grzechy popełniłam ja i moja matka, i ojciec spalony i braciszek ze złamanym grzbietem, i Jasza, i niemowlę ciotki Miriam? – myśli Chajka, ale księdza nie pyta, za to ksiądz sam daje jej odpowiedź. Jej przodkowie zabili w mękach Chrystusa – mówi ksiądz i za to są teraz Żydzi narodem przeklętym, wiecznym tułaczem, poniewieranym..., nie ma na to rady... Ale przecież Chrystus sam tego chciał, dlaczego do tego zabicia siebie wybrał właśnie jej naród, który ojciec nazywał wybranym, dlaczego? – myśli Chajka Kilafunt z metryki Stasia Jamrozówna.

Trzasnęły deski w podłodze w sąsiedniej izbie, szedł gospodarz; Heńka nie ma w domu, pojechał po naftę, będzie nocował u stryjenki, wdowy po bracie ojca, w Szczucinie...

Korniak wszedł, zamknął drzwi.

– Jesteś tu, Stasia?

– Jestem – szepnęła.

– Nie śpisz?

– Nie mogę zasnąć...

– Ja też – Korniak usiadł ciężko na łóżku obok niej, położył w ciemności gorącą, twardą dłoń na jej kolanie. Poczula zapach wódki i bkonu samosiejki zmieszany z kwaśnym zapachem kozucha, który nosił i który pewno zdjął przed chwilą. I zapach mleka, który przyniósł z obory, pilnując doju. Odwrócił do niej twarz, bo znowu mocniej poczuła samogon i tytoń.

– Kłopot jest – powiedział. – Zachodzi mi na podwórze Franek Nosacz, on z Żydami – ściszył głos – narabia... Wszyscy o tym wiedzą, że gdzie wyniucha Żyda, to z niego pieniądze ciągnie...

– Co robi? – spytała Chajka, usiłując usunąć kolano spod mocnej, gorącej dłoni.

– Ano, chodzi, wyszukuje Żydów, co się kryją po polach i każe se płacić za to, że ich nie wyda Niemcom.

– A jak kto nie ma pieniędzy – Chajkę przejął dreszcz przerażenia – tak jak ja...?

– No, to różnie bywa, ale my se z nim damy radę, nie martw się naprzód.

Chajka zaczęła płakać, trzęsła się szlochając, Korniak objął ramieniem jej plecy.

– Nie bój się, dziewczyno..., nie bój... Musiał cię zobaczyć w ogrodzie jak chodziłaś w nocy, świnia... Ale on jeszcze nie wie, na kogo trafił... Przyszedł do mnie i palcem mi przed nosem kiwa – Korniak wstał, oddychał głośno. – Nie bój się, nie pójdziesz stąd na poniewierkę, nie...

– Dziękuję wam... – Chajka wyszukała rękę gospodarza w ciemności, pocałowała.

– Co tam, no, potem mi podziękujesz.

Zamknął drzwi, Chajka znowu została sama. Skrzypią deski w sąsiednim pokoju pod zwalistym ciałem Korniaka.

Noc. W piwnicy na posterunku w Mokrym Gruncie siedzi Stach Mikuła, przyrodni brat Matrasa z Dołów. Siedzi w kącie na dwóch rzuconych deskach, głowę opiera o ścianę, czujnie podzemuje.

Dwóch granatowych z Mokrego Gruntu zdjęło go z jarmarku w Szczucinie; przywiodło do Mokrego Gruntu, usadziło w piwnicy. Bez słowa.

Próżno bożył się Stach, że to pomyłka, że on niczym nie handluje, że o niczym nie wie, nic nie pomogło.

– Niemcy kazali cię sprowadzić – powiedział policjant o nazwisku Mądry. – Coś oni do ciebie mają, jak nic pójdziesz do Oświęcimia.

– Chryste Jezu! – zaczął się modlić Stach.

– Dawaj sznurówki i pas, włącz tutaj i siedź!

– Kiedy mnie puszczą? – Stach rozglądał się po pustej piwnicy.

– Puszczą cię, albo wyprowadzą na ugor i każą dół drzeć!

– Chryste Jezu!

Drzemał Stach prawie do rana, ale co to za spanie, gołe deski pod tyłkiem, niepewność, zimno. Męczył się tylko.

Ciemna noc jeszcze była, kiedy Mądry po niego przyszedł. Szturchnął go kolbą, ale tak, tylko tyle, żeby go przyspieszyć.

– Niemcy? – przestraszył się Stach. Umyślił im wszystko powiedzieć, co wie. – Gównu mnie obchodzi i Kazek Matras i Osiniak, niech idą i robią, co im pasuje, tylko niech mnie puszczą...

Przekonał się na gorze, że za łatwe by to wszystko było, powiedzieć Niemcom, bo szykowało mu się zupełnie co innego niż rola niemieckiego donosiciela. Niemców ani śladu, a za biurkiem komendant Sobczak, rozpięty pod szyją, bo w pokoju dobrze napalone, herbatę popija, herbatolu dolewa z flaszeczki.

– No i co, Mikuła! – mówi Sobczak i odstawia szklankę. – Dorobisz ty się pewnie Oświęcimia.

– Chryste! Za co?! Kontgenty oddaję...

– Za co? Za to, co ty sam wiesz! Nie będę ci wyliczał.

– Nic nie wiem... – i widząc groźne spojrzenie Sobczaka pośpiesznie: – A o co pan komendant pytają?

– Świnie bijesz, słoninę i mięsem handlujesz. Tak?

– No, niby... – Stach odetchnął. Pewno chcą, żeby im połówkę przywieźć i straszą.

– Przywiozę, czemu nie?

– Kiedy ostatnią zabiłeś?

– A bo to... – Stach rozdziawił gębę i udawał głupiego.

– Mam ci przypomnieć?! Dwóch takich kupców u ciebie było... No!

Stachowi, który już rozmarzył w ciepłe, znowu zimno się zrobiło i zaszczekał zębami.

– Jednego potem znaleźli niemieccy żandarmi w rowie, nie ujechał nawet i trzy kilometry od twojego domu... Gdzie jest drugi i wóz, i koń, i świnia, którą wieźli?!

– Nie wiem, panie komendancie. Wiem, że kogoś tam postrzelili czy zabili, ale czy to ten... – bełkotał Stach. – Nie wiem...!

Sobczak położył rękę na telefonie.

– Czy ty wiesz, że jak zadzwonię, to przyjadą z żandarmerii. I wiesz, co zrobią?

Stach pokiwał głową, że wie.

– Nie wiesz! Pierwsze, to dostaniesz takie manto, że białego ciała na sobie się nie dopatrzysz. Drugie, to cię wyprowadzą przed chałupę, postawią obok ciebie twoją kobietę i te twoje dzieci. Fajer! Wiesz, co znaczy fajer? Ognia! powiedzą, i już was nie ma. Potem wyprowadzą twoją żywnię i tego konia, coś go od Osiniaka dostał i chcesz zhandlować, a ciebie i trupa twojej baby, i trupy dzieci, każą tam sąsiadom wnieść i poleją benzyną. A potem podpalą. Rozumiesz ty mnie?!

– Rozumiem! Chryste Jezu!

– To ci jeszcze powiem, że na darmo oni do ciebie nie przyjadą. Od ciebie pojadą na Doły do Matrasa. To twój przyrodni? – upewnił się.

Stach skinął głową.

– No i tam będzie to samo. Osiniak i ta cała banda to uciekną, a dom i dzieci, i twój przyrodni fiuu, do nieba! Iżyk pono nie żyje?

Stach siedział zdębtwiał, nic nie mówiąc; czuł, że ohydna pętla trzyma go za gardło. Dusił się.

– Mam cię palnąć w mordę?!

– Chryste Jezu! Nie! Panie komen...

– Żyje czy nie?!

– Ludzie mówią, że nie żyje. Osiniak... go... tak ludzie mówią, ale bo ja wiem?!

– No. Iżyk nie żyje, wy do gruntu, żandarmeria do siebie, a Osiniak i Papiak, i ta Bożena znowu się będą plątać i ludziom szkodzić...

– Chryste!

– Nie jojcz, powiedz mi lepiej, co ja mam robić?

Stach pomyślał z nadzieją, że pewnie komendant ciągle myśli o tej świni, bo Wielkanoc przecież za pasem i trochę odetchnął: – Najlepiej powiem mu, żeby mnie puścił, a ja przywiozę mu do domu. – I już otwierał usta, gdy Sobczak wyprowadził go z błędu.

– Wiesz, jakie ja mam wyjście? Ano mam tylko dwa. Jedno to pokręcić korbką – znowu stuknął w telefon – i czekać aż przyjdą i zrobią z tobą i z Matrasem porządek. Rozjedzeni są na takich, jak wy, że coś strasznego. A drugie wyjście, to powiedzieć, że przeprowadziłem śledztwo i jesteście, ty i twój przyrodni, jak te anioły. I może tak zrobię, ale ty mi coś za to...

– Panie komendancie, ja już tam, nie bójcie się...

– Przestań! – Sobczak machnął ręką. – O świniach, mięsie i kiełbasie, to mi nawet nie gadaj. Ty i twój przyrodni coś dla mnie zrobicie.

Stach rozkleił zaschnięte wargi, patrzył w komendanta jak w tęczę. Nieszczęście wiszące nad nim i nad jego rodziną zdawało się oddalać. – Co on może chcieć – brzęczało w głowie Mikuły i już zaczął kombinować, gdy Sobczak powiedział brutalnie:

– Nie chcę więcej słyszeć, że na Dołach jest banda. Nie chcę więcej słyszeć

w ogóle o tej bandzie. Daję wam miesiąc czasu na to, żebyście Osiniakowi, Papiakowi i tej babie ukręcili łeby! Rozumiesz? Nie zrobicie tego, nie ma was, waszych domów, waszych dzieci. Zostanie tylko ten koń, coś go dostał za wystawienie na śmierć tego chłopca, co nim jechał!

– Panie komen... – zaczął płakać już Mikuła.

– Ani słowa!

– Panie komendancie, Jezu! przecież my nawet broni nie mamy! A nawet jak byśmy mieli, to jakbym stanął naprzeciw Osiniaka z bronią, kiedy jego wszyscy się boją? Ja narabiać przy broni niezwykajny, nawet w wojsku nie byłem... Jezu!

– Mnie to gównu obchodził! Ja ci broni nie dam. Na tyle świń, coś ty zabił, to ty zabijać umiesz lepiej ode mnie i od Osiniaka! No, zabieraj się, bo się namyśle.

I Sobczak nalał sobie herbaty, a raczej wody z imbryka posykującego na żelaznym piecyku. Dodał herbatolu odmierzając go łyżeczką. W izbie zapachniało rumem. Potem dodał łyżeczkę cukru. Po namyśle dodał drugą.

Stach wyszedł z posterunku w Mokrym Gruncie i popatrzył na czerwone, wschodzące słońce, które wytaczało się powoli zza wału Pławiczka i świeciło wzdłuż drogi na Borek, przebijając swój blask przez bezlistne korony nadwiślańskich topoli. Wysmarkał nos i poszedł w tę ulewę czerwieni.

Treuhander Wolf raz na jakiś czas urządzał większą popijawę, na którą zapraszał miejscowych notabli, ale taka okazja zdarzała się stosunkowo rzadko; częściej natomiast w zacisznym pałacyku Stajeńskich popijało mniej liczne, ale dobrane towarzystwo.

Do tego towarzystwa, po wymordowaniu rodziny Verstenliegów, doszłusował Skolasko, bowiem musiał napisać jakiś raport na ten temat, a Wolf zakończywszy sprawę celnym strzałem z drylinga za dworskimi stodołami, musiał zeznać do tego raportu parę słów i podpisać co trzeba.

Nie zakończyło się to nawet toastem za zwycięstwo, bo Skolasko miał dobrą szkołę, nie pił na służbie, natomiast przyrzekł Wolfowi, że któregoś dnia pod wieczór wpadnie do pałacu na dobrego sznapsa.

Taka okazja zdarzyła się w końcu lutego i treuhander zadzwonił do Skolaski, że wieczorem będzie u niego dwóch przyjaciół i gdyby untersturmführer miał czas...

Skolasko miał czas i zabrał ze sobą Ewę i psa. Poszli spacerkiem te trzy kilometry. Pies biegł pierwszy, płosząc przechodniów, ale kiedy zaczął wskakiwać na kobiety, Skolasko wziął go na linewkę.

Był odwilżowy dzień końca zimy; śnieg leżał jeszcze brudnymi resztkami po obydwu bokach ulicy Mostowej, ale flizy chodnika były suche i czyste, a powietrze pachniało tak, jak tylko na przedwiośniu może pachnieć od Rzeki, pączkującej wierz-

by i koron topoli z wręciami od godowych tańców gawronami.

Jak na złość treuhander Wolf, przyzwyczajony do zajeżdżających przed gazon pojazdów, nie wziął pod uwagę, że Skolasko przyjdzie piechotą i nie kazał otworzyć zamkniętej na łańcuch bramki, tak że gestapowiec i Ewa musieli przejść przez podwórze. Zaraz za otwartą bramą, na drodze od położonych nisko czworaków, Ewa ujrzała dwie kobiety; starsza z nich szła zmęczonym krokiem utrudzonej przez całe życie baby, druga młoda, ciężarna, z podanym do przodu okazałym brzuchem, kołysała się jak kaczka. W tej drugiej Ewa poznała Otylkę Kunową i drgnęła, przestraszona.

Skolasko ułowił to drgnięcie i spytał:

– Zimno ci?

– Eee! Gdzie tam. Potknęłam się...

– Wo is „potno...”

Ewa kopnęła kamień i pokazała mu obrazowo jak się potyka. Skolasko zrozumiał i zaśmiał się

Luks zaraz zajął się kobietami i puszczony przed bramą ze smyczy wskoczył na starą Jadaškę, obejmując ją łapami i o mało nie wywracając.

– Pudzies! – darła się Jadaška. – Pudzies, ty psie nasienie!

Skolasko wziął Luksa na smyczę i dalszą drogę odbyli w milczeniu.

– Struję cholerę – postanowiła Ewa. – Szkła mu bitego nasypię do żarcia albo co...?

Ewa zauważyła, że Otylka ją poznała i że przestraszyła się, tak jak ona Kunowej. Próżno przekładała sobie, że przy Skolasce może się nie bać, męki, jakie zadał jej Kuna, spowodowały, że żadna myśl o zemście nie mieściła się jej w głowie. Cięża Otylki tylko utwierdziła ją w mniemaniu, że Kuna krąży gdzieś niedaleko.

U treuhandera było jakichś dwóch Niemców, jeden, w grubych okularach w mundurze koloru dojrzałej pigwy z opaską z hakenkrojcem, okazał się miejscowym inspektorem Baudienstu, drugi był cywilem i właścicielem spółdzielni „Społem”.

Obaj z wielkim uszanowaniem powitali czarny mundur Skolaski i jego wysoką czapkę z trupią główką. Ewie skłonili się, gruby trzasnął obcasami, a cywil przedstawił się. – Longard – powiedział.

Ewa odkloniła się. Na stół wjechały nalewki, które Wolf nauczył się w Polsce przyrządzać, a więc miódówka i orzechówka, a także prawdziwy rarytas, nalewka na słomie owsianej, taką słomianą żubrówkę, i towarzystwo jeszcze przed zapadnięciem zmroku było dobrze zalane.

Rozmowa toczyła się głównie o sytuacji na frontach i obaj Niemcy, gruby inspektor i Longard, bagatelizowali jak mogli klęskę stalingradzką, twierdząc, że wysiłek, jaki ponieśli Rosjanie w tej bitwie, całkowicie pozbawił ich rezerw i wyczerpał ich ekonomicznie. Skolasko tego nie negował, bo nawet nie wypadało. Należało więc od

wiosny oczekiwać nowych zwycięstw niemieckich.

Ewę nudziła ta rozmowa, spodziewała się, że po paru kieliszkach wódki będzie bolała ją głowa, a jeszcze do tego wiedziała, że po takiej ilości alkoholu, jaką wypije Skolasko, jej kochanek będzie jak ten lew i czeka ją długi, może nawet kilkugodzinny stosunek, w którym chcąc nie chcąc musi uczestniczyć czynnie.

Dopiero nazwisko Kuny, powtarzane wielokrotnie, spowodowało, że Ewa poczęła się baczniej przysłuchiwać rozmowie. Przez te prawie półtora roku pożycia z gestapowcem Ewa połapała kilkaset słów niemieckich i nieźle rozumiała potoczną mowę nie zawsze wiedząc, co powiedzieć.

Skolasko mówił o jakiejś zasadzce na Kunę! Dwóch żołnierzy przebranych za angielskich spadochroniarzy będzie go szukało we wsiach wokół poligonu. Będą mieli radio – rozumiała Ewa. Zastrzelą go albo ściągną na niego obławę. – Już po nim – wrzeszczał Skolasko. – Na każdego przyjdzie kolej! Będą mieli dolary i czekoladę angielską. Na to się każdy chłop chwyci i poleci do Kuny...!

Zaczęto śpiewać „Lili Marlen” i „Wendi soldaten durdi stadt maschiren”. Ewie chciało się ostro sikać, a wstydziła się pytać treuhandera, gdzie jest ubikacja; wyszła, zapytała donoszącą jedzenie pokojówkę. Ta zaprowadziła ją do hrabiowskiej łazienki z wanną i bidetem. Ewa знаła już łazienkę, ale nie taką dużą, jak dobry pokój, bidetu natomiast nie widziała na oczy; po paru kieliszkach zmyliło ją, opuściła majtki na kostki, okroczyła bidet i nasikała do niego. Całe szczęście, że chciało jej się tylko sikać.

Przez mroczny, długi, oświetlony tylko jednym kinkietem korytarz, wyszła na schody do dworskiego podwórza. Z pokoju gdzie bawili się mężczyźni dolatywało gromkie hoh! – Niech żyje nasza niezwyciężona armia! – wrzeszczał basem treuhander. – Niech żyje nasz führer! – Niech żyje. Prosit!

Ewa odetchnęła świeżym powietrzem. Na dworskim podwórzu było ciemno. Świeciły się tylko dwa okna w oficynie gdzie mieszkali hrabstwo z Ludwikiem. Zastukały pazury po flizach podłogi na korytarzu. Zjawił się Luks i z miejsca buchnął Ewę nosem w krocze. Podnosił jej sukienkę, gorliwie węszył.

– Skurwysyn! – warknęła. – Struję cię, byku jebany!

Niedaleko domu Kapitanowej masarz Pietroń wybudował okazały piętrowy budynek z dużym sklepem na parterze. Z chwilą wejścia Niemców sklep ten przejął urząd landrata i sprzedawano tam wędliny i mięso „Nur für Deutsche”.

Bronek, wracając czy idąc do Muranków, lubił przechodzić obok tego sklepu, bo były stamtąd zapachy, które przypominały mu sklepy masarskie sprzed wojny, w których rodzice brali „na książeczkę”. Aż dziwił się Bronek, że jeszcze takie zapachy istnieją.

Pewnego zimowego dnia, przechodząc obok tego sklepu, o mało się nie potknął, bo równo z brzękiem staroświeckiego dzwonka, którego jakoś Niemcy się nie pozbyli, stanęła w drzwiach siostra Riegla, Uta, trzymając w ręku siatkę z mięsnym przydziałem, a on powiedział całkiem odruchowo: – Dzień dobry! – tak jak kiedyś jej brat odruchowo pozdrowił starego Nowotańskiego stojącego w szeregu z Żydami, którzy przywieźli do budynku gestapo meble Padowera.

Utką, czerwona jak piwonia, odpowiedziała mu: – Dzień dobry – i uśmiechnęła się. Zaraz zrobiła krok z progu sklepu i kiedy on nie wiedział, czy przystanąć, czy iść dalej, ona dogoniła go i szła obok.

– O, jak dawno cię nie widziałam – powiedziała. – Co teraz robisz?

– Pracuję u Boymera i Lescha – Bronek starał się ukryć w krótkich rękawach ferszalungu zasmarowane towotem ręce i czarne paznokcie i czuł, że czerwieni się głupio. Wymontowywali przed chwilą z szoferem Korbą pompę paliwową z silnika firmowego MAN-a, a w kieszeni miał parę karteczek danych mu przez matkę do przekazania Milce, żonie Muranki.

– Jesteś szoferem?

– Nie. Pomocnikiem szofera. Ale umiem już prowadzić i po cichu nieraz go zastępuję.

Szli chwilę w milczeniu, a Bronek pomyślał, że przecież ona wyszła za mąż i jest teraz u rodziców męża w Hohenhofie i mocno się zdziwił, kiedy ona powiedziała.

– A ja pracuję w Flugcajwerku i jestem maszynistką. Już dobrze piszę na maszynie. A mieszkam z powrotem u Kapitanowej.

Bronek chciał się zdziwić, powiedzieć coś, co dotyczyłoby jej małżeństwa, ale ugryźł się w język, bo wyszłoby na jaw, że ma wiadomości o jej losach od Kapitanowej. Powiedział obojętnie:

– Wszyscy w Mieście pracują w Flugcajwerku. Tylko ja nie... Ale za to mam dwa kroki do firmy. Nie muszę iść sześć kilometrów.

Dochodzili do domu Kapitanowej. Utką zwróciła do Bronka twarz i znowu się zaczerwieniła.

– Wstąpiłbyś do mnie? Posiedzimy, porozmawiamy.

– W tym? – Bronek pokazał palcem na kolana, gdzie tkanina przesycona była smarem. I potem nagle zimno pomyślał: – Przecież to się dobrze składa...

– A wieczorem? – spytała Uta.

– Dlaczego nie? Godzina policyjna dopiero od dziewiątej. – Bronek tłumaczył sobie później, że kontynuacja przedwojennej znajomości z Utką może się przydać, ale w rzeczywistości miał ochotę kontaktu z dziewczyną po smutnym, acz niespodziewanym zakończeniu uniesień miłosnych z Irką, kiedy to stał się nieufnym, a nawet mizoginicznym kawalerem, kiedy Muranko wyjaśnił mu istotę rzeczy.

– To przyjdź! Moją gospodynię przecież znasz.

– Znam. Przecież latałem tu ciągle... – chciał powiedzieć: do Heinza, ale zatrzymał się.

Dziewczyna wbiegła po schodach, a on oglądnął się jeszcze i odetchnął niespodziewanie, bo widok zgięcia pod kolanem Rieglówny, pomiędzy oficerkami a krótką spódniczką, wywołał nagły skurcz w dołku pod mostkiem, dojmujący i przyjemny.

Muranko już wrócił z pracy, w pokoju było dobrze napalone; zjadł obiad i siedział w spodniach i bluzie bonzurce. Kiedy Bronek powiedział mu o spotkaniu z Utką, myślał chwilę marszcząc czoło.

– Bądź bardzo ostrożny, żeby przy tobie „Marta” nie wpadła. Miałeś z tą Niemką jakieś miłosne przygody?

– Nie... – Bronek zaczerwienił się – takie tam różne chodzenie po lasach i krzakach. Trzymanie się za ręce i ze dwa razy tośmy się pocałowali, ale tak po dziecinemu. Potem Heinz zaczął się oddalać, jakoś rzadziej tam bywałem. Ale lubiliśmy się z nią...

Muranko znowu myślał, palił papierosa. Po chwili zakończył rozmowę:

– Musisz uważać, bo „Marta” zaprzyjaźniła się z kochanką jednego z kolegów Riegla, gestapowca Skolasko. „Marta” ciągnie z niej różne rzeczy, bardzo czasami przydatne. Nie wiem, co o niej myśli ta Rieglówna. Musisz się dobrze jej przypatrzeć i, Bogiem a prawdą, też jej intencjom. Nic nie mówię, ale to Niemka... Zjesz z nami obiad? Jest kasza ze słoniną i ziemniaczanka.

– Dziękuję – powiedział Bronek, który wyniósł z domu zwyczaj ulegania w takich razach po wielokrotnych „prynukach”.

– Nie dziękuj, wyznam ci szczerze – powiedziała Milka. – Pierwsza bym...

Otworzyła mu Kapitanowa i spojrzała pytająco, a na jego „cajerączki” wymownie odwróciła głowę w stronę schodów.

– Mam gością – powiedziała. – Uczymy się piec racuchy z razowej mąki z dodatkiem melasy.

– Nie będę długo przeszkadzał – wydukał układowie Bronek. – Pani Uta zaprosiła mnie... – chciał powiedzieć: na wieczór, ale wydało mu się to dosyć trywialne i zakończył: – na chwilę.

Kapitanowa uniosła brwi i przepuściła go obok siebie, znowu zamykając drzwi na klucz i na zasuwę.

– Pani Uta jest u siebie – głos miała oficjalny. – Proszę.

Uta siedziała na kanapie z podwiniętymi pod siebie łydkami i patrzyła w uchylone drzwi. Wyraźnie czekała na Bronka. Zobaczywszy go, zeskoczyła z kanapy i włożyła na bosc nogi pantofle z pomponami. Chwilę milczeli, trochę zażenowani, ona jednak pierwsza ochłonęła.

– Myślałam, że ci otworzę, ale pani gospodyni mnie ubiegła.

– Kiedy jeszcze chodziłem tu do... – Bronek chciał powiedzieć: do Heinza, ale imię Riegla znowu nie chciało mu przejść przez gardło i powiedział jak o jakimś obcym: – do twojego brata, to Kapitanowa zawsze czujnie otwierała drzwi. Nie dała się ubiec nawet służącej.

– Ale musisz przyznać, że to miła i bardzo solidna osoba. Ojciec zawsze cenil jej solidność.

– Inaczej chyba nie mieszkałabyś tutaj.

– Jak długo nie widzieliśmy się? -- zmieniła temat Uta.

– Bo ja wiem? – namyślił się Bronek. – Chyba ze trzy lata. Wyrosłaś, zmieniłaś się... – przerwał, bo szukał słów.

– Nic a nic się nie zmieniłam i wcale nie wyrosłam. Przybyło mi tylko kilka kilogramów. Cały ten rok pracowałam w gospodarce teściów, za dwóch parobków. Bo przecież wiesz, że wyszłam za mąż?

– Skąd mogłem wiedzieć? – udatnie zdziwił się Bronek.

– Wyszłam. Ojciec zawsze marzył o połączeniu gospodarstw z sąsiadem i doczekał się. Weselisko, noc poślubna i za tydzień małżonek na front, bo przecież ofensywa, lebensraum. Był dzielnym czołgistą, śpiewali, wyli na weselu: „Zmienimy czołgu żelazo na stalowy grób!” i doczekał się. Leży gdzieś w stalowym grobie na dońskim stepie. A mnie dojadło słuchać wyrzutów teściowej, że z tego migawkowego pożycia z jej synem nie zostało mi dziecko, i znowu tu wróciłam.

Zapukała Kapitanowa i weszła z imbrykiem. Obok imbryka stała butelka nieśmiertelnego herbatolu i leżało kilka amoniaczków, ciastek często w tym czasie wypiekanych.

– Ja nie pijam tego herbatolu, tylko herbatę z liści malin – powiedziała Kapitanowa – ale dla pewności przyniosłam i herbatol.

– Niepotrzebnie pani się fatygowała, byłabym sama zrobiła, ale ze mnie gapa!

– Nie ma co się dziwić. Ostatni raz widzieliśmy się w lecie przed samą wojną. Z początkiem sierpnia chyba – powiedział Bronek.

Kapitanowa wyszła, a Uta popatrzyła w oczy Bronka swoim jasnym spojrzeniem, które rzeczywiście nic się nie zmieniło, i rzekła z uśmiechem:

– Ty nie pamiętasz, a ja pamiętam, kiedyśmy się ostatni raz widzieli. W trzydziestym dziewiątym, w sierpniu, kiedy Heinz był u... no, w tej swojej szkole. Przyjechaliśmy z ojcem do Kapitanowej, żeby umówić się o mieszkanie dla niego, i wtedy ty podszedłeś, mówiłeś, że byłeś u wujka, patrz, wszystko pamiętam, jakby to wczoraj było, i mówiłeś, że pójdziesz się kąpać, a siedziałam na przednim siedzeniu i trzymałam konie, a ty podszedłeś i oparłeś się. O tak – Uta złożyła ręce przed sobą i oparła na nich brodę. – O, tak ze mną rozmawiałeś, wisząc na wasagu...

– Masz dobrą pamięć... To było po obozie PW. I naszym spotkaniu u was...

– A ja po prostu, dla pewnych sytuacji dla mnie ważnych, zachowuję w pamięci takie fotografie. Jeszcze dzisiaj mam przed sobą twoją twarz z rękami podłożonymi pod brodę. Nawet nie muszę zamykać oczu.

– I ja mam dobrą pamięć i wszystko pamiętam – Bronek sądził, że dał dziewczynie do zrozumienia, że nie zapomniał tego, co było między nimi w okresie przyjaźni z Heinzem. O mało nie poparł tego wymownym spojrzeniem, ale poczuł wstyd i przestał na tym oświadczeniu.

Weszła znowu Kapitanowa, niosła talerzyk z dwoma jakimś gneciuchami, które nazywała racuchami.

– A ty, Bronek – wyrzut brzmiał w głosie gospodyni – to przecież chociaż zaglądałbyś do starej znajomej. Przejdziesz, uklonisz się i tyle cię widuję.

– Pracuję, proszę pani. Chcę to wszystko przeżyć w miarę spokojnie.

– I ja nie chcę pamiętać o tym, że jest wojna – powiedziała fałszywie Kapitanowa, a Bronek poczuł nagle całą niezręczność odgrywania tej komedii przed Utą i milczał już, nie odzywał się, słuchając jakichś zdawkowych głędzeń Kapitanowej, która w końcu powiedziała: – No, bądźcie zdrowi, ja muszę do swoich obowiązków – i wyszła.

Herbata parowała w szklankach, a oni siedzieli i nie wiedzieli co dalej mają mówić. W końcu Bronek popatrzył na dziewczynę i uśmiechnął się.

– Zupełnie nie wyglądasz na mężatkę ani na wdowę.

– Ale jestem, i nic tego nie zmienia. A co myślisz o moim bracie?

– Nic nie myślę.
– Nie jesteś szczery.
– No, to szczerze. Myślę o nim jako o moim przyjacielu od szóstej klasy. O tym, że razem tłukliśmy się z chłopakami z sąsiedniej ulicy, o wycieczkach do was, o łowieniu ryb w dopływie waszych stawów... – brnął, bo przecież nie mógł jej powiedzieć, co myśli o Rieglu. A ona, jakby wyczuwając jego uwikłanie, powiedziała jakby do siebie:

– A ja nie chcę o nim myśleć i wiem, że jest przedmiotem zgryzoty moich rodziców. Bronek milczał, a ona spojrzała na niego i wyciągnęła do niego dłoń.
– Chodź tutaj do mnie. Pamiętasz jak siedzieliśmy przy ścianie domu, wtedy dużo bliżej niż teraz.

W szarości zmierzchu nie widać było rumieńca na twarzy Bronka. Podniósł się, usiadł przy niej. Czując ciągle jej dłoń w swojej, trochę nieporadnie ją pocałował. Oddychała pośpiesznie i kiedy odrywał usta przycisnęła jego głowę drugą ręką.

– Kapitanowa – szepnął.
– Zamknij drzwi na klucz...

Pułkownik Budek, komendant podokręgu „Fala”, nerwowo przechadzał się po zagraconym staroświeckimi gdańskimi meblami mieszkaniu. Pułkownik był nieduży, sprężysty, aż tak szczupły, że oficerki zrobione na miarę podkreślałyby pieszczakowatość goleni, wobec czego szewc na swoją odpowiedzialność zrobił je o półtora numeru szersze i poradził pułkownikowi wkładać na bryczesy dwie grube skarpety turystyczne, obejmujące tylko łydką, stopę zaś pozostawić w jednej skarpecie. Pułkownik stosował się do tego z żelazną konsekwencją.

Mianowanie pułkownika Wojciecha Budka komendantem podokręgu „Fala” nastąpiło tuż po słynnej akcji porucznika Świzdy na więzienie w Ochotnicy. Pułkownik zachwycony sprawnością akcji i brawurą porucznika, sprowadził Świzdę do dowództwa podokręgu „Fala” i sam, nieprzyzwyczajony do konspiracji i jej metod walki, niezbyt dobrze się czując w roli dowódcy wojska cieni, we wszystkim zaczął opierać swoje opinie na opiniach Świzdy, mianując go swoim oficerem do specjalnych poruczeń.

Dzisiaj też czekał na niego i przechadzając się po wyziębionym konspiracyjnym mieszkaniu, palił jednego papierosa za drugim. Razem z nim oczekiwał na Świzdę komendant obwodu „Huta”, kapitan Konsul. Kapitan nosił pseudonim „Malchus” i zakończył właśnie organizację obwodu Armii Krajowej w stalowni i przyległym mieście Pławska Wola. Świzda z rozkazu pułkownika miał tam pojechać na kontrolę i instruktaż i dokonać koniecznych ustaleń do pracy konspiracyjnej.

– Panie pułkowniku – rzekł „Malchus”. – Korzystając z okazji chciałbym przed przybyciem oficera do specjalnych poruczeń porozmawiać na jego temat.

– Nic nie stoi na przeszkodzie – Budek usiadł za ciężkim biurkiem i wskazał wyścielane krzesło „Malchusowi”.

– Mam trochę wiadomości, podkreślam, że są one pewne i sprawdzone, które chciałbym przekazać panu pułkownikowi. Oficer dywersji podobowodu „Likiernia”, porucznik „Bławatek”, nie wyrażał się zbyt pochlebnie o umiejętnościach pracy konspiracyjnej porucznika Świzdy. Porucznik chwilami jakby bawi się w wojnę.

– A cóż wy tam macie i kogo słuchacie! – burknął pułkownik.

– „Bławatek” to zdolny i niesłuchanie odważny oficer, który słów nie puszcza na wiatr – Konsul twardo patrzył w oczy pułkownikowi. – Porucznik Świzda do spraw służbowych miesza sprawy prywatne i osobiste. Trzeba czy nie trzeba, wozi ze sobą jakieś, powiedzmy... łączniczki. Temu oficerowi, który mnie informował, jedna z pań, właścicielka lokalu konspiracyjnego, gdzie wielokrotnie nocowali nasi goście, po noclegu porucznika Świzdy wręcz odmówiła dalszego nocowania tego oficera. A wie pan, jak trudno o pewny nocleg w takich małych miejscowościach nasyconych policją, żandarmerią i konfidentami.

– Dziecinada – przerwał pułkownik. – Nie będziemy zajmować się bajkami. Mężczyzna jest mężczyzną i swoje grzeszki ma. Nie śpiewaliśmy to: „Hej dziewczęta, w górę kiecki, jedzie ułan krechowiecki!” No, ale zwrócę mu uwagę.

– Ponadto – nie ustępował Konsul – podczas swoich bytności chodzi tak ubrany, że pierwszy lepszy Niemiec, nie tylko żandarm, na miłą wyczuje konspiratora. Nie tylko zresztą on, ale i ten młody chłopak, który z nim przyjeżdżał do „Likierni”, nosi się tak samo: jasny płaszcz obciśnięty paskiem, bryczesy, oficerki, kaszkiet, brakuje tylko kabury na tym wszystkim. Do tego przedstawia go jako swego adiutanta.

– Gdzie się pan uchował, panie kapitanie! – zdziwił się pułkownik. – Większość młodych ludzi tak się nosi, taka jest moda i nawet kobiety zaczynają nosić oficerki... No, dajmy temu spokój, pozna go pan, zmieni o nim zdanie, we czwórkę rozbił więzienie w Ochotnicy, zastrzelił wcześniej oficera, który go chciał rewidować, no, wtedy zginęło trzech z dywersji, ale on się uratował, dżagan jest..., zobaczy pan. Brawury mu nie brakuje.

Zatupały kroki na schodach, brzęknął trzykrotnie dzwonek, potem jeszcze raz; gospodyni, żona oficera rezerwy, który siedział w oflagu w Murnau, otworzyła drzwi.

Świzda wszedł ubrany tak, jak to opisywał kapitan „Malchus”, uderzył spojrzeniem w komendanta obwodu „Stalownia”, ten odpowiedział mu tym samym.

– Poznajcie się, panowie – rzekł pułkownik Budek, który nosił pseudo Rozwora. – Kapitan „Malchus”, komendant obwodu „Stalownia”, oficer do specjalnych poruczeń podokręgu „Fala”, porucznik „Jan”.

Po wyjściu Konsula pułkownik Budek chwilę siedział w milczeniu, paląc papierosa. Świzda nie przerywał tego milczenia. Pułkownik w końcu wstał, wyglądnął

przez okno na opustoszałą ulicę oświetloną promieniami nisko już stojącego słońca i chwilę słuchał świergotu wróbli walczących o miejsce na gzymsie, a może czujących już nadchodzącą wiosnę.

– Poruczniku – powiedział nagle.

– Na rozkaz! – poderwał się Świzda, a w pułkowniku urosło serce, bo ten sposób odezwania się jego oficera do specjalnych poruczeń przypominał mu jego najlepsze czasy w garnizonie w Poznaniu.

– Poruczniku, pohamujcie wasze ekscesy erotyczne – powiedział i trochę się zaczerwienił, bo nie lubił takich rozmów.

– Ja?

– Tak! Pan! Pan! Żebyś więcej nie słyszał, że wleciecie ze sobą jakąś łączniczkę!

– Tylko tyle, panie pułkowniku, ile wymaga tego sytuacja...

– Ani o paznokcie więcej! Rozumiemy się?!

– Tak jest, panie pułkowniku! Przepraszam...

– Ponadto nie ma w naszym spisie stopni i funkcji jakichś tam adiutantów, jakiegoś tam oficera, chociażby ten oficer był do specjalnych poruczeń.

– Żarty, panie pułkowniku! Przepraszam, czy te wieści, którym zawdzięczam reprimendę pana pułkownika, zawdzięczam kapitanowi „Malchusowi”?

– To był jego obowiązek i nie może to wpływać na wasze stosunki.

– Nie mam o to żalu. Nawet doceniam szczerłość kapitana. Z takim człowiekiem będzie się dobrze pracowało.

Posterunkowy Gawor zdjął cholewiaki i w skarpetkach tylko wyciągnął nogi przed dobrze napalonym piecem. Wrócił właśnie z obchodu, w którym mając pod swoją opieką stację kolejową, mocno dzisiaj napsuł krwi babom handlującym masłem i jajami oraz handlarzom likierem i wódką z dzikowieckiej gorzelni. Gawor zadowolony był i nawet podśpiewywał pod nosem. W teczce, w której przyniósł śniadanie, miał zarekwirowany jakimś chłopakowi boczek, litr wódki dzikowskiej w dwóch kanciastych flaszkach i przesuszony mocno ser z nalotami żółtego tłuszczu po bokach.

W pomieszczeniach posterunku cicho było i tę ciszę przerywał tylko posterunkowy Tonczyski, skrzypiąc piórem przy pisaniu jakiegoś meldunku. Gawor czuł, jak powoli odmarzają mu palce, bo chociaż mocno już było po świętym Macieju, to mróz trzymał i to, co stopniało w promieniach dobrze już grzejącego słońca, zmarzło w nocy na kość. Powiedzenie „Święty Maciej zimę traci albo ją bogaci” sprawdzało się co do joty.

Tonczyski przestał pisać i odwrócił się z krzesłem do Gawora:

– W ten sposób – kiwał głową krytycznie patrząc na przytulone do kafla nogi policjanta – nie tylko nóg nie rozgrzejesz, ale na jutro możesz mieć katar, a pojutrze zapalenie płuc.

– Ja w życiu u doktora nie byłem, tyle tylko co doktora widziałem przy asenterunku. Zawsze tak grzeję – Gawor poruszał palcami w skarpetce z wyrazem zadowolenia na twarzy.

Donośnie zadzwonił telefon na biurku, przy którym siedział Tonczyński, ten leniwie podniósł słuchawkę.

– Tak jest – powiedział. – Tonczyński, słucham! – Patrzył chwilę, nie odejmując słuchawki od ucha, w przestrzeń, potem złapał za pióro, umaczał w kałamarzu i pisał na skrawku papieru. – Tak jest! – gorliwie drapał rondem i powtarzał: – Tak jest! Kózka Władysław, tak, wiem, zamieszkały Srebrniki sto dwadzieścia. Tak jest! – Odłożył słuchawkę, spojrzał na Gawora. – Jutro trzeba ściągnąć do sądowego więzienia niejakiego Kózkę ze Srebrnik. To były profesor, uczy pokątnie dzieci, Riegel chce go przepytac z geografii – zaśmiał się.

– Ściągniemy – Gawor włożył cholewiaki, zatupał, żeby mu się ułożyły na nodze.

– Idę po papierosy – rzekł Tonczyński. – Kupi ci coś?

– Kup „Egipskie” dla mnie – ziewnął Gawor. – Tonczyński wyciągnął rękę i stał z odwróconą dłonią; Gawor zaglądał w nią, jakby chciał mu wróżyć z ręki.

– No – ponaglił Tonczyński.

– Co no?!

– Za darmo chcesz? Powiem Liszkiewiczowi, że dla Gawora „Egipskie” darmo. Gawor pokręcił głową, sięgnął do kieszeni i wyciągnął dziesiątkę.

– Sicher ist Sicher! – zaśmiał się Tonczyński. – Mógłbym zapomnieć.

– Ty byś zapomniał! – mruknął Gawor.

Tonczyński zbiegł po schodach, co przy jego zwalistej postaci wysokiego i dosyć tęgiego mężczyzny robiło wrażenie jakby się spieszył, i spokojnie już wyszedł na ulicę. Ostro świecące słońce końca zimy poraziło mu oczy, tak że musiał je przymrużyć i z rozchodzącymi się ciemnymi plamami w polu widzenia oka poszedł przez ulicę. Głośno krzyknął na chłopą prawie najeżdżającego go koniem zaprzężonym do sań i wyszedłszy na chodnik, skierował się do pobliskiej trafiki, którą prowadził stary kaleki legionista Liszkiewicz. Kupił papierosy dla Gawora i siebie, dyskretnie się rozglądał i pokazał brodą na dyktowe przepierzenie. Kiedy Liszkiewicz uspokajająco skinął głową, powiedział szybko:

– Profesora Kózkę ze Srebrnik mamy brać jutro. Niby nic, ale to inicjatywa gestapo...

– Dobrze – szepnął Liszkiewicz. – Zrobione. Dziękuję ci za poprzednią...

Tonczyński już nic nie powiedział, przyłożył palec do daszka i poszedł przez ulicę.

„Marta” przyniosła trzy pistolety do domu matki Burczyrysia i kiedy zajmowała rozmową gospodynię, Ryś wyciągnął z jej torby stojącej w przedpokoju broń i ma-

gazynki z nabojami i przyniósł je do pokoju gdzie, oczekiwali „Parczew” i „Kazio”. Pistoletów było trzy: dwa visy i historyczny już luger romansowego feldfebla. Do niego ciągle brakowało naboí, ale dzisiaj był jeden pełny magazynek.

Visa, z którego zabił młodszego Gustnego, Ryś rozpoznał po numerze i uznając go za egzemplarz szczególnie szczęśliwy, odłożył dla siebie; drugiego visa wziął „Parczew”, a lugera, z którego strzelał konfidenta Potoczka, wziął „Kazio” i od razu założył za pas z tyłu.

– Ciężka cholera jak karabin – powiedział. – Włożę go do teczki i będę szedł z teczką. Będę wyglądał tak, jakbym niósł w tej teczce coś do zjedzenia i wracał z pracy.

– Kto wraca z pracy rano – powątpiewał „Parczew”.

– Ci, którzy pracują w nocy w Flugajwerku.

– No, niby tak. Ale prędzej mógłby ktoś pomyśleć, że idziesz się uczyć do tego Kózki, bo wyglądasz jakbyś chodził do szkoły.

„Kazio” rzeczywiście ze swoimi kręconymi włosami i gładką twarzą nie wyglądał na swoje lata i od biedy mógł uchodzić za spóźnionego nieco uczniaka.

– Kapitan idzie – Ryś wyglądał przez okno.

„Delikatny” wszedł, otrzepał ze śniegu buty i podał wszystkim rękę.

– Kilka słów przed akcją – powiedział. – Pierwsze i ważne! Strzelacie tylko Gawora. Drugiego policjanta zostawiacie. Zabrać mu karabin, ale nie strzelać. Gdyby było ich trzech, rezygnujecie z akcji. Będą wracać z niczym, bo Kózka jest ostrzeżony i jeszcze wczoraj spalił buty. Ma tam pół wsi krewnych i ma się gdzie ukryć.

– Dlaczego mamy rezygnować, gdyby było trzech? – spytał Ryś. – Ten Gawor już dawno powinien ziemię gryźć za Wiącka.

– Trzech to zbyt duże ryzyko.

– Jak podejdziemy blisko, to ich zaskoczymy. Nas też jest...

– Kapral Ryś!

– Tak jest!

– Nie bzdurzyć i stosować się do rozkazów.

„Delikatny” wyszedł, a „Kazio” wyjął pistolet zza paska i włożył do starej zniszczonej teczki, z którą przyszedł. Teczka była rzeczywiście uczniowska i oprócz broni nie było w niej nawet okrucha.

Na korytarzu prowadzącym przez dom rozległ się głos Kapitanowej i matki Rysia. Rozmawiały o przepisach na marmeladowiec. Szły święta i można się było spodziewać przydziału buraczanej marmelady na kartki.

Czas nagiął, więc „Kazio” powiedział:

– Do jutra, panowie! – i poszedł do wyjścia, oni za nim.

– Gdzie idziesz, Rysiu? – spytała pani Burczowa.

– Do drewnutni, przyniosę drzewa.

– Dobrze.

„Marta” poszła do bramki, a Ryś skoczył do drewnutni i schował visa za belką. Potem nabrał naręcze drzewa i wrócił do kuchni. Ułożył przy piecu „w studnię” i spojrzał na matkę.

– Żebyś ty znowu coś nie zmalował – szepnęła. – To twoje towarzystwo mi się nie podoba. Jeszcze ci chłopcy, ale ten starszy pan? Nie chciałam przy Kapitanowej zwracać ci uwagę, ale...

– To jest gość, który hurtowo handluje sacharyną, kamykami do zapalniczek i karbidem. Chce, żebym od niego brał towar i rozprowadzał... A ci młodzi to też porządni ludzie. Namawiają mnie, żebym z nimi razem handlował kamyczkami i zapałkami...

– Gdzie ty się, dziecko, nadajesz do takiego handlu – przestraszyła się matka. – To trzeba marznąć na targu czy ulicy. Znowu byś się przeziębiał.

– Przemyśle to – powiedział Ryś. – Aha! Mamo, ja jutro dosyć wcześniej idę do Trzaskomy. Rozpoczynamy treningi. On ma worek bokserski...

– Tylko żebyś się nie bił... – pani Burczowa westchnęła.

– Traktujemy to jako szlachetną sztukę samoobrony. A workowi się nic nie stanie.

Pani Burczowa znowu westchnęła i już nic nie mówiąc, weszła do swojego pokoju.

Tonczyski i Gawor wracali z niczym. Gawor był zły i nawet sugerował Tonczyskiemu, żeby zabrać młodszego brata profesora, Kazimierza, ale policjant tylko zarzucił karabin na ramię i poszedł do bramki, więc i on zrezygnował z rozszerzenia zakresu gestapowskiego rozkazu.

– Żeby się chociaż rzucał – powiedział za bramą Tonczyski – to nie powiem: za pysk i kajdanki. Ale tak?

Gawor burczał jeszcze coś pod nosem, ale w końcu ustąpił.

Tutaj we wsi sanna była jeszcze jaka taka, chociaż w mieście jezdnie były już suche i tylko po brzegach ulic leżały zwały brudnego śniegu. Chłopi, nie przewidując takiego stanu rzeczy, zgrzytali po kocich łbach płozami. Jeden z takich minął ich właśnie ciężkimi roboczymi saniami zaprzężonymi w jednego konia. Chłop szedł szybkim krokiem, żeby ulżyć koniowi; rzucił na policjantów okiem, bo bał się, że mu się władują pomiędzy lotry. Nie pomylił się, bo Gawor wrzasnął:

– Hej! Ty tam! Stanij no!

Woźnica niechętnie ściągnął lejce. Zaglądali w lotry. Puste były, ani na czym usiąść, i jeszcze do tego oprószone czerwonym ceglany pyłem. Ale Gawor znalazł na to radę.

– Połóż lotrę na pokładzie, bo się wybrudzimy – powiedział do chłopca, któremu niechęć patrzyła z oczu.

– Panowie! Ja zara muszę skrócić! Strykowi cegłę przywiozłem, bo mu się komin

zawalił jak ten wiatr był.

– No, nie pyskuj! Podwiesz nas i wrócisz.

Gawor sadowił się bokiem na odwrotnej stronie lotry. Tonczyski też usiadł; karabiny położyli na kolanach, chłop strzepnął lejcami i już zrezygnowany szedł obok konia, pociągał nosem, charknął, pluł flegmą.

– Ledwie wstał po bańkach – mówił.

Nie podjęli rozmowy; patrzyli w stronę miasta. Szło stamtąd trzech mężczyzn, a za nimi, w odległości może stu metrów, jakaś baba w pledzie, okutana po oczy. – Handlarze – pomyślał Tonczyski i popatrzył na Gawora, bo ten potrafił się czepić każdego przechodnia, ale Gawor, widocznie zmęczony, kiwał się tylko apatycznie i nie zwracał uwagi na otoczenie.

Tamci zbliżali się; młode chłopaki, pstro mieli jeszcze w głowie, bo najmłodszy pewno ulepił kulę z krzepnącego twardego śniegu, ugniótł ją na kolanie i rzucił w pierwszego ubranego w płaszcz zapasany paskiem i narciarskie buty. Ten w płaszczu dostał w plecy, odkrzyknął coś, zaśmiali się wszyscy trzej.

Szli teraz nie jeden za drugim, tylko całą szerokością drogi; Ryś znał obydwu policjantów, powiedział do „Parczewa” i „Kazia”: – To ten co siedzi pierwszy. – „Kazio” machnął teczką, zamek odskoczył, odrzucił klapę, włożył dłoń w głębi torby, odbezpieczył pistolet; obaj z „Parczewem” w jednym momencie wydobyli broń. Gawor dostał dwie kule z lugera i visa, karabin skulnął mu się z kolan w śnieg, ciało policjanta przeważało do tyłu i oparło o stojącą prawą lotrę.

I wtedy stało się coś, czego Ryś nie zapomniał do końca życia i do końca życia porał się z tym obrazem. Tonczyski, stary doświadczony policjant i do tego współpracujący z konspiracją, zamiast podnieść ręce i oddać karabin, wpadł w panikę i jak wyrzucony sprężyną wyskoczył z tej dechy, którą miał pod tyłkiem. Spadł na drogę, w locie kierując karabin w stronę „Parczewa”. Strzał z biodra, jaki oddał, chybił na szczęście i przedłużył „Parczewowi” życie o rok.

Gdyby jeszcze ten policjant rzucił karabin i pobiegł w pole, wzorem furmana, który już brnął i przewracał się w śniegu daleko w bruzdach, to Ryś nie strzelałby, chociaż wyrwał już zza paska visa. Ale Tonczyski z determinacją szarpnął zamkiem mauzera z twarzą ziemisto bladą i zaciętą. Sekunda i wprowadzi kulę do lufy. Może gdyby ktoś krzyknął i rozładował tym krzykiem atmosferę, policjant by zwiotczał i opamiętał się. Ale wszyscy milczeli z zaciętymi zębami i Ryś wyciągnął rękę z visem. Oddał dwa strzały, obydwa celne. Tonczyski upadł i krew rzuciła mu się ustami.

Biegli teraz przez pole w kierunku Berdeczowa. „Parczew” w narciarkach miał ciężko; dyszał z wściekłości i zmęczenia. Wskoczyli w zamarznięty rów i biegli tym rowem bo prostował się w stronę wsi.

– Mieliliśmy strzelać tylko do Gawora! – zgrzytał zębami „Parczew”!

– Kiedy już cię miał na muszce!

– Aleśmy narobili!

– Wojna! – wrzasnął Ryś. – Nie mogłem inaczej. Przecież strzelał! Żeby chociaż rzucił karabin i uciekał, a on szarpał się do końca!

Mostek na kanale. Wyskoczyli na wolną przestrzeń, potem był rachityczny zagajnik. Biegli przez niego, omijając sosenki; teraz polna droga ze śladem pojedynczych sań. Biegli tą drogą aż ukazały się pierwsze domy Berdeczowa.

– Idziemy normalnie – uspokoił ich „Parczew”. – Tu nam mogą zastąpić drogę. Rozłazimy się pomiędzy chałupy. Pójdziemy pojedynczo do miasta.

Ryś przyszedł późno do domu, schował w drewnutni visa, odwinął z szyi mokry szalik, zdjął kurtkę. Weszła matka, załamała ręce.

– Coś ty taki zgrzany?! – włożyła mu rękę za kołnierzyk. – Cała koszula mokra! I podwłóczka! Coś ty wyrabiał?!

– Przecież mówiłem, że trenujemy boks z Trzaskomą. Skakaliśmy na skakance, kto dłużej.

– Obiad wystygł.

– Nie chce mi się jeść, zjem później!

– Możeś ty chory?

– Mamo! daj mi spokój! – warknął Ryś, co zdarzyło mu się pierwszy raz w życiu. Pani Burczowa rozplakała się.

Ryś nie zwrócił na to uwagi. Cały czas miał przed sobą bladą, martwą w bezmyślnej determinacji twarz policjanta i jego zakrwawione usta pod czarnym wąsem. Odganiał ten obraz od siebie i nie mógł odgonić.

Lamsdorf dostał awans na obersturmführera, a Riegel na oberscharführera. Skolasko pozostał bez awansu, widocznie jego opieka nad poligonami nie znalazła uznania w oczach przełożonych i czekali na realizację planu Skolaski dotyczącego podesłania Kunie fałszywych angielskich zrzutków.

Awans przywrócił Lamsdorfowi dawno nie widzianą u niego energię.

– Czas – powiedział – pomyśleć o wybraniu dwudziestu zakładników. Działanie tej polskiej bandy staje się tak bezczelne, że nie ma innej rady. Więzienie przy sądzie jest pełne. Trzeba przejść po celach i wybrać tę dwudziestkę.

– Według jakich kryteriów mamy wybierać? – spytał Riegel.

– Przede wszystkim Polaków – powiedział dowcipnie obersturmführer Lamsdorf.

– Innych tam nie ma.

– Dlatego tak mówię.

– Rozumiem.

– I zupełnie losowo. Za każdy akt zbrojny idzie dziesięciu. Niech to będzie niespodziewane dla rodzin, okolicy i stanowi ostrzeżenie dla bandytów. Brać i królów, i pachołków. Ktoś siedzi za handel kamykami do zapalniczki i idzie pod mur albo na stryczek, ktoś siedzi za działanie zbrojne i to samo.

– Kobiety?

Obersturmführer Lamsdorf skrzywił się i namyślił.

– Sturmabführer Tschajkę nie wyłączył kobiet z tego zadania. Ale z kobietami na razie poczekamy. Chyba żeby, no, jedną, dwie dla przykładu. Na razie wybrać tę dwudziestkę. Dziesięciu z nich pójdzie przy pierwszej okazji.

Tego samego dnia wieczorem młody Janoski stał za szynkwasem w starej restauracji należącej do jego rodziny i nalewał piwo tłoczącym się przy szynkwasie spragnionym.

Lokal w większości wypełniali robotnicy z dawnej fabryki samolotów, teraz zwanej Göringwerke Flugzeugwerk. Kilku żołnierzy niemieckich, wśród których

królował opasty feldfebel, siedziało przy zsuniętych stolikach. Wyglądało to na urodziny – geburstag – i tym donosił piwo i jedzenie stary Janoski, ojciec męża Adeli. Służąc w austriackiej armii, poznał język niemiecki i dogadywał się z Niemcami sprawnie, a nawet wypił kieliszek, który przyniósł od bufetu, i brzękał o ich kieliszki. – Prosit – mówił.

Przy szynkwasio luźno się zrobiło, tylko jeden Felek Bondor, który nic nie robił, tylko pił, utrzymanie domu pozostawiając żonie, kobiecie pracowitej i wiecznie zatroskanej o wyżywienie i ubranie gromadki dzieci, wisiał na zalanym piwem, obitym blachą szynkwasio.

– Panie Janoski – mówił przerywanym przez czkawkę głosem. – Panie, tego, pan jesteś... człowiek porządny..., ja pana lubię.

– Ty mnie nie lub i nie psuj mi powietrza – Janoski wziął się do ścierki i przecierał szynkwasio. – Ty mi lepiej zapłać za cały tydzień po dwie halby, razem czternaście halb na ciebie stoi i koniec picia!

– Zapłacę, tylko moja dostanie za pranie u nidzi... nidziniera.

– Nie nidzi... nidzi..., tylko zabieraj się do domu.

– Churt... Churt... – bełkotał Bondor, aż Janoski zaczął się śmiać, a ojciec przyszedł mu z pomocą i wytarłszy blachę ścierką, powiedział:

– Idź już Felek do domu, nic już nie wycyganisz.

Bondor chwiał się chwilę i zbierał myśli, potem skupił rozlatane oczy na starym Janoskim i uporczywie kontynuował rozpoczęte zdanie:

– Nie śmiejecie się... – pooddychał chwilę – znowu zebrał myśli i dodał: – Nidzinier Churt... Churt... Churtkowski zapłaci mojej za pra... za pranie i odniosę co do grosza...

Bondor przy swoim piciu był klientem tyle uciążliwym, co solidnym i Janoscy już go nie strofowali, a stary zarzucił ręcznik na rękę i poszedł do żołnierzy, bo feldfebel coś się na niego zaczął oglądać i kiwał palcem.

– Bitte schoen, Herr Feldfebel – mówił Janoski, a Bondor zaczął wypraszać jeszcze jedno piwo. Młodemu Janoskiemu już nawet nie chciało się z nim mówić, odwrócił się, a Felek powiedział:

– Daj pan piwo, to powiem...

– Co powiesz – odwrócił się Janoski.

– Najpierw... – upierał się Bondor.

Janoski nalał pół kufła i posunął w jego stronę.

– Idź pan do Abelabelkra... no, do żoni... żoninego interesu, to się pan dowiesz... Tam już na niej Żżzyd sieedzi, a drugi na tej śśświńskiej blondynie. – Bondor podniósł kufel do ust i zaczął pić.

Janoski nawet nie zanotował tego kufła pijakowi. Podejrzenia, jakie w nim tkwiły od pewnego czasu, po słowach Felka pijaka, który z błogim wyrazem twarzy ciągnął piwo, skryształizowały się w nagłą pewność.

– Tato – powiedział do podchodzącego do szynkwasu ojca – wyjdę na trochę. Popilnuj... – zdjął skórzany fartuch, jaki osłaniał mu przód ciała, i wdział marynarkę.

– Zaraz będziemy zamykać, bo się znowu przyczepi jaki granatowy...

Ale syn już nic nie powiedział i wyszedł pośpiesznie, a potem puścił się biegiem na ukos przez rynek.

Komarnicka, która stała przed restauracją i liczyła na któregoś z żołnierzy, a może nawet dwóch się jej marzyło, poprawiła żółto-granatową przewiązkę we włosach, ale widząc, że to tylko Janoski, zmieniła nogę, która jej już ścierpła i obciążała drugą.

Janoski tymczasem dobiegł do restauracji żony. Drewniane skrzydła drzwi i drzwi wewnętrzne, przeszkłone, były zamknięte, ale świeciło się tam i Janoski przez szparę zobaczył posługaczkę Rzmudzinę, a raczej jej wypięty do góry tyłek przy wycieraniu podłogi. Nie chciał jej wtajemniczać w swoje sprawy i przeleciał przez sklepioną sień zachodząc lokal od ogrodu. Wyciągnął klucz z kieszeni i zaczął pasować do zamka. Zdziwił się, bo klucz, którym tyle razy otwierał te drzwi, stanął twardo i nie obracał się w zamku ani w lewo, ani w prawo. Zmieniła zamek, przemknęło mu przez głowę i już biegł z powrotem. Teraz zrozumiał późne powroty Adeli, zapach wódki bijący jej z ust, który usiłowała zamaskować herbatolem i perfumami, i jej wymówki. To Niemcy jeszcze chcieli pić i siedzieli po zamknięciu, to wójt Kurtz przyjechał i chciał jeść gwałtownie, to do Kenicramówny jakiś żandarm się przyplątał i trzeba było go pilnować... – Kurwo! Kurwo! – zgrzytał zębami, a echo w sklepionej sieni odpowiadało jego klątwom.

Dopał do drzwi frontowych i załomotał. Rzmudzina akurat była przy drzwiach, przyłożyła oko do szpary, którą zawsze wyglądał Abelkranz.

– Otwórz, babo! – wrzasnął Janoski. – To ja! Natychmiast otwórz bo grosza tu nie zarobisz!

Rzmudzina, w Mieście zwana Błądą Zoską, pracowała u Janoskiej od dwóch tygodni. Miała wprawdzie zakazane surowo komukolwiek otwierać, bo najpierw trzeba było wołać z góry panią albo bufetową, ale przecież to pan tłucze w drzwi, właściciel i bogacz. Bez wahania otworzyła drzwi i odbiła hak trzymający skrzydło zewnętrzne. Janoski o mało jej nie przewrócił, przebiegł przez lokal, zniknął na tyłach. Posługaczka mruczając coś pod nosem zamykała drzwi. Wrzask, jaki ją doleciał z góry, uprzytomnił jej, że zrobiła źle, nie spytawszy najpierw pani, i rozjęczała się nad swym przeklętym losem. Troje dzieci ze skrofułami, ona cały czas płuca krwawo wypluwa i co jej się lepiej robi, to potem gorzej; ledwo się tu zaczęła za te parę groszy, a tu taka awantura. A wrzask na górze rósł, dołączył do niego huk przewracanych sprzętów i dudnienie schodów. Huknęły drzwi i ukazał się młody Janoski wlokąc za głowę panią Janoską i obejmując jej szyję ciasnym chwytem

prawej ręki. Pani Janoska była tylko w różowej halce, a co tam miała pod spodem Rzmudzina nie zauważyła. Zauważyła tylko, że pani nie może złapać tchu i sina jest, a jej czarne duże oczy wyłażą z orbit.

– Otwieraj! – wrzasnął Janoski, ale Rzmudzina nie była w ciemnię bita i pomyślała, że jak pan wyleci tak z panią na rynek, to chociaż przechodniów ani na lekarstwo, ale wstyd będzie na całe miasto. I dobrze zrobiła, bo za Janoską wypadli te dwa żydowskie policjanty, Abelkranz i Ubfall, w koszulach i spodniach, a Ubfall miał nawet czapkę na głowie. Za nimi z krzykiem wpadła bufetowa, panna Kram, z kołtunem nastroszonych białych włosów, w byle jak narzuconej sukience. Ale Szymek i Ubfall wzięli już w obroty Janoskiego, i dobrze, bo Adeli niewiele się należało. Szymek oddzierał mu ręce od szyi żony, a Ubfall złapał taboret i grzmotnął rozjedzonego chłopą w głowę. Ten rozplótł ręce i puścił Adele, która padła w tej różowej halce na mokrą podłogę i łapała oddech, bo Janoski, „sokół” przecież do niedawna, przydusił ją mocno.

– Wy parszywe Żydy! – darł się Janoski. – Ty kurwo! – i nim się kto opamiętał skoczył do panny Kram i trzasnął ją w głowę. – Kurwy! Kurwy! – z przeciętej stołkiem głowy ciekła mu krew i przyskała na koszulę.

Bufetową to uderzenie jakby ocuciło; otworzyła drzwi i wypchnęła Rzmudzinę, która na chwilę zamieniła się w żonę Lota patrzącą na płonąca Sodomę.

– Jak komu co powiesz, to pójdziesz do Pustkowa – wysyczała jej w twarz.

Za Rzmudziną wymknęli się obaj policjanci, bo Szymek miał klucz do tylnych drzwi i w knajpie zostali Adela, Kenicramówna i młody Janoski, któremu ten upust ciągle kapiącej krwi przywrócił równowagę i milczał teraz, patrząc błędnym wzrokiem. Adela oparła się na ręce i przy pomocy bufetowej wstała. Szyję miała czerwoną, bo chwyt męża i to wleczenie po schodach sfatygowało jej skórę, ale twarz miała bladą jak opłatek. W tej prawie białej twarzy jak czarne węgle pałały oczy i czaiła się czarna myszka na skroni, którą Adela przykrywała włosami. Janoska poszła za bufet, otworzyła drzwi na tyły knajpy, wyszła i zgrzytnęła dwa razy kluczem.

– I potrzebne to było panu? – powiedziała jak gdyby nigdy nic Kenicramówna. – Niech pan idzie, to panu obmyję tę głowę. Żebyś pan się widział!

– Pocałuj mnie, kurwo, w dupę! – Janoski otwierał drzwi, które zamknęła bufetowa i wychodził.

Panna Kram wzruszyła ramionami i wydeła wargi.

Tę babę okrytą pledem w kratę, w czarnej, ledwo zaznaczonej czerwonym wzorem chuścinie i długiej samodziałowej spódnicy spotkał Lamsdorf, idąc do pracy. Zapamiętał ją, bo wpatrywała się w niego łapczywie, jak to ocenił, a potem zeszła mu z drogi i przeszła na drugą stronę ulicy.

Zapomniał o niej jeszcze zanim wszedł do siebie na piętro. Wczoraj zabito dwóch granatowych na drodze pomiędzy Miastem a Srebnikami. Sprawcy jakby w ziemię zapadli. – Poszli w pola – mówił furman, któremu przypadkowo policjanci się przysiedli. Trzech ich było, takie młode chłopaki, tyle wiedział.

Mord był bez wątpienia dziełem tych ludzi, którzy tak sprawnie oczyścili Arbeit-samt i to przed samą wywózką transportu, zabijali konfidentów, rabowali spółdzielnie i mleczarnie.

Dopływ wiadomości od zwербowanych ludzi ustawał, co więcej, werbunek zur-bringen był coraz trudniejszy. Na dodatek rozpoczęły się w krajschauptmanszafcie trudności z kontyngentami. Po wsiach nocami wyciągani są bardziej czynni pracownicy gmin i sołtysi. Bici są na pokładankę do krwi lub do nieprzytomności, w zależności od zasług. Niektórzy pobici nie chcieli się nawet do tego przyznawać. Tylko spadek ich aktywności świadczył o perswazjach, jakich im udzielono.

Jeden tylko Skolasko był dobrej myśli. Wrócił właśnie z wizyty u jednookiego pułkownika, komendanta poligonów, i wyczuł, że szykuje się nowa olbrzymia operacja, która zapewne zakończy wojnę na wschodzie. Będzie to cios, po którym Sowietci już się nie podniosą. Poligony znowu wypełnione są żołnierzami; tworzy się nowa potężna pięść, która w końcu przełamie opór Rosjan. Skolasko widział tam niedawno skonstruowane i wprowadzone do produkcji czołgi typu Tiger, ponadśiesięciotonowe, o uzbrojeniu i pancerzu przekraczającym wszystko, co dotychczas było cudem techniki pancernej. Ponadto dobry humor i nastrój Skolaski wypływał z nadziei zakończenia w końcu sprawy Kuni i zabezpieczenia poligonów. Operacja „Kuna”, której pomysł podsunął, polegająca na wprowadzeniu na teren śródlęśnych i okołopoligonowych wsi fałszywych skoczów angielskich, a właściwie polskich, została zaaprobowana i w najbliższym czasie będzie realizowana. Kuna i jego banda zniknie, skończy się zhora nocnych alarmów i wybijania wartowników.

Zabrzącał telefon. Ruda Truda z centrali informowała, że jakaś Polka, jakaś wiejska baba, chce się widzieć, prosi o widzenie z obersturmführerem. Truda kolonistka znała dobrze język polski.

Lamsdorf chciał odesłać babę do stu diabłów i już miał powiedzieć, żeby ją kopnąć w tyłek, kiedy nagle przypomniała mu się kobieta, która tak zachłannie na niego patrzyła. Kto wie, może usłyszysz od niej coś ciekawego?

– Wpuśćcie ją – powiedział. – I niech tu przyjdzie Heinz.

Riegla potrzebował w takich razach jako tłumacza, a nieraz i doradcę ze względu na jego znajomość okolicy i mentalności ludności.

Heinz przyszedł, zameldował się, a zaraz po nim wsunęła się do gabinetu ta kobieta, którą Lamsdorf pamiętał z ulicy. Obersturmführer rzucił na nią okiem i nagle się zniechęcił. Nie patrzyła już na niego tak zachłannie; jej spojrzenie nie wyrażało nic, tym bardziej, że płakała Łzy ciurkiem ciekły jej z oczu; ocierała je rogiem chustki.

– Spytaj ją, czego chce – rzucił zniecierpliwiony. – Jeżeli chce na kogoś coś poskarżyć albo donieść, to zabierz ją i spis, co ma do powiedzenia. Przecież ona cuchnie jak klozet w kantine dla szeregowców!

– Czego chcesz? – spytał Riegel.

– Panie oficerze! Panie oficerze! Zabraliście mi z domu dwóch moich synów. Jak ja obrobię pole, kiedy tylko ich mam. Jak ja oddam kontyngent?

– Za co twoi synowie zostali aresztowani?

Baba zaczęła rozwlekle opowiadać o jakimś kolczykowanym cielęciu, które im ukradziono, a kontroler uznał, że to cielę zjedli... – Ciuka mięsa my nie widzieli od pół roku, kury nam wyzdychały, nie ruszyli my tego cielęcia, bo my przecież wiedzieli, że kolczykowane... – jęczała.

Lamsdorf znudził się tym i już miał na nią wrzasnąć, kiedy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę, powiedział swój stopień i nazwisko, dodał: – Jawohl sturmbanführer – i słuchał, a w miarę jak słuchał, wypływał na jego twarz wyraz zadowolenia, mało, prawie uniesienia, i z rozjaśnioną twarzą rzucił do Riegla, zatykając słuchawkę:

– Weź ją wywal na korytarz, niech tam siedzi. Potem... Tak jest sturmbanführer! Tak jest! – mówi uradowany. – Każdemu przyjdzie! Tak jest! Heil Hitler! – Odłożył słuchawkę i spojrzał na wracającego Riegla. – Wołaj Skolaskę! I resztę też. Zasłużyli na tę wiadomość.

Riegel skoczył, wypchnął babę na korytarz i kazał tam stać, a sam pobiegł po Skolaskę. Pędziła go ciekawość, więc kazał rudej Trudzie zwołać wszystkich pracowników, a sam wrócił do Lamsdorfa. Ale ten nic nie mówił, tylko uśmiechał się tajemniczo i siedział na swoim krześle, patrząc w okno i bębniąc palcami po biurku. Heinz stanął w rozkroku, założył ręce do tyłu, czekał.

Pierwszy przyszedł Skolasko i Lamsdorf zaraz zwrócił się do niego.

– Zgadnij, Willi, jaką mam nowinę. Przed chwilą dzwonił Tschajke.

– Nie wiem – wzruszył ramionami Skolasko. – Ruszyła nasza kontrofensywa? Użyto wunderwaffe?!

Przyszli już wszyscy pracownicy zwołani przez Trudę, z wyjątkiem Josepha, który gdzieś został z rana wysłany przez Lamsdorfa. Lamsdorf wstał i powiedział oficjalnym już tonem:

– Informuję wszystkich, że przed chwilą otrzymałem od sturmbanführera Tschajke wiadomość, że wczoraj przed południem rozgromiono bandę „Ruszczyca” za Wisłą. Sam „Ruszczyca” zabity, kilkunastu jego ludzi zginęło, część jest ranna, banda rozproszona. Sieg Heil!

– Heil!!! – zagrzmiało w gabinecie.

– Szczegóły będą w komunikacie. Możecie odejść!

Pracownicy rozchodzili się, pozostali Skolasko i Riegel.

– Wiesz coś więcej? Jakież szczegóły? – pytał zadowolony Skolasko.

– Tyle tylko, że wczoraj rano został zastrzelony w ucieczce. Zbyt ufał nogom. Razem z nim zginęło kilkunastu ludzi. Banda całkowicie rozbita. Pozostało wylapywać pojedynczych bandytów.

– Była jakaś duża obława? Potyczka czy bitwa?

– Wyobraźcie sobie, że nie. Zrobiło to kilku żandarmów z posterunku, z małego jakiegoś miasteczka za Wisłą. Zostali tam świeżo przydzieleni, prawie na wypoczynek, nie mieli obciążenia psychicznego i taki sukces od razu. Warto to opić! Co tam! Upić się z radości. Teraz pójdziemy za ciosem. Najpierw przy byle sposobności zakładnicy, a potem załatwimy sprawę Kuny. Według twojego pomysłu, Skolasko! – dodał łaskawie. – Spojrzał na Riegla i nagle sobie przypomniał: – Co z tą babą?!

– Czeka na korytarzu. Leje łzy! – zaśmiał się Riegel.

– Weź ją do siebie i wypytaj!

– Jawohl, obersturmführer.

Kobieta stała z opuszczonymi rękami, nie płakała już. Riegel otworzył drzwi do swojego pokoju.

– Nazwisko?!

– Kusok, panie...

– Masz coś przy tym nazwisku? Jakież imię? Skąd jesteś. Gadaj, bo nie mam czasu.

– Maria... Kusok Maria. Z Orlego. W Hohenhofie Niemcy mi powiedzieli, że tylko do was... Żeście dobry człowiek...

– Pewnie, że dobry! No, to co chcecie Kusok Mario?!

– Panie dobry, wypuście mi synów. Oni nic nie winni. Przyszli w nocy, cielę ukradli. Gdzie byśmy się odważyli zabić kulczykowane cielę! Matko Bosko!

Wszedł Lamsdorf, który wyraźnie nie mógł sobie znaleźć miejsca po radosnej wiadomości. Za nim wszedł Skolasko. Oczy mu się świeciły, widocznie Lamsdorf miał jakiś koniak w szafie.

– No, co tam? – spytał Lamsdorf.

– To matka dwóch zakładników – trzasnął obcasami Riegel. – Chce, żeby ich puścić, bo nie ma kto w gospodarstwie pracować.

Lamsdorf machnął ręką i już miał na języku rozkaz, żeby babę wyprowadzić i w drzwiach dać jej w tę spódnicę dobrego kopniaka za niemycie się, ale nagle przyszła mu szatańska myśl do głowy. – To półzwierzę – pomyślał – ale jednak w tej głowie jakaś myśl się kołacze. Ciekawe, jak się zachowa to babsko w takiej sytuacji.

– Niech Rudi jedzie i przywiezie tych jej synów. Tylko niech ich skuje razem, bo jeszcze który ucieknie – zatkał nos i kiwnął na Riegla, żeby babę wyprowadził na

korytarz.

Rudi był za piętnaście minut. Wprowadził dwóch skutych za nadgarstki obdartych chłopów, a raczej chłopca i chłopaka; widać było, że jednego od drugiego dzielił spory przedział wieku. Szesnasto-siedemnastolatek nie miał nawet zarostu, starszy zarośnięty był kilkunastodniowym zarostem.

Kobieta stała przed nimi i znowu płakała.

– Wybierz sobie – Lamsdorf złośliwie się uśmiechnął.

– Masz sobie, Kusok Mario, jednego wybrać. Dwóch nie puścimy – przetłumaczył Riegel i dodał, patrząc na zalaną łzami, pomarszczoną twarz. – Oni są zakładnikami, to znaczy idą na śmierć. Jednego możesz sobie uratować! – z ciekawością patrzył na reakcję kobiety.

– Jakże to to... – kobieta znowu zaczęła płakać.

– Pan oficer robi ci tę łaskę, że jednego możesz sobie wybrać. Dwóch nie może wypuścić.

Wszyscy trzej patrzyli z napięciem na kobietę.

– Jakże to tak... – powtórzyła. – Przecież to moje dzieci.

– Albo obaj wracają do celi, albo jeden idzie z tobą – Riegel kontynuował okrutną zabawę.

Kobieta płakała.

– No – ponaglał Riegel – bo nie mamy czasu!

Wyciągnęła rękę i powoli wskazała na starszego syna. Młodszy patrzył na nią i cicho płakał. Starszy patrzył tępo w ścianę.

– Rozkuj ich – powiedział Lamsdorf do Rudiego. – Niech się pożegnają.

– Pożegnajcie się! – przetłumaczył Riegel.

Kobieta podeszła do chłopca i objęła go. Oboje płakali. Rudi pociągnął ją za ramię. Odchodząc, wyciągnęła rękę i dotknęła jeszcze policzka chłopca. Starszy dalej patrzył w ścianę, jakby sprawa jego nie dotyczyła. Powoli, jak ślepa, szła do drzwi. – O Jezu! O Jezu! – szeptała.

Lamsdorf wskazał wzrokiem starszego, Rudi popchnął go za matką.

– Wywietrzcie tu – wstrząsnął się Lamsdorf. – A na miejsce tego tam znajdźcie kogoś.

– Akurat jest jeden, który się nadaje – mruknął Riegel.

Bronek budzi się i patrzy w słabe, różowe światło lampki nocnej. Utką już nie śpi, leży z podłożonymi pod głowę dłońmi, ukazując nieprzykrytą lewą pierś. Bronek zbliża twarz do jej pachy, całuje różowy koniuszek sutka, grzęźnie nosem w zapachu potu, bzu i czegoś jeszcze nieuchwytnego, a miłego. Dziewczyna porusza się, przewraca na bok i przyciska tył jego głowy wygrzaną w poduszkę dłońią. Oboje nie mówią nic; Bronek zezuje na staroświecki zegar stojący w rogu pokoju, noszący

z boku napis pamiątkowy z wystawy we Lwowie przed tamtą wojną, świadectwo dobrych czasów Kapitanowej i jej wtedy żyjącego męża, Kapitana. Jest godzina czwarta dziesiąta; za niecałe dwie godziny Bronek musi być w pracy.

Uta przerywa milczenie.

– Przytul się do mnie – szeptem.

Tulą się; kiedy Bronek odrywa głowę, aby zaczerpnąć tchu, cienka nitka gęstej śliny spada na brodę Utki. Chłopak wyciera ją, Utki śmieje się: – Antena miłości – szeptem znowu, a kiedy ciało chłopaka szczelnie ją przykrywa, ulegle podciąga nogi.

Bronek ubiera się. Utki narzuciła szlafrok.

– Zrobię ci herbatę.

– Zbudzisz Kapitanową. Nie trzeba... – protestuje Bronek, ale przyjemnie mu jest, że dziewczyna tak się o niego troszczy, nie żałując swojego snu. Pije gorącą herbatę.

Przy drzwiach stoi Kapitanowa w szlafroku opiętym do granic możliwości na białym. Od czasu kiedy Bronek co parę dni nocuje u Utki, korzystając z nieobecności dwóch młodych Niemek, które gdzieś tam mają dyżury albo po prostu nocują u lotników, Kapitanowa chłodno go wita i chłodno, zupełnie w milczeniu, żegna. Widać, że nie aprobeuje tej wojennej miłości czy zbliżenia pomiędzy Bronkiem a Utką. Tym bardziej że jedna z Niemek już się Utce zwierzyła, że wie o jej niecałkiem samotnie spędzanych nocach. Uta jednak to lekceważy.

Kapitanowa ciągle nie wie, czy to coś autentycznego, czy wyrachowanie narzucone przez Murankę. Daje temu wyraz podczas spotkania z „Delikatnym”, ale ten patrzy jej w oczy i mówi drwiąco:

– Niech pani da spokój, pani Cymerman. Głupstwo! – dorzuca. – Nie ma pani większych zmartwień?!

– Ja w tym wszystkim wychodzę na rajfurę! – jęczy Kapitanowa.

– Po wojnie będzie czas na klasyfikację – zimno mówi „Delikatny”.

Mimo pokażnej tuszy „Marta”-Kapitanowa biegła. Chwilami przechodziła w chód, potem unosił ją nieporadny kurc-galop. Kiedy ujrzała drewniany płot okalający posesję Harmacińskich, musiała przystanąć, bo bijące serce czuła aż w gardle. Odechnęła kilka razy, spojrzała na zegarek, dochodziła szósta wieczór; do godziny policyjnej było jeszcze daleko. Ruszyła znowu kłusem i po kilkudziesięciu metrach zastukała w drzwi Muranków.

Otworzyła stara Harmacińska i widząc dyszącą kobietę, krzyknęła:

– Święty Boże! Goni panią kto!

– Jest pani Murankowa?! – łapała oddech Kapitanowa uznając pytanie starej mieszczanki za retoryczne.

Ale Muranko już zjawił się w drzwiach pokoju, który zajmował z żoną.

– Proszę – powiedział. – Pani Kapitanowa zapewne do Milki.

– Tak, właśnie... – Kapitanowa wzięła krok przed Muranką i weszła do pokoju.
– Zgroza! – złapała oddech i mówiła szybko: – Trzy wiadomości, jedna gorsza od drugiej. Muszę zaraz wracać, bo zostawiłam tam tę Ewę od tego gestapowca. Gada jak papuga, tak jakby chciała się podzielić tym, co wie, ale chyba dlatego, że plotkara i nie wytrzyma, jak coś wie. Pierwsza wiadomość, to śmierć „Ruszczyca”.

– To wiem. Był tam pół godziny po strzelaninie jeden z naszych. Gdyby wcześniej tam przyjechał, to albo by zginął, albo dał odsiecz „Ruszcycowi”.

– Podobno kilkunastu ludzi z Ruszczycem poszło.

– Trzech. Reszta to propaganda – mówił zniecierpliwiony „Nowy”. – Co dalej? Jeżeli się pani spieszy, to proszę podać to, co pani wie.

– Na Kunę mają nasłać niby skoczków angielskich. Takich udawaczy. Trzeba go ostrzec, bo zabiją albo złapią.

– O, to dopiero wiadomość! Ważna wiadomość! Ostrzeżemy go! Jeszcze coś?!

– Bronek jest w niebezpieczeństwie, a zarazem Nowotańscy. Riegel wściekł się za siostrę! Mówiłam! Powiedział to temu gestapowcowi Ewy przy wódce, a on Ewie. Śmiał się, że to nierasowy kogut. Mają go posłać do Pustkowa.

– Milka! Niech pani idzie! – mówił niecierpliwie Muranko.

– Muszę wziąć kilo mąki, bo po nią poszłam.

– Milka! – jeszcze raz krzyknął, a kiedy przybiegła żona mówił poruszony. – Daj pani tę mąkę i siadaj zaraz na rower. Jedź do „Parczewa”. Niech ściągnie „Silnego” i „Kazia”, albo Rysia. Trzeba usunąć radio od Janiny, bo tam może być rewizja. Bronek niech przyjdzie na noc do nas i rano niech nie idzie do pracy, bo Riegel za siostrę chce go posłać do Pustkowa.

Milka otworzyła szafę, wyciągnęła futro, popatrzyła w okno.

– Pójdę na piechotę, bo już robi się ciemno.

„Marta” wybiegła, a Muranko narzucał szybko płaszcz i kładł na głowę kapelusz. Szedł do Nowotańskich.

Ledwo Kapitanowa z mąką dotarła do domu i zaczęły z Ewą mieszać jakieś wojenne francuskie ciasto bez masła, Utką zastukała do drzwi.

Siostra Heinza nigdy nie uczestniczyła w wypiekach Kapitanowej i Bołdę traktowała bardzo chłodno, pomimo tego, że „Marta” nieraz ją zapraszała i karmiła ciastkami zrobionymi podczas seansów kulinarnych z Ewą. Kapitanowa bardzo się zdziwiła, widząc w drzwiach twarz Uty. Otrzepta dłonie z mąki:

– Proszę! Proszę!

– Nie! Niech pani wejdzie do mnie na chwilę – mówiła szybko Rieglówna, zezując na Ewę, która jej się ukloniła. – Mam ważną sprawę!

Kiedy Kapitanowa wyszła, rozwiązując fartuszek, którym była przepasana, Uta nie omieszkała powiedzieć:

– Dziwię się, że pani z tym tłumokiem przesiaduje.

– Dlaczego? To miła dziewczyna.

– Niech pani uważa. Ona żyje z tym gestapowcem Skolasko! Ale ja nie o tym chciałam – zniecierpliwiała się nagle siostra Heinza. I wyrzucać zaczęła z siebie poplątane zdania. Widać było, że jest jej ciężko opowiedzieć wszystko to, co wie. Kapitanowa schwyciła ją za rękę.

– Ależ spokojnie, pani Brandner. – Brandner było to nazwisko, które Uta uzyskała w swoim krótkim, jak sama mówiła, migawkowym małżeństwie i które widniało tylko na jej kartkach żywnościowych, a także pod którym była zameldowana. To, że Kapitanowa go użyła zamiast codziennego „pani Uto”, jakby otrzeźwiło dziewczynę.

– Bronkowi grozi niebezpieczeństwo – zaszepiała. – Pani wie...

– Nic nie wiem i nie chcę wiedzieć. Pani ma swoje prywatne sprawy, a ja nie chcę wsadzać palca między drzwi. Jestem lojalną Polką i staram się pewnych rzeczy nie słyszeć i nie widzieć. Ja chcę przeżyć wojnę... Niech mnie pani zrozumie. Przecież ja tego Nowotańskiego ledwo znam. Przed wojną przychodził do Heinza...

– Bronek ma być aresztowany i odstawiony do tego obozu na Pustkowie. A ja mam się z nim widzieć dopiero w sobotę...

– Ale dlaczego? – zdziwiła się udatnie Kapitanowa.

– Brat... Heinz uważa, że między nami..., to znaczy między mną a Bronkiem, jest rassenschande – łzy ukazały się w niebieskich oczach Rieglówny.

– Proszę mnie tym nie obarczać..., nie mogę... – mówiła uspokojona Kapitanowa.

– Przecież pani zna Bronka...

– Łuzna znajomość sprzed wojny, ja muszę pilnować swojej skóry... W tak poważne sprawy nie chcę się wtrącać.

– Trudno! Muszę sama tam pójść. Wiem, że to gdzieś przy końcu ulicy Pułaskiego. Znam tam taką młodą folksdojczkę, popytam ją delikatnie i dowiem się, gdzie on mieszka.

Kapitanowa przeraziła się. Jeszcze tego brakowało, żeby ta Niemka weszła tam na „Kazia”, „Silnego” i Murankę. I radio! Jezus Maria!

– No, jeżeli pani jest tak zdeterminowana, to samej pani nie puszczę. Pani ojciec robiłby mi wyrzuty, gdyby... Ale dopiero jak wyjdzie Ewa.

– Dobrze – odetchnęła Utką.

– Nie bardzo pamiętam, który dom, ale byłam tam przed wojną na herbacie i ja-koś sobie poradzę. Tylko nie wiem, jak wróć, bo przecież godzina policyjna.

– To ja pójde z panią, przecież mam przepustkę i dokumenty.

– Dobrze! Ja tam wejdę, pani na mnie poczeka. Przecież nie będzie się pani kompromitowała.

– Czekam! Niech pani ją jak najszybciej odprawi. Do końca życia bym sobie wyrzucała, gdyby Bronkowi się coś stało. Co za głupota... Nigdy bym nie pomyślała, że Heinz – Uta znowu zaczęła wyrzucać z siebie poplątane wyrazy, ale Kapitanowa szybko wyszła.

XVIII

Na tyłach restauracji Kasztelnikowej, posadowionej przy drodze prowadzącej z Miasta do fabryki, znajdowała się izba z osobnym wejściem od podwórza, pamiętająca jeszcze czasy austerii, która tutaj stała od niepamiętnych lat. Ganek i front domu były wielokrotnie przebudowywane, a izba, dobudowana kiedyś z sosnowych bierwion, pozostała taka sama, z polepionymi gliną łączeniami belek, z małymi dwoma oknami, pomalowana wapnem z dodatkiem niebieskiej farbki.

Nie dotknęła jej nawet ostatnia przebudowa restauracji przeprowadzona przez starego Kasztelnika. Kasztelnik, z pochodzenia góral, ledwo umył ręce po budowie, poszedł na wojnę i nie wrócił. Ktoś go widział w Sarnach, ktoś w Kowlu, inny upierał się, że restaurator przeprowadzał kilkoro ludzi z otoczenia prezydenta Warszawy, Starzyńskiego, przez zieloną granicę na Czechy i na noclegu zabili ich gospodarze-rzeźmieszkę gdzieś pod Węgierską Górką, a pieniądze i kosztowności, które ze sobą uwozili, zrabowali; fakt, że Kasztelnik z wojny już nie wrócił.

Wdowa z trzema synami, z których najstarszy, Mietek, miał dwadzieścia lat, młodszy – którego zwano Tuciek, nie wiadomo dlaczego, bo na imię miał Sekstus – osiemnaście, a najmłodszy, Karol – szesnaście, prowadziła w dalszym ciągu restaurację, ponadto trzymała dwie krowy, którymi opiekowała się babcia, teściowa, i kilka świń, których kolczyki zmieniane były co kwartał, tak że z chronologii wychodziło, że czterdziestokilowe warchlaki żyły już u Kasztelnikowej po cztery lata. Kolczyki takie wspaniale podrabiano w Göringwerke, a jeżeli ktoś z władzy coś podejrzewał, zatykano mu gębę młynarkami, mlekiem, słoniną, sutym obiadem z wódką, w zależności od potrzeb, możliwości i żądań korumpowanego.

Synowie Kasztelnikowej jak jeden zostali wciągnięci przez „Kazia” do konspiracji; korzystano z ich działań przy różnych okazjach, a najwięcej korzyści przynosili, nadstawiając ucha podczas podawania gościom.

„Delikatny” nieraz nocował u Kasztelników, a nie chcąc powtarzać częstych spotkań u Rybkowskich na Pułaskiego i niezbyt ufając „Owcoroźcowi”, poprosił restauratorkę o możliwość odbycia spotkania ze swoimi ludźmi w izbie na tyłach.

Kasztelnikowa zgodziła się, tym bardziej że ciągle pełna izba restauracyjna stwarzała możliwość niepostrzeżonego przemknięcia się ludzi na tyły restauracji.

Dzisiaj „Delikatny” był pierwszy, bo nocował u Czerepów, a zaraz po nim przyszedł wracający z pracy Muranko.

– Dobrze, że już jesteś – powiedział komendant obwodu „Ser”. – Mamy nową sytuację związaną ze śmiercią „Ruszczyca”, musimy rozważyć wszystkie negatywy, a nawet, pewno się zdziwisz, pozytywy tej sytuacji.

Muranko słuchał i patrzył na „Delikatnego” bez mrugnięcia oka. W końcu skrzywił się.

– Pozytywy?! – powątpiewał.

– Tak! Pozytywy też są! Widzisz, ja patrząc z pozycji wojskowego i do tego oficera liniowego, zawsze widziałem w „Ruszczycu” cywila zapatrzonego w swój cel, jakim było wydawanie gazetek, szkolenie młodzieży i akcje rozdziału zdobyczy wśród chłopów. Dalekosiężny cel wojskowy, jakim jest ogólnokrajowe powstanie zbrojne w odpowiedniej chwili, miał on daleko w nosie, a raczej nie miał jego wizji. Natomiast zazdrośnie bronił swojej niezależności; przecież dopiero wyrok, wydany na niego przez obwód ksiązęcego miasta, zaciążył na tym, że zaczął z nami rozmawiać. Był cywilem i cywilem pozostał do końca, pomimo tego, że jego oddział na wszystkie strony najeżony był bronią automatyczną. Był cywilem do śmierci. Nawet ta jego ucieczka pod ogniem godna była spanikowanego cywila, a nie dowódcy oddziału trzymającego w szachu Niemców w całym powiecie i dysponującego licznymi odwodami w bezpośredniej bliskości. Gdyby się bronił, to za pięć minut Niemcy mieliby na karku odsiecz i musieliby się wycofać z wielkimi stratami. Uciekał i pociągnął za sobą uzbrojonych ludzi, którzy razem z nim zginęli. Dobrze, że trzech, a nie dwudziestu trzech. To, co mi opowiadał Kulbaka, na to wskazuje. A jak zachował się jego zastępca, sierżant czy plutonowy, wojskowy! Przyczał się z erkaemem i kiedy Niemcy zbliżyli się do leżących na zboczu w śniegu, przepłoszył ich serią z browninga. Zwiali natychmiast. Co by było, gdyby otrzymali ogień od czterech ludzi?

– Więc co? Tchórz?! Z tym nigdy się nie zgodzę!

– Przeciwnie. Zbyt odważny, ale to nie odwaga wojskowa. Zbyt wierzył w swoją gwiazdę. Tyle razy im umykał, nawet tu, w Mieście, że uwierzył w swoje szczęście. Gdyby był wojskowym, brałby po wojskowemu wszystkie za i przeciw zanim ruszyłby biegiem.

– Jakbyś ty się zachował?

– Zachowałbym się tak, jak ten jego zastępca.

– No cóż! Wielu wielkich ludzi umierało przypadkowo. Kazimierz Wielki, bo spadł z konia i złamał nogę, Stanisław August na syfilis, Michał Korybut Wiśniowiecki z przeżarcia. Ale przecież „Ruszczyca” rozpoczął działalność równoległą z „Hubalem”, kiedy nikomu o zbrojnym oporze się nie śniło. Tu trzeba mu oddać sprawiedliwość.

– Nie wiadomo, co przed nami. Tylko głupocie Niemców zawdzięczamy to, że chodzimy jeszcze po ziemi. I temu, że konsekwentnie przypominamy ludziom, że za donos jest kula w łeb. Ja oddaję „Ruszczycowi” sprawiedliwość, ale przed sobą widzę cel nadrzędny. Oddział pozostał nierozbity i gotowy do akcji bojowych. I trzeba to wykorzystać.

– Przypuszczalnie dowództwo obejmie „Puchacz”, zastępca „Ruszczyca”.

– Pewno tak. Z nim, jako z wojskowym, będzie łatwiejszy kontakt. Kulbaka tam bywa w gościnie i powinien nam to ułatwić.

– No, nasz Münchhausen popisał się ostatnio. Iżyk rzeczywiście nie żyje. To bezsporne. Sobczak, ten komendant z Mokrego Gruntu, to potwierdza. I Żydzi z tych lasów koło Daromyśla.

– No, pozostał jeszcze ten gwałciciel i reszta.

– Kulbaka się zarzeka, że to kwestia miesiąca. Ale mam na dzisiaj niespodziankę. Nie chciałem wcześniej nikomu mówić, bo im mniej ludzi wie, tym lepiej. Kulbaka dzisiaj przyprowadzi Kunę.

– To kapitalne! Samego Kunę?! Jednak ten Münchhausen...

– W Kulbace tyle siedzi, że mógłby się w nim odbyć turniej Arymana z Ormuzdem. Który lepszy. Pamiętasz strzelanie Potoczka? Gdyby nie „Kazio”...

– To poszedłby Ryś. Ludzi mamy dobrych.

„Delikatny” chciał jeszcze coś powiedzieć, gdy dobrze naoliwione drzwi otwarły się cicho i do izby wszedł średni Kasztelnik.

– Kulbaka przyszedł z jakimś. Mama im obiad w domu daje, bo strasznie głodni.

– Dobrze. Teraz już zmrok nie zapada tak szybko, godzina policyjna później.

– I Nowotański czeka...

Kasztelnik poszedł, a Muranko marszczył się z troską.

– Co robić z Bronkiem? Radio zabrałem od Janiny, wziął je „Zwrotnik”, mieszkanie jest czyste. Nikt ich na razie nie nachodził, Bronka nikt nie wzywał, ale nie może do domu wrócić. Najgorsze jest to, że zwrócono oczy na dom „Marty” i na długi czas trzeba ją wyłączyć, tak z roznoszenia broni, jak i przyjmowania kogokolwiek. Stary Riegel się obraził i córkę zabrał. Podobno mieszka teraz w tym hotelu, gdzie mieszkają te młode Niemki z Bund Deutsche Madel.

– Tam dopiero jest tarło!

– Ale nie rassenschande.

– Nie bój się! Będą jeszcze dawały Żydom i Cyganom, i będą dziękowały Bogu. Tylko patrzeć jak Amerykanie i Anglicy ruszą...

Kulbaka zaglądnął, a potem wszedł, a za nim wsunął się jakiś jegomość średniego wzrostu, w cająkowym ubraniu, juchtowych butach z cholewką i kurtce z wytartym barankowym kołnierzem. W ręku miał kaszkiet ze sfatygowanym daszkiem.

– To ten Kuna – pomyślał Muranko, całkiem zawiedziony niepozorną posturą postrachu poligonów.

– Dzień dobry – pozdrowił ich Kulbaka, a tamten też coś cicho powiedział.

– Siadajcie. Rozgośćcie się. Będzie tylko „Parczew”, „Czeresznia” i „Kazio”.

– To jest Kuna – Kulbaka wskazał na niepozornego chłopca. – Komendant obwo-
du „Delikatny”.

„Delikatny” zrobił krok i podał Kunie rękę, a ten pomyślał, że „Delikatny” ma w sobie coś z kapitana Grabowskiego; może uśmiech, a może stanowczość w oczach, co od razu nastroiło go przychylnie do tego niczym się nie wyróżniającego człowieka w cywilu.

Znowu otworzyły się drzwi, weszli „Parczew” i „Kazio”, a od podwórza zjawił się „Drwał”-Rybkowski.

„Delikatny” nie przedstawiał Kuny, ale Kulbaka pokazał go oczami i wszyscy przypatrywali mu się z ciekawością.

Po godzinie, kiedy wszyscy się rozeszli, „Delikatny” i „Nowy» pozostali sami z Kuną.

– Nie obrazicie się, że was trochę popytamy.

– Czego nie? Mnie nie przeszkadza. – Nieruchoma, przecięta siną blizną twarz Kuny nic nie wyrażała.

– Macie za sobą służbę wojskową?

– Byłem w wojsku od marca trzydziestego drugiego do lutego trzydziestego czwartego – mówił obojętnie Kuna. – W piechocie, w pięćdziesiątym pułku...

– A w czasie wojny?

– W batalionie zapasowym w Oświęcimiu. Przebijaliśmy się od Częstochowy aż do Wisty. Dowodził nami kapitan Grabowski. Wzięli nas do niewoli pod Mędrzechowem, kiedy nas tylko z pięćdziesięciu zostało. Potem zamknęli nas w szkole w Szczucinie. W nocy podpalili szkołę i wszyscy się spalili. Kto skakał z piętra, to strzelali... – Kunie trudno było mówić o tym, czego nie lubił dotykać; znowu czuł gorącą krew chlustającą z tętnicy kapitana i ciężar coraz bardziej naciskającego go ciała dowódcy.

– No, a wy?

– Przekopałem się z piwnicy przez spust wody do rowu. Ranili mnie, ale uciekłem... – mówił niechętnie Kuna. – Potem chorowałem – dodał.

– No, a co robiliście przed wojną?

– Byłem gajowym u pana Hincza. Jego też zabili, bo Żydom zboże puścił przez swój młyn. I moją rodzinę wybili, i synka... I wszystkich koło poligonów, co się nazywali Kuna... – mówił coraz niechętniej Kuna.

– Duży macie oddział? – spytał „Delikatny”, który zauważył zmianę w twarzy Kuny.

– Oddział? Nie mam żadnego oddziału. Mam dwóch ludzi. Ale oddział to moge mieć, bo broń mam.

– Jaką?

– Zdobytą. Karabiny, pistolety, granaty, erkaem bergman z połową magazynka i szmajsera z dwoma magazynkami. Trochę granatów.

– Dobrze. Jak się zapatrujecie na to, żebym dał do was chłopaka? Nieostrzelany, ale tu nie może siedzieć, bo się naraził Niemcom. Ucieka przed Pustkowem. Zgoda?

– Może być. Wygód nie będzie miał, bo my ciągle w ruchu.

– Ludzi wam będzie trzeba, bo się na was szykują.

– Oni cały czas się szykują...

– Ale teraz inaczej. Wiemy z pewnego źródła, z gestapo po prostu, że mają podeśłać dwóch ludzi przebranych za angielskich zrzutków. Oni mają do was dotrzeć z radiostacją i całym angielskim wyposażeniem i albo was zabić, albo ściągnąć przez radiostację obławę.

– Kiedy to ma być?

– Nie wiemy. Ale chyba rychło. Zapewne wtedy, jak się wiosna zrobi i będą warunki do lotów.

– To dobrze, że wiem.

Kasztelnikowa zapukała i weszła. Pozbierała ze stołu kufle i karty, które tam leżały dla niepoznaki. Szepnęła coś do „Delikatnego”, tamten skinął głową. Ledwo wyszła, wszedł „Czeresznia”. Kuna nie znał go, zabierał się do wyjścia. „Czeresznia” nie przedstawiał się. Usiadł w kącie i patrzył. Za to Muranko spytał:

– Macie gdzie przenocować?

– Mam. Kulbaka mnie zabierze. Ale wcześniej mam cosik tu załatwić.

– Może was tu kto rozpoznać?

– Chyba nie. No, może jakby mnie te Niemcy spotkali, com ich w mleczarni w Padewie postrzelał, to tak. Ale inni Niemcy jak mnie widzieli, to... – uśmiechnął się.

Poszedł Kuna, umówiwszy się z Kulbaką na przewozie, a właściwie na ścieżce przez lód wydeptanej. Woda już wylażała z przerębli, bo w górach śniegi topniały, a nawet ciurkała po lodzie przy brzegach, ale rzeka jeszcze nie ruszała, bo nocami trzymał mróz.

Na Mostowej po wypędzeniu Żydów nie wszystkie jeszcze domy były zamieszkałe, to i wielkiego ruchu nie było. Kuna przeszedł obok wachy, która miarowym krokiem przemierzała Mostową, i wszedł w bramę majątku Stajeńskich. Poszedł prosto do czworaków.

W izbie, gdzie mieszkała Otylka z matką i Jadasie, siedział tylko stary Jadaś. Onuce przewijał. Niechętnie odburknął coś, kiedy Kuna spytał o Otylkę.

– Czego warczycie jak ten pies? – zdziwił się Kuna. – Pytam, gdzie Otylka.

– A bo ja wiem? Pewno w oborze.

Jadaś był wściekły, bo Otylka wnet miała rodzić i z doświadczenia wiedział, że to łączy się z ciągłym przykrywaniem głowy kapotą, żeby nie słyszeć wrzasku dziecka, pieluchami rozwieszonymi gdzie się da, praniem i rozstawionymi garami, zajęętym ciągle żelaznym piecykiem, od którego rura wypuszczona była przez ścianę. – Może umrze – pocieszał się Jadaś, bo Bogiem a prawdą połowa niemowląt, które rodziły się w czworakach, wymierała do trzech lat. To go trochę pocieszało.

– Idźcie i zawołajcie ją!

– A co to ja jej matka?

– Bądźcie tak dobry i idźcie – mówił przez zaciśnięte zęby Kuna i blizna na nosie i wardze mu poczerwieniała. Tego powiedzenia „bądźcie tak dobry” Władek nauczył się od pana Hincza, który tak mówił często do służby i każdy, dobry czy niedobry, leciał, żeby zrobić to, co pan chciał.

Jadaś popatrzył na Kunę, który przysiadł teraz na taborecie i ręce położył na kolanach, popatrzył i nic już nie mówiąc, wyszedł. Zaraz też przyleciała matka Otylki, blada jak ściana i pewna, że się to na byle czym nie skończy. Kiedy jej Jadaś powiedział, że jakiś chłop czeka na Otylkę, zaraz wiedziała, że to Władek, bo któżby. Od tego czasu, kiedy jej Otylka w lecie powiedziała, że nie ma na koszuli, skończyły się te loty córki po nocach i wracanie w ucioranej i wyzielenionej trawą sukience, a jak Otylce już dobrze brzuch zaczął rosnać, to tylko powiedziała: – Wola boska...

– Gdzie Otylka? – spytał Kuna.

– Robi, trojhander rozjedzony taki.

– Idźcie! Zmieńcie ją albo co...

– Otylka już nie sama – powiedziała z rozpaczą stara.

– A z kim?

– Dziecko będzie miała.

– To dobrze. Niech tu przyjdzie – uporczywie powtarzał Kuna i pomyślał, że te noce, kiedy jeszcze przychodził ze swojej ziemianki na Kąty i siedzieli z Otylką za olszyniakiem, słuchając grzechotu gąsienic czołgów i warkotu ich motorów, a Wojtek spał z dziadkami w domu, to chyba zdarzyło się, ale we śnie jakimś dobrym, a nie ma nic wspólnego z jego życiem.

Stara wyszła i zaraz pokazała się Otylka w sukience, z której nie strzepała plew. Ledwo się w drzwi Otylka zmieściła i zębów znowu jej ze dwa ubyło, które doktor Kobylski wyrwał. Płakała od wejścia.

– Czego, no, czego... – powiedział bezradnie Kuna, a chciał spytać dlaczego płacze bez powodu, a ona, myśląc, że pyta dlaczego się puściła, jeszcze bardziej się rozpłakała i przez łzy tłumaczyła mu:

– Przecież wiesz, zem tę Żydówkę miała i chcieli donieść i to...

– To ci, com im...

– Ci...

– Ale swoje zdążyli zrobić?

– Zdążyli...

– No, a jak ci tam? Będziesz miała na pieluchy, a jakby trzeba, na doktora?

– A skąd? Dobrze jak Niemiec da kwaterkę mleka więcej.

Kunie żal się zrobiło kobiety. Popatrzył na jej pokrytą brązowymi plamami twarz, zawahał się.

– Źle, jak dziecko bez ojca. Masz tu marki niemieckie. Trochę ich jest, chociaż...

– chciał powiedzieć Kuna, że ci żołnierze, których pozabijał, dużo pieniędzy nie mają, ale ugryzł się w język. – Ale będzie tego parę złotych. Jeden góral – tknął jej w rękę węzełek wyjęty z kieszeni.

Otyłka nagle pochyliła się i pocałowała go w rękę, a on zerwał się.

– No, nie bądź głupia! Idę, bom się umówił.

– Ewa Bołda tu jest. Siedzi z gestapowcem. Bałam się, że może mnie poznała.

– No, teraz, jakby co, tobym z niej skórę zdjął. Ona wie, że już by jej nie naprawiła.

Zniknął w drzwiach, a Otyłka usiadła. Dziecko rzuciło się w niej kilka razy gwałtownie, poczuła jego nóżkę naciągającą od spodu mięśnie i skórę na jej brzuchu. Ucichło. Leżało spokojnie. Jadaś wlaź, rozglądnął się po izbie.

– Nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło. – Nowotański wykręcał „złodziejkę” z oprawki lampy wiszącej u sufitu, do której podłączali telefunkena do prądu podczas audycji BBC. – Nie ma tego złego... – kręcił z zaciśniętymi zębami, bo coś się w gwincie zacinało.

– Jak możesz? Co nam wyjdzie na dobre? To, że Bronek będzie się poniewierał po lesie i Bóg wie gdzie?! – Nowotańska rozszlochała się.

– Nie wyj! Pozbyliśmy się tego przekłętego radia i tych nasłuchów, i maszyny. To jest coś! Ten twój braciszek to u nas urządził całą jacejkę.

– Jaczejki mają komuniści. Ty mojego brata nie obrażaj. On nigdy nie był plutonowym, jak ty! Oczy ci wyjdą po wojnie, jak go zobaczysz w oficerskim mundurze...

– Nasram sobie do buta, jak go zobaczę! – wściekł się Nowotański. – A chorążym, nie plutonowym, idiotko! Niech najpierw przeżyje ten wielki oficer. Jeszcze nie wieczór.

– Zawsze byłeś małym człowiekiem! I takiego dopuścili do przysięgi!

– Żeby nie to, tobym ich wywalił razem z tymi workami z Arbeitsamtu! Rura ci wtedy dobrze zmiażdżyła.

– Jak kto jest chamem, to niczego nie potrafi u drugiego docenić! – Nowotańska wstawiała. – Do pięć nie dorosteś mojemu bratu.

– Nie dorosłem, ale pieniądze od chama na studia były potrzebne! Zastrana arystokracja z prawa pierwszej nocy! Takich arystokratek...

Nowotański nie zdołał określić w jakiej części byłej Galicji znajduje się dużo takich arystokratek, bo tego było Nowotańskiej za wiele. Jakby to były czasy przedwojenne i obok stała Staszka z octem w ręku, matka Bronka i Sławka zwała się na podłogę aż głowa stuknęła. Leżała z wywróconymi do góry żenicami i białkówką na pół oczodołu.

Zatupało po schodach i Staszka, popielata na twarzy wpadła do domu. Nawet nie zwróciła uwagi na leżącą na ziemi panią.

– Policjanci tu idą!

– Niemcy? – bezgłośnie otwierając usta pytał Nowotański, blady jak ściana.

– Nie... Granatowi – szepnęła Staszka. Wpadła do kuchni, gwałtownie zabrała się do wybierania popiołu z pieca.

Ale już zaskrzypiały schody pod ciężkimi krokami. Nowotański rzucił „złodziejkę” do wiadra na śmieci, przykrył łupinami i zmiętym papierem. Przykląkł przy żonie i usiłował ją podnosić, chociaż dosyć nieporadnie. Pozostawił ją na podłodze patrząc znad niej na stojącego w drzwiach policjanta. Ten wszedł, a za nim wszedł drugi. Nowotański jednego z nich poznawał; nazywał się ten granatowy Zwierz i poprzednio pracował w Arbeitsamcie. Pokazał się tam nieźle i nawet dostał od organizacji ostrzeżenie. Po tym ostrzeżeniu trochę usiadł i wstąpił do policji. Tu zachowywał się, jak na policjanta, poprawnie. Drugi, nieznanym Nowotańskiemu, był młodym człowiekiem i ze współczuciem przypatrywał się Nowotańskiej, która dalej leżała z wywróconymi oczami.

– Dzień dobry – wybąkał Nowotański i dodał: – Żona ma padaczkę i akurat panowie trafili...

– Bronisław Nowotański to tu mieszka? – spytał Zwierz.

– Tutaj..., ale go nie ma.

– Co znaczy nie ma? Firma Boymer i Lesch zgłosiła, że od trzech dni nie chodzi do pracy.

Mówiąc to Zwierz rozglądał się po mieszkaniu. Nowotańska nigdy nie była pedantyczną czyścioczą. Staszka też się nie przykładała. Rozgrzebane łóżka, stół z suchymi skórkami chleba i resztkami ziemniaków na talerzach dopełniał widoku. Zwierz pochodził po mieszkaniu, zaglądał na stryszek, gdzie przedtem stał telefon, potem na drugi stryszek, gdzie dwa króliki smyrnęły i wbiły się w kąt.

– Króliki tutaj chowacie? – zdziwił się. – Przecież sufit przemoknie.

– Na święta zabijemy – rzekł Nowotański, a matka Bronka podniosła się i z rozbuźzonymi włosami usiadła na krześle. Wodziła po policjantach wzrokiem, jakby to byli Marsjanie z audycji Wellsa.

– No, to gdzie jest wasz syn? To pani syn?! – zwrócił się do Nowotańskiej.

– Mój... – wyszeptała. – Od trzech dni płaczę, bo go nie ma... Ludzie giną.
– Spokojni ludzie nie giną – rzekł Zwierz.
– A on co? Nie był spokojny? Tylko z pracy i do pracy! Panowie Kenig i Boymer mogą powiedzieć...
– Ale coś nabroił.
– Nic nie nabroił.
– No, kazali go dostawić – Zwierz był zniechęcony, ale zaglądnął jeszcze pod łóżko. Jego kolega poszedł do kuchni, był tam chwilę i wrócił, zostawiając otwarte drzwi. Poziwiewał teraz i patrzył w okno.
– Nic? – spytał Zwierz.
– Nic. Kuchnia...
Kiedy Zwierz dotknął okutego daszka czapki i poszedł do drzwi na schody, ten drugi granatowy szepnął Nowotańskiemu:
– Niech wieje, bo pójdzie do Pustkowa. – Też dotknął daszka, tak jak Zwierz. Nowotańscy patrzyli za nimi z ulgą.
Staszka weszła. Uśmiechała się.
– Ale dobry chłop! Wsadził mnie pod łóżko. „Siedź tu – mówi – bo cię zabierzemy do Niemiec”.

Kuna i Bronek dojechali pociągiem do Ślemienia i po dwóch godzinach drogi wzdłuż strumieni przecinających bagienno-torfowe łąki, doszli do lasu. Tu Kuna wyszukał bardziej suche miejsce i usiadł na pniaku po ściętej sośnie.

– Zjedzmy co – sięgnął do parcianki. Wyciągnął chleb i słoninę, w którą zaopatrzyła go Kasztelnikowa, a także ser z żółtym nalotem tłuszczu, który dostał od „Owcorożca”.

Bronek wyciągnął rękę po to jedzenie, czując napływającą do ust ślinę. Emocje związane z pobytem na stacji, kupowaniem biletu i jazdą pociągiem minęły. Z podziwem patrzył na Kunę, który siedząc na stacji, bez zainteresowania spoglądał na co jakiś czas pojawiających się banszuców i tylko w jednym momencie odstawił na bok swój stoicki spokój, już w kolejce do drzwi na peron, kiedy stojący przy wyjściu młody kolonista banszuc zaczął grzebać w torbie, jaką niosła para młodych ludzi, chłopak i dziewczyna. Rozpiął wtedy Kuna guzik kurtki, ale Niemiec, po-grzebawszy w ziemniakach, które niosła ta para, trzymając skórzaną zniszczoną torbę za uszy, stracił nagle zainteresowanie i nawet oddalił się od drzwi i stanął przy kasie wdając się w rozmowę z ładną kasjerką.

Kuna jadł w milczeniu, a Bronek też w milczeniu się pożywiał; późne popołudniowe słońce ładnego, prawie wiosennego dnia mocno jeszcze przygrzewało; w górze zataczały koła dwa jastrzębie czy też myszołowy, chłopak patrzył na nie sennie dotąd, aż obudził go głos Kuny.

– Pójdziemy w górę tego kanału, w lesie jest mały belk, to się napijemy wody – mówił partyzant.

– Zbierałem się na łap cap – Bronek uśmiechnął się bezradnie – a przecież mogłem wziąć chociażby manierkę z harcerskich czasów. Tylko łyżkę wziąłem...

– Do naszych lasów przyjeżdżali harcerze – powiedział Kuna kiedy już szli ścieżką w górę brzegiem tego kanału, jak go nazywał, czy też strumienia. – Do pana Hincza. Może i ty byłeś.

– Byłem – ucieszył się Bronek. – Kapaliśmy się w stawie przy młynie. Głęboki staw.

– To nasz staw. Znaczy się pana Hincza, a ja tam byłem gajowym.

– Pan Hincz podobno zginął – rzekł Bronek

Nie otrzymał już odpowiedzi; jego towarzysz zamilkł i prowadził teraz w milczeniu. Droga, a raczej ścieżka, wiodła przez fałdy wydmy porośniętych lasem; odeszli od wody przez jakieś jagodniki, aż znowu wyszli na strumień, który spadał tutaj z niewysokiego progu, przelewając się przez dębowy okorowany pień. Spadająca struga wybiła tu niewielki, wyścielony żółtym piaskiem stawek. Napili się tam wody, nabierając ją w dłonie.

W lesie zmrok zapada szybko i ścieżka, którą wydeptały sarny i dziki, zaczęła znikać z oczu, kiedy Kuna zatrzymał się.

– Już niedaleko, może mila będzie, ale przed nocą nie zajdziemy. Teraz księżyc na nowiu. Jak się zrobi ciemno, to będę cię prowadził jak ślepego. Pójdiesz krok za mną i trochę z boku. Rękę położysz mi na ramieniu. Dojdziemy, nie bój...

Na senny las, na przyczajony w przerażeniu świat spadł narastający świst i grzmot. Bronkowi wydawało się, że nasilenie tego głosu burzy będzie ciągle wzrastało, że ich w ziemię wciśnie, rozerwie uszy, wysadzi oczy z oczodołów. Deszcz leących z drzew drobnych gałązek bił po lesie; grzmot trwał, chłopak odruchowo wcisnął głowę w ramiona, ale Kuna stał spokojnie i słuchał. Odgłos podobny do ryku letniej burzy zaczął słabnąć, dochodził teraz jakby z wielkiej wysokości, turkotał gdzieś w niebiosach, cichł...

– Blizna! – powiedział Kuna. – To się nazywa rakieta. Leci bez człowieka i nie ma skrzydeł. Smoła mówi, że kieruje się tym bez radio, ale kto tam wie. Najpierw puszczali takie samoloty, też bez człowieka, nad lasem nisko leciały i też takie głośne, tylko słabiej.

– To od nas to też widać, tylko już na niebie. Białe warkocz za sobą ciągnie i gdzieś za pięć minut słychać grzmot. – Bronek jeszcze był poruszony.

– Od tego miejsca, gdzie stoimy, będzie z dziesięć kilometrów do tego miejsca, skąd to puszczają. Ludność wysiedlili, nikt tam jeszcze nie był. Po lesie cały czas chodzą patrole z psami. Próbowaliśmy podejść z ciekącą suką, ale wzięli się na sposób i mają suki, wilczyce. Dwie strzeliłem, jak mnie dochodziły, ale raz w życiu

mnie tak pognano do siódmych potów. – Umilkł teraz Kuna i jakby myślał coś, bo mu się przypomniała Otylka i jej wóz i pachnący dębina kożuch, którym go przykryła na swoim wozie, i pachnące mlekiem usta Otylki. Czy ta ledwo ruszająca się gruba baba, która wtoczyła się w drzwi czworaku, to ta Otylka? Otrząsnął się Kuna i nic już nie mówiąc, ruszył dalej leśną ścieżką, a Bronek za nim.

Dzisiaj Skolasko wyszedł wcześniej rano i Ewa Bołda wstała tylko po to, żeby mu zrobić śniadanie. Kiedy poszedł, zjadła jajko na twardo z kromką chleba z masłem i znowu walnęła się do łóżka. Zbudziło ją ponownie wysoko już stojące słońce, które grzejąc przez szyby prosto w twarz, zmusiło ją do wstania.

Ewa nie miała nic do roboty; trochę ogarnęła mieszkanie, narzuciła sukienkę, chlapięła wody na twarz, wytarła miękkim ręcznikiem i lekko przypudrowała. Wzięła na palec trochę francuskiej perfumy, którą dostała od Skolaski pod choinkę, i potarła się nią za uszami; Willy lubił, kiedy kładąc się do łóżka, dotknęła się nią za uszami i pod brzuchem. Takie miał fanaberie, których Ewa nie pochwalała, bo się trochę wstydziła, ale wiedziała też, że trzeba zrozumieć chłopca.

Wyniosła Luksowi kość i wrzuciła do zagrody. Zabrał się za nią zaraz, a ona wciągnęła oficerki. Teraz kurtka z lisim puszystym kołnierzem po jakiejś Żydówce, która pewno już dawno użyźnia ziemię, i Ewa wyszła z domu, zamykając drzwi na klucz. Luks popatrzył na nią znad kości, a ona pogroziła mu pięścią.

Świeże powietrze nadchodzącej wiosny, słońce świecące już mocno nastroiły Ewę pogodnie. Pogrzebała po kieszeniach, znalazła dwa papierki i trochę monet; postanowiła pójść do cukierni Walerii Patyciowej, która specjalizowała się w różnych amoniaczkach, ersatzowych pomadkach, lodach z kartoflanego budyniu ze sztucznym smakiem pomarańczowym, ale na zapleczu miała też oryginalne kremówki, autentyczne pomadki i nawet czekoladę. Dla swoich gości. A przecież Ewa była swoim gościem, od czasu kiedy przybytek pani Walerii odwiedziła z tym przystojnym, czarnym jak Cygan gestapowcem w komitywie nie pozostawiającej żadnych wątpliwości.

Pani Waleria, będąc osobą doświadczoną i znając wietrzność uczuć męskich, sprawdzała co pewien czas przez różne źródła stałość tego związku i stwierdziwszy, że przetrwał już kilka miesięcy, tym bardziej uznała Ewę za pożądanego gościa. Kiedy więc Ewa weszła do kawiarenki, wnosząc falę paryskiego zapachu, otoczyła ją mnóstwem zapraszających gestów i wprowadziła na zaplecze, gdzie posadziła ją przy specjalnym stoliku.

Pora przedpołudniowa nie sprzyjała handlowi w takim lokalu, jaki prowadziła Patyciowa, więc gospodyni więcej czasu spędzała z Ewą niż za ladą. Intymna atmosfera sprzyja zwierzeniom i pani Waleria otwierała się coraz bardziej, odkrywając przed Ewą swoje osobiste nawet sprawy, dotyczące ewentualnego małżeństwa ze

wspólnikiem, jako że tuż przed wojną owdowiała... – I sama pani rozumie... Może jeszcze serniczka? A wie pani, ja nie mogę zrozumieć Polaków, którzy zagrzebują się w działania przeciw Rzeszy Niemieckiej. Przecież Niemcy wykonali już tyle dobrych gestów w stosunku do nas. Chociażby nawet z tym Katyniem, ile trudu sobie zadali, żeby prawda wyszła na jaw. Wie pani, ja nie mogę patrzeć na te zdjęcia w gazetach z ekshumacji, to okropne, ja potem przez trzy dni nie jem... Ale wojna na wschodzie jest prawie przesądzona (choć tam trochę Niemcy się cofnęli), ale w końcu technika przeważa nad tą dziczą. A na zachodzie to Niemcy mają takie linie, że żadna bomba, żaden pocisk nie przebije, żeby nie wiadomo jak z wysoka rzucali. A nasi Polacy rwą się z motyką na słońce. Żeby chociaż odrobina wdzięczności za oczyszczenie kraju z Żydów, a tu nic. Taki Kuna (Bołda drgnęła) albo ten Iżyk, coraz coś robią... Moja siostra pracuje w szpitalu i przywieźli do Dzikowca takiego młodego żołnierza poranionego przez tego Kunę. Serce się kraje po prostu! A mówią, że ten Kuna – ściszyła głos – to potrafi tu po mieście chodzić, jak gdyby nigdy nic. Mówią, że tego, co naprawiał rowery i sklep miał, to ten Kuna zabił, inni znowu, że Iżyk... A niedawno jak dwa tygodnie policjantów naszych postrzelali gdzieś na wsi. Takich porządnych ludzi, obydwóch znałam, przychodzili po ciastka... Całe nadzieje, że władze położą temu kres.

– Muszę już iść – powiedziała nagle Ewa i odstawiła talerzyk z ciastkiem, bo jej zaczęło rosnąć w ustach. Dopięła kurtkę, wciągnęła rękawiczki. Wyszła, zrobiła kilka kroków; Waleria patrzyła za nią dyskretnie, uniosła wysoko brwi.

Cukierenka pani Walerii mieściła się w rynku, w kamienicy księżej gospodyni. Ewa zdecydowała się. Długim krokiem poszła w kierunku ulicy Mostowej. Szła szybko, doszła do dworu Stajęńskich i zatrzymała się. Nie chciała, żeby ją zobaczył treuhander; z duszą na ramieniu poszła szybko w stronę czworaków. Rozmarzło już całkiem i solidnie ubłociła błyszczące oficerki. Napotkaną dójkę zapytała o Otylkę.

– Pewnie jest w izbie – powiedziała tamta i pokazała drzwi do korytarza wiodącego przez czworak.

Ewa weszła i na chybił trafił otworzyła pierwsze drzwi z prawej strony. Otylka siedziała na łóżku, ciężarny brzuch położyła na udach, dłonie zaplotła. Twarz poznaną plamami miała martwą. Popatrzyła na Ewę i ciężko wstała. W oczach jej było bezbrzeżne zaskoczenie i strach. Stojący z boku stary fomal, którego Ewa nie zauważyła, patrzył na elegancką kobietę i jej lisi kołnierz jak na zjawę nie z tego świata.

– Mam ci coś powiedzieć, Otylka – szepnęła Ewa i zobaczywszy stojącego z otwartą gębą Jadasia dodała: – tylko na osobności...

Do izby zaglądnęła jedna baba, potem druga, Jadaś dalej stał z półotwartymi ustami. Otylka podeszła do drzwi i odwróciła się do Jadasia.

– Idźcie, Jadasiu, na chwilę...

Jadaś ocknął się, jeszcze raz popatrzył na elegancję Ewy i jej lisa, zakotłował się na nogach i wyszedł.

– Nie jestem wrogiem Kuny, choć mi tak zrobił – szeptała szybko Ewa. – Powiedz mu, że nie jestem wrogiem. O tobie wiem, od kiedy tu jesteś, i nic ci... Podśledzałam Niemców przy wódce. Mają na Kunę nasłać jakichś spadochroniarzy, że to niby Angliki... Musisz mu powiedzieć... Ja nie jestem wrogiem, choć..., no..., rozumiesz?

Otyłka skinęła głową i zaraz ją opuściła, a kiedy ponownie ją podniosła, Ewa brnęła już przez błoto na podwórzu. Od rzeki niósł się trzask i huk pękających lodów, a w parku dworskim rozwrzeszczały się gawrony i huknęły dwa strzały. To treuhander Wolf płoszył ptaki, żeby nie zakładały gniazd.

Kiedy Ewa szła przez rynek, ze starej restauracji Janoskich Rudi i Joseph, kierowca Lamsdorfa, wyprowadzili jakiegoś jegomościa skutego z tyłu i wsadzili do samochodu. Ludzie przystawali, patrzyli.

– Janoskiego wzięli. Młodego! Co im zawinił? – mówiła jakaś kobieta w rozpiętej pelisie.

Ewie nic to nazwisko nie mówiło; poszła szybko wzdłuż ulicy Pułaskiego. Skolasko już był w domu. Czuć było od niego wódkę. Złapał się za głowę, kiedy zobaczył buty Ewy.

– Dzie chodź! Polaki tobie zabić! Gupi chodź! Zabić!

– Poszłam popatrzeć jak lody płyną.

– Polak zabić tobie... Oni wiedzą, ty gestapo.

Ewa podeszła i pocałowała go w policzek. Objął ją i zaczął pchać w stronę łóżka.

– No, czekaj! Czekaj! Bo wszystko pobrudzę!

Treuhander Wolf krytycznie patrzył na Kalickiego, który przyprowadził splakaną matkę Otyłki i Otylkę.

– Ty, Otyłka, gross kurwa – odezwał się w końcu. – Baba w liegenschaft cie nie lubić. Dajesz chłop co ma – zaśmiał się.

– Panie trojhanderze – płakała matka Otyłki, całując go w rękę i podejmując pod kolana. – Ona chora, w sobie ją boli, nie da rady robić.

– To kogo kinder? – tkał Otylce palcem w brzuch. – Twoja?! – Popatrzył na Kalickiego, a tamten zachnął się:

– Gdzie tam! Ja nicht fiken machen!

– No, kogo? – spytał Otylkę.

– Nie wiem – wyszeptała Otyłka.

– Ty iść puff, soldatenpuff. Ty brzuch nowy, to ty puff oder Pustków. Ty nie robić, ty fiken machen...

– Panie trojhanderze! Ona pójdzie do ciotki i tam urodzi, tam więcej miejsca i jedzenie...

– Termin?

– Ona już ledwo, ledwo!

– Co jest ledwo, ledwo?

– Ajne, cwaj dzień – wytłumaczył Kalicki.

Treuhander spoważniał.

– Ty rodzic, my ci potracić dniówka. Ty nie arbajt, nie ma geld, nie ma ordynaria.

– Ja będę za nią robić – płakała stara. – Za siebie i za nią. – Moczyła łzami dłoń treuhandera, a ten w końcu machnął ręką.

– Na, na, gut. Iść nach ciotka...

Niemiec odwrócił się i poszedł do siebie.

Otylka dowlokła się do stacji. W chustce, którą niosła w rękę, miała kenkartę i zaświadczenie, że pracuje w liegenschaftcie, oraz marki, w które zaopatrzył ją Kuna.

Specjalnie przejechała jedną stację dalej, żeby nie spotkać kogoś z kolonistów z Padewia. Wsiadła i zjadła chleba. Czekają ją dwie mile drogi do Łosiowa. Po trzech może kilometrach dogonił ją jakiś chłop, jadący lichą szkapą do Bekasowa. – Na szarwark – mówił. Uprosiła go, żeby się jej dał przysiąść. Na rozstajach zsiadła z miękko toczącego się po piaszczystym gruncie wozu. Późnym wieczorem stuknęła do drzwi doktora Cudzowolskiego.

Nad ranem chwyciły ją bóle i odeszły wody. Wieczorem doktor odebrał od stękającej z zaciśniętymi ustami Otylki cienkonogą, długą dziewczynkę, która nawet nie zapłakała po przyjściu na świat. Doktor sądził, że z niej nic nie będzie, ale noworodek po paru godzinach przypił się do piersi matki i nabrał chęci do życia. Otylka z wieczora, zanim ją wzięły bóle, powiedziała doktorowi o niby Anglikach, którzy mają Władka zabić. Jeszcze w czasie porodu przypominała doktorowi: – Oni mają go zabić! – zgrzytała podczas partych bólów. Doktor Cudzowolski wieczorem powiesił żeleźniak na kołku przy pastwisku.

Po paru dniach odesłał Otylkę z dzieckiem wynajętym wozem do Miasta, a dwa dni po odjeździe kobiety, zastukał do okna doktora Kuna. Był z jakimś młodym chłopakiem uzbrojonym w karabin.

– Uważaj! – powiedział doktor na przywitanie. – Niemcy mają ci podstawić zrzutków, którzy będą się podawali za Anglików, i mają cię wykończyć. Musisz być ostrożny teraz.

– To ja już wiem, że mi takiego figla chcą zrobić. Byłem w Mieście i akowce mi powiedzieli.

– Ta Ewa Bołda to twojej powiedziała. Sumienie się w niej odezwało. A ty nie jesteś ciekawy, co ci się urodziło? Córkę masz.

– Niepotrzebnie się Otyłka tak zmarnowała – Kuna delikatnie oparł karabin z lunetką w pokrowcu w kącie gabinetu doktora. – A Bołda...? Poczekamy, zobaczymy, jak to będzie z tymi rzzutkami.

Doktor trochę się zdziwił, że Kuna wiadomość o urodzeniu córki przyjął zupełnie obojętnie, jakby nie słysząc nowiny.

Ten tajemniczy jegomość w szerokich pumpach, udekorowany czarnym wąsem, długo się u Pustulki nie pokazywał i dopiero w połowie lutego pojawił się po zapadnięciu mroku. Żona Pustulki była akurat na dworze i zobaczywszy gościa, nie odpowiadając na jego pozdrowienie, wbiegła do domu.

– Stachu! Jest ten, co był u ciebie przed Bożym Narodzeniem.

– Kto?

– No, ten wąsaty w pompkach...

Pustulka wyszedł na dwór. Tym razem jegomość był w oficerkach, rajtkach i kurtce. Wesóło pozdrowił Pustulkę.

– Mam dla pana dobrą wiadomość.

– Żebym się nią nie udławił – pomyślał longardowski urzędnik, a tamten rzekł: – W tamtym roku była u pana pewna kobieta. Przypomniała panu jedno imię.

– Tak. Słucham.

– Czas, żeby pan wstąpił do konspiracji. Oczywiście w grę wchodzi Armia Krajowa. Inspektorat uzgodnił, że obejmie pan stanowisko kierownika oporu społecznego w powiecie. Nasz rząd w Londynie, po zorganizowaniu swoich sił zbrojnych w kraju, rozpoczyna organizowanie podziemnych władz cywilnych. Podsunąłem pańską kandydaturę i została ona przyjęta przez delegaturę.

– Co mam robić?

– Zachowywać się stosownie do okoliczności. Nasze siły zbrojne, zgodnie z tradycją, są apolityczne, ale stanowiska w służbie cywilnej, obsadzone przez delegata rządu na kraj, mają podstawy polityczne. Pańska przedwojenna działalność uznana została za pracę w ruchu ludowym i pod tym szyldem będzie pan występował. Widzi pan, klęska Niemiec jest nieunikniona, a zwycięstwo zdyskontuje Związek Radziecki. Zanim tak zwane mocarstwa zachodnie się opamiętają, będziemy mieć tutaj Czerwoną Armię. Stalingrad jest pierwszym zwiastunem tego, że wyzwolenie Polski przyjdzie ze wschodu. Mówię to panu szczerze, bo Mikołaj ocenia pana pozytywnie. Będziemy współpracować, a nie będzie to łatwe. Nasza..., powiedzmy..., no..., centrala nie jest zainteresowana tym, żeby tutaj powstawały jakieś mocne siły zbrojne i trzeba będzie tego dopilnować. Zbyt energiczne działania niektórych dowódców i jednostek w tym rejonie, biorąc pod uwagę nasycenie terenu przemysłem o specjalnym znaczeniu z punktu widzenia naszej... no..., centrali, nie będzie uważane za korzystne. Musimy, powiedzmy..., moderować zbytnią aktywność niektórych ludzi z myślą o przy-

szłości.

Pustułka skinął głową i przełknął ślinę.

– Pan był nauczycielem historii – kontynuował gość Pustułki. – Będzie pan miał w przyszłości możliwość rozwijania swoich zainteresowań. Możliwość rozwoju swoich zainteresowań to wielka rzecz. Kiedyś zapewne będzie pan autorem jakiejś monografii o działaniach zbrojnych ludowych partyzantów w widłach Wisły i Sanu. Pojutrze spotkamy się, przedstawię pana delegatowi. Z inspektorem będzie się pan komunikował przeze mnie. Będę o szóstej pod wieczór. Pójdzie pan za mną, lepiej żeby nas razem nie widywano. Będziemy mieli dwie godziny do godziny policyjnej.

– Dobrze... – szepnął Pustułka.

– No, to do zobaczenia...

Skrzypnęły drzwi komórki, buchnął na zewnątrz króliczy zapach; wysoka postać rozmówcy Pustułki roztopiła się w ciemności. Stuknęła furka. Pustułka odczekał chwilę i szedł do domu, ciężko przestawiając stopy, jakby „Ruszczyć” znowu najechał spółdzielnię i kazał mu przez całą noc nosić worki z cukrem.

Joseph i Rudi zdjęli kajdanki z rąk Janoskiego i wepchnęli go do zatłoczonej celi. Klucznik Demko zazgrzytał kluczem, trzasnął judaszem i poszedł za pracownikami gestapo, którzy mu nawet nie mruknęli do widzenia.

Janoski rozglądał się po celi; cała podłoga zajęta była przez siedzących ludzi. Stał chwilę, macając się po guzie na głowie, który mu nabił Ubfall, a potem przykucnął przy drzwiach. Było to najgorsze miejsce, bo ze szpary nad żelaznym progiem wiało, za to powietrze było czystsze. Naprzeciw Janoskiego siedział młody chłopak, który cały czas płakał. Pod oknem ujrzał znajomą twarz szanowanego kupca Alberskiego. Kupiec patrzył na Janoskiego bez wyrazu, za to jakiś starszy mężczyzna w cwikierze, który cały czas przecierał chusteczką, a w końcu schował szklą do kieszeni i patrzył na celę podpuchniętymi krótkowzrocznymi oczyma, powiedział:

– Jeszcze jedna ofiara. Trzeba się było najeść, bo tu trzeci dzień tylko chleb i kawa bez cukru.

– A z domu pozwalają coś przynieść? – spytał Janoski.

– Wybij sobie pan to z głowy – uniósł czoło z kolan i błysnął oczami jakiś nieznajomy Janoskiemu mężczyzna w eleganckiej jasnej marynarce z bielskiej wełny, poplamionej w kilku miejscach smarem czy olejem. – Przecież to cela zakładników. Niech się tylko co stanie, jakiegoś Niemca zabiją albo napadną, to pójdziemy pod mur.

– Za co?! – Janoski nagle wstał na równe nogi. – Przecież nic nie zrobiłem – zawahał się, bo mu się przypomniało pobicie żony i awantura w knajpie Abelkranza. I przypomniał sobie starego Abelkranza i jego słowa: „Może niedługo pan zrozumiesz, że to kobieta nie dla pana...”

– Tu wszyscy nic nie zrobili – rzekł mężczyzna w jasnej marynarce. – O, tego chłopaka – pokazał na płaczącego – zabrali od krów czy świń razem z bratem i kazali matce wybrać jednego, jeszcze jej powiedzieli, że albo obaj idą na śmierć, albo jeden. Wybrała starszego, bo tamten w gospodarce potrzebniejszy.

Janoski spojrział na płaczącego chłopca, a ten pociągnął nosem.

– Przestań, chuju, mleć tym ozorem, bo zanim cię postrzelą, to ci mordę zbiję – odezwał się ktoś z tyłu.

– Co w mieście słyszać? – spytał ten, który przecierał przed chwilą szkła cwikiera.

– Rzeka ruszyła, a przed dwoma tygodniami zabili dwóch policjantów na Srebrnikach.

– Żandarmów? – spytał ktoś.

– Nie, granatowych, Gawora i Tonczyskiego – rzekł Janoski.

– No, to jeszcze żyjemy, bo jakby tak Niemców, tobyśmy już byli... – ktoś się odezwał.

Janoski już nic nie powiedział, bo nagle jakby zasłona spadła mu z oczu. To przecież po to go wzięli, żeby już nie wrócił. – Adela... – i wstrząsnęła nim nagła wściekłość połączona z bezsilnością. – To ona..., ta kurwa... – przed oczami stanęła mu twarz Abelkranza i Kenicramówna. Ten w jasnej marynarce przysunął się do Janoskiego i szepnął:

– Biorą na rozstrzał po dziesięciu, a potem znowu czekają, do nowego jakiegoś.

– Zmówmy litanię za konających – powiedział siedzący przy ścianie starszy zarośnięty mężczyzna, w którym Janoski ze zdziwieniem rozpoznał proboszcza Wolnego. Dopiero gdy ten klęknął i zmienił pozycję, widać było, że jest w czarnej, poszarzałej od tynku i wapna sutannie, prawie bez guzików.

– Kyrie Elejson! Chryste Elejson!

Cela milczała, słuchając modlącego się, ale powoli mężczyźni zaczęli klękać i przy słowach: „Synu Odkupicielu Świata Boże”, wszyscy już klęczeli i powtarzali: – Zmiłuj się nad nami!

Chłopak przestał płakać, za to Janoskiemu napłynęły łzy do oczu. Otarł je dłonią i powtórzył razem z innymi: – Zmiłuj się nad nami.

Stach przyszedł do brata pod wieczór, bo tak celował, żeby nie zastać Osiniaka z kompanią. Próżna to jednak była ostrożność, bo Osiniaka, Papiaka i Bożeny nie było w chałupie Matrasa już od tygodnia. Pytany przyrodni Stacha wzruszał ramionami.

– Ani ich pytam, bo ten waryjot od razu się do leworwera bierze. Czasami ich nie ma kilka dni, czasami i tydzień. Teraz cieplej, to się dalej ruszają. Konia przyprowadzili, będzie z dziesięć dni jak mi krowę objadł z reszty siana. Nie powiedział Osiniak, czy masz mu robić papiery i sprzedać, no to stoi i żre. – Zarośnięta twarz Matrasa przybrała żałosny wyraz, kapka z nosa mu zwisała. Zatrokał się, przerabiał wargami żółtymi od samosiejki i w końcu wymamlał: – Co tobie! Siedzisz se spokojnie, a on mi się do Zuzki bierze. Dobrze, że ta Bożena jest zazdrosna i mu nie pozwala... ale i tak kiedysi, jak się upił, to się dobijał na posłanie do dziecka i ją w pysk trzasnął.

– Kogo? Zuzkę? – zdziwił się Stach. – Co mu zawiniła?

– Nie Zuzkę! Bożenę, bo go trzymała, bo zazdrosna...

– Ja bym to pojął, jakby Papiak się do Zuzki brał...

– Zrozum tu babę. I tego by chciała, i temu by dała... Ale przynajmniej dziecko całe. Na szesnasty jej idzie, ma czas. Teraz cieplej będzie, to ucieknie do lasa, ale kiedysi to na mrozie w lesie w koszuli stała, bo cholernik chodził od obory do domu.

– Wszystko to gówno – powiedział filozoficznie Stach. – Jest gorsza rzecz. Złapali mnie w Szczucinie na jarmarku, Mądry z drugim granatowym, i powieźli do Mokrego na posterunek. Wsadzili mnie do piwnicy. Całą noc siedziałem.

– Kto cię złapał?

– No, kto? Mądry z drugim i ten komendant Sobczak. Rano mówi godo mi tak: „Wiemy, że Osiniak z całą bandą u twojego przyrodniego siedzi. Twojego brata chałupy już nie ma i jego dzieci nie ma...”

– Co on godo? Przecież jest dom i dzieci...

– „Niemcy przyjadą i spolą razem z nimi” godo. Ale potem do mnie się czepił i znowu: „I twojego domu, Mikuła, nie ma, i twoich dzieci, i ciebie, i baby.” Niby, że znowu Niemcy.

Matras zastygł z otwartymi ustami i patrzył w przyrodniego z przerażeniem.

– To co?! Zostawić wszystko i uciekać? Przyszli, zdawało się, na jedną noc, jak Bożenie dom spolili... i siedzą..., przecież nie wygonię. Jeszcze mi życie miłe. Ten waryjot przecież i lżyka zabił pono, choć to jego kompania jeszcze sprzed wojny, ho! ho! I babę swoją zabił, to co?! Mnie nie zabije?! Co mam robić?!

– Ten komendant z Mokrego to ani ze mną długo nie godoł. Mówi tak: „Jak ty razem z przyrodnim Osiniaka i tej reśty nie sprzątniesz, to Niemcy przyjadą i po tobie, i twoim przyrodnim, i po dzieciach...” – zdyszał się nagle Stach i za czapkę chwycił; palnął nią o ziemię.

– Jakżesz ty ich zabijesz?! Czyś ty zgłupiał?! – Matras z niedowierzaniem patrzył na przyrodniego.

– Na śnie! Poostrzimy siekiery, ty jednego, ja drugiego, a z Bożeną to se potem damy radę.

– Na śnie? A ty wiesz, jak Osiniak śpi?! Lewolwer ma w ręce i całą noc go z ręki nie wypuszcza, a karabin przy łóżku stoi. Tamten znowu Bożenę na warcie stawia.

– Upić ich trza. Nie ma rady.

– Przepijesz to Papioka?! Zanim go przepijesz, to leżysz ty! A Bożena mało pije, tyle co do jedzenia. Głowa ją boli od wódki i rzyga potem cały dzień.

– Ale nie ma rady. Albo my, albo oni! Jak tylko się pokażą, goń do mnie Zuzkę, że z tym koniem będzie interes. Czasu nie mamy, zda nas komendant Niemcom i po nas.

– Matko Boska! Już się trzęsę! A jakbyśmy ich zabili, to nie będą nas Niemcy sądzić?

– Aleś ty głupi jak cap. Będzie tak, że nas naszli i my się bronili. Przecież ich Niemcy i policja szuko...!

– Szuko i nie może znaleźć, bo nie chce. Ile razy się z nimi strzylali! I Niemca zabili, i policjanta, i drugiego kaleką zrobili. I my ich mamy zabić?! Matko Boska!

– My! Bo po nas! Sobczak nie żartował.

To powiedziawszy, Stach nacisnął czapkę na łeb i poszedł, ciężko stawiając nogi i z trudem wyciągając je z błota.

Matras podszedł do pniaka, wyjął z niego siekiere, na której ostrzu znać było, że porała się z dębowymi korniakami, i z powrotem wbił ją w pniak. Zuzka wyszła z domu w rozczłapanych, niezasznurowanych drewniakach. Ojciec popatrzył na nią. Niska, szerokozada była Zuzka; cycata się od tamtego roku zaczęła robić, krosty jej z twarzy zeszyły; Bogiem a prawdą, od czasu, kiedy Osiniak ze swoimi znalazł u Matrasa siedzibę, to i dzieci jadły lepiej, bo znosili, to mięso, to kielbasę, a słonina była na słoninę, jakby ciągle się robiło świniobicie.

– Chodź, tato! Nagotowałam kaszy jaglanej ze skwarkami. Zjemy z mlekiem. Czego ujęk nawet do domu nie zaszedł?

– Spieszył się – Matras jeszcze raz rzucił okiem na tkwiącą w pniaku siekierę i poszedł za córką.

W mieście siedzibie podokręgu o nazwie konspiracyjnej Fala, w restauracji Śmigła, który miał koncesję na wykorzystywanie końskich resztek i odpadów poubojowych – różnych łat, powięzi, głów i kości, z których robił słynne kotlety mielone – wśród wrzaskliwej gromady furmanów, handlarzy byle czym, złodziei obrabiających wagony kolejowe, konfidentów policji i prostytutek, w kącie przy oknie na podwórzu siedziało przy stoliku dwóch ludzi.

Jednym z nich był sturmbanführer Tschajke, a drugim Świzda. Tschajke ubrany był w zniszczony wymięty garnitur, Świzda prezentował się lepiej, bo do cywilnych spodni założył kolejarską mundurową marynarkę. Obok na stole leżała kolejarska czapka z daszkiem udekorowana na przodzie kolejowym orłem z hakenkrojcem. Tak Świzda, jak i sturmbanführer mało odróżniali się od reszty gości Śmigłówki, jak bywalcy nazywali tę restaurację. Tak jak na innych stołach stała przed nimi półlitровка z monopolową wódką, a na talerzach leżały owe frykasy, z których słynęła restauracja. Oficer do specjalnych poruczeń pułkownika Budka zadbał nawet o to, żeby ubywało wódki w butelce, karmiąc nią co jakiś czas szparę w podłodze.

Sturmbanführer Tschajke mówił coś przyciszonym głosem, Świzda słuchał uważnie.

– ...Dochodzimy do wniosku, że nadszedł czas włączenia pana do akcji. Na mapie naszego rejonu działania pojawiły się punkty, które szczególnie zwracają naszą uwagę. Jednym z nich jest Miasto. Ten teren pan zna i jeszcze w okresie działania Związku Walki Zbrojnej dużo nam pan pomógł, informując o jego kierownictwie. Obecnie działalność wrogów Trzeciej Rzeszy nasiliła się tam znacznie. Przejawia się to w systematycznym wystrzeliwaniu naszych informatorów, przeszkadzaniu w odbiorze kontyngentów, napadach na Arbeitsamty i rabunkach. Ta część ludzi, która chciałaby z nami współpracować, jest po prostu zastraszana. Nawet anonimy dotyczące przestępstw i przestępców przestały do nas docierać.

– Dobrze – powiedział Świzda. – W ciągu miesiąca postaram się dać namiary na dowództwo obwodu „Ser” i inspektoratu „Książka”.

– Tak... – Tschajka chwilę myślał. – Nie! Jednak nie o to chodzi. Jeżeli zdejmemy dowództwo obwodu i inspektoratu, to odtworzą struktury i głębiej zakonspirują. Okazuje się, że ludzi im nie brak, pomimo prewencyjnych akcji dotyczących inteligencji i oficerów. Odtworzą i głębiej zakonspirują. Pańskim zadaniem będzie likwidacja lub paraliż dowodzenia i dowództwa oraz wprowadzenie na to miejsce ludzi

mniej lub zupełnie nieaktywnych. I działania w łonie organizacji. Jakież prowokacje polityczne czy finansowe, o to nie będzie trudno. Wiemy, że ludowcy z trudem znoszą dominację oficerów AK. Część ludzi będących w konspiracji nie ma z czego żyć, część może być podatna na zachętę pieniężną. Trzeba te wszystkie rzeczy wykorzystać. Organizacja ma być, ale nie działać lub słabo działać.

– Rozumiemy się chyba, że będzie to wymagało czasu – rzekł Świzda.

– Oby nie nadmiernie.

– Bardzo pomogła mi akcja ma więzienie. Być może, że będę musiał znowu się uwiarygodnić.

– Proszę mi to we właściwym czasie zasygnalizować. Zawsze coś znajdziemy. Aha! Czy ma pan dla mnie coś?

– Tak. Mam. – Świzda wsunął w dłoń sturmbanführera mały karteluszek. Powiedział szeptem: – Dotyczy Huty. Nazwisko, pseudo, adres. Dobrze byłoby załatwić to szybko, bo jadę tam na kontrolę i instruktaż. Gdyby to nastąpiło po moim pobycie, byłoby podejrzané. Prosiłbym o zniszczenie kartki.

– Rozumie się...

W południe przyszedł Henek, syn Korniaaka, i wyprowadził Chajkę z komory w zaciszny kąt pomiędzy gankiem a ścianą domu, żeby jej pokazać wracające z zimowych leży ptaki. W tym kącie tylko od pół można było zobaczyć kogoś, bowiem płot ogradzający sad bronił przystępu od południa i zachodu; dom chronił od północy, a od wschodu była odkryta przestrzeń pola uprawnego należącego do Korniaków.

Chajka lubiła nawet Henka, bo często z nią przebywał, starał się z nią rozmawiać o jej rodzinie, wypytywał o jej życie do wojny i nawet o święta, jakie obchodzili.

Po ochrzczeniu Chajki jeszcze więcej ze sobą przebywali, chociaż Henek ciężko pracował, bo Korniak nie trzymał parobka, a tylko do dojenia przychodziła z sąsiedztwa ciotka Hela, której za to płacił. Ta Helcia nieraz narzucała się z większą pomocą, chciała gotować i prać, ale traf chciał, że Korniak po śmierci żony trochę zdziwaczał i wszystko w domu robił sam z Henrykiem.

To jego dziwactwo pomogło w utrzymaniu w tajemnicy bytności Chajki u Korniaków, bo nie musiał popadać w konflikty przy pozbywaniu się z domu osób, których nie był pewny. Zresztą Chajka, kiedy tylko przyszła do sił, będąc z natury pracowitą, jak mogła, tak odpłacała się pracą w domowym gospodarstwie.

Wyszła za Henkiem z domu, stanęli, a potem usiedli na leżącym pniu starego jesionu, który Henek pokrył deską przybitą paroma gwoździami. Korniak lubił siadywać na tej desce pod wieczór, a nawet, jak nie było co robić, po południu; między sianokosami a żniwami to siedział tam, w niebo patrzył i chleb zagryzał okrawany z kromki kozikiem o drewnianej rączce.

Usiedli obok siebie i patrzyli w pogodne niebo, którym ciągnęły czarne klucze

dzikich gęsi i wyciągnięte na kształt płytkiego półkolistego grzebienia taśmy żurawi.

– Ale lecą! – dziwowała się Chajka. – Popatrz, tam znowu nadlatują dwa stada.

– Nie stada, tylko klucze. Taka gęś to duży ptak. Na półmisku by się nie zmieściła. A jak się drą?! Że im się nie nudzi? Cały czas gęgają.

Rzeczywiście, powietrze przepełnione było wysokim gęsim gęganiem i cienkim strukaniem żurawi, a w poprzek płynących na dużej wysokości ptaków, od pół w stronę Wisły leciały nisko stada dzikich kaczek i zapadały na śródpolnych rozlewiskach. Chajka patrzyła na przelot ptactwa, unosząc głowę, i w końcu powiedziała:

– Nad naszym domem też leciały czasami takie ptaki. Też wysoko, ale mniej ich było, dużo mniej.

– Bo omijają miasto, czego im tam szukać, a tu siadają na Wiśle i na łąkach.

Ojciec Korniak wjechał na podwórze końmi ciągnącymi na płozie pług, stanął, oplatał lejce na czepidze. Wyślizgany w glebie lemiesz świecił nad przebijającą się już murawą, jak ostrze noża.

– Po południu zbronujemy nad stawem – powiedział. – Jutro posiejemy jęczmień. Wyprzęgnij i daj koniom jeść, tylko niech spoczną. Jest co do zjedzenia? – spytał i szedł ku nim w rozpiętej koszuli. Czerniały kłaki w tym rozpięciu, otrząpywał cholewiaki do pół łydki unurzane w oraninie. Tupał. Chajce, kiedy spojrzała na jego pierś i te włosy przypomniał się Saul, mąż ciotki Miriam, zabity przed dwoma laty przez żandarma przy budowie wału. Saul miał takie same włosy na piersiach i Chajce dziwnie się zrobiło. Powiedziała:

– Jest kapuśniak z wędzonką i ziemniaki z kapustą i grzybami.

Chajka, w czasie gdy cierpiała głód, pomimo tego, że była przyzwyczajona do koszerne go obyczaju, jadła wszystko i wszystko jej smakowało. Nawet smakowała jej słonina, która był jakby uosobieniem niekoszerne go jedzenia. Teraz jednak, kiedy nie odczuwała głodu, pomimo chrztu i spowiedzi zaczęły w niej odżywać stare przyzwyczajenia i niezbyt chętnie jadła wieprzowinę, a nawet jej unikała, pozostając przy mleku, chlebie i cebuli, dopóki ta była. Kiedy pomyślała sobie, że wszystkie naczynia, w których jada, są trefne i u jej matki byłyby już dawno na śmietniku, to jedzenie rosło jej w ustach. Ale to trwało tylko do momentu, kiedy nie zgłodniała. Rzucała się wtedy i na niekoszerne jedzenie, myśląc o tym, że po wojnie wróci do obyczaju, jaki był u niej w domu.

Ojciec Henka zjadł, obtarł garścią usta, wstał, podszedł do wiadra z wodą, wziął blaszaną kwaterkę wiszącą na wiadrze, napił się, znowu wytarł usta.

– Ale ptactwo leci – patrzył na Chajkę, wiercił okiem. Pod jego spojrzeniem dziewczyna zarumieniała się i odruchowo skrzyżowała ręce przed sobą. Rosnące bujnie i gwałtownie piersi stały się od pewnego czasu cichym zmartwieniem Chajki.

– Oglądaliśmy z Henkiem...
– Patrzcie na boki. Ludzie to świny, może nam kto podścielić.
– Boję się tego chłopca, o którym pan mówił wtedy wieczorem. – Chajka nagle poczuła gorącą dłoń Korniaaka na swoim kolanie i usłyszała jego szept w ciemności komory.

– Nosacza?
– No, tego, co wyszukuje Żydów.
– On już nie będzie szkodził... – Korniak patrzył na Henka wchodzącego do kuchni.

– Kto – spytał Henek.
– A Nosacz... Stasia boi się Nosacza.
– Nosacz pojechał do Niemiec, albo gdzie... Nie ma go...
– To i spokój...
– Kobyła ma robaki. Wywaliła całą garść. Ale nie ruszają się.
– Dałem jej wczoraj soku z kapusty. Nie ma jak sok z kapusty na robaki – Korniak usiadł znowu na ślubanku.

Chajka podeszła do pieca, nalała do talerza gorącego kapuśniaku, zebrała chochlą boczku pokrajanego w kostkę, który uciekł na obwód garnka, bo jej się wydało, że Henek dostał mniej od ojca tego specjału, i ukrajała chleba, który piekł co tydzień gospodarz. Henek zaraz zasiadł do jedzenia.

– Będziemy bronować! – powiedział stary Korniak. – A ty już nie wychodź! Strzeżonego pan Bóg strzeże.

Pułkownik Budek miał podkrążone oczy i trzęsły mu się dłonie gdy zapalał papierosa. Przed chwilą wszedł Świzda, który równie jak pułkownik był poruszony otrzymaną przez łącznika wiadomością. W obwodzie „Stalownia” był nagły nalot gestapo i żandarmerii polowej na konspiracyjny lokal, w którym przebywał kapitan Konsul-„Malchus”, komendant obwodu. „Malchusa” aresztowano i natychmiast przewieziono do siedziby gestapo. W ucieczce zginął czternastoletni chłopiec, syn Malchusa.

– Tak czy inaczej, musi się pan, poruczniku, udać na miejsce. Obwodowi po takim ciosie potrzebna jest konsolidacja i wsparcie, a nikt się lepiej nie nadaje niż pan. Przekazałem już wiadomość do inspektoratu.

– Tak jest! – Świzda nie wyprężył się więcej niż było potrzeba. – Wezmę ze sobą „Olszynę”. Chłopak jest wypróbowany w niejednej akcji. Sprawdza się na każdym kroku.

– Tylko bez łączniczek, poruczniku – upomniał go pułkownik. – Życzę... Aha! Mam jeszcze jedną sprawę. Nasz rząd tworzy teraz załączki administracji terenowej w postaci instytucji oporu społecznego. Na stanowiska kierowników tej instytucji

w powiatach delegatura mianuje ludzi czasami bez odpowiedniego rozeznania. A będą przecież wtajemniczeni w szereg newralgicznych spraw. Proszę przypatrzeć się jednej kandydaturze. Gość był skazany na siedem lat za organizowanie strajków chłopskich. Wojna uwolniła go od więzienia na Świętym Krzyżu. Zaszył się w Mieście jako skromny pracownik w jakiejś niemieckiej spółce handlowej czy coś takiego. tam został w jakiś sposób odnaleziony przez ludowców. Wysuwają jego kandydaturę. Nosi pseudo „Smutek”. Komendant inspektoratu, Wigra, nie ma do niego zaufania. Proszę się temu przypatrzeć zaraz po powrocie z Huty. I proszę o raport.

– Tak jest! Odmeldowuję się!

Po wyjściu Świzdy pułkownik zamyślił się. Niby oficer rezerwy, ten „Jan”, ale zachowuje się jak oficer zawodowy. Trzeba będzie po wojnie zrewidować nasz pogląd co do rezerwistów. No, są jeszcze ci „czasu wojny” – skrzywił się pułkownik i pomyślał, że po wojnie trzeba będzie stworzyć specjalny korpus oficerski „czasu wojny”. Po tej konkluzji usiadł i powoli uspokajał się po nieprzyjemnych wieściach.

Po opuszczeniu lokalu konspiracyjnego Świzda przeszedł kilkaset metrów, a potem skręcił w boczną uliczkę i wszedł do małej cukierenki. Zamówił jakieś erzatzowe ciastko i herbatę z herbatolu. Mieszał w szklance łyżeczką, myślał. Wstał, podszedł do telefonu stojącego na stoliku u wejścia. Patrzył na właścicielkę i w momencie kiedy straciła zainteresowanie jego manewrami, szybko podniósł słuchawkę i używszy zgłoszenie centrali podał jakiś numer. Kiedy z drugiej strony odezwał się męski głos, powiedział półgłosem, ale wyraźnie, trzy liczby i odłożył słuchawkę.

Po jego telefonie sturmbanführer Tschajke założył marynarkę i wyszedł z budynku, w którym pracował. Wsiadł na rower i za chwilę znalazł się przy przejeździe kolejowym na torze prowadzącym przez małe osiedle do fabryki silników. Stamtąd spacerkiem udał się w stronę ruin starej cegielni, gdzie zaczynały się już zielenić wierzbowe krzaki nad kilkoma stawami. Nie czekał tam długo. Od toru kolejowego, ścieżką, podjechał Świzda.

– Mam być na terenie stalowni.

– Trzeba zorganizować odbicie Konsula. Ściągnąć jak najwięcej ludzi. W tym czasie zmniejszymy do minimum aktywność. Kiedy bandyci wejdą do akcji, damy im takiego łupnia, że na długo odechce się im wojaczki.

– Nie wiem, czy uda mi się to ad hoc tak zorganizować.

– Byłaby to wspaniała rzecz. Proszę się starać.

Oficer do specjalnych poruczeń wsiadł na rower, powoli pedałował w stronę miasta. Jeszcze tego samego dnia umówionym szyfrem prosił o ponowne widzenie z pułkownikiem. Pułkownik wyznaczył mu spotkanie w kolejarskim osiedlu na starym mieście i „Jan” dorzucił tylko do cywilnego niewymyślnego ubrania kolejarską czapkę z partajfoglem, którą często nosili kolejarze.

Pułkownikowi przystrojenie "Jana" bardzo się podobało.

– Chciałbym jednak – powiedział „Jan”, któremu bardzo zależało, aby pomysł odbicia więźniów wyszedł od dowódcy podokręgu – żebyśmy ustalili instrukcję co do naszego zachowania. Huta to mała miejscina. Ostatnio, kiedy tam byłem, Niemca ani na lekarstwo. Dopiero przed miesiącem zorganizowano tam sześć- czy ośmio-osobową komórkę gestapo. Dziwię się, jak mogło dojść do tej wyspy... Oni są przecież jeszcze niezorganizowani. Nasi ludzie, jak sądzę, są rozproszeni w okolicznych miejscowościach, a w miasteczku działa najwyżej jedna, dwie piątki. Zresztą, w tym wszystkim muszę się zorientować. Najbardziej zależy mi na samej stalowni. Produkuje dla frontu..., tam musi być organizowany sabotaż...

– Słusznie – przyznał mu rację pułkownik. – Ej, Konsul, Konsul! Taki oficer! Od rana o nim myślę...

– Wygląda na to, że to twardy człowiek i wyspy nie będzie.

– Co to można powiedzieć... Żeby się dało podesłać mu truciznę...

– To gestapo, tam w Hucie, to mały domeczek... Paru ludzi. Jakby tak ustawić się do tego czynnie...

– Myślicie...

– A jak było w Ochotnicy? Gorzej. I jakoś poszło... Tam..., w całym tym miasteczku, nie wiem czy będzie pięćdziesięciu Niemców, razem z obsługą próbującą działa przeciwpancerne po produkcji.

– Myślicie?

– Ja nic nie myślę. Ja wypełniam rozkazy.

– Zaraz tu będzie major „Lekki”. Przemyślimy to.

– Odmeldowuję się.

– Zostańcie. Porozmawiamy – Budek lekko odsunął franke. – Idzie major.

Major „Lekki” wszedł, przywitał się. Ciekawie spojrzął na Świzdę, z którym nie miał dotychczas kontaktu. Pułkownik już przejął jako swoją myśl, pomysł odbicia Konsula-„Malchusa”. Zaczął rysować plan akcji, chociaż major „Lekki” był bardzo powściągliwy w ocenie tych zamiarów.

– Trzeba byłoby uruchomić dywersję inspektoratu „Książka”, inspektoratu „Podstoli” i mieć oparcie w jakimś działającym zbrojnie oddziale, jak na przykład „Ruszczyca”...

– Jeżeli można coś powiedzieć – wyprężył się Świzda – to komendant inspektoratu „Książka” jest nastawiony..., powiedziałbym..., kunktatorsko. Po prostu będzie hamował. Gdybym otrzymał pełnomocnictwa od pana pułkownika, to zorganizuję ludzi na szczęblu obwodu „Ser”, podobowodu „Likiernia” i obwodu „Stalownia”.

– Kim możemy dysponować?

– Gdyby „Ruszczyca” żył, udałbym się do niego przede wszystkim. Ale, niestety,

nie wiemy na dzisiaj, co się tam dzieje po jego śmierci. Pozostaje oddział „Ojca Chrzyciela” zza Sanu...

– Narodowcy... – skrzywił się pułkownik.

– ...oraz – kontynuował „Jan” – dobrze zorganizowany oddział dywersyjny pod-obwodu „Likiernia” porucznika „Bławatka”, kilkunastu ludzi z obwodu „Stalownia” i zapewne kilkunastu ludzi z obwodu „Ser”. Ale tu nie mam rozeznania, bo konspirują się dokładnie, do tego stopnia, że komendant obwodu działa na własną rękę, bez uzgodnienia z inspektoratem i z nami. Najlepszy dowód to nieprzemyślana akcja z zastrzeleniem tych nieletnich dzieci...

– Znam „Delikatnego”, nic takiego o nim nie mógłbym powiedzieć – „Lekki” przypatrywał się Świździe. – Widziałem listy do gestapo pisane przez te, jak pan to nazywa, dzieci...

– Może to są tylko moje powierzchowne wrażenia – wycofywał się „Jan”.

– Sądzę, że tak... – powiedział „Lekki”.

– Czyli – podsumował pułkownik – oficer do zadań specjalnych, porucznik „Jan”, udaje się do obwodu „Stalownia” celem zorganizowania odbicia z gestapo Konsula, komendanta obwodu.

Kuba Bure Woły ostatni raz golił się przed miesiącem, więc kiedy tylko dotarli z Kosmykiem do pasieki Smoły, tak długo chodził za starym pasiecznikiem, aż ten zgodził się go ogolić.

– Ludzi jeszcze nie straszysz – mówił niechętnie Smoła, patrząc na długie na palec kłaki rzadkiej brody Kuby – a jeleniom i zaś dzikom to wszystko jedno, jak wyglądasz.

– Dajcie mu tę brzytew, Smoła – poparł Kosmyk Kubę – bo po nocach się czo-chra o posłanie, może mu tam mendy wlażyły. Mendy potrafią przenieść się i na brwi. Widziałem takie coś. – Kosmyk z niejednego pieca jadł i robił nawet w cyrku za łożącego po drabinie zawieszanej pod kopułą, sam wisząc na stopach. Smoła liczył się z jego doświadczeniem, ale dodał i swoje uwagi co do tych dokuczliwych żyjątek.

– Jakby to były mendy – uśmiechnął się pod wąsem, to trzeba by go ogolić i w kroku, i pod pachami, i brwi, i cały łeb, żeby na nim żaden włoszek nie został, a nie tylko brodę. W czasie tamtej wojny, w okopach...

– Nie mam żadnych mend – zgrzytnął Kuba. – Brodę chcę ogolić, bo mnie świędzi z tych długich włosów.

– A jakeś sobie dawał radę w obozie?

– Był fryzjer, co golił tępą brzytwą, ale kazał se dawać chleb – westchnął Kosmyk. – Ale on i zastrzyki dawał w żyłę, takie na wykończenie. Benzyna to była czy co. Jeden, jak dostał, to konał chyba z piętnaście minut.

Unieśli głowy, patrzyli w niebo. Zza lasu narastał świst i grzmot; pochyłili się, przybiło ich do ziemi.

– Pożytku nie będzie tego roku żadnego – mruczał Smoła. – A leśniczy tylko miodu woła i woła... Parę dni temu zaczęły się ruszać, trochę obleciały. Jak tak zaryczy, to po zbierających pszczołach. Z kwiatu spadną... No, dawaj tę brodę, mocz ją i mydliej, ogolę cię, bo ci brzytwy przecież do ręki nie dam.

– Brzytwy i żony się nie pożyczą – zaśmiał się Kosmyk.

Smoła usiadł, wyciągnął marmurkowy kamień, napluł na niego i uciskając palcem brzytwę począł uważnie suwać ją tam i na powrót.

– Kuna powinien dzisiaj wrócić – Kosmyk patrzył w ciemniejące niebo. – Na cholerę tam szedł?! Chcą go pany oficerzy oglądać, to niech przyjdą do lasa. Ale wam te ręce migają! – dodał z uznaniem, patrząc jak Smoła wecuje teraz brzytwę na wyslizganym pasie.

– Zaświeć karbidkę – Smoła próbował brzytwę na palcu. – Ciemno się robi...

Bronek obudził się wczesnym rankiem, a raczej obudził go grzmot i świst startującej rakiety. Po wczorajszej drodze bolały go mięśnie nóg i czuł dojmujący głód. – Za długo jeździłem samochodem – pomyślał – odzwyczaiłem się od chodzenia. – Rozglądnął się. Leżał w ciemnym pomieszczeniu na cienkiej warstwie szuwaru, maleńki świetlik zaciągnięty pajęczyną prawie nie rozjaśniał ciemności. Pamiętał z poprzedniego wieczoru szczekanie jakiegoś psa obiegającego podwórze i uciskanie go przez Kunę. Potem jakiś milczący człowiek wprowadził ich tutaj i zamknął za nimi drzwi, zamieniwszy z Kuną kilka słów przyciszonym głosem.

Nowotański zmarł w nocy. Twarda derka cuchnąca końskim potem, którą był przykryty, nie dawała ciepła; wstał, rozglądnął się po pomieszczeniu i zrobił kilka przysiadów i skłonów. Przytupał nogami. Kuny nie było, nawet posłanie obok Bronka, tak samo komfortowe jak to, na którym spędził noc, było już wyięble. Ostrożnie naciskając staroświecką żelazną dźwignię, kutą od młotka, otworzył drzwi. Jakby na ich skrzyp z niskiego, wpadniętego w ziemię obszernego domu, wyszedł stary człowiek, wysoki, trochę pochylony, i rzekł:

– Pośpij jeszcze. Oni zaraz przyjdą. Jakby kto się pokazał na podworcu, to nie wychodź, siedź cicho.

Bronek, który już chciał powiedzieć dzień dobry, cofnął się i zamknął drzwi. Usiadł znowu na pośłaniu. Sięgnął ręką, przyciągnął derkę z pośłania Kuny, dołożył do swojej. Ciężko tylko było bardziej, ale nie cieplej. Zasypiał.

Na powrót zbudziły go głosy na podwórzu. Zrzucił z siebie derki, podbiegł do świetlika, a raczej dziury w ścianie, wyciętej w belkowaniu. Przy studni stał Kuna ubrany w gumowy płaszcz, taki, jakie nosili żandarmi, ci z blachami na piersi. Płaszcz widocznie zdjęty był z dużego chłopca, bo dół miał nierówno obcięty i nieobrębiony; taką samą operację przeszły rękawy tego płaszcza. Spod płaszcza wystawały nogawki mundurowe portek feldgrau, wpuszczone w dobre buty z płytką cholewką, a na głowie miał Kuna sukienną furazerkę, bez bączka, ale z wielkim ułańskim orzełkiem. O studnie oparł Kuna karabin snajperski z lunetką. Towarzyszący mu jakiś mężczyzna, wesóły, bo co chwila szczyrzył zęby, ukazując dziurę po lewym siekaczu u góry, jakby śmiał się do tego słonecznego dnia, ubrany był pół cywilnie, pół wojskowo, w cągowe spodnie spięte nad rozdeptanymi butami sukiennymi spi-

naczami i w taki sam płaszcz, jak Kuna. Ten chłop trzymał przy nodze karabin bez pasa, za to z dość grubym postronkiem, przewleczonym przez ucha łoża i kolby, związanym na końcach dokładnie dratwą. Po małej chwili obaj ruszyli do szopy, w której nocował Nowotański. Weszli i Kuna mruknął:

– To ten chłopak. Trza mu dać jaki karabin.

Ten wesoły podszedł do Bronka i wyciągnął rękę.

– Jacek Kosmyk – powiedział i zaśmiał się.

Bronek uściśnął twardą, chropowatą dłoń, dziwnie małą, a Kosmyk znowu się zaśmiał i odwrócił do Kuny.

– Chyba z tych trzech, co pod sosnami – a tamten skinął głową.

Od lasu szedł ten wysoki staruch; niósł ramki ze starym woskiem, przeświecały jak sito.

– Idziemy! – znowu odezwał się Kosmyk, a Kuna, nic nie mówiąc wziął od starego parcianą torbę na pasie, dobrze wyładowaną, i dał Bronkowi.

Przeszli przez odsuniętą z dziury w płocie ni to bramkę, ni to uszczelnienie. Nie było tu leśnej ścieżki; doszli do niej po paru minutach wędrówki młodym sosnowym lasem, rzadkim i bez poszycia. Tu i ówdzie pomiędzy sosnami przeświecał żółty piasek. Za chwilę jednak zanurzyli się w bór i szli w milczeniu chyba ze dwie godziny. Bronek ostatni raz czuł się tak samotny i opuszczony podczas niewoli u Sowietów, kiedy strażnik, widząc jego uszkodzoną nogę, kazał mu stać i trzymać w rękach kamień. „Kto nie rabotaje...” – Co przede mną? – zadawał sobie pytanie. – Jak się przyjmę wśród tych prymitywnych przecież ludzi? Co dalej? Co dalej? – Szeptana z ust do ust sława Kuny wydała mu się przesadzona. Wiedział, że nazwisko Kuna ścigało na jego właściciela śmierć. Wiedział o spalonych domach, wyludnionych przysiółkach i wsiach w otocze poligonowych lasów. Wieści te docierały do Miasta od początku wojny, ale były jak bajki braci Grimm, które lubił czytywać będąc chłopcem – okrutne i przyjmowane do wiadomości bez emocji. – Teraz wszystko, co związane jest z Kuną dotyczy mnie bezpośrednio – myślał – a więc czyhające na Kunę niebezpieczeństwo czyha i na mnie i na mnie musi liczyć w takich chwilach i Kuna, i ten wesołek, i ja na nich. Obym ich nie zawiódł. – Karabin! Ostatni raz strzelał Bronek na obozie przysposobienia wojskowego w Krywej Wiszni. Pięć strzałów, dwa poza tarczą, dwa w siódemce, jeden w szóstce. Lepiej szło mu z flowerem. Ale przecież to się strzelało na leżaco. A tu jak będzie? Przecież nie na stojąco, a z zasadzki napewno.

Zatopiony w rozmyślaniach o mało nie uderzył nosem w głowę Kosmyka, aż musiał się odepchnąć rękami. Kuna zatrzymał się.

– Skręcimy do sosen. Niech ma od razu karabin. Strzelałeś już?

– Na strzelnicy. Pięć strzałów. I dużo strzelałem z flowera.

– A karabin to jaki był?

– Polski mauzer...

– To dobry...

Przedzierali się przez całe pole ostrężyn, aż wyszli na podnóże wydmiastego wzgórza, u szczytu którego rudziały pnie grubych sosen. Dwie leżały tu zwalone od lat, pozbawione kory; Kosmyk odmierzył pięć kroków od środka leżącej sosny i wydobywszy z torby, którą niósł na pasie, kawał sztywnej blachy, zagłębił go w ziemi. Odrzucił mech, kopał chwilę, aż włożył rękę i szarpnąwszy, wy dobył dokładnie owinięty w tłusty kawał szmaty podłużny przedmiot.

– No, masz! – powiedział do Bronka. – Dokładnie go oczyścisz, tam gdzie będziemy, i wtedy dostaniesz naboje.

Nowotański odwinął zaoliwione opakowanie karabina i rzucił na ziemię. Na broni było sporo piasku, który przywarł do oliwy; pięćka kolby nosiła ślady rdzy, ale zamek i lufa wydawały się bez zarzutu. Dotknął rączki zamka, ale Kuna powstrzymał go.

– Nie rusz tego! Dopiero jak wszystko wyczyszczysz do ziarenka, to ruszysz zamek. Potem ci go przestrzelam. Naboi mamy mało, ale mnie wystarczy jeden, żebym wiedział, jak bije.

– Zamaskuj dziurę – powiedział Kosmyk. – Tam są jeszcze dwa. A my se siądziemy, bo co mamy stać.

Pół godziny co najmniej Bronek zakopywał szmaty, wyrównywał piasek, znosił igliwie, maskował zruszony piasek starym mchem. W końcu Kuna skinął głową.

– No, będzie. – Popatrzył jeszcze na stopkę kolby i rzekł z niezadowoleniem: – Mało oliwy. Jakbyśmy trafili jakie auto albo motocykl, to trza spuścić oliwę.

Kuba Bure Woły spał i chrapał, aż się rozlegało. Kosmyk zezłościł się.

– Ty to myślisz tyle co nie! Przecież już cię raz Niemcy z ziemianki wyprowadzili!

– Oni ziemię gryzą! – obruszył się Kuba. – I wtedy przy jedzeniu mnie naszli.

– A teraz by cię naszli na spaniu!

– E, ja śpię czujnie! Ugotowałem tej kaszy, co reszta została z Siekierzyc – zmienił Kuba temat. Przypatrywał się Bronkowi uważnie, wiercił w nim oczami.

Bronek poznał Kubę od razu. Kuba Bure Woły był zbyt znany w Mieście, zbyt rzucał się w oczy, żeby jego twarz zapomnieć. Pamiętał nawet jego wrzaski na rynku. „Nie kupujta u mojej mamy borscu...” I nagle Bronek uprzytomnił sobie, że ostatni raz widział Kubę oko w oko podczas awantury, którą wywołał Riegel, nie chcąc zapłacić Cygankowi Jasiuli za jego tańce. – Pozna mnie, czy nie pozna? Nie pozna, przecież on był wiecznie pijany, zresztą to półidiota – myślał Bronek, nie wiedząc, że Kuba nie raz, nie dwa rozpamiętywał to przedwojenne spotkanie, bowiem Riegel zbyt dokładnie mu się przypomniwał podczas tortur na gestapo. Pamięta Kuba do dzisiaj smak szmaty, którą podnosił z podłogi zębami na stół zamiast czapki Riegla. Pamięta

twarz gestapowca pochylającą się nad nim z satysfakcją, kiedy oprzytomniał po straszliwej chłości, i te jasne jak słoma owsiana włosy. Wielokrotnie wracał w myślach do tej chwili, w której się naraził Rieglowi – o Jasiulę wtedy poszło – dwóch ich było, a ten drugi student też się do niego rzucał, tyle że czarny był, pewnie teraz też gestapowiec.

– Dobrze, że wtedy ten policjant przyszedł – rozpamiętywał Kuba – bo byłbym tym studencikom wpierdolił i ten gestapowiec toby mnie nie tłukł po dupie i do obozu wysłał, tylko od razu zaprowadził na cmentarz, jak tamci Marusię. Patrzył teraz na Bronka, a ten wracał myślami do tego samego wydarzenia i nieswojo mu się zrobiło. – Riegel już wtedy pokazał narodowo-socjalistyczne pazury, a ja myślałem, że to w dalszym ciągu jest ten Heinz, z którym bobrowałem z koszem po rzeczce za rybami, jadłem w jego domu rosół z kury, a on w moim pił herbatę z sokiem. I ja myślałem o dozgonnym pożyciu z Utką, że będę leśnikiem albo weterynarzem, a ona leśniczyną, jak pani Freyowa...

Kuba oderwał wzrok od Bronka, ciągle myśląc, dlaczego ten chłopak w wyszmelcowanej oliwą gimnazjalnej czapce tak mu się ukradkiem przypatruje, i sięgnął po ścierkę. Ujął żelazniak stojący w dziurze ziemiankowej kuchni i wyciągnął dymiącą kaszę. Kosmyk złapał za łyżkę. Dla Bronka zabrakło łyżki, ale była drewniana wystrugana przez Kubę warzecha. Bronek włożył jednak rękę do torby i wyciągnął harcerski zestaw – łyżkę razem z widelcem. Kuba nakrajał tymczasem do obitego rondla słabo ogolonej słoniny, z której tu i ówdzie sterczała szczeć, i postawił na dziurze. Kiedy zaskwierczała i zaczęła pryskać, postawił na ławie z dwóch ociosanych drągów. Bronek zobaczył, że każdy z mieszkańców ziemianki robi na środku dziurę w kaszy i nakłada tam tłuszcz i skwarki. Kuna robił to w przykrywce z menażki, Kosmyk na glinianej misce, a Kuba w rondlu, w którym podsmażał słoninę. Bronkowi przypadła drewniana deska zestrugana w środku. Ta zgrzytająca w zębach kasza to było coś tak smacznego, że Bronek oczyścił deskę do ostatniego ziarnka.

– Mieliśmy i naczynia – rzekł Kosmyk, odetchnąwszy po jedzeniu – ale naszli Kubę Niemcy i spalili wszystko, tylko blachy z pieca zostały. Dobrze, że granata w postaniu nie znaleźli i jak się paliło, to wybuchł. Tośmy zaraz wiedzieli, że coś nie tak, i zastąpiliśmy im drogę. Lasem się przemysłali i Kubę na postronku prowadzili, jak Cyganie niedźwiedzia, co tańczy. Lasem się przymykali obok duktu, takie cwaniaki z miodem w uchu, i musieliśmy ich na drogę wywabić. Jak już za mną wlecieli na drogę, to Władek ich postrzelał tak szybko, że prawie na kupie leżeli. Ten to ma oko!

Wąskie wargi Kuny rozciągnął uśmiech, poruszył blizną, ale nic nie powiedział, powoli dojadł z menażki.

– Szoruj ten karabin – rzekł nagle do Bronka Kosmyk. – Żeby lśnił jak psu jaja.

Karabin nie miał pasa i Bronek podczas nocnego milczącego marszu, w którym podążał, trzymając rękę położoną na ramieniu Kuny, piastował go na wszystkie sposoby, aż w końcu położył broń na ramieniu i dłoń opierał o stopkę kolby.

Zadziwiająca umiejętność Kuny chodzenia po lesie w nocy wywarła na Bronku wielkie wrażenie. Już wczoraj, kiedy tak szedł za Kuną w ciemnym zupełnie lesie, ostrzegany z rzadka mrukliwymi uwagami w rodzaju: – Uważaj! będzie wąsko, tu będzie rów, a potem skęcimy i będzie luźniej, uważaj! tu dzicza ścieżka, pochyl się – czuł, że uczestniczy w czymś niesamowitym i tajemniczym, ale sądził, że ta umiejętność Kuny dotyczy świetnego rozeznania w najbliższym otoczeniu pasieki i ziemianki.

Dzisiaj jednak, kiedy wędrowali w milczeniu rzędem prawie całą noc, czasami idąc szerszym duktem, nad którym widziało się wygwieżdżone niebo i Bronek łowił wzrokiem znajome gwiazdozbiory, a potem nagle skęcili w las i znowu trzeba było położyć rękę na ramieniu Kuny Bure Woły, a po dwóch godzinach znowu przecinali jakąś leśną drogę, przy czym Orion, widoczny przedtem na przedłużeniu duktu, w tym akurat miejscu był zupełnie skryty za koronami drzew, a przed Bronkiem na przedłużeniu drogi ukazywały się tylne koła Wielkiego Wozu – chłopak czuł się uczestnikiem jakiegoś misterium, przy którym jego doświadczenia harcerskie i w marszach na azy-mut bładły jak dziecinne zabawy.

– Stąd pięć kilometrów będzie zaczynają się bunkry ze strażą poligonu. Tu już mogą podchodzić patrole z psami. Pójdziemy kołem, trochę polami, trochę skrajem – mówił półgłosem Kuna. – Potem pójdziemy zupełnie w pole i przez dzień będziemy w zagajniku albo w olszynie. W nocy pójde do Łosiowa. Może doktor ma coś do mnie. Jak te Niemcy, co będą udawać spadochroniarzy, będą mnie szukać, to im ktoś może wskazać doktora. Trzeba mu powiedzieć, co i jak. A potem pójdziemy w inne lasy i dopiero jak będziemy już ich mieli, tych zrzutków, jak na widelcu, to wrócimy.

Ruszyli znowu a Kuba klął i syczał, bo mu onuca natarła bąbel na stopie. Zatrzymał ich w końcu Kuba, usiadł i przewijał onucę.

– Ty zawsze niedorobiony – sarkał Kosmyk, który chętnie by już zaległ i przespał się.

– Pocałuj mnie w dupę jak w beczkę miodu – replikował Kuba. Zgrzytał zębami.

– No, jazda – Kuna ruszył, a oni za nim.

Nad ranem zaszyli się w sosnowy zagajnik w polach, na którego skraju miał Kuna kiedyś ziemiankę. Zostały po niej jeszcze ślady w postaci zagłębienia i wystających z ziemi palików.

Kiedy się zupełnie rozjaśniło, widać było na horyzoncie dymy jakiejś wsi, a nawet doszedł Bronka uszu słabiutki świst niewidzialnego pociągu.

– Jaśkowe – powiedział Kosmyk. – Jakbyś się tak wybrał, to na wieczór byłbyś

w Mieście.

Kuba zawsze z rana myślał lepiej niż wieczorem i teraz, w tej świeżości rośniętego prześwietłego słońcem poranka spojrzął na Bronka i pod tą zaszmelcowaną olejem samochodowym gimnazjalną czapkę rozpoznał twarz, którą mu tak brutalnie przypomnieli w budynku gestapo Riegel. Patrzył teraz na Bronka z obrzydzeniem i podejrzliwością.

– To ty, studenciku, wtedy byłeś z tym gestapowcem, jakem was czeplił o Jasiulę! – wrzasnął.

Bronek od dziecka reagował na zaskoczenie zmieszaniem uwidaczniającym się gwałtownym rumieńcem. Teraz spłoszył, jakby go pierwszy raz pocałowała dziewczyna. Kuna patrzył na niego uważnie, a Kosmyk wyszczerzył dziurę w zębach. Obaj nie mieli cienia uśmiechu w oczach. Bronek opanował się i jakby pierwszy raz Kubę zobaczył, powiedział z udanym zdziwieniem.

– Matko Boska! Toż to Kuba Bure Woły! A ja cały czas myślałem, skąd ja ciebie znam...?!

– Jakie Bure Woły? – Kosmyk ślepił to na Kubę, to na Bronka.

– No, jego tak nazywali!

– Nazywali! Wołali na mnie Kuba albo Nietupała. A Bure Woły to mnie nazywali jakem we dworze przy wołach robił! A on z tym gestapowcem, co mnie w Mieście tak prał, nimem do Pustkowa poszedł, był jakem mu czapkę zwałił.

– Bure Woły! – cmoknął Kosmyk. – Z jakim on był gestapowcem?

Kuna wiercił wzrokiem w Bronku, a ten powiedział błagalnie:

– Ludzie! Co wy ode mnie chcecie?! Chodziłem z Rieglem do szkoły od pierwszej klasy gimnazjum. Nawet przyjaźniłem się z nim. Ciągłe bywałem z nim w Hohenhofie i ciągle on u nas w domu siedział. Skąd mogłem wiedzieć, że wyrośnie z niego taki skurwysyn. Wtedy, co była sprawa z Kubą, tośmy wracali ze szkoły po rozdaniu świadectw czwartej gimnazjalnej. Mieliśmy iść do liceum. Przyczepił się do nas taki Cyganek. Riegel kazał mu tańczyć i nie chciał płacić za te tańce. I wtedy przyszedł Kuba. Złapał Riegla za koszulę. I rozgonił ich policjant. A ja Cygankowi zapłaciłem. A po wejściu Niemców dowiedziałem się, że Riegel jest w gestapo. Raz spotkał mnie na mieście, kiedy pracowałem na budowie u Keniga, i zaprosił do restauracji. Poszedłem, bo co miałem robić. Wyraźnie chciał mi zaimponować. Od tego czasu unikałem z nim spotkań, a on chyba nie starał się o to. Teraz jedna z kobiet, która jest w organizacji, dowiedziała się od kochanki gestapowca Skolaski, że mam iść do Pustkowa z rozkazu Riegla. Ostrzegła mnie...

– To Ewa Bołda – powiedział milczący dotychczas Kuna. – Ona donosiła na mnie i na moją rodzinę...

– Ta kobieta podpuszcza ją, wyciąga z niej różne wiadomości, nieraz się to przydaje. I przydało, bo się dowiedziała o tym Pustkowie...

- Czego on się tak na ciebie zawział? – spytał Kuna.
- A bo... – zaczął się Bronek – bo myśmy się mieli... z jego siostrą, Utką..., ona teraz jest wdową, bo jej męża zabili na froncie..., no i...
- O co? – zaśmiał się Kosmyk. – Dupcyłeś mu siostrę, co? A to ci...
- Ale ona jest... – chciał powiedzieć: za mną, kocha mnie czy coś takiego, ale po-przestał na precyzyjnym określeniu Kosmyka i zakończył: – Musiałem uciekać. Mieli mnie przerzucić do „Ruszczyca”, ale „Ruszczyca” zabili..., a potem pan Kuna przy-szedł...
- Dobrze! – rzekł nagle Kuna i zaczął grzebać w torbie. Wyciągnął kłębek gru-bego lnianego czy konopnego sznurka i rzucił Bronkowi. – Uwiąż se ten karabin, póki jakiego pasa nie skombinujemy. A jakbyś ty coś nie tego, to u mnie szybka rozprawa. Niech cię ręka Boska broni.
- Jak możecie – wyszeptał Bronek, dotknięty do żywego. – Od początku wojny u nas było radio, wprowadzie Niemców nie zabijałem, ale od początku jestem w AK, zagrzebany w robocie może wcześniej od was! – zezłościł się.
- Pójdiesz ze mną na noc do doktora – zakończył sprawę Kuna. – Musimy go przestrzec o tych zrzutkach. Żeby jak przyjdą, to zaraz doniósł do policji...

Rozpadało się kwietniowym deszczem i lało trzy dni. W tym słotnym czasie, kiedy spragniona urodzaju ziemia piła chciwie, a łąki pokrywały się bujną trawą i żółciły splachciami jaskrów i kaczeńców, w pobliże Huty ściągały powiadomione przez łączników oddziały i pojedynczy ludzie. Zza rzeki podeszły dwa plutony oddziału „Ojca Chrzyciciela” i przepawiły się z niemałym trudem przez wezbraną wodę. Zapadły potem w bezruchu w dwóch opuszczonych stodołach za wałem i tyl-ko nocą wyszedł od nich człowiek i spotkał się ze Świzdą i jego adiutantem, którzy swoją kwaterę założyli w Prośnicy Okrągłej, oddalonej o trzy kilometry od przy-szłego teatru wydarzeń. Prawie czterdziestu ludzi „Bławatka” z Dzikowca ściągało przez dwa dni koleją i pieszo do starego magazynu soli, jaki im przeznaczono na pozycję wyjściową. Z samego obwodu „Stalownia” ściągnęło kilka uzbrojonych patroli i zapadło w samym mieście na melinach.

Wszyscy ci, w większości młodzi chłopcy dyszeli żądzą walki i wiedzieli, że muszą rozbić budynek gestapo i uwolnić kapitana Konsula-„Malchusa”, którego wielu z nich znało jako inżyniera Konsula pracującego w Hucie.

Z obwodu „Ser” nie było nikogo; tak komendant „Delikatny”, jak i zastępcą komendanta inspektoratu „Książka”, uważali pomysł z odbiciem „Malchusa” za zupełnie poroniony. Major Wigra, inspektor, wysłał łącznika do komendanta podo-kręgu z prośbą o rozmowę. Wtrącanie się oficera do specjalnych poruczeń w pracę inspektoratu i organizowanie akcji, która mogła kosztować życie wielu młodych ludzi, a nie miała szans powodzenia, spowodowała wściekłość Wigry i ten zrówno-

ważony i poważny oficer zdecydował się na krok ostateczny. Postanowił sam udać się na miejsce przygotowywanej akcji.

W Mieście w owym czasie łaskami krajslandwirta cieszył się inżynier Winczkowski, który miał zarejestrowaną firmę melioracyjną i doskonałe papiery, a w tej firmie samochód osobowy opel olimpia pędzony holtz-gazem. Organizacja często korzystała z tego samochodu, więc inżynier, acz niechętnie, ale zgodził się na dosyć daleki wyjazd. Nie chcąc wtajemniczać kierowcy w sprawę, która może kosztować głowę, samochód prowadził sam. Obok siedział „Wigra” zaopatrzony w fałszywą kenkartę na nazwisko Adam Sobkiewicz i zaświadczenie z podpisem i pieczęcią krajslandwirta, a na tylnym siedzeniu, obok kotła produkującego holtz-gaz, siedział „Czeresznia”, również opatrzonej kenkartą i szeregiem świstków.

W Hucie nic nie wskazywało na to, że wieczorem odbędzie się zmasowany atak zgrupowania dywersji Armii Krajowej ściągniętego z dwóch inspektoratów. Miasteczko było nadal senne i przyciśnięte wojną; tak jak w innych miastach, na obrzeżach, gdzie przedtem mieszkali Żydzi, straszyły pustką niezamieszkane jeszcze domy, a na tej przestrzeni, pomiędzy Hutą i małym galicyjskim miasteczkiem Rozłógów, stały rzadko porozrzucane chałupy lasowiackiej wsi, na terenie której pobudowano Hute.

Znalezienie w tej sytuacji Świzdy i jego adiutanta wydawało się kwadraturą koła, ale „Czeresznia” miał kontakt z „Bławatką”, któremu jako oficerowi służby czynnej też nie podobała się ad hoc organizowana akcja. Oficer ten, pomimo odwagi przechodzącej czasem w brawurę, której kilkakrotnie dawał dowody, coraz bardziej nie wierzył w powodzenie operacji. W zimnych i mokrych magazynach solnych, gdzie byli zamknięci jego ludzie, kilku przeziębionych już chorowało, a ich kaszel i nastroj zaczął deprymować resztę.

„Bławatek” sam starał się sprawdzić stan liczebny Niemców na osi uderzenia swojego oddziału, który miał blokować dostęp do miasta werkszucom z Huty i fabryki, i stwierdził, że strażę przy Hucie podwojono, a na terenie fabryki rozmieszczono jednostkę żandarmów i ukraińskich nacjonalistów-esesmanów w niebieskich, podobnych do lotniczych, mundurach.

Wydawało mu się to podejrzanym i jechał na rowerze z tą wiadomością do Świzdy, który zbył go powiedzeniem „strach ma wielkie oczy!” „Bławatek” wrócił do magazynów i tam zastał „Czeresznę”, który wypatrywał go z niecierpliwością.

Po gorączkowej wymianie zdań, przerażony możliwością hekatombi najlepszych ludzi „Czeresznia” pobiegł do samochodu stojącego opodal na podwórzu u znajomych inżyniera Winczkowskiego. Nie mniej przerażony od „Bławatki” i Czereszni „Wigra”, nalegał na spotkanie z oficerem do specjalnych poruczeń podokręgu i inżynier, z duszą na ramieniu, uruchomił swój dymiący wehikuł.

W Prośnicy Okrągłej zastali Świzdę i jego adiutanta przy śniadaniu. Zajechanie

na podwórze samochodu i wyjście Wigry i „Czereszni” wywołało furię oficera do specjalnych poruczeń. Świzda znał Wigrę z jednego kontaktu w podokręgu i dobrze zapamiętał jego fizjonomię. Zdusił w sobie jednak wściekłość, chociaż wiedział, że przyjazd tej dwójki rujnuje dobrze przygotowany plan sturmbanführera.

„Wigra” popatrzył na oficerki Świzdy i jego adiutanta, na odstające lewe piersi marynarek, na bryczesy, i powiedział zjadliwie:

– Panowie urządzają tutaj, ja wiżu, cesarskie manewra?!

Koleje losu Wigry, armeńskiego księcia, byłego oficera lejbgwardii, uczestnika walk z bolszewikami nad Donem i na Kubaniu, rzuciły go przez Odessę i Paryż do Polski, gdzie zdążył odbyć kampanie wojny bolszewickiej i pozostać w wojsku nowej ojczyzny. Mówił doskonale po polsku, ale w chwilach zdenerwowania wtrącał słowa i zwroty rosyjskie.

– Pan, panie majorze, z całym szacunkiem dla pana, może rozmawiać z podokręgiem, ale moje pełnomocnictwa pozwalają mi na to, aby pan nie kwestionował planów komendanta podokręgu, ani nie obrażał mnie – powiedział błąd jak śmierć Świzda.

– Pomimo pańskich pełnomocnictw wydaję rozkaz natychmiastowego rozformowania pańskich oddziałów i bezpiecznego dotarcia na miejsca pracy konspiracyjnej.

– Będzie pan miał Konsula na sumieniu!

– Konsula już nie ma w mieście. On na gestapo w dystrykcie. Ja to wiem, a pan, organizujący akcję, która może przynieść tyle ofiar, tego nie wie?!

– Pan bierze odpowiedzialność!

– Tak jest! Taki rozkaz otrzymał też komendant podobwodu „Likiernia”, Brussek!

– Zastosuję się do rozkazu pana majora, niemniej opinię moją przekażę podokręgowi i okręgowi.

– A ja, znajecie, imieju! Kańczać to!

W tym momencie na podwórze wszedł jakiś człowiek, w którym na pierwszy rzut oka można było rozpoznać partyzanta. Świzda rzucił na niego okiem i rzekł niezadowolony:

– To od „Chrzyciela”. Dlaczego oni się tutaj włóczą?! Cały czas myślą, że są w lesie pod Janowem.

Adiutant wybiegł. Chwilę porozmawiał z chłopakiem, który gestykułował, pokazując coś ręką w stronę Huty. „Olszyna” wbiegł z powrotem. Był poruszony.

– Podporucznik „Sęk” melduje, że na osi ich natarcia zwiad wykrył Niemców w starej szkole. Około kompanii. Nie mają rozeznania, ale wygląda to na jednostkę pomocniczą.

Świzda żuł przekleństwo.

– Kańczać! Likwidować tę kwaterę, bo im Niemcy dom zgoriat! – rzekł „Wigra” i krokiem człowieka zmęczonego wyszedł z domu, a „Czeresznia” za nim. Nie uspokoił się jeszcze, bo lokując się przy mocno przestraszonym inżynierze, powiedział:

– Naczytali się książek Karolusa Maja.

XXI

Gienka Mikułowa, żona Stacha Mikuły, wstała dzisiaj wcześniej niż zwykle, bo jedna z krów była na ocieleniu i nie daj Boże, gdyby cielę się udusiło lub co innego nie dopatrzyła, to dałby jej Stach do wiwatu. Dałby jej Stach, ale i strata byłaby ogromna, więc dwa razy wstawała w nocy, ale i teraz, chociaż z niewyspania spuchły jej powieki, poszła do obory.

Kiedy za drugim razem wstała, jeszcze w ciemnej nocy, to Stacha już nie było w domu. Wiedziała, że umawiał się ze Zdziechem, chłopem z Łyskowa, na bicie świni. Zdziech skłócony był z sąsiadami i trzeba było świnię najpierw zdusić postronkiem założonym na szyję i obracany na tęgim kołku, żeby nie dała kwiku, a potem palnąć w łeb, no i zaraz spuścić krew. Stach był specjalistą od takich bezgłośnych ubojów i raz nawet bił świnię w Mokrym, tuż przy posterunku policji granatowej, jeszcze wtedy, kiedy żandarm Niemiec był komendantem i można było nawet ołowiu w czaszkę zarobić przy takim ryzyku.

Poogłądała Łysą Stachowa, ale bydlę spokojnie leżało i przeżuwało, więc uspokojona poszła do domu. Nie kładła się już, rozpałała pod blachą, nastawiła jeszcze więcej wody, od wypadku w razie czego, nastawiła ziemniaki dla świń. Zaglądnęła do żeleźniaka, w którym zagotowała kawał plastra pozbawionego miodu, a był to odwar, który wlewano w krowę, gdy zbytnio parła po porodzie, i usiadła na ławie. Skrzyżowała na podołku spracowane czarne dłonie, pełne pęknięć i zadarc, z grubymi, poogryzanymi paznokciami. Rzuciła okiem na stary zegar z pociemniałym cyferblatem, jeszcze wianny, i z uciechą pomyślała o tym, że taki biały dzień w grudniu to jest dopiero po ósmej, kiedy dzieci już są w szkole, a dzisiaj o pół do szóstej i książkę można czytać, gdyby się tak chciało. – Za chwilę zbudzę Kazka i Antolkę, niech idą, a po drodze wstąpią do kościoła. Siedem kilometrów do Mokrego, cała mila; jak wyjdą rano, tak po południu wracają. Przydałyby się w domu, ale szkoła szkołą – myślała.

Zaszeleściło; najmłodszy, trzyletni Staszek, co imię dostał po ojcu, tupał bosymi piętami po glinianym toku i trzymał się garścią za dziurę w barchanowych kale-

sonkach. Doleciał do szaflika, gdzie stały pomyje dla świń, wyjął stojącego jak patyczek kutasinkę i siurnął ostro z ulgą i uciechą, że się nie zlał do łóżka, bo ciągle mu się śniło nad ranem, że stoi nad szaflikiem i zdarzało mu się zmoczyć. Odetchnął Staszek, oczy przetrął i poszedł do komory, gdzie dzieci spały w jednym łóżku.

Popatrzyła Stachowa w okno, ktoś otwierał furtkę; Zuzka od Matrasa z Dołów, przyrodniego męża.

Aż się zdziwiła Stachowa, bo raz, że Zuzka rzadko przychodziła do ujka, bo zawsze miała huk roboty w domu, a dwa, że od ostatniego widzenia taka się z niej baba zrobiła, tęga, obsiadła, w tyłku szeroka, i cycata, chociaż dopiero jej na szesnasty idzie. Przypomniła sobie Stachowa, że matka Zuzki też taka była, chociaż potem pochorowała i umarła. A Zuzka już wchodziła w drzwi.

Zdyszana była, sukienka jej chodziła na piersiach, między palcami bosych stóp wyciskało się błoto.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – Matras pobożnie dzieci uczył. – Jest ujek?

– Nie ma. – Stachowa niechętnie patrzyła na Zuzkę. Coś wiedziała o interesach męża z Matrasem i ludźmi, którzy u niego przebywali. Niby był z tego profit i handle, i nawet za te konie, jakie co pewien czas stały, trochę dolarów w skrzyni i w skrytce za belką w komorze, ale to jest tak, póki dobrze, a jak się zaczyna źle, toby się i wszystkiego odrzec chciało.

– A gdzie jest, ciotko? Poleciałabym po niego...

– Gdzieś na Łyskowie albo na Łyskówku. Tyle wiem. Wieczór pewnie będzie.

– To tata kazał powiedzieć, żeby przyszedł po tego konia, co u nas stoi.

– Powiem mu – zerwała się Mikułowa. – Kazeł! Antola! Wstawać, bo się spóźnicie! Patrzę, bo Łysa ino, ino ma się cielić.

– Pomogę wam, ciotko – ofiarowała się Zuzka.

– I co? Dom zostawisz? Pogłodnieją tam!

– Nie... – Zuzka przyzwyczajona była do niepuszczania pary z gęby o Matrasa gościach i nie powiedziała, że Bożena tam gospodaruje, bo połówkę świni wczoraj z wieczora przynieśli i teraz tam smażone, pieczone, a ojciec wędzarnię przygotował zrobioną ze starej skrzyni; kawały słoniny z mięsem zasolili i leżą tam, nabierają. Jutro będą wędzić.

Od rana też zaczęli pić, chociaż w nocy, jak przyszli, to też się upili, i ojca upili, tylko Bożena owinięta w kozuch drzemała w ganku z kolbą karabinu między stopami.

Stach przyszedł jeszcze przed wieczorem i kiedy Zuzkę zobaczył, odetchnął głęboko i nabrał powietrza w płuca parę razy, a twarz mu przybladła, bo po jej obecności poznał, że to, co się odwlekało przez nieobecność Osiniakowej kompani, nagle

stało się dzisiejszą koniecznością. Żona wołała go do obory, zaniepokojona, bo cielę urodziło się z grubą jak pięść pępowiną i nie bardzo się do cycka brało, ale on tylko rzucił na nie okiem i spytał Zuzkę:

– Chciałaś coś?

– Nie, ino tata kazał wam przyjść, bo żebyście tego konia od nas wzieni...

– Jedzenia jakiego trza?

– Ino chleba, bo mięso przynieśli, a ziemniaki są... – przypomniała sobie coś Zuzka i dodała: – Jakbyście mieli kapustę, to tyż, bo u nas już na dnie beczki i cuchnie.

– Dobrze.

Stach Mikuła poszedł do komory i grzebał tam długo. Wyciągnął trzy litrowe butelki ciemnego płynu, zapakował do parcianki, troskliwie najpierw owinąwszy każdą szmatą; do drugiej torby kazał żonie zapakować chleb i kapustę, a sam sięgnął w kąć za drzwiami i wyciągnął poręczną, ale ciężką siekierę na krótkim stylisku o szerokim, dobrze pociągniętym ostrzu. Uwiązał ją postronkiem przy gryfie i na końcu trzonka, zarzucił przez plecy. Wyszedł, popatrzył w mroku na Zuzkę.

– Nie idziesz do domu?

– Zostanę, ciotko, bo... – Zuzce urwało się w pół zdania.

– Co bo? – spytała niezadowolona Mikułowa. Nie lubiła nocować dzieci Matrasa, bo potem musiała naftą opatrywać głowy swoich. Wszów zawsze dzieci przyrodniego nianosły, że Matko Boska!

– Bo się mnie ten cholernik czepio i muszę do lasa uciekać. A jak się upije, to nie daj Boże! Nogim kiedyś odmroziła, jakem w byle czym do lasu uciekła – podciągnęła Zuzka spódnice i pokazała ciotce czerwone łydki.

– A tata to co?

– A co ma tata do gadania...

Stach dobrnął w ciemności do chałupy Matrasa. Siekierę zostawił przy pniaku ledwo wystającym spod narażanego drzewa i szedł do domu, gdzie przez szybę przyświecało nikłe światło naftówki. Nie doszedł jednak do drzwi, bo nagle coś twardego dotknęło mu piersi i Bożena, która siedziała z karabinem na ławie przed gankiem, powiedziała z wściekłością:

– Ja cię, kurwa, kiedy ubiję! Czego nie mówisz, że idziesz?

– Co się mam drzeć na cały las? – Mikuła, rozdygotany od dotknięcia zimnej lufy, pomyślał, że najpierw trzeba będzie tę cholerę w łeb buchnąć, a dopiero potem... A jak sobie tak pomyślał, to serce podeszło mu do gardła, bo Bożena Bożeną, ale wężowe spojrzenie Osiniaka zawsze powodowało mu wiotczenie łydek. A właśnie Osiniak otworzył drzwi i powiało z ledwo oświetlonego wnętrza smrodem bimbru, na pół rozłożonej kapusty, spalonej nafty, który wydzielala filująca lampa.

– Co ty, Bożena, do kurwy nędzy, już ci nas dwóch nie nastarczy i jeszcze Stacha

za kutasa łapiesz? – zażartował Osiniak.

– Jakbym was nie pilnowała, toby wam już dawno łeby poutrącali! – zasyczała wściekle Bożena, a Stach powiedział:

– Jak się macie! Kazek przysłał dziecko, że mam brać konia...

– No, trza – zgodził się Osiniak. Nie był całkiem pijany, tylko w miarę. – Ino jak nas oszukasz, jak na tamtym, to koniec z twoimi handlami...

– Ciężko teraz papiery wyrobić. To nie te czasy – mówił Stach. – Płacić trza najpierw sołtysowi i sekretarzowi gminy, i weterynarzowi, a na końcu takiemu, co się na zębach zna i nowe rejestry powypola...

Stach to mówił, ale jakby ktoś obcy za niego językiem obracał, a on najchętniej zacisnąłby zęby, bo mu szczęki dygotały, ale zaraz przypomniał mu się lutowy pobyt na posterunku, komendant Sobczak i warunki jakie policjant postawił.

– Gdzie Kazek? – spytał.

– A siedzi w stajni i rzygo, bo se wczoraj pozwoił.

– Wszyscy żeście se pozwolili – wrzasnęła Bożena.

– Brr – Osiniak wstrząsnął się. – Jakaś cholera była, z karbidem czy z benzyną. Franca, jak mi się beko. Aż nosem idzie.

– Bo pijecie byle co – rzekł Mikuła, który się już opanował. – Przyniosłem na klina coś, coście na żadnym weselu nie pili! Byłem u księdza w Łyskowie i mi dał kielicha. Jakem wypił, to pytam, jak to proboszcz robią. I dał mi przepis i żem zrobił. I miód w tym jest, i orzech zalany bimbrem...

– No, to dawaj! – Osiniak cofnął się do izby, a Stach wszedł za nim. W izbie siedział przy stole Papiak, a w kącie na zydlu kulił się Szczepan, chłopak Matrasowy. Stół zawalony był resztkami jedzenia i garnkami. Stach sięgnął do torby i postawił na blacie litrówkę wypełnioną brązowym płynem aż po brzozy korek uszczelniony lnianą szmatką. Papiak podniósł na chłopca oczy i poweselał na widok butelki, bo nie był to dawny Papiak, który oszczędzał się w picciu. Z tamtych czasów pozostało mu tylko zamiłowanie do słodkich wódek.

– Co to?

– Spróbuj, to ci oko zbieleje!

– Ano... – Papiak wziął butelkę, wyjął korek i ulał trochę wódki do fajansowego garnuszka z utraconym uchem, spaskudzonego licznymi śladami brudnych palców.

– Sylwek! – wrzasnął. – Chodź ino! Jeszcze my takiego nie pili.

Osiniak nie pokazywał się, więc Papiak wstał i wyszedł. Bożena chichotała cienko u wejścia do domu, Osiniak zabawiał się z nią, szczypiąc po cyckach i tyłku. Puknął się Papiak w głowę i nawrócił do domu. Nalał sobie i znowu wypił. Chyba od śmierci Iżyka przestał Papiak być o Bożenę zazdrosny; powiedział sobie: „chłopie, przecież to tak, jakby wozem przez wodę przejechał, śladu nie ma”, a Bożena i Osiniak przestali to robić na uboczu, jak przedtem, dla przyzwoitości. Kobieta

dalej sypiała na posłaniu Papiaka, ale jak ją Osiniak zawołał, to szła i do niego. Na jakąś przymówkę Papiaka o kurestwie, tylko powiedziała: „Widziałeś co się stało z Iżykiem? Ziemia gryzie...”

– Owa! Jużby mi tam strzelał w plecy o ciebie!

– O mnie, nie o mnie, a wiesz, jaki jest waryjat do kobiet.

– Przaje ci to!

– Farmazony pleciesz! Nie gadaj! Śpij!

Dopił Papiak, a Stach łyknął trochę i odstawił garnuszek. Osiniak zjawił się za chwilę, Papiak nalał mu.

– To jak mszalne wino!

– A żebyś wiedział! Od księdza się dowiedziałem jak to robić. Bimber taki co się pali, woda z miodem, bimber z orzechami i kwiat dzikiej róży...

– To jakiego dzisiaj świętego, żeś to przyniósł?

– Świętego konia – zaśmiał się Stach. Wyjął chleb z torby i kapustę. – Zuzka mówiła, że już nie macie.

– A ty gdzie? – spytał Osiniak, widząc, że Stach idzie do drzwi.

– No, do tego koniska. Kazeł tam jest?

– Pochorował się – rzekł Papiak.

– Wypije klina i mu przejdzie.

Stach wszedł do stajni, rozglądnął się. Matras siedział na żłobie, nogami opierał się o dyle. Koń, gniady, z dużą białą latarnią na łbie, chrupał obrok.

– Cholera, znaczny! – skrzywił się Stach.

– Ale z daleka jest. Byli za Pacanowem, Osiniak się śmiał, że strzylali do nich.

– Niemcy?!

– Nie, Polacy. Teraz różnych partyzantów pełno za Wisłą.

– Że ich też nie podziurawili – ściszył głos Mikuła. Westchnął. – Przywiozłem takiej miodówki, że spiją się jak baki. Zagotowałem wody z garścią bakanu, odcedziłem przez szmatkę i domieszałem.

– Z bakanem? – otrząsnął się Matras.

– Nie poczują! I ty byś nie poczuł.

– Jezu! Jezu! Za nic! – zaczął jęczeć Matras.

– Cicho! Chcesz, żeby cię pod ścianą postawili?! Sobczak mnie znów zawołał. Mówi, godo, że nas przed Niemcami kryje, ale niedługo.

– Jezu! Jezu! Nie dam rady!

– Nie jojc! Masz siekierę?! Poostrzyłeś?!

– Mam! Jezu! Nie dam rady!

– Od tego bakanu mąt w głowę dostaną. Spiją się. Trzy litry tego przywiozłem. Bożenę trza pierwszą, bo ona będzie całą noc wartowała...

– To ty! Cweter mi dała wczoraj dla Szczepana. Zuzkę zawsze broniła.

– Dobrze! Niech będzie! Ale musisz ją zagadywać!

Osiniak opierał się piersią o stół, obie ręce położył na blacie, podniósł oczy na Stacha; spojrzenie miał przymglone, już nie patrzył tak wężowo. Jedna litrówka była wypita, w drugiej połowa się bełtała. Papiak był mocniejszy od Osiniaka. Śpiewał:

Gdzie ty idzies kobito?

Do stodoły po żyto.

Nie zapiraj za sobą,

Bo ja idę za tobą...

Stach nalał sobie w miarę, żeby go ten bakon nie dobił, bo przecież już coś wypił, zagryzł mięsem.

– Strasznie znaczny ten koń – zagaił, żeby coś powiedzieć i wyniuchać, ile mają przytomności.

Osiniak machnął tylko ręką i położył się na blacie stołu, ale Papiak zaczął wrzeszczeć:

– Dość żeś nas z pieniędzy obrał! Zapierdolę cię, skurwysynu! – bluzgał przekleństwami, a Mikuła przypominał sobie, co mu mówiono, że jeden po takiej zaprawionej wódce będzie o bożym świecie nie wiedział, a drugi tym bardziej będzie dokazywał, bo mął w głowie dostanie. Zaczął też zaraz łagodzić oszalałego; wódki mu nalał i powiedział:

– Ja?! Ja wam pieniądze zabrał?! Jutro sprzedam tego konia i do grosza się wam z pieniędzy wyliczę.

Papiak mruknął coś jeszcze, ale wódkę wypił, odetchnął i znowu zaśpiewał:

Stoję se za wyngłem,

Z fujarecką i z bymnem,

Jak zaczęły psy scekać,

To ja musiał uciekać.

Osiniak ocknął się na ten śpiew, sięgnął do kieszeni, wyciągnął najpierw grzebień, potem pistolet położył na stole, ale nie miał się broni, tylko dalej nieporadnie grzebał, aż wyciągnął kapciuch ze świńskiego pęcherza, a z niego paczkę bibułki. Gmerał palcami, nie mógł jej rozdzielić; głupi uśmiech wylazł mu na twarz, ale w końcu przyłożył tę bibułę do grzebienia i usiłował dmuchać w nią. Nie szło mu, zaślinił bibułkę i znowu oparł się o stół, z grzebieniem w ręce. Sztywno patrzył w deskę stołu. Stach wyjął mu z ręki grzebień, dobrał bibułkę i wtórował Papiakowi, który znowu zaczął wyciągać:

A cegożeś nie przysed,

Kiedy miesiąc zased.

Ja na ciebie cekała,

Całą nockę płakała.

Kiedy Papiak dośpiewał, to Stach nalał mu znowu pół garnuszka. Papiak wypił i śpiewał coraz ciszej, aż zaczął mruczeć i w końcu przestał.

– Matko Boska – myślał Stach i kombinował; patrzył na leżący na stole pistolet. – Żebym się na tym znał, to można by strzelić im w łeb, a jak to nie wypali, bo coś tam zabezpieczone, Bożena by mi nie pożałowała kuli. Nie – zdecydował i myśl o pistolecie odrzucił.

Żeby coś powiedzieć zwrócił się do siedzącego na zydlu i ziewającego Szczepana.

– Zjedz co!

– Najadłem się tak, aż mi się beka – poinformował chłopak i znowu ziewnął.

– To idź, smarku, spać! – warknął Stach.

– Posłucham jeszcze jak śpiewacie.

– Idź spać, bo jak ci...

– Idę, idę...

Stach delikatnie potrząsnął ramieniem Osiniaka. Ten nie ruszył się, więc Mikuła mocno potrząsnął ramieniem bandyty. Osiniak zamamrotał coś i dalej spał z wyciągniętymi do przodu rękami.

– Osiniaku! Osiniaku! – półgłosem mówił do niego Stach. – To idę i biorę tego konia.

Kiedy chłop nie odpowiedział, Stach popatrzył na Papiaka. Widząc, że ten ślepia ma otwarte i wodzi nimi po izbie, nachylił się nad nim.

– Powiedz mu, żem wziął konia i jutro tu będę z pieniędzami.

– Powiem – wyszeptał Papiak. Nieporadnie wstał od stołu i rzuciło go o ścianę. Stach pomógł mu dobrać do wyrka, gdzie Papiak sypiał z Bożeną. Przykręcił trochę filującą lampę. W izbie pomroczało. Cicho wyszedł na palcach.

Bożena kiwała się, owinięta w kożuch, siedząc na ławce w ganku z karabinem między udami i dłońmi na łożu i lufie.

– Poszłabyś do izby – powiedział Stach.

– Nasmrodzone tam, że mój Boże. Śpią już? A ty gdzie?

– Biorę konia i do domu. Jutro przyjdę z pieniędzami. Ze swojego dam, bo się twój rzucał do mnie, że oszukuję.

– Jaki on tam mój?! – ziewnęła Bożena.

– To z Bogiem.

– Z Bogiem...

Matras dalej siedział na łożu i dygotał. Stach uderzył go w plecy.

– Śpią! O bożym świecie nie wiedzą.

– A Bożena?

– Siedzi w ganku. Palnę ją obuchem na wejściu. Ani nie drgnie.

– Jezu! Jezu! Nie dam rady!

– Ty chcesz, żeby ci Niemcy spalili obejście, a tobie i twoim dzieciom palnęli w łeb?! A na końcu, jak mi nie pomożesz, to pójdę sam, a potem wezmą ten karabin Bożeny i strzelę ci w łeb, bo mnie tu przy tobie ślak trafi. Lepszej okazji nie będzie. Idziesz?!

– Pójdę! Daj mi wódki!

– No, widzisz. Dobrze, żem nie zostawił tej trzeciej flaszki. – Stach sięgnął do parcianki, Matras upił kilka łyków i wstrząsnął się: – Uuch! – chociaż wódka szła mu jak aksamit przez gardło.

– Chodź!

– Ceko...! Posiedzę trochę.

– Posiedź, cholero... – Stach był zrezygnowany.

Matrasowi, który cały dzień rzygał po wczorajszym piciu, klin rozjaśnił w głowie. Wstawał.

– Gdzie masz siekierę?! – spytał Stach.

Matras sięgnął pod żłób i wyciągnął siekierę na długim stylisku ze świecącym od brusa ostrzem.

– A ty – spytał Stacha.

– Mam przy pniaku. Ja pójdę pierwszy, bo Bożena... Najpierw ją... Papiak jest na posłaniu. Leć od razu do niego i wał w łeb...

Podchodzili.

– Bożena? – półgłosem spytał Stach.

– Co cię znowu nosi?! – doleciało z ganku.

– Włokę tego barana. Choruje i ledwo na nogach stoi. Jeszcze tam zemrze w ty stajni – mówił Stach. Zamachu nie wziął wielkiego, bo bał się zawadzić ostrzem o sufit niewysokiego ganku, ale nie na darmo był specem od siekiery. Uderzenie rzuciło kobietę na ścianę. Urwany krzyk. Szarpnięcie. Stach po omacku złapał i wydarł spod niej karabin. Odrzucił go w ciemność. Szybko skrzypnął drzwiami do izby. Lampa pełgała, Osiniak leżał dalej na stole. Matras, trzymając siekierę przy nodze, przemknął do posłania Papiaka, Stach z rozmachem ciał po głowie Osiniaka. Razem ze stukiem staczającego się z ławy ciała bandyty rozległ się wrzask. Uderzenie Matrasa nie było celne, siekiera trafiła w obojczyk, złamała go i utkwiała w klatce piersiowej. Matras wydarł ją, Papiak znowu zawył, Matras uderzył jeszcze raz, i jeszcze raz, w szale rąbał drgające ciało, aż go Stach pchnął na ścianę i wydarł mu siekierę. Cisza teraz była, ale nie długo, bo przerwał ją wrzask Szczepana. Chłopak widocznie podglądał, bo mu się podobały śpiewy Papiaka, i stał teraz na drabinie wiodącej na strych; krzyczał wniebogłosy, Matras dopadł do niego, ściągnął z drabiny, objął go; dziecko z oszalałymi ze strachu oczami nie dawało się uciszyć. Stach, wściekły, skoczył i uderzył go w twarz. Chłopak ucichł, a w tej ciszy usłyszeli w ganku szamotanie się Bożeny. Mocna

baba wstawiała i padała w milczeniu; grzmotnęła wywrócona ławka; Stach z wykrzywioną twarzą skoczył tam, uderzenie, cisza.

– Wyciągnijmy ich na podwórze – powiedział zdyszany głosem Mikuła. – Ja biorę konia i jadę na posterunek do Mokrego. Przygnam tu rano Zuzkę, żeby pomyśla i posprzątała – stał chwilę, przestępując z nogi na nogę, dumając nad czymś. Matras patrzył na niego z niepokojem. – Kazek – powiedział nagle Stach. – Ja z tym nie chcę mieć nic wspólnego. Komendantowi powiem, żeś ty ich zabił, księdzu się wypowiadam..., ale ksiądz nikomu nie powie...

– Na mnie chcesz zwalić... – rozkleił zaschnięte usta Matras.

– A co mam robić? Na dziesiątej wsi mnie będą wytykać palcami. Nikt mnie do bicia świni nie zawoła... A ty? Co tobie? Mieszkasz na uboczu..., co tobie... Z tego konia dostaniesz pół pieniędzy. No, jak?

– Jak? – powiedział z namysłem. – A niech ci będzie! – Pomyślał Matras, że przecież po kątach różności naznoszonych przez bandę jest, i to się przyda. I kozuch, i futro, Bożeny i oficerki. Dwie pary butów z cholewami z Osiniaka na Szczepana będą... I pieniądze jakieś... – Niech ci będzie – powtórzył.

KONIEC TOMU CZWARTEGO



"Miejsce" posiada przede wszystkim bohatera zbiorowego i stąd pierwsze wrażenie, że mamy do czynienia z udaną powieścią środowiskową o dużej rozpiętości stylów życia. Skala obejmuje zarówno wysilek utrzymania się przy życiu największej, małomiasteczkowej i wiejskiej biedoty, jak światowy obyczaj dworu hrabiowskiego czy znaczenie nielicznej, ale wyrazistej grupy ludzi interesu.

Powieść w swoim tle zawiera nie pobawiony komizmu proces osławiania się mieszkańców za zdobyczami cywilizacji: od rozbicia rytualnego jarmarku przez automobil hrabiego, po rzeczywiste zmiany, jakie wprowadza budowa fabryki samolotów ściągająca nowych i obcych ludzi. Związana z planami COP-u budowa fabryki miała być nie tylko antidotum na przysłowiową galicyjską biedą, ale wiązała się także z działaniami na rzecz obronności kraju.

"Miejsce" pozwala żyć normalnie ludziom różnych statusów materialnych, różnych narodowości i religii. Ani ludność żydowska, ani koloniści niemieccy nie są postrzegani jako obcy. Owszem, odmienność jest przyczyną złośliwości, czasami szyderstw, ale nie inaczej traktuje się innych współziomków...

Z recenzji: dr Zofii Brzuchowskiej
Uniwersytet Rzeszowski
Katedra Literatury Współczesnej

ISBN 83-88308-09-2